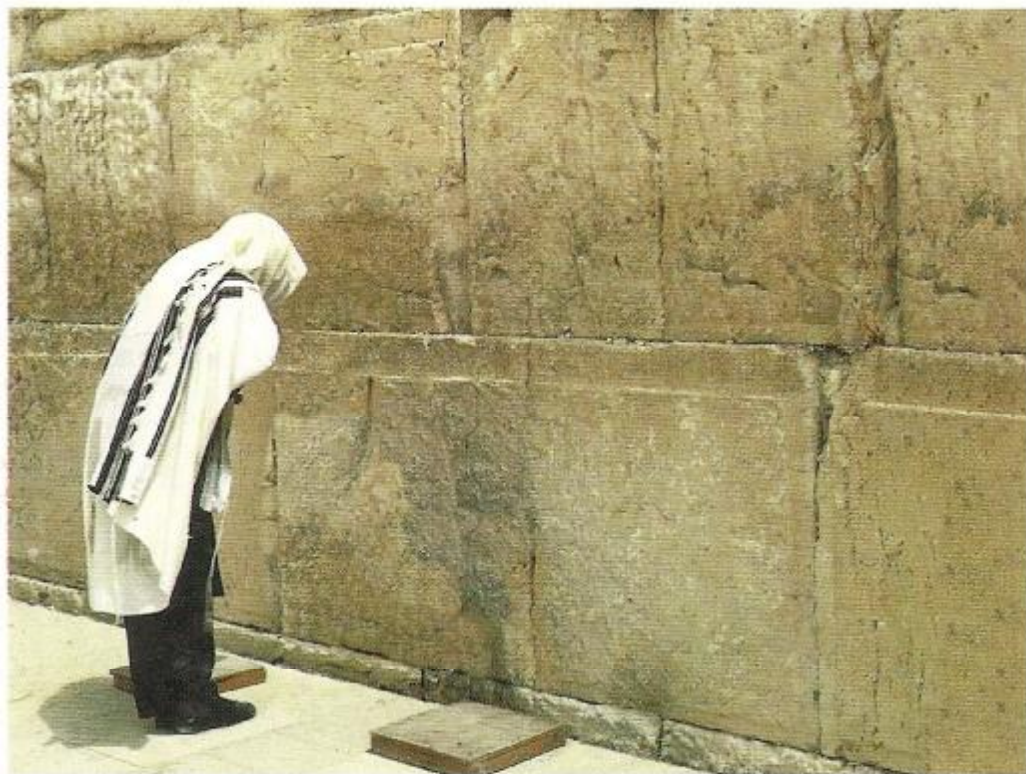


Noah **G**ordon

Diament Jerozolimski



*Historia tego diamentu od wieków
splatała się z dziejami jego rodziny.
Harry wychował się na
opowieściach o nim.
Teraz klejnot pojawił się
także w jego życiu.*

powieść

Noah Gordon

Diament

Jerozolimski

Przełożył z angielskiego Ziemowit Andrzejewski

Wydawnictwo „Książnica”

Dedykuję tę książkę Lise, Jamie,

Michaelowi oraz Lorraine

Podziękowania

W pracy nad tą powieścią pomagały mi dziesiątki osób. Nie pokuszę się o wymienienie wszystkich, jednakże podziękowania niechaj przyjmie moja agentka Pat Schartle Myrer, redaktorka książki Charlotte Leon Mayerson, a także Lise i Lorraine Gordon za uwagi redakcyjne. Wyrazy wdzięczności kieruję do Alberta Lubina, dyrektora wykonawczego nowojorskiego Klubu Handlarzy Diamentów, za przewodnictwo po świecie kamieni szlachetnych; do doktora Cyrusa H. Gordona, profesora filologii hebrajskiej na Uniwersytecie Nowojorskim, za pomoc w dziedzinie archeologii; do Lousii i Emanuela Munzerów za przywołanie najczarniejszych chwil w dziejach Europy; a także do doktora Jigaela Jadina z Jerozolimy za rozmowy o Masadzie.

Szczególny dług wdzięczności zaciągnąłem u mego nauczyciela i przyjaciela Jisraela Lazara, który z pogodą ducha i cierpliwością udzielał mi odpowiedzi na temat swojej ojczyzny — Izraela.

Jeżeli w którejś z tych dziedzin pojawiły się błędy, wina leży wyłącznie po mojej stronie.

Noah Gordon

Część pierwsza

Utrata

Rozdział 1

GENIZA

Każdego ranka otwierając oczy Baruch spodziewał się aresztowania.

Czysty zwój był z dobrej miedzi, rozklepanej tak cienko, że przypominała skórę. Włożyli go do worka i niczym złodzieje, którymi przecież byli w istocie, zanieśli potajemnie do małej pieczary na skraju opuszczonego rżyska. Mimo czystego błękitu nieba nad wejściem, w jaskini panował mrok, Baruch nappełnił więc i zapalił lampkę, a następnie ustawił ją na płaskim kamieniu.

Trzej młodszy spiskowcy siedzieli na zewnątrz z bukłakiem i udając pijanych, rozglądali się czujnie. Starzec prawie ich nie słyszał. Ból znów rozsadał mu piersi, a dłonie drżały, kiedy zmusił się wreszcie, by sięgnąć po drewniany młotek i szydło.

Oto słowa Barucha, syna Neriasza ben Masjasza z rodu kapłanów w Anatot w ziemi Beniamina, któremu przykazanie, by ukryć skarby Pana, zostało dane za pośrednictwem Jeremiasza, syna kapłana Chalkiasza, w dniach Sedecjasza syna Jozjasza, króla Judei, w dziewiątym roku jego władania.

Tylko tyle Baruch wyrył pierwszego dnia. Kiedy dokument zostanie dopisany do końca, te otwierające go słowa będą wyznaniem oznaczającym dlań śmierć, jeśli ktoś odkryje zwój przed przybyciem najeźdźców.

Ale czuł nieprzepartą potrzebę, by odnotować, iż nie są pospolitymi przestępcami.

Jeremiasz poinformował go, co polecił mu uczynić Pan. Dopiero po dłuższej chwili Baruch zdał sobie sprawę, że przyjaciel mówi, iż będą kraść w świątyni, kraść święte przedmioty ze świętego miejsca.

— Nabuchodonozor igra z faraonem Neko. Kiedy jego hordy skończą łupić Egipt, przyjdą tutaj. Świątynię spalą, a przedmioty zabiorą i zniszczą. Pan rozkazał nam ukryć święte przedmioty do czasu, kiedy znów będzie można ich używać do oddawania Mu czci.

— Powiedz kapłanom.

— Mówiłem. Czyż jednak dom Bukkiego słucha kiedykolwiek Pana?

Baruch oddalił się, kuszykając najszybciej, jak mógł na swej kalekiej nodze.

Umierał, to jednak czyniło pozostałe mu dni wręcz bezcennymi. Ryzyko przejmowało go zgrozą.

Zdołał świadomość o nim przegnać z duszy aż do dnia, gdy półdzicy nomadowie, którzy zwykle omijali miasto szerokim łukiem, zakołatali do bram, błagając o opiekę. Kilka godzin później wszystkie trakty wiodące do Jerozolimy zapelnili rojnie uciekinierzy przed najstraszniejszą armią świata.

Jeremiasz go odnalazł. W oczach starszego Baruch dostrzegł światło, które jedni przypisywali szaleństwu, inni zaś — Bożej iluminacji.

— Słyszę teraz Jego głos. Nieustannie.

— Nigdzie nie możesz się przed tym ukryć?

— Próbowałem. Podąża za mną.

Baruch wyciągnął ramię i musnął brodę Jeremiasza, równie białą jak jego. Czuł, że pęka mu serce.

— Czego ode mnie żąda? — zapytał.

Zostali zwerbowani następni. Gdy się spotkali, wyszło na jaw, że jest ich dwakroć siedmiu — co może podwoi ich szczęście. Baruch wszakże obawiał się, że są zbyt liczni, wystarczyliby bowiem jeden donosiciel, aby ich zniszczyć.

Zdumiała go tożsamość niektórych współspiskowców przeciwko domowi Bukkiego, kapłańskiemu rodowi władającemu świątynią. Szimor Lewita, głowa domu Abiasza, czuwał nad skarbcem. Hilak, jego syn, prowadził inwentarz i dbał o święte przedmioty. Ezechiasz dowodził strażą świątynną, Zachariasz kierował odźwiernymi, Hegaj zaś sprawował pieczę nad zwierzętami jucznymi. Na pozostałych wybór Jeremiasza padł dlatego, że byli młodzi i krzepcy.

Natychmiast osiągnęli zgodę co do kilku przedmiotów, które należy ukryć:

Tablice z dekalogiem.

Arkę wraz z pokrywą.

Złote cherubiny.

Potem jednak klócili się zawzięcie.

Niektóre z najcenniejszych przedmiotów trzeba było zostawić. Szczególnie ciężkie były skazane na zagładę: menora, ołtarz ofiarny, „morze” z brązu i jego cudowne ciężła również z brązu, także kolumny zdobione liliami i jabłkami granatu.

Zgodzili się, że ukryją Przybytek Mojżesza. Został wykonany z myślą o możliwości transportowania, a przechowywano go w elementach.

I wszystkie sztaby i pręty, zrobione dziewięćset lat temu ze złota przez rzemieślnika Pańskiego Basaela syna Uriego.

Pektoral arcykapłana wysadzany dwunastoma klejnotami, z których każdy był darem jednego plemienia.

Złote trąby zwołujące Izraelitów.

Pradawną tkaninę cudownej roboty, która zasłaniała Słoneczne Wrota.

Dwie harfy, które wykonał i na których grywał Dawid.

Naczynia do libacji i srebrne kadzielnice.

Złote półmiski i naczynia biesiadne z kutego złota.

Talenty złota i srebra uzbierane z wynoszącego pół szekla pogłównego, które dorocznie płacił każdy Żyd.

— *Zostawmy talenty, ukrywając w zamian większą liczbę świętych przedmiotów*
— *zasugerował Hilak.*

— *Musimy uwzględnić również nieuświęcone skarby* — *odparł Jeremiasz* — *pewnego dnia bowiem mogą zapłacić za nowy dom Pana.*

— *Są tam złote sztaby warte wiele talentów* — *rzekł Hilak, zerkając na swego ojca, przełożonego skarbcza.*

— *Co jest najcenniejsze z rzeczy nieuświęconych?*

— Olbrzymi klejnot — odparł Szimor bez namysłu.

Hilak przytaknął:

— Wielki żółty diament.

— Zabierzemy go — postanowił Jeremiasz.

Siedzieli patrząc na siebie z rezygnacją, świadomi, jak wielu innych rzeczy nie mogą wciągnąć na swą listę.

Trzy noce pod rząd, w pól drogi pomiędzy zmierzchem a świtem, Ezechiasz odwoływał strażników świątynnych spod Nowej Bramy.

Główne wejście do Miejsca Świętego Świętych wykorzystywał tylko arcykapłan, który wkraczał przez nie w Jom Kipur, aby wstawić się za swym ludem u Wszechmogącego. Była jednak inna, mało znana droga dostępu, wiodąca z górnej kondygnacji świątyni — od czasu do czasu spuszczano tamtędy kapłanów-robotników, by posprzątały i uporządkowały święte miejsce.

Tędy właśnie czternastu spiskowców wykradło świętą arkę i jej zawartość: kamienne tablice z przykazaniami, które na górze Synaj Pan wręczył Mojżeszowi.

Młodego kapłana imieniem Berekiasz spuszczo na linie.

Baruch trzymał się z daleka od Miejsca Świętego Świętych. Pochodził z rodu kapłańskiego, przyszedł jednak na świat z jedną nogą krótszą niż druga, był więc hinna-ga, pomyłką Pana. Nie miał prawa dotykać niczego, co uświęcone — przywilej ów był zarezerwowany dla ludzi bez skaz fizycznych.

Trudno powiedzieć, czy bał się bardziej niż Berekiasz, kiedy pozostali wypuszczali linę, młodzieniec zaś, wirując powoli, zsuwał się niczym wielki pajak do mrocznej twierdzy świętego miejsca.

Wątle światło wyprzedziło zawieszzonego człowieka i uwięzło w błysku skrzydeł. Berekiasz wyekspediował najpierw cherubiny, Baruch zaś odwrócił wzrok, sam bowiem Niewysłowiony we własnej Osobie zasiadał w Najuroczystszy Dniu pomiędzy tymi figurami, aby wysłuchać błagań arcykapłana.

Potem pokrywę arki. Z litego złota, ciężką.

W końcu arkę. Zawierającą tablice!

Gdy wyciągnięto pobladłego i drżącego Berekiasza, wyrzucił z siebie bez tchu:

— Na myśl przychodzi mi U zza.

Baruch znał tę historię. Kiedy król Dawid transportował arkę do Jerozolimy, jeden z dźwigających ją wołów potknął się. U zza, który maszerował obok, uchwycił świętą skrzynię w obawie, iż runie na ziemię, Pan zaś wpadł w gniew i śmiertelnie go raził.

— U zza nie umarł dlatego, że dotknął arki, lecz dlatego, iż zwątpił, że Pan zdolny jest ją ochronić — wyjaśnił Jeremiasz.

— Czyż ukrywając ją nie postępujemy w taki właśnie sposób?

— Jahwe ją chroni, lecz my pełniemy rolę jego sług — ostro zareplikował Jeremiasz. — Chodź, ta praca dopiero się zaczyna.

Szimir i Hilak doprowadzili spiskowców wprost do skarbów i świętych przedmiotów, na które padł ich wybór.

To Baruch spostrzegł miedziany zwój i zasugerował, aby go zabrać i spisać na nim kryjówki. Miedź jest trwalsza niż pergamin, poza tym łatwo ją oczyścić, jeśli stanie się rytualnie nieczysta.

Ze świątyni Salomona skrzynię i tablice uniósł wielbłąd, pokrywę zaś osiołek. Skrzydła cherubinów wypychały okrywające je szorstkie płótno jak sterczące z wiązki chrustu niesforne patyki.

Barucha zwerbowano, ponieważ był skrybą. Teraz Jeremiasz kazał mu wyryć na miedzi lokalizację każdej kryjówki, sam zaś spotkał się pojedynczo z każdym ze spiskowców, wydał mu część przedmiotów i wysłał z nimi do wskazanego miejsca. Każdy poznał jedynie tę kryjówkę, genizę, którą mu przydzielono. Tylko Baruch znał wszystkie i wiedział, co zawierają.

Dlaczego okazano mu aż takie zaufanie?

Odpowiedź uzyskał podczas krótkiego nawrotu choroby, kiedy ból zmroził dech w jego piersiach, a dłonie stały się bezkrwistymi niebieskawymi szponami.

Jeremiasz wcześniej już dostrzegł, że Malach ha-Mawet, Anioł Śmierci, unosi się nad nim jak obietnica. Częstką powinności Barucha była jego nieuchronna śmierć.

Chociaż kapłani z rodu Bukkiego wciąż nie przyjmowali do wiadomości, że ich świat może się zmienić, wszyscy inni przeczuwali wojnę. Gromadzono na murach drewno na ogniska, a także oliwę, którą po doprowadzeniu do wrzenia będzie się wylewać na głowy napastników. Źródła Jerozolimy były obfite, brakowało jednak żywności. W obliczu nadciągających okropieństw zgromadzono i umieszczono w strzeżonych spichlerzach całe ziarno, zarekwirowano całą trzodę.

Litość należała się tym, którzy przeżyją oblężenie, Baruch zatem nie marnował litości na siebie, chociaż w końcu ból tak go osłabił, że nie był w stanie trzymać szydła ni unosić młotka.

Ktoś musiał dokończyć pracę za niego.

Spośród pozostałych trzynastu spiskowców najlepiej na skrybę nadawał się Abiatar Lewita, lecz wybór Barucha, który zaczynał myśleć jak Jeremiasz, padł na Ezechiasza. Żołnierz ów nie był w pisaniu mistrzem, a robotę uznawał za żmudną, na czele wszelako swoich ludzi będzie bronić murów i bez wątpienia zginie, tajemnice zaś umrą razem z nim.

Gdy nazajutrz po zabarykadowaniu bram zaprowadzono Barucha na mury, spostrzegł, iż tej nocy nadciągnął nieprzyjaciel, a jego namioty, niczym kamyki olbrzymiej mozaiki, rozciągają się po horyzont.

Wrócili z Ezechiaszem do pieczary i uporali się z ostatnim akapitem:

W jaskini pod Skałą na północ od Wielkiego Kanału, w rurze z wylotem ku północy, ten dokument z wyjaśnieniem i wykazem wszystkich przedmiotów składamy.

Baruch zaczął, aż Ezechiasz wystuka ostatnią literę, po czym zrolował zwój. Za murami krótkobrodzi cudzoziemcy w wysokich spiczastych czapkach galopowali już na swych kudłatych konikach wokół miasta Dawida.

— A teraz ukryjmy zwój — powiedział Baruch.

Rozdział 2

JUBILER

Ze swego wysoko położonego biura Harry Hopeman widział przez szybę, która z drugiej strony wyglądała jak zwykle lustro, urządzoną z dyskretnym przepychem siedzibę firmy Alfred Hopeman i Syn. Ściany, wykładziny i meble były utrzymane w rozjaśnionych czerniach i ciemnych szarościach, subtelne zaś białe oświetlenie sprawiało, że niezrównana kolekcja Hopemanów skrzyła się tak uwodzicielsko, jakby nie spoczywała w sklepie, lecz w puzdrze wyścielonym aksamitem.

Gościem był Anglik o nazwisku Sawyer. Harry wiedział, iż skupuje obligacje amerykańskich przedsiębiorstw dla państw wchodzących w skład OPEC, co jednak stanowi zaledwie część jego powinności, było bowiem tajemnicą poliszynela, że aktualizuje prowadzoną przez OPEC czarną listę amerykańskich firm prowadzących interesy z Izraelem.

— Mam klientów zainteresowanych zakupem diamentu — powiedział Sawyer.

Osiem miesięcy wcześniej klient z Kuwejtu zamówił u Hopemanów naszyjnik, ale potem nagle odwołał zamówienie. Od tego czasu do krajów arabskich nie sprzedali nic.

— Z radością zlecę któremuś z subiektów zaprezentowanie panu wszystkiego, czym dysponujemy — odrzekł z rozbawieniem Harry.

— Ależ nie, nie. Chcą wejść w posiadanie konkretnego diamentu, oferowanego do sprzedaży w Ziemi Świętej.

— Gdzie?

Sawyer podniósł rękę.

— W Izraelu. Pragną, aby pan tam pojechał i w ich imieniu dokonał zakupu.

— Miło czuć się komuś potrzebnym.

Sawyer wzruszył ramionami.

— W końcu jest pan Harrym Hopemanem.

— Kim są pańscy klienci?

— Nie wolno mi tego zdradzić. Sam pan rozumie...

— Nie jestem zainteresowany — powiedział Harry.

— Panie Hopeman, ta króciutka podróż otworzy przed panem niejedne drzwi i przyniesie panu mnóstwo pieniędzy. Jesteśmy biznesmenami, proszę więc nie pozwalać, by polityka...

— Panie Sawyer, jeśli pańscy zleceniodawcy chcą, abym dla nich pracował, muszą poprosić mnie osobiście.

Gość westchnął.

— Miłego dnia, panie Hopeman.

— Żegnam, panie Sawyer.

W drzwiach Sawyer zatrzymał się i odwrócił.

— A może mógłby pan zarekomendować kogoś, czyje kompetencje były porównywalne z pańskimi?

— Czy wówczas moja firma zostałaby skreślona z listy bojkotowanych przedsiębiorstw?

— Jakiej listy? — zapytał z głupia frant Sawyer. Zaprogramowany jednak, by wywachiwać dobre interesy, przyoblekł twarz w anielski uśmiech.

Harry też się uśmiechnął.

— Obawiam się, że jestem jedyny w swoim rodzaju — odrzekł.

Satysfakcja z wyniku spotkania nie wystarczyła, by podładować mu akumulatory na resztę popołudnia.

Na jego biurku spoczywały arkusze inwentaryzacyjne, dane o wynikach sprzedaży, cała ta papierkowa robota, której nienawidził.

Mężczyzna, który zarządzał szlifiernią przy Czterdziestej Siódmej Zachodniej, i kobieta, która prowadziła elegancki salon sprzedaży firmy Alfred Hopeman i Syn

przy Piątej Alei, zostali tak wyszkoleni, aby obywać się bez szefa. Pozwalało mu to koncentrować się na kierowaniu całością i obsłudze elitarniej grupki klientów — bogaczy zainteresowanych zakupem rzadkich klejnotów czy kustoszy muzeów mających w swych zbiorach kamienie o wartości historycznej bądź religijnej. Te obszary działalności przynosiły najwyższe zyski, do transakcji jednak, rzecz oczywista, nie dochodziło co tydzień. Nieuchronnie zdarzały się takie dni jak dzisiejszy — martwe.

Z pominięciem sekretarki wybrał numer.

— Cześć. Mógłbym do ciebie na moment wpaść?

Czyżby zawahała się przed odpowiedzią?

— Jak najbardziej.

Kiedy wyciągnął się leniwie z policzkiem na krawędzi materaca, kobieta, która leżała na wznak, zaścielając poduszkę wachlarzem swych włosów, powiedziała mu, że się wyprowadza.

— Dokąd?

— Do mniejszego mieszkania. Mojego własnego.

— To jest twoje mieszkanie.

— Już go nie chcę. I nie chcę więcej czeków, Harry. — Musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć telewizor; nalegała, żeby go włączyć, ilekroć się kochali, ściany bowiem apartamentu, chociaż bardzo drogiego, były cienkie. Ale mówiła bez gniewu.

— O co, do cholery, chodzi?

— Czytałam o sarnach. Wiesz coś o sarnach, Harry?

— Ni diabła.

— Wcale nie są puszczałskie. Wcale, wyjąwszy okres rui. Wtedy kozioł pokrywa każdą samicę, która mu się napatoczy, a ledwie skończy, zmyka od niej.

— Niełatwo zatrzymać takiego kozła.

Nie uśmiechnęła się.

— Czy nie dostrzegasz pewnego... podobieństwa?

— A czy ja z łomotem znikam w gęstwinie?

— Harry Hopeman nie jest zwierzęciem, jest człowiekiem interesu. Zapewnia samicy komfort i bezpieczeństwo, aby móc wykorzystać ją ponownie. Dopiero wtedy odchodzi.

Jęknął.

— Ja nie jestem przedmiotem, Harry.

Podniósł głowę.

— Jeśli czujesz się... wykorzystywana, to jak wyjaśnisz dwa ubiegłe miesiące?

— Pociągałeś mnie — odparła spokojnie. Zmierzyła go taksująco. — Twoje włosy, kasztanowe z rudymi przebłyskami. Cera, jakiej mogłoby pozazdrościć ci wiele kobiet...

— Musiałyby golić się dwa razy dziennie.

Wciąż się nie uśmiechała.

— Alabastrowe zęby. Nawet twój nos futbolisty.

Potrząsnął głową.

— Jeden facet mi w niego przywalił. Dawno temu.

Dopiero teraz zdecydowała się na uśmiech.

— I to się zgadza. Dla ciebie nawet małe tragedie obracają się na korzyść. — Musnęła czubkiem palca ciemne włosy na jego nadgarstku. — Sam widok twoich dłoni wystarczał, bym... masz idealne dłonie. Takie opanowane. Zawsze przerywałam pracę, żeby popatrzeć, jak trzymasz perłę czy kamień. Byłam na ciebie gotowa, zanim jeszcze się mną zainteresowałaś. Sądziłam, że zdołam cię usidlić. Takiego młodego i z taką forszą. Tak pięknego w swojej szpetocie. Uważałam, że twoja żona musiała postradać zmysły, skoro wyprowadziła się od ciebie.

Patrzył na nią w milczeniu.

— Zamierzałam poczekać na najwłaściwszy moment, żeby zgarnąć całą pulę.

— W gruncie rzeczy niespecjalna ze mnie pula — odparł — i nigdy nie przypuszczałem, że pragniesz ją zgarnąć.

Palce, które kiedyś przepisywały na maszynie jego listy, teraz musnęły policzek Harry'ego.

— Właściwy moment nie nadejdzie nigdy. Czy jestem ci potrzebna, Harry? Czy naprawdę mnie pragniesz?

Opadły go wyrzuty sumienia.

— Czy naprawdę musisz nam to robić? — zapytał.

Nonszalancko skinęła głową. Zdradzał ją tylko wyraz oczu.

— Ubierz się i pożegnaj, Harry — odparła niemal czule.

Czterdziesta Siódma Ulica wraz z alejami Piątą i Szóstą przyciągała go i podnosiła na duchu już w czasach, gdy był młokosem harującym równie ciężko jak wszystkie inne szczeniaki terminujące w branży diamentowej. Najbogatsza przecznica świata była niechlujnym skupiskiem starych domów i tandetnych witryn, które przywodziło na myśl śpiącego na workach pieniędzy obdartego starego menela. Zdarzały się wprawdzie anomalie — znana księgarnia z wielkimi tradycjami, sklep papierniczy — ale zdecydowanie dominowała branża jubilerska. Było to jedno z kilku odmiennych pod każdym względem miejsc, gdzie Harry Hopeman czuł się swojsko.

Minął ledwie wchodzącego w dorosłość chłopaka przytrzymującego za połą starszego mężczyznę, który z powodzeniem mógł być jego dziadkiem. Stali przed wystawą, dokładnie pod przyklejonym do szyby spłowiałym arkuszem papieru z napisem:

NAGABYWANIE PRZECHODNIÓW PRZEZ NAGANIACZY JEST
SPRZECZNE Z PRAWEM

Kodeks Administracyjny Rozdz. 435 §10.1 Jubilerski Komitet Obywatelski

— Nie, ale mam coś zupełnie podobnego. Dam ci cholernie dobrą cenę — mówił żarliwie chłopak.

Harry uśmiechnął się szeroko, przypominając sobie własne terminowanie na tych chodnikach.

Sklepy detaliczne stanowiły produkt uboczny — o prawdziwym obliczu Czterdziestej Siódmej Ulicy decydowały niewielkie grupki ortodoksyjnych żydów trwające niczym rafy w nurcie przechodniów, chasydzi w długich brązowych kaftanach i

szerokich, obszytych futrem lisiurach, zwanych sztrajmlami, albo w ciemnych kape-luszach i czarnych lub granatowych garniturach. Lekkimi ukłonami pozdrawiał zna-jomych. Niektórzy analizowali zawartość wygniecionych torebek z szarego papieru; przypominali chłopców wymieniających się kapslami, tyle że owe kapsle pozwalały opłacić naukę dzieci, aparaty na zęby, czynsz, żywność, a wreszcie członkostwo w synagodze.

Przypadkowy obserwator nie miałby pojęcia, w co wpatrują się z taką uwagą. Po-siadanie diamentów to najprostszy sposób wciśnięcia w minimalną przestrzeń wiel-kiej masy pieniędzy, chociaż ci ludzie byli przeważnie pośrednikami, którzy często na kredyt brali kamienie od importerów w rodzaju ojca Harry'ego, by sprzedać je detali-stom. Mało kto dysponował witryną czy choćby biurkiem. Podczas niepogody dezerte-rowali z ulicy i prowadzili interesy w kafeterii, na korytarzach bądź w sali ekspozy-cyjnej Klubu Handlarzy Diamentów, którego skarbcowi zresztą wielu powierzało na noc swe kamienie.

Część z nich dorabiała się boksów w halach flankujących ulicę, nielicznym była pisana jeszcze wspanialsza przyszłość — ojcami kilku z największych fortun Amery-ki byli uliczni handlarze, którzy całe swe biuro nosili w kieszeni, ostrożnie kupowali i sprzedawali, zastępując pisemne umowy zdaniem w jidysz i uściskami dłoni.

Harry doszedł do Piątej Alei, na drugi koniec diamentowego świata, zatrzymał się przed wystawą Tiffany'ego, aby zerknąć z podziwem na zdobiący ją okaz: może pięćdziesięcio- ośmiokaratowy biały diament oprawiony w broszkę, imponujący wprawdzie, lecz nie należący do tych kamieni, wokół których narastają legendy. Spe-cjalnością Harry'ego zaś były legendy. Delektował się każdym, choćby przelotnym spojrzeniem na któryś z najslawniejszych klejnotów, a bajkami jego dzieciństwa były kroniki losów naszyjnika królowej, Wielkiego Mogoła, Orłowa, Czarnej Gwiazdy Afryki, Gór Chwały, Cullinana. Część owych cudów trwała w skarbcach, ciesząc w ciągu bieżącego stulecia niewiele ludzkich oczu, mężczyźni jednak, którzy w nie-dzielne popołudnia zbierali się w mieszkaniu jego ojca na herbacie, rozprawiali o nich jak o czymś dobrze znanym, czerpali bowiem swą wiedzę z rodzinnych przekazów.

Bo niektóre jubilerskie rody trwały i rozprzestrzeniały się po świecie w taki sam sposób jak świstaki obficie występujące nad Hudsonem: mnożyły liczbę swoich członków, a kiedy w starym siedlisku dochodziło do zbyt wielkiego zagęszczenia, wysyłały młodsze osobniki na podbój nowych obszarów. W końcu z jednego pnia wyrastały francuskie, angielskie, niemieckie, włoskie, holenderskie i belgijskie gałę-

zie tej samej rodziny, połączone, prócz pochodzenia, jubilerską profesją. W czasach gdy świadomość genealogiczna z reguły sięga co najwyżej pokolenia dziadków czy pradziadków, członkowie owych rodów mogli bez trudu wyrecytować kilkusetletnią historię rodziny. O takich ludziach mawia się w jidysz, że mają jichus awot, znakomite pochodzenie. Ojciec Harry'ego, Alfred Hopeman, rozprawiał z przekonaniem, że jest w prostej linii potomkiem Lodewycka van Berkema.

Aż do czasów owego żydowskiego szlifierza z Brugii diamenty lśniły jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, zabiegi polerskie bowiem ograniczały się do pocierania o siebie dwóch kamieni. Van Berkem był wykształconym matematykiem i w 1467 roku opracował precyzyjny układ faset, które uzyskiwał dzięki użyciu tarczy szlifierskiej pokrytej diamentowym proszkiem zaimpregnowanym oliwą z oliwek. Tej metody, pozwalającej wydobyć ogień każdego klejnotu, strzegł jak największej tajemnicy rodzinnej, krewni zaś, których wyszkolił, stworzyli z czasem w Belgii i Holandii cały przemysł jubilerski, zaopatrujący w klejnoty domy królewskie Europy. Jeden z tych krewnych oszlifował nawet kamień — znany później w branży jako Diament Inkwizycji — aby ocalić krewniaka z Hiszpanii, który miał spłonąć na stosie jako heretyk.

Takich właśnie historii wysłuchiwał Harry zamiast bajek.

Przed rozpoczęciem drugiego roku studiów na Columbia University po raz pierwszy odwiedził Europę i w Antwerpii, której ekonomia jest silnie związana z branżą jubilerską, odnalazł pomnik Lodewycka van Berkema. Mistrz, w kaftanie i fartuchu, stoi z lewą dłonią na biodrze, wpatrując się krytycznie w diament trzymany pomiędzy kciukiem a wskazicielem prawej. W jego grubo ciosanych rysach Harry odnalazł niewiele podobieństw do swoich, a przecież pamiętał, że ojciec nauczył go szlifowania diamentów metodą van Berkema, która na przestrzeni pięciu stuleci ulegała jedynie kosmetycznym zmianom.

— Jesteście spokrewnieni? — zapytała dziewczyna, z którą podróżował od kilku dni. Jasnowłosa, opanowana, była wnuczką biskupa Kościoła episkopalnego i Semiotów uznawała za niesamowicie egzotycznych. Wykorzystywał to przekonanie bez skrpułów.

— Tak twierdzi mój ojciec.

— Poznaj nas ze sobą.

Z powagą przedstawił dziewczynę pomnikowi.

Tydzień później, kiedy pojechali do Polski, aby zwiedzić Oświęcim, gdzie zginęli wszyscy czescy krewni ojca, odczuł przemożny smutek, z jakim przemówili doń jego martwi żydowscy bracia, a zarazem został zupełnie zaskoczony emocjonalną reakcją blondwłosej dziewczyny, która doznała ataku hysterii.

W Antwerpii jednak wciąż jeszcze postrzegała przeszłość z perspektywy telewizyjnego dowcipnisa.

— Zabawne, wcale nie wygląda na Żyda — stwierdziła.

W biurze czekało na niego kilka wiadomości telefonicznych. W pierwszej kolejności zadzwonił na numer w Kalifornii.

— Harry? Hurra Harry, hurra Anglia i święty Jerzy! — Głos, który elektryzował miliony, brzmiał trochę niewyraźnie. Słynny aktor należał do grona najaktywniejszych kolekcjonerów diamentów na świecie, a w tej chwili był w trakcie wielce nagłaśnianej sprawy rozwodowej.

— Witaj, Charles.

— Harry, jesteś mi potrzebny. Jestem na rynku.

Ciekawe, pomyślał Harry, czy chodzi o symbol pojednania czy też prezencik dla aktualnej wybranki.

— Duży, Charles? A może intymny i czarujący?

Pytanie zostało zrozumiane bezbłędnie.

— Duży, Harry. Zdecydowanie duży i niezwykły. Coś w najwyższym stopniu stosownego.

A zatem pojednanie.

— Miło mi to słyszeć, Charles. Rzecz wymaga zastanowienia i analizy. Ile mamy czasu?

— Właśnie odleciała do Hiszpanii. Jest trochę czasu.

— Doskonale. I Charles... — zawahał się — ...cieszę się w twoim imieniu.

— Dzięki, przyjacielu, nie wątpię.

Potem zadzwonił do pewnej kobiety z Detroit, która usiłowała przekonać męża do ulokowania części ich kapitału w bladoniebieskim brylancie o wadze 38,26 karata.

— Naprawdę sądzi pan, że to dobra inwestycja? — zapytała.

— W ciągu ostatnich pięciu lat większość kamieni potroiła swoją wartość.

— Cóż, sądzę, że da się namówić.

Harry nie podzielał jej optymizmu.

Kiedy miał dwadzieścia trzy lata, wziął na wymiar duży biały indyjski diament. Dealer udzielił mu kredytu, ponieważ jego ojca znał od wielu lat. Niespełna dwa tygodnie później Harry sprzedał kamień bogatej nafiarcie z Tulsy w stanie Oklahoma, doświadczając podczas transakcji, która legła u podstaw jego późniejszego sukcesu, wrażeń nieomal seksualnych. Myślał o nich w kategorii „mrowienia”, chociaż ich natura była psychiczna raczej niż fizyczna, a wiązała się ze szczególnym uaktywnieniem intuicji.

Teraz bezczynność owego osobistego radaru podpowiadała mu, że prawdopodobnie kobieta z Detroit nie jest poważną klientką.

— Radzę go nie naciskać, pani Nelson. Kamień tak duży nieprędko znajdzie kupca, poczeka na panią.

Westchnęła.

— Będziemy w kontakcie.

— Z pewnością.

Następnie zatelefonował do Saula Netschera z S.N. Netscher & Co., Inc., firmy importującej i eksportującej diamenty przemysłowe.

— Cześć, Harry — powiedział bez wstępów Netscher.

— Chce się z tobą spotkać niejaki Herzl Akiwa.

— Herzl Akiwa? — Harry przerzucił wiadomości i znalazł właściwą. — Tak, dzwonił do mnie. Ma izraelskie nazwisko

— stwierdził z rezygnacją. Netscher, najbliższy przyjaciel ojca, był bezlitosnym filantropem i niestrudżonym kwestarzem na rzecz Izraela.

— Pracuje w nowojorskim przedstawicielstwie pewnej firmy tekstylnej. Zobacysz się z nim, prawda?

Tekstylia? Harry był zbity z tropu.

— Oczywiście, jeśli sprawię ci w ten sposób przyjemność.

— Dziękuję ci. A kiedy ja cię zobaczę?

— Umówmy się na lunch. Może pod koniec tygodnia? Nie, to mi nie bardzo pasuje. Początek przyszłego będzie lepszy.

— Jestem do dyspozycji. Znasz mój system. Pozostawiłem twemu ojcu udreki wyprowadzenia cię na ludzi, ale teraz to ja zbieram plony.

Harry uśmiechnął się. Ogromnie lubił Saula, czasem jednak dostrzegał wady układu, w którym prócz prawdziwego ojca ma się jeszcze staruszka uzurpującego sobie ojcowskie prawa.

— Zadzwoń.

— Dobra. Bywaj zdrow, mój chłopcze.

— Sei gezunt, Saul.

Na koniec, powodowany impulsem, zatelefonował do żony.

— Della?

— Harry? — Jej głos był taki jak zawsze, pełny ciepła i życia, ale znał ją zbyt dobrze, by nie usłyszeć, że lekko wstrzymuje oddech. — Jak się miewasz?

— Doskonale, doskonale. Po prostu zastanawiałem się... czy czegoś nie potrzebujesz.

— Chyba nie, Harry, ale to mile z twojej strony, że się zastanawiałeś. We wtorek odwiedziłam Jeffa w szkole. Mówił, że świetnie się bawił podczas weekendu, który z tobą spędził.

— Wcale nie byłem tego pewien. W niedzielę musiałem popracować.

— Och, Harry — powiedziała ze znużeniem. — Zapłacił sporą cenę za to, że z powodu naszego... naszej sytuacji... musiał iść do internatu rok wcześniej. Za separację i całą resztę też.

— Wiem, wiem. Ale wszystko z nim w porządku.

— Mam nadzieję. Cieszę się, że zadzwoniłeś — odparła. — Może zjemy dziś razem kolację? Zbliża się jego bar miewa, musimy omówić kilka spraw.

— Bar miewa? Boże, to dopiero za kilka miesięcy.

— Harry, te rzeczy trzeba załatwiać z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, to absolutnie konieczne. Może więc zjemy kolację jutro?

— Jutro idę na kolację do ojca. Mógłbym do niego zadzwonić i...

— Proszę, nie rób tego — wtrąciła pospiesznie. — Pozdrowisz go ode mnie?

— Jasne. Wkrótce porozmawiamy o bar micwie Jeffa.

— Dzięki, że zadzwoniłeś. Naprawdę dzięki.

— Do widzenia, Delio.

— Tymczasem, Harry — powiedziała pogodnie.

Ponieważ Harry oddał swoje lamborghini na przegląd do warsztatu w East Nyack, Sid Lawrenson, jego człowiek do wszelkich poruczeń, odebrał go z Manhattanu drugim samochodem, trzyletnim chryslerem. Lawrenson nienawidził miasta ijechał zbyt szybko, dopóki nie znaleźli się w sercu Westchester County, gdzie ruch w kierunku północnym znacznie osłabł. W końcu skręcili w drogę, która opadała na dno doliny pełnej przesadnie drogich nieruchomości, pomiędzy wzgórzami elegancko wystrojonymi w rododendrony i drzewka laurowe.

Stróżówka strzegła bramy, za którą ciągnął się długi, kręty podjazd, oddzielony od szosy gęstą zasłoną wyniosłych dębów, sykomor i wiecznie zielonych krzewów. Połowa domu została wzniesiona na początku osiemnastego wieku przez dygnitarza z Kompanii Zachodnioindyjskiej, drugą dobudowano niemal sto lat później, czyniąc to jednak tak kunsztownie, że trudno było powiedzieć, gdzie łączą się ze sobą obie części eleganckiej rezydencji w stylu kolonialnym.

— Nie będziesz mi już dzisiaj potrzebny, Sidney — powiedział Harry, wysiadając z auta.

— Czy... mhm... jest pan pewien?

Harry skinął głową. Żona Lawrensona, Ruth, gosposia Hopemanów, była władczą niewiastą i Harry od dawna podejrzewał, że Sidney ma gdzieś niedaleko, zapewne we wsi, przyjaciółkę o dobrotliwszym usposobieniu.

— No to załatwię parę spraw.

— Baw się dobrze.

Harry przebrał się w dżinsy i sweter, a potem zjadł kolację przygotowaną przez Ruth Lawrenson. Kiedy Hopemanowie podjęli decyzję o separacji, zrzędliva gosposia — która uwielbiała Delię i tylko lubiła Harry'ego — dała jasno do zrozumienia, u kogo ona i jej mąż woleliby pracować. Della jednak przeniosła się do niewielkiego mieszkania w mieście, które w dostatecznym porządku utrzymywała przychodząca dwa razy w tygodniu sprzątaczką, tak więc Lawrensonowie zostali. Harry z nagłym rozbawieniem zdał sobie sprawę, że nie tylko on, lecz również Sidney ma powody, aby dziękować opatrności za taki rozwój wydarzeń.

Po kolacji przeszedł do swej zagraconej i wygodnej pracowni na piętrze. W kącie stał stół szlifierski, na nim zaś obok tarcz do cięcia, szlifowania i polerowania spoczywała cała kolekcja kryształów górskich i kamieni półszlachetnych w rozmaitych stadiach obróbki. Poza tym pokój sprawiał wrażenie raczej gabinetu niż warsztatu: na biurku piętrzyły się pełne dopisków książki i przewalały manuskrypty, na półkach zaś sąsiadowały ze sobą najosobliwsze periodyki: „Archeologia Biblijna”, „Klejnoty i Minerale”, „Oriens Antiquus”, „Dziennik Jubilerski”, „Akta Izraelskiego Towarzystwa Badawczego”, „Deutsche Morgenlandische Gesellschaft Zeit schrift”...

Zanosiło się, że jak na wiosnę ta noc będzie wyjątkowo ciepła, Harry więc szeroko otworzył okno, aby wpuścić do pokoju wiatr znad rzeki, a potem usiadł przy biurku, kończąc kwerendę do rozprawki „Rosyjskie klejnoty koronne od kazańskiej korony Iwana do napierśnika Michaiła Fiodorowicza Romanowa”. Ilekroć badał ten okres, był szczególnie wdzięczny losowi, że wolny żyje w Ameryce dwudziestego stulecia, wieleset lat później niż królewscy koneserzy z Rosji, którzy zdobili klejnotami nawet nocne pantofle, opłacając swe przepyszne trony krwią i potem milionów ludzkich istnień. Czytał szybko, czynił zapiski na fiszkach drobnutkim, lecz czytelnym pismem i po raz pierwszy tego dnia był zupełnie szczęśliwy.

*

Kilka godzin później rozległo się stukanie do drzwi.

— Telefon do pana — oznajmiła Ruth Lawrenson.

— Co się stało? — Ruth nigdy nie przeszkadzała mu w pracy.

— Skąd mam wiedzieć? Jakiś Akiwa mówi, że to bardzo ważne.

— Poproś, żeby zadzwonił jutro. Do biura.

— Już mu powiedziałam, ale się napiera, że to pilne.

„Halo?” Harry'ego było wyjątkowo szorstkie.

— Pan Hopeman? Jak sędzę, pan Saul Netscher wspomniał panu o mnie.

Głos mówił z akcentem, który zazwyczaj sprawiał Harry'emu przyjemność: z akcentem kogoś, kto opanował angielski jako drugi język, ale bezpośrednio od Brytyjczyków.

— Tak, ale w tej chwili jestem dość zajęty.

— Proszę o wybaczenie, szczerze proszę. Musimy się spotkać w sprawie najwyższej wagi.

— Jest jakiś interes do zrobienia, panie Akiwa?

— Jest interes... — Akiwa się zawahał. — A jednocześnie, można by powiedzieć, to coś znacznie ważniejszego niż interes.

— Proszę rano wpaść do mnie do biura.

— Byłoby to w najwyższym stopniu nierozważne. Czy nie moglibyśmy spotkać się gdzieś indziej? — Nastąpiła pauza. — Zależy mi również, abym miał sposobność naradzić się z pańskim ojcem.

Harry westchnął.

— Mój ojciec jest praktycznie emerytem.

— Proszę się nie irytować. Po naszym spotkaniu zrozumie pan wszystko.

Intuicyjny radar Harry'ego zanotował niewyraźne iskierki.

— Będę u ojca jutro wieczorem. Wschodnia Sześćdziesiąta Trzecia, numer 725. Czy może pan być o ósmej?

— Cudownie, panie Hopeman. Szalom.

— Szalom, panie Akiwa — odparł Harry.

O czwartej nad ranem obudził go kolejny telefon. Rozległ się szum i słowa wypowiedziane w dwóch różnych językach.

— *Pronto?* Pan Hopeman?

— Halo? Halo?

— Pan Hopeman?

— Tak. Kto mówi do cholery?

— Bernardino Pesenti. Kardynał Pesenti.

Kardynał Bernardino Pesenti zarządzał Patrimonium Petri, czyli skarbami Watykanu, olbrzymimi zbiorami bezcennych dzieł sztuki i antyków: krucyfiksów ciężkich od klejnotów, biżuterii bizantyjskiej, ołtarzy, monstrancji i wszelkich innych sprzętów sakralnych. Kilka lat wcześniej zaaranżował nabycie przez Harry'ego wysadzanej klejnotami korony Matki Boskiej Częstochowskiej, która to transakcja po pierwsze zmniejszyła nieco zadłużenie Archidiecezji Warszawskiej, a po wtóre umożliwiła urządzenie z szaro-czarnym przepychem siedziby spółki Alfred Hopeman i Syn.

— Jakże się eminencja miewa?

— Stan zdrowia wciąż umożliwia mi pracę dla Ojca Świętego. A pan, panie Hopeman?

— Doskonale, eminencjo. Czym mogę służyć?

— Zamierza pan może odwiedzić niebawem Rzym?

— Nie miałem dotąd takich planów, ale to się da zrobić.

— Pragniemy, aby nas pan reprezentował.

— Czyżby chodziło o zakup? — Kościół zwykle dziedziczył i rzadko sprzedawał. Harry nie pamiętał, kiedy ostatnio coś kupił.

— Chodzi o odzyskanie skradzionego przedmiotu.

— Klejnotu czy antyku, eminencjo?

— Diamentu wystawionego na sprzedaż w Ziemi Świętej. — Kardynał Pesenti uczynił pauzę. — To Oko Aleksandra, panie Hopeman.

— Wyplłynęło na powierzchnię? — Kamień, skradziony z Muzeów Watykańskich, zniknął na kilka dziesięcioleci. Harry'ego nagle ogarnęło zainteresowanie. — Moja rodzina miała z nim wiele wspólnego.

— Jesteśmy tego świadomi. Jeden z pańskich przodków je oszlifował. Inny obsadził na chwałę Kościoła w tiarze papieża Grzegorza. Pański ojciec w swoim czasie czyścił zarówno tiarę, jak i diament. Chcielibyśmy, aby i pan kontynuował rodzinną tradycję świadczenia nam usług. Niech pan zostanie naszym przedstawicielem i doprowadzi do powrotu kamienia na właściwe miejsce.

— Poddam rozwadze propozycję waszej eminencji — odrzekł Harry.

W milczeniu, które zapadło na moment, dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

— Dobrze — powiedział Bernardino Pesenti. — Powinien pan przyjechać, żeby przedyskutować moją propozycję. W Rzymie jest teraz uroczo i ciepło. A jaka pogoda w Nowym Jorku?

— Nie wiem. Panują w tej chwili egipskie ciemności.

— Dobry Boże! — westchnął kardynał, a Harry parsknął śmiechem. — Ciągłe o tym zapominam — dodał Pesenti. — Mam nadzieję, że zdoła pan jeszcze zasnąć.

— *Prego* — powiedział Harry. — Odezwę się za dzień lub dwa. Do widzenia, eminencjo.

— *Buona notte*, panie Hopeman.

Wstał i po omacku odłożył słuchawkę na widelki. Łaskotliwy głos intuicji przemawiał niemal słyszalnie. Harry usiadł na łóżku czekając, aż umilknie. Musiał się zastanowić, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozdział 3

SPOTKANIE

Kiedy doszedł do wniosku, że pragnie zarówno radości studiów naukowych, jak też działania i osiągania zysków w interesach, uświadomił sobie równocześnie, iż będzie potrzebna olbrzymia dyscyplina wewnętrzna, aby jedna pasja nie przeszkadzała drugiej. Dzień jednak darowany przez tę drugą pierwszej naukowiec zawsze brał bez wahania, nic zatem dziwnego, że Harry był bardzo szczęśliwy, gdy nazajutrz rano dostał wiadomość z biura, iż horyzonty chwilowo są czyste. Po śniadaniu wrócił do pracowni i wykorzystując materiały, których zbieranie zakończył poprzedniego wieczora, zaczął pisać artykuł o rosyjskich klejnotach koronnych. Pracował systematycznie, przeredagowywał całe partie tekstu i adiustował je — nawet podczas lunchu, który w południe Ruth Lawrenson przyniosła mu na tacy.

Późnym popołudniem całość była gotowa i spoczywając w zaadresowanej kopercie czekała na wysyłkę do „Przeglądu Słowiańskiego”.

Wtedy przebrał się w dres i buty sportowe, następnie zaś przez ogród ruszył w stronę rzeki. Gdy dotarł do przybrzeżnej ścieżki, puścił się truchtem, spozierając od czasu do czasu na przebłyskującą pomiędzy drzewami powierzchnię Hudsonu. Od przeszło trzech lat pokonywał tę trasę — dwie mile w dół rzeki i dwie z powrotem — przez grunta pół tuzina sąsiadów, dziś jednak nie dostrzegł nikogo znajomego. W drodze powrotnej zwiększył tempo, a kiedy w polu widzenia ukazał się dom, gnał już ze wszystkich sił, walcząc z powietrzem, które stawiało taki opór jak nurt rzeki. Na skraju ogrodu spłoszył sarnę posilającą się młodymi liśćmi: zniknęła piorunem, błysnąwszy białym ogonkiem, a Harry stracił nieco cennego tlenu na parsknięcie śmiechem. Teraz wiedział o sarnach coś jeszcze: obgryzały mu jabłonki. Jeff marzył o dubeltówce, lecz miał na nią szansę tylko po trupie Harry'ego.

— Won, ty cholerny koźle! — sapnął, ale natychmiast uświadomił sobie, że przecież mógł mieć do czynienia z łanią.

Jego rozbawienie wywołało dwuznaczną minę Ruth Lawrenson, która nie przyjmowała do wiadomości, że człowiek w dramatycznym punkcie swojego żywota ma prawo do tak otwartego okazywania uciechy.

Jego ojciec nosił granatowy sweter z czesanej angielskiej wełny, białą, szytą na zamówienie jedwabną koszulę, krawat z brązowego fularu w drobny bładoniebieski rzucik, jasnoszare spodnie i czarne skórzane półbuty, wypucowane, lecz nie wypolerowane do wulgarnego połysku. Alfred Hopeman prezentował swe nienaganne stroje z dystynkcją i europejską naturalnością, a była to sztuka, którą opanował w Berlinie, kiedy jeszcze jako Alfred Hauptmann kierował jedną z najbardziej znanych jubilerskich firm w tym mieście. Opuścił Niemcy w roku 1931 ubrany w świetnie skrojony garnitur, ale praktycznie bez bagażu; jednym z jego pierwszych nowojorskich posunięć było znalezienie sobie krawca. Sprawa Lindbergha wciąż zajmowała uwagę Ameryki, a egzekucja Brunona Hauptmanna była wręcz wydarzeniem świeżym; Alfred miał dostatecznie wiele przenikliwości, by dostrzec, że podczas każdej prezentacji przez twarze jego rozmówców przepływa jakby prąd elektryczny — taki sam jak przez instalacje krzesła śmierci — w dokumentach naturalizacyjnych zmienił więc nazwisko na Hopeman.

Czterdziesta Siódma Ulica była zgrzebniejsza i hałaśliwsza niż berlińska Leipziger Strasse, mimo to jednak od pierwszej chwili Alfred w swych nienaganych garniturach poczuł się tu swojsko. Wydarzenia życia uzmysłowiły mu jak nigdy dotąd, że jest Żydem, delectował się zatem żydowskością jubilerskiej dzielnicy Nowego Jorku. Przez cztery lata pracował dla innych, skrętnie i bez pośpiechu gromadząc kapitał, potem zaś przez osiem lat trudził się na własną rękę, handlował diamentami i szlifował je. Chociaż nowa firma nigdy nie stała się równie modna i znakomita jak jej berlińska poprzedniczka, odniosła spory sukces. Alfred stał już mocno na własnych nogach, kiedy Fortuna wzięła go pod swe skrzydła.

Diamentowa Korporacja De Beers kontroluje 95 procent wszystkich kamieni szlachetnych wydobywanych corocznie, a zaledwie kilka osób w jej strukturach zna prawdziwą skalę zgromadzonych rezerw, z których wycieka na rynek tylko cieniutka strużka. Dziesięć razy do roku w dziewięciopiętrowym londyńskim biurowcu opodal Fleet Street, znanym potocznie jako „Syndykat”, oficjalnie zaś jako Centralna Organizacja do spraw Sprzedaży, znaczną liczbę surowych diamentów dzieli się z uwagą na dwieście pięćdziesiąt kolekcji mniej więcej jednakowych pod względem liczby, rozmiaru i jakości kamieni. Są przeznaczone dla „Dwustu Pięćdziesięciu”, światowej elity handlu kamieniami szlachetnymi. Uprzywilejowani dealerzy mają prawo wybrać

kamienie osobiście podczas prezentacji zwanej „pokazem”, nie ma jednak mowy o targach i oczekuje się, że każdy weźmie to, co mu przeznaczono. Wielu zatem nie rusza się z domu, otrzymując kamienie drogą pocztową pod warunkiem wszakże, iż uprzednio wpłaci na konto Organizacji milion dolarów. Często przesyłce — zawierającej diamenty warte nie mniej niż dwieście pięćdziesiąt tysięcy i nie więcej niż milion dolarów — towarzyszy czek ze zwrotem nadpłaty.

Nowa osoba może dołączyć do tego elitarnego bractwa tylko wtedy, gdy z powodu śmierci lub ciężkiej choroby odpada z niego któryś z dotychczasowych członków. Alfred nie przeczuwał, że zostanie wytypowany na jednego z Dwustu Pięćdziesięciu, a kiedy go o tym poinformowano, radość wnet ustąpiła wobec troski, skąd weźmie kwotę niezbędną, aby skorzystać z beneficjów członkostwa. Miejsce na liście De Bera okazało się jednak dostatecznym atutem, by pozyskać dosłownie każdą sumę. Sześć pierwszych przesyłek, nawet ich nie rozpieczętowując, sprzedał natychmiast hurtownikom, przy czym jego zysk wahał się w granicach siedemnastu procent. Potrzebował zaledwie półtora roku, żeby spłacić wszystkie długi.

Kiedy Harry otworzył nowy elegancki salon firmowy przy Piątej Alei, przejął również szlifiernię na Czterdziestej Siódmej Ulicy, ojciec zaś zaczął przekazywać mu swoje pudełka z Londynu. Stwarzało to komfortową sytuację. Harry wypłacał Alfredowi prowizję, wybierał do obróbki we własnym zakresie tylko najlepsze kamienie, resztę zaś spieniężał z zyskiem kanałami branżowymi. Alfred Hopeman stał się bardzo zamożnym emerytem.

— Jesteście gotowi na deser, chłopcy? — zawołała Essie.

— Kolacja była tak wyśmienita, że nie zostawiłem miejsca na nic więcej — odparł Harry.

Rzadko się z Alfredem zgadzali na jakiś temat — kunszt kulinarny macochy był jednym z nich. Matka odumarała Harry'ego, kiedy miał dziewięć lat; dorastał, widząc związki ojca z mnogością kobiet, często bardzo pięknych. A jednak na stare lata Alfred poślubił najbardziej megierowatą i najgłupszą kurę domową, jaką można sobie wyobrazić.

I nigdy, musiał przyznać Harry, nie wyglądał na równie szczęśliwego.

— O której spodziewacie się tego człowieka? — zapytała Essie.

— Około ósmej.

— Powiem odźwiernemu. Od czasu włamań jest, dzięki Bogu, strasznym służbi-
stą.

— Nazywa się Herzl Akiwa. Mieliście włamanie?

— Pan Akiwa! — zawołała w głąb klatki schodowej. — Nie my, sąsiedzi.

— W tej kamienicy? — Harry pytająco popatrzył na ojca.

Alfred wzruszył ramionami.

Harry miał jedenaście lat, kiedy jego spękane palce zmacały osobliwe grudki w słoiku z wazeliną, który znalazł w prawej dolnej szufladzie ojcowskiego biurka. Tuż pod powierzchnią mazidła tkwił ogromny wulgarny kamień — położony w dwóch trzecich, wyglądał jak przerośnięty cekin — poniżej zaś sześć małych żółtych diamentów. Gdy zapytał o swe znalezisko ojca, Alfred odparł, iż wielki klejnot jest talizmanem z konglomeratu, który dał mu jego ojciec: teraz służy do tego, aby przekonać ewentualnego złodzieja, iż w słoiku nie ma nic godnego uwagi, gdy tymczasem żółte diamenty mimo małego rozmiaru są doskonałej jakości i wiele warte. Zawartość słoika zdumiała Harry'ego: tak wiele razy odsuwał go przecież na bok, poszukując rzeczy prawdziwie wartościowych — gumek, spinaczy i w ogóle.

— Dlaczego je tam trzymasz? — zapytał ojca.

— To cię nie powinno obchodzić.

Harry jednak nie dawał za wygraną i dowiedział się w końcu, że podobny ukryty skarb pozwolił ojcu umknąć z Niemiec.

— Bydlaki w brunatnych koszulach... Mam nadzieję, że złapali cholere, czekając na mój powrót do sklepu — powiedział Alfred.

Harry wytrzeszczył oczy, czując fizycznie obecność faszystów.

— Trzymaj się z daleka od mojego biurka. Zrozumiano?

— usłyszał na koniec.

Kilka lat później znalazł w szafie, w pudełku po butach, prezerwatywy Alfreda. Nie przegapiono ubytku kilku sztuk

— pudełko zniknęło, Harry zaś, wywołany z lekcji w ortodoksyjnej szkole w West Side, odbył utrzymaną w oziębłej atmosferze rozmowę na temat seksu z panem

Sternbane'em, psychologiem szkolnym. Słoik z wazeliną natomiast nie zniknął, pozostał w prawej dolnej szufladzie biurka. Harry docenił zaufanie, jakim go obdarzono: ojciec chciał się z nim dzielić odpowiedzialnością za rodzinny skarb. Poczł się kimś innym niż rówieśnicy. Nigdy więcej nie otworzył słoika. Wystarczyło, że słoik był, on zaś wiedział, co zawiera. Diamenty w biurku nigdy nie były pomiędzy nim a ojcem tematem rozmowy i dopiero teraz, wiele lat później, Harry uświadomił sobie, że żadna firma ubezpieczeniowa nie wystawi polisy na klejnoty chronione przed Nowym Jorkiem przez odźwiernego i warstwę wazeliny.

Poprosił, żeby Alfred umieścił je w sklepowym sejfie. Ojciec odmówił, zaczęli się spierać.

— Ale przecież zdarzają się włamania — stwierdził Harry.

Alfred zignorował tę uwagę.

— Kiedy zobaczę się z wnukiem? — zagadnął.

— Przecież cię nie unika. Absorbuję go szkoła.

— Gojsze szkoła. A Delię?

— Wczoraj z nią rozmawiałem. Przesyła pozdrowienia.

Alfred niechętnie skinął głową. Prychnął. W tym momencie zadzwonił telefon.

— Jedzie na górę — poinformowała Essie.

— Cóż moglibyśmy zrobić dla przedstawiciela branży tekstylnej? — zapytał Harry.

Herzl Akiwa był szpakowatym mężczyzną średniego wzrostu, miał niemal zupełnie siwe wąsy.

— Niewiele uwagi poświęcam tekstyliom. Pracuję dla rządu, panie Hopeman.

Alfred wychylił się w stronę gościa.

— Rządu Stanów Zjednoczonych?

— Rządu Izraela.

— Jeśli przysyła pana mój przyjaciel Netscher, sprzedaje pan zapewne izraelskie obligacje.

Akiwa lekko się uśmiechnął.

— Otóż nie sprzedaję. Co pan wie o Miedzianym Zwoju? — zapytał Harry'ego.

— Wykonanym z miedzi zwoju znad Morza Martwego?

Akiwa skinął głową.

— Został odnaleziony w początkach lat pięćdziesiątych, odrobinę później niż fragmenty z pergaminu. Nie jest przechowywany w Jerozolimie, w Świątyni Księgi, wraz z innymi rękopisami znad Morza Martwego. Ten akurat trafił do Ammanu, nieprawdaż?

— Tak, do Narodowego Muzeum Jordanii. Jest pan zaznajomiony z jego zawartością?

— Są w nim opisy miejsc, gdzie ukryto relikwie i skarby. Wiąże się z nim nierozstrzygnięta kontrowersja, prawda? Dotycząca kwestii, czy wymienione w nim drogocенności pochodzą ze świątyni czy też należały do wspólnoty z Qumran.

— Czy wyrobił pan sobie na ten temat zdanie?

Harry wzruszył ramionami.

— Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, zawsze jednak uznawałem za mało prawdopodobne, by ludzie z Qumran zdołali zgromadzić skarby tak obfite i różnorodne jak te, które opisuje zwój.

— Przyjmijmy, że poinformuję pana, iż znaleziono kolejny zwój... i że ten zwój potwierdza wersję, że źródłem ukrytych skarbów była świątynia...

W nagle zapadłej ciszy Harry wyraźnie słyszał oddech ojca.

— Czy to właśnie chce nam pan powiedzieć?

— Tak — odparł Akiwa.

Wedle jego relacji, przeszło rok wcześniej David Leslau, profesor historii biblijnej na Uniwersytecie Hebrajskim w Cincinnati, prowadził prace wykopaliskowe przy południowym murze Drugiej Świątyni w Jerozolimie. Na głębokości niespełna dwudziestu stóp natrafił na pierwsze znaleziska — strzępy odzieży, monety, narzędzia. Sześć stóp niżej jego kopacze odsłonili otwarty rynsztok, dzieło budowniczych króla Heroda.

— Instynkt archeologa podpowiadał mu, by podążyć trasą owego rynsztoka poza ścianę i odnaleźć świadectwa narodzin i upadku wielkiej świątyni Boga — mówił Akiwa. — To jednak było zabronione. Przez wiele miesięcy musiał pokonywać biurokratyczne bariery, aby w ogóle rozpocząć wykopaliska. Dwukrotnie ortodoksyjni studenci obrzucili kamieniami jego ekipę, której dopiero policja zapewniła bezpieczeństwo. Poza tym Leslau był świadom, iż po dzielnicy muzułmańskiej krążą pogłoski, że prace wykopaliskowe są tylko przykrywką dla drażenia pod wzgórzem świątynnym tunelu, który umożliwi wysadzenie w powietrze meczetu Omara.

— Brak decyzji — ciągnął — był w tej sytuacji dla władz optymalną decyzją. Leslau zatem podążył trasą ścieku oddalającego się od stanowiska przy świątyni. Trasą biegnącą niemal wprost na południe, w stronę Miasta Dawida. Na głębokości blisko siedemdziesięciu stóp stwierdził, iż budowniczowie rynsztoku połączyli go z jeszcze starszym systemem kanalizacyjnym, a konkretnie z szerokim ściekiem z litych, wydrążonych w środku gładów. Nut i feder, precyzyjnie wykute na obrzeżach każdego kamienia, łączyły skalne bloki w potężną, szczelną rurę.

— Leslau spenetrował kanał z latarką elektryczną w garści . i w górnych partiach znalazł miejsce, gdzie jeden gład zastąpiono dwoma mniejszymi. Kryło się za nimi, co stwierdził, gdy robotnicy usunęli kamienie, coś, co przypominało zardzewiałą rurę wydechową. — Izraelczyk powiódł po nich spojrzeniem. — To był miedziany zwój.

— Niemożliwe — bezbarwnym głosem stwierdził Harry. Akiwa milczał. — Regularnie koresponduję z Maxem Bronsteinem, wydziałowym kolegą Leslaua. Z pewnością byłby mi coś powiedział.

— Z powodów politycznych wszyscy zainteresowani zaprzysięgli milczenie — odrzekł Akiwa. — Zarówno Watykan, jak i muzułmańska mniejszość w Izraelu czynią wszystko, aby przeciwstawić się izraelskim roszczeniom wobec Wschodniej Jerozolimy, pragnąc uczynić z niej obszar eksterytorialny. Znajezisko Leslaua zbiega się w czasie ze wspólnymi dyplomatycznymi staraniami Kościoła i przywódców islamskich, by zakazać wszelkich prac wykopaliskowych na wzgórzu świątynnym i w jego pobliżu. Zrazu sądzono, iż oświadczenie o odkryciu będzie można złożyć, kiedy zgiełk nieco ucichnie, tymczasem jednak zwój został przetłumaczony.

Harry skinął głową.

— Odkrycie zwoju na wzgórzu byłoby kłopotliwe dla muzułmanów, przypominałoby bowiem boleśnie, że świątynia była tam przed meczetem. Przedwcześnie zaś

opublikowanie tłumaczenia zwoju mogłoby wywołać prawdziwą gorączkę złota, podczas której naukowcy musieliby iść w zawody z poszukiwaczami przygód.

— Są jeszcze istotniejsze powody, aby utrzymywać rzecz w tajemnicy — powiedział Akiwa. — Niektóre genizot, rytualne skrytki, znajdują się, wedle przypuszczeń, na Pustyni Syryjskiej, gdzieś na wschód od Nablusu.

Harry gwizdnął przez zęby.

— Nie rozumiem — wtrącił Alfred.

— Na obecnym obszarze Zachodniego Brzegu. Tam, gdzie niektórzy pragną utworzyć państwo palestyńskie — wyjaśnił spokojnie Akiwa. — To ostatnie miejsce, gdzie nasi wrogowie chcieliby wykopać żydowskie starożytności, takie znaleziska bowiem wzmacniałyby roszczenia współczesnego Izraela do ziem okupowanych.

— Przez cały miniony rok — kontynuował po chwili Akiwa — pewien Egipcjanin kontaktował się w Jordanii z zaufanymi cudzoziemcami, usiłując spieniężyć dwa klejnoty o znaczeniu, jak utrzymywał, biblijnym.

— Ach, i tu my wkraczamy do akcji — stwierdził Alfred, zapalając cygaro.

— Jednym z owych klejnotów jest czerwony granat.

Alfred Hopeman uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Rzadko interesują nas kamienie półszlachetne.

Akiwa skinął głową.

— Zapewne znacznie bardziej zainteresuje panów drugi kamień. Wielki diament. Żółty, z rodzaju tych, jakie wy, ludzie z branży, nazywacie kanarkiem.

— Skąd bierze się pańskie zainteresowanie owym kanarkiem? — zapytał niewinnie Alfred.

— Sugerowałem, iż uważa się Miedziany Zwój za wykaz ukrytych skarbów, które zabrano ze świątyni. Zdaniem Davida Leslaua kanarkowy diament jest jednym z tych skarbów.

— Ze świątyni? — Harry przywykł do pracy z cennymi klejnotami o znaczeniu religijnym, myśl jednak, że jakiś obiekt mógłby pochodzić ze świątyni, po prostu nie mieściła mu się w głowie.

— Leslau sądzi, iż kamień może pochodzić ze złupionej genizy, rytualnej skrytki.

— Jakiego rozmiaru jest ten diament? — mruknął Harry.

— Duży. — Akiwa zerknął do notesiku. — Dwieście jedenastie karatów.

Alfred Hopeman popatrzył nań dziwnym wzrokiem.

— To Diament Inkwizycji — powiedział natychmiast.

— Przez trzy miesiące miałem go w swoim berlińskim sejfie. W 1930 albo w 31 roku.

— W 1931, jak się orientujemy — stwierdził Akiwa.

— Jeśli, rzecz jasna, chodzi o ten sam kamień. Sprzedający nazywa go Diamentem Kaaby.

— To arabska nazwa — wyjaśnił Alfred. — Na cześć miejsca w Mekce, ku któremu podczas modłów zwracają się wszyscy mahometanie. Gdy klejnot był w posiadaniu Kościoła, nazywano go Okiem Aleksandra od imienia jednego z papieży. To imponujący kamień, panowie, 211,31 karata, ze szlifem brylantowym typu briolette z siedemdziesięcioma dwoma fasetami. W 1931 roku przekazała mi go do oczyszczenia neapolitańska firma Sidney Luzatti i Synowie. Był osadzony w jednym z tych szczególnych nakryć głowy... jakże ono się nazywa, Harry?

— Tiara. Tiara Grzegorza.

— Tak. Wiele lat później jakiś złodziej wyrwał kamień z tiary i w kieszeni wyniósł go z Muzeum Watykańskiego. Wtedy słyszałem o nim po raz ostatni.

— Został skradziony z Watykanu w 1946 roku — uściślił Akiwa — i cichaczem nabyty przez króla Egiptu, Faruka.

— Ach — powiedział Alfred.

— To uzupełnia lukę w jego dziejach — rzucił Harry do ojca, odnosząc wrażenie, iż Alfred ma wyraz oszołomienia na twarzy. — Tato — zapytał — dobrze się czujesz?

— Tak, tak. Oczywiście.

— Nie znalazł się na liście sporządzonej przez władze Egiptu po abdykacji Faruka — powiedział Harry. — Przestudiowałem dokumenty z aukcji. Wystawiono na

niej kilka cudownych przedmiotów, ale reszta do śmok, bo król miał okropny gust. Jedyna kolekcja godna większej uwagi to pornografia.

— Szцениacka rozrywka — wymamrotał jego ojciec. — Mężczyzna może robić z kobietą zaledwie kilka rzeczy, reszta jest perwersją. — Zamknął oczy, ugniatając palcami policzek. — Dobry Boże — powiedział.

— Istotnie, nie było go na liście aukcyjnej — zgodził się Akiwa. Popatrzył na Harry'ego. — Chcemy, żeby zdobył pan ten diament.

— A zatem musicie ustawić się w kolejce — odparł Harry.

Essie, która wchodziła właśnie z tacą słodczy, stanęła jak wryta i przeraźliwie krzyknęła.

Podążając za jej spojrzeniem, Harry zobaczył, że lewa strona twarzy Alfreda przypomina ciasto ugniecione z kiepskiej mąki, że jedno oko jest zamknięte, a bezwładne wargi osunęły się mocno w stronę podbródka.

— Tato?... — wyszeptał. Nie miał pojęcia, co dzieje się w ludzkim ciele podczas wylewu, ale wiedział, że ojciec właśnie go doznał.

Przytrzymał Alfreda, gdy ten zaczął się chylić w bok. Z tacy spadł kawałek ciasta, Essie z jakichś zupełnie niepojętych powodów przyklękła, żeby go podnieść.

— Przestań! — warknął Harry w stronę pucołowatej twarzy. — Wezwij lekarza.

Tulił ojca i kołysał go w ramionach.

Arogancki stary sukinsyn.

Siwe włosy, których dotykał wargami, sprawiały wrażenie suchych jak pieprz.

Któryś z nich dwóch, on albo ojciec, zaczął dygotać.

Rozdział 4

NOTESY ALFREDA

Umieszczono go w sali na końcu korytarza, oszańcowano monitorami. Alfred nie wydawał się już Harry'emu arogancki — lewa strona jego ciała była sparaliżowana, często ziewał, a ponieważ wyjęto mu protezy, jego górna warga wydymała się i trzepotała w sposób, którego Harry nie mógł znieść.

Weszła rezydentka, pochyliła się nad łóżkiem i powiedziała: — Panie Hopeman — Alfred jednak nadal trwał w śpiączce.

Po jej wyjściu próbę podjął Harry.

— Tato!

Oczy Alfreda otworzyły się i wbiły weń niewidzące spojrzenie.

— *Doktor Silberstein, ich bitte um Entschuldigung* — rozległ się słaby głos.

Dlaczego jego ojciec z wyraźnym przerażeniem kogoś przeprosza? I kimże jest ten Silberstein? Alfred odpływał i śnił, prowadząc bełkotliwy, niezrozumiały monolog po niemiecku.

Jego płuca wypełniły się płynem bulgocącym przy każdym oddechu, wciskano mu w gardło złowrogie rurki, aby go odessać.

Później znów otworzył oczy i tym razem odnalazł twarz Harry'ego. Wpatrzył się w nią pożądliwie.

— Ja... — Próbował wyszeptać coś jeszcze, lecz nie rozległ się żaden dźwięk. Wytrzeszczył oczy, jego dłoń zatrzepotała na pościeli. Chciał coś powiedzieć synowi.

Harry uniósł poduszkę, przytknął szklanekę z wodą do warg ojca. Alfred był zbyt słaby, żeby pić, odrobina wilgoci jednak przywróciła mu głos.

— Powinienem ci powiedzieć...

— Co, tato?

— ...ment inkwi...

— Nic nie mów, tato, odpoczywaj.

— Skaza — wykrztusił Alfred, po czym ostatecznie zawiódł go głos.

— Diament ma skazę?

Alfred zamknął oczy i zaraz je otworzył.

Harry chciał mieć zupełną pewność.

— Czy Diament Inkwizycji ma skazę?

Jego ojciec, ciężko dysząc, skinął głową.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparł Harry. — Do diabła z diamentami! Po prostu odpoczywaj, żeby wydobrzyć. Rozumiesz?

Alfred zwiotczał. Jego powieki opadły jak brama garażu.

Harry też zasnął, siedząc przy łóżku. Niebawem rezydent - ka nerwowo szarpnęła go za ramię. Kiedy spojrział na łóżko, odniósł wrażenie, iż jego ojciec wybrał się na spacer, zapominając zabrać ze sobą ciało.

Do domu przyjechał Jeff, niezgrabny i zakłopotany w garniturze, z którego wyrsał. Protestował wprawdzie, gdy zaraz po pogrzebie odesłali go z powrotem do szkoły, najwyraźniej jednak doznał bezbrzeżnej ulgi. Della, która szczerze kochała starego, płakała nad grobem jak bóbr. Wraz z Harrym i Essie uczestniczyła w sziwie, rytualnej żałobie. Zasłoniwszy lustro, siedząc w kapciach na kartonowych ławach dostarczonych przez dom pogrzebowy, we trójkę przyjmowali gości przybyłych z kondolencjami. Kiedy Harry był chłopcem, podczas sziwy siadywano na twardych drewnianych skrzynkach, stosując się do nakazu, by żałobnicy nie szukali wygody. Kartonowe siedziska jednorazowego użytku były wariacją na tradycyjny temat, ale Harry doszedł do wniosku, że wolałby siedzieć na prawdziwej skrzynce. Przez dwa pierwsze wieczory mieszkanie ojca zapełniali ludzie z branży, prowadząc utrzymane w poważnym tonie rozmowy w jidysz, po angielsku, hebrajsku, francusku i flamandzku. Ten wielojęzyczny zgiełk, przypominający szum giełdy diamentowej, przyniósł Harry'emu ulgę.

Essie zamierzała dotrzymać ortodoksyjnej zasady siedmiodniowej żałoby, Harry jednak już rankiem trzeciego dnia miał wszystkiego po uszy. Po południu tego samego dnia przyszedł Akiwa.

— Mam nadzieję, iż wskrzeszając dawne wspomnienia nie przyłożyłem ręki do pogorszenia stanu jego zdrowia.

— Miał niezmiernie wysokie ciśnienie, a mimo upomnień żony często zapominał o braniu leków. Zdaniem lekarzy było to nieuchronne.

Na twarzy Izraelczyka zagościł wyraz ulgi.

— W końcu nie dowiedział się, czego pan sobie od niego życzy.

— Pragnęliśmy, aby udzielił panu informacji na temat Diamentu Inkwizycji, chcemy bowiem, żeby kupił pan ten kamień.

— Nie jesteście w tej chęci odosobnieni.

— Jest pan Żydem, panie Hopeman. Chyba nie zechce pan reprezentować w tej sprawie kogokolwiek innego?

Harry westchnął.

— Chyba nie.

— Izrael to znużona kobieta z trójką zalotników — powiedział Akiwa. — My, Żydzi, jesteśmy jej mężem... od 1948 roku mamy, że tak to określe, prawo do jej ciała. Arabowie i chrześcijanie, dwaj zazdrośni kochankowie, wczepiają się w jej nogi. Każdy z tej trójki ciągnie w inną stronę, niekiedy zatem wygląda na to, że kobieta zostanie rozerwana na strzępy. Otóż każdy z zalotników pożąda diamentu równie mocno jak ziemi. Pewne grupy arabskie rozpaczliwie pragną uczynić z klejnotu symbol propagandowy, a nawet talizman, dzięki któremu następny konflikt przemieni się w prawdziwy dżihad, świętą wojnę. I proszę nie mieć złudzeń, to całkiem możliwe. — Pokręcił głową. — To bój o Ziemię Świętą, tylko toczony na mniejszą skalę. Arabów nie obchodzi, że diament ma żydowską historię, istnieją bowiem dokumenty dowodzące, że w późniejszym okresie stanowił własność Saladyna. Przez niemal stulecie tkwił w koronie nad maksurą, lożą najwyższego przywódcy duchowego, w meczecie w Akce, której Saladyn bronił przez dwa lata przed chrześcijańską potęgą Francji i Anglii, zyskując sobie sławę największego w dziejach muzułmańskiego przywódcy wojskowego.

— Roszczenia katolików są jeszcze większe i świeższej daty — stwierdził Harry. — Kamień stał się własnością Kościoła w czasach hiszpańskiej inkwizycji. Chcą odzyskać to, co im skradziono.

Izraelczyk skinął głową.

— Przez wiele lat stanowił częśćkę wspaniałej kolekcji chronionej przez mury Watykanu.

— Z czego David Leslau wnioskuje, że pochodzi ze świątyni jerozolimskiej?

Akiwa zawahał się przez moment.

— Dopóki się pan nie zadeklaruje, nie będę omawiać z panem tej kwestii.

— Nie zamierzam składać żadnych deklaracji. Dopiero co pochowałem ojca.

— Zaiste, nie musiał mi pan tego przypominać. Proszę zastanawiać się tak długo, jak pan zechce, panie Hopeman. Ale potrzebujemy pana. Nasz reprezentant prócz wiedzy fachowej musi mieć wiele innych przymiotów. Powinniśmy brać pod uwagę jego sympatie polityczne, wiek, ogólną sprawność fizyczną. Gotowość podjęcia pewnego ryzyka.

— Ryzyko, jakie ponosi dobrze zorientowany nabywca, nie jest aż tak wielkie.

— Nie będzie pan operował swoim kapitałem. Pieniądze stanowią dar grupy niezmiernie zamożnych osób z Ameryki i Francji. Nie miałem na myśli ryzyka inwestycyjnego — wyjaśnił łagodnie Akiwa.

Harry wzruszył ramionami.

— Dajmy sobie spokój. Pewni ludzie z naszej branży stanęliby na głowie, żeby przeprowadzić wielką transakcję, ale nie znam nikogo, kto dla osiągnięcia takiego celu ryzykowałby zdrowie lub życie.

— Ryzyko jest w istocie niewielkie, poza tym rekompensowane różnorakimi korzyściami, panie Hopeman.

— Co mi pan tu opowiada! Jestem zwykłym biznesmenem.

Izraelczyk popatrzył nań z zadumą.

— Nie mogę oprzeć się myśli, że kiedy wygodniej panu uchodzić za biznesmena, jest pan biznesmenem, a kiedy woli pan status naukowca, zostaje naukowcem.

Ocena była chyba aż nadto trafna, Harry bowiem doświadczył przyływu niechęci wobec gościa.

— W tej chwili mam zupełnie jasny pogląd na temat swych priorytetów — wycedził.

Akiwa westchnął. Wyjął z kieszeni wizytówkę i ostrożnie położył ją na nieskazitelnie lśniącym blacie stołu w jadalni.

— Niech pan zadzwoni, kiedy to tylko będzie możliwe

— powiedział. — Bardzo proszę.

W swym testamencie Alfred hojnie wyposażył Essie, całą resztę majątku zapisując Harry'emu. Harry'emu zaś największy problem sprawiła garderoba, której nawet nie usiłował posegregować. Zostawił sobie na pamiątkę zaledwie jeden krawat, a wszystkie pozostałe ciuchy... cóż, Armia Zbawienia będzie miała kilku niezmiernie wykwintnie odzianych podopiecznych. Listy i dokumenty ojca spakował do dwóch pudeł, słoik z wazeliną wrzucił do papierowej torebki, następnie zaś wezwał posłańca i wyekspediował to wszystko do swojej skrytki.

Czwartego dnia mieszkanie znów wypełniło się ludźmi — tym razem przyjaciółkami Essie, starszymi paniami o smutnych oczach.

— Muszę się stąd wynieść — powiedział Harry do Delii.

Essie odprowadziła ich do drzwi, wściekła z powodu tego, co uważała za znieważanie pamięci Alfreda.

— Są srebra, zastawa...

— Należą co ciębie.

— Ty nie bądź taki hojny. Na co mi to wszystko? Przenoszę się na Florydę do siostry, ma niewielkie mieszkanie.

— Wrócę jutro — powiedziała Della. — Zajmę się wszystkim.

Essie prześwidrowała Harry'ego wzrokiem.

— Odbędziesz resztę sznury w domu?

Skinął głową.

— Będziesz codziennie chodził do synagogi? Przyłączysz się do minjanu w Klubie Handlarzy Diamentów? Będziesz przez rok odmawiał Kadisz?

— Tak — skłamał, gotów powiedzieć cokolwiek, byle tylko uwolnić się od posmaku śmierci.

Pojechali taksówką do mieszkania Delii i natychmiast wylądowali w łóżku. Pospiesznie, jak kochankowie.

— Niech cię wszyscy diabli — wyrzuciła potem bez tchu.

Szczytowanie wyzwoliło w nim tłumione emocje, osunął się bezwładnie pomiędzy jej ramiona i nogi.

— Harry, Harry... — Tuliła go, aż przestał płakać.

Leżeli długo; w pewnym momencie popatrzył w jej twarz

i znienawidził się za to, co w niej zobaczył. Miał dość sprawiania Delii bólu.

Kiedy zasypiali, Harry pozostawił dłoń pomiędzy jej udami; wiedział, że to lubi. Po paru godzinach ocknął się bez czucia w całym przedramieniu, lecz obudziłby ją, gdyby cofnął rękę.

Jednakże w końcu to zrobił.

— Nie odchódź — poprosiła sennie.

— Psst. — Poklepał ją po ramieniu, otulił kołdrą.

— Zajmiesz jego miejsce wśród Dwustu Pięćdziesięciu?

— Zapewne.

— To oznacza całkowite bezpieczeństwo finansowe.

Gorączkowo szukał w ciemnościach skarpetek.

— Mógłbyś podjąć pracę wykładowcy. Albo tylko pisać. Miałbyś czas dla Jeffa i dla mnie.

Pozbierał wreszcie odzież i przeniósł się z nią do salonu.

— Czego ty właściwie pragniesz? — dogoniło go pytanie Delii.

Pojmował z bolesną wyrazistością, że w najtrudniejszym momencie stanęła u jego boku. Jak na żonę przystało.

— Nie wiem — odparł. — Wszystkiego.

Pojechał taksówką do Westchester, a nad ranem, w swojej pracowni, rozpakował pudła. Jego ojciec był chomikiem, zbierał rachunki i listy. Niektóre, pisane po niemiecku, były od Essie; wystarczyła wyrywkowa lektura, aby się zorientować, że Alfred i Essie romansowali na długo przed ślubem. W przeciwieństwie do mówionego angielskiego Essie jej pisany niemiecki był nienaganny i zmysłowy. Niebo różowiło się za oknami, gdy po raz pierwszy Harry dostrzegł człowieka w miejscu tłustej starej baby.

Znalazł księgi rachunkowe, prowadzone przez Alfreda z niezwykłą starannością, ale tak stare, że zapewne nie okazałyby nimi zainteresowania nawet fiskus. Notesy, w których spodziewał się znaleźć dane finansowe, zawierały rysunki techniczne, szkice i szczegółowe opisy. Przewracając kolejne stronicę, Harry uświadomił sobie, że ojciec sporządzał precyzyjną dokumentację każdego kamienia, który przeszedł przez jego ręce.

Stał się właścicielem jednego z mitów branży jubilerskiej: legendarnej pamięci Alfreda Hopemana.

Dopiero w połowie drugiego notesu natrafił na analizę Diamentu Inkwizycji. Była szczegółowa i wszechstronna jak wszystkie poprzednie, a zarazem zastanawiająca, nie zawierała bowiem żadnej wzmianki o skazie, którą Alfred usiłował opisać na łożu śmierci.

Harry wziął prysznic, posilił się, po czym zadzwonił do Herzla Akiwy.

— Czy chce pan, żebym przesłał mu notes? — zapytał.

— Proszę go zatrzymać, panie Hopeman. Jak mówiłem, pragniemy, aby to pan wykorzystał zawarte w nim informacje.

— Jeszcze nie zmieniłem zdania.

— Czy chciałby pan przestudiować nowy Miedziany Zwój?

Harry zawahał się i przegrał.

— Nie na tyle, by podjąć wyprawę do Izraela.

— Byłby pan jednak skłonny pojechać do Cincinnati?

— Oczywiście.

— Proszę zatem odwiedzić w biurze swojego przyjaciela, pana Bronsteina. Jest uprzedzony o pańskiej wizycie — powiedział Akiwa.

Rozdział 5

MIEDZIANY ZWÓJ

Harry regularnie korespondował z Maxem Bronsteinem, ale nie widział się z nim od lat. Łączyły ich wspomnienia z jesziwy, z czasów gdy prowadzili długie dyskusje przy kawie i tak skutecznie podnosili w sobie buntowniczego ducha, że w końcu każdy zdołał zerwać z życiem, jakie dla niego zaplanowano.

W owym czasie Harry czuł się tak, jakby walczył z wirami i przeciuprądami potężnej rzeki. Jego ojciec wykarczował wszystkie swe korzenie uciekając z Niemiec, w Ameryce jednak Alfred Hopeman zrozumiał, kim jest: Hitler przemienił berlińskiego światowca w Żyda, który kurczowo wczepiał się w swe pochodzenie etniczne i pragnął, aby jego dziecko pamiętało o Holocauście. Harry został więc zapisany do szkoły hebrajskiej, zamiast do którejś ze szkół dziennych w Nowym Jorku lub z internatem w Nowej Anglii, gdzie trafiła większość jego przyjaciół. W ostatnim roku nauki w Ortodoksyjnym Gimnazjum Synów Przymierza odbyła się najprawdziwsza walka o jego duszę. Dyrektor, reb Label Fein, człowiek energiczny, oznajmił Alfredowi Hopemanowi, że jego syn jest niezrównanym pogromcą wszelkich egzaminów. To młody gaon, powiedział, genialny znawca Talmudu. Pokierowanie przyszłością takiego młodzieńca to wielka odpowiedzialność.

Alfred długo dumał, w końcu zwrócił się o poradę do swego najlepszego przyjaciela, Saula Netschera.

— Oddaj go pod skrzydła mojego brata, Icikela — zaproponował Saul.

Harry, gdy mu o wszystkim powiedziano, poczuł się dostatecznie polechtany, aby wyrazić zgodę, choć bowiem w Ortodoksyjnym Gimnazjum Synów Przymierza nie wiedział o wzbudzającym lęk rabim Icchaku Netscherze, duchowym przywódcy chasydów i dyrektorze Yeshiva Torat Mo-she, jednej z najbardziej prestiżowych akademii religijnych Nowego Świata?

Tak więc — gdy inni poszli do Amherst, Harvardu czy też na Uniwersytet Nowojorski — on został scholastykiem i codziennie, wyjąwszy szabat, odziany w ciemny garnitur jechał metrem z Park Avenue do Brooklynu. Tam, w kamienicy

poskrzypujących podłogach, wraz z Maxem Bronsteinem

czterema innymi nowicjuszami zasiadał naprzeciwko wykładowców i mędrców do niekończącej się dyskusji o Talmudzie i literaturze rabinicznej.

Był to osobliwy świat trudu w imię nauki, niezwykła szkoła. Najlepsi studenci nie kończyli jej nigdy, niektórzy bowiem siedzieli przy tym samym porysowanym dębowym stole od piętnastu lat — nie po to, by zdobyć majątek czy sławę, lecz w imię miłości Boga. Inni studiowali jeszcze dłużej, ponieważ uciekając przed faszyzmem, wraz z całą jesziwą przybyli do Stanów z Litwy. Reb Icchak miał prawo wydawać smichę, czyli wyświęcać na rabina, czynił to wszakże tylko wówczas, gdy skrajna nędza zmuszała jednego z jego podopiecznych do podjęcia pracy duchownego bądź też gdy naukowe osiągnięcia owego podopiecznego pozostawiały coś do życzenia.

W tamtych czasach Bronstein był chudy i blady, a jego oczy przypominały te, które El Greco malował na twarzach swoich Chrystusów. Po sześciu miesiącach i wypitych hektolitrach kawy on i Harry doszli do przekonania, iż Bóg — podobnie jak whisky i wojna — jest wynalazkiem człowieka. Oszołomiony i strwożony swą zuchowałością Harry porzucił jesziwę i aż do rozpoczęcia następnego roku na Uniwersytecie Columbia polerował diamenty w pracowni ojca.

Nie zważając na tradycję rodzinną, Alfred nigdy nie ciągnął go na siłę do branży jubilerskiej, kiedy jednak Harry podjął decyzję na własną rękę, jego ojciec stał się nauczycielem sumiennym i wymagającym. Choć w owym czasie Harry dysponował już sporą wiedzą nabytą mimochodem, Alfred zaczął od podstaw, posługując się brylantem jak elementarzem.

— Każda z tych precyzyjnie oszlifowanych niewielkich płaszczyzn to faseta. Ośmiokątna faseta na szczycie okrągłego kamienia to tafla albo czoło. Faseta na spodzie brylantu to kolet. Cienki pas oddzielający części górną i dolną, czyli koronę i podstawę, to jak u kobiety biodra. Tutaj nazywa się rondysta.

— Rozumiem, tatusiu.

Bronstein, którego ojciec nie był tak pobożny jak Alfred, uciekł przed burzliwymi rodzinnymi scenami na bezpieczną odległość, do Chicago, na tamtejszy uniwersytet, i chociaż musiał pracować — jak na ironię losu — w koszernej rzeźni, wystarczyło mu zaledwie dwa i pół roku na zdobycie dyplomu w dziedzinie lingwistyki stosowanej. Będąc jednak człowiekiem przewrotnym, na doktorat poświęcił osiem lat. Tymczasem mnogość publikacji przyniosła mu zarówno renomę wybitnego naukowca, jak też propozycję pracy w seminarium reformowanym, którą przyjął z równym stoicyzmem, jak gdyby padła ze strony władz uczelni zawiadywanej przez jezuitów albo buddystów. Seminarium, wyraźnie dowodząc swego liberalizmu, ustrzeliło za jednym zamachem najwybitniejszego przedstawiciela geografii lingwistycznej w Stanach i autentycznego etatowego ateistę.

— No, jesteś — powiedział Max takim tonem, jakby rozstał się z Harrym zaledwie przed kwadrans. Miał krzepki uścisk dłoni, przybrał na wadze i zapuścił wąsy. — Harry, Harry...

— Dużo wody upłynęło.

— Cholernie dużo.

— Co u ciebie, Max?

— Znośnie. A u ciebie?

Harry uśmiechnął się pod nosem.

— Znośnie to właściwe słowo.

Przyjaźnie gawędzili o dawnych czasach, informowali się wzajemnie o losach znajomych.

— Wygląda na to, że David Leslau naprawdę trafił na złotą żyłę — stwierdził wreszcie Harry.

— Z twojego tonu przebija zazdrość.

— A ty jej nie odczuwasz? To zdarza się raz w życiu.

— I raz w życiu pojawiają się takie problemy, jakim teraz musi stawiać czoło — odparł sucho Max Bronstein. Z szuflady biurka wyjął grubą kopertę, z koperty zaś powiększone negatywy, na których Harry dostrzegł pismo hebrajskie.

— Jestem rozczarowany — stwierdził. — Sądziłem, że zobaczę oryginał.

— Na to nie masz szans — odparł Bronstein. — Mój przyjaciel David nie zamierza spuścić ich z oka. Jak byś postąpił na jego miejscu?

— Tak samo. Co mi możesz powiedzieć?

Bronstein wzruszył ramionami.

— Przez wszystkie te stulecia zwój utlenił się niemal całkowicie. David zajął się nim bardzo dobrze, podobnie jak Brytyjczycy zwojem znalezionym w 1952 roku, tyle że zamiast stabilizować go klejem lotniczym, użył powłoki z przezroczystego plastiku zsyntetyzowanego na potrzeby programu badań kosmosu. Potem przeciął zwój wzdłuż i oddzielił fragmenty w taki sposób, jak łuska się cebulę, a gdy oczyścił je z warstwy skorodowanego materiału, dojrzał litery, na ogół czytelne.

— Zostały wyryte na zwoju ostrym narzędziem?

Bronstein skinął głową.

— Czymś w rodzaju szydła pobijanego drewnianym młotkiem albo kamieniem. Miedź, tak samo jak w przypadku zwoju z 1952 roku, była niemal zupełnie czysta i metalurgowie przypuszczają, że arkusze mogą pochodzić z tego samego źródła.

— Czy są jakieś istotne różnice między zwojami?

— Jest kilka. Zwój z pięćdziesiątego drugiego powstał z dwóch topornie znitowanych arkuszy miedzi. Zwój Davida Leslaua jest o kilka cali szerszy i zrobiony z jednej taśmy. Pierwszy został zapisany jedną ręką, drugi jest dziełem dwóch osób. Popatrz tutaj — Bronstein podniósł jedną z fotografii. — Pierwszą partię zwoju Davida wyrył ktoś, kto wyraźnie tracił siły w miarę pracy. Może starzec, może człowiek ranny lub umierający. Niektóre litery są niewyraźne, a wszystkie wytłoczone płytko. Natomiast od tego miejsca — podsunął Harry'emu drugie zdjęcie — litery stają się ostre i wyraźne. Są też różnice syntaktyczne między obiema partiami, najwyraźniej zatem w pewnym momencie pracę przerwano, po czym podjął ją chyba ktoś młodszy, kto być może pisał pod dyktando pierwszego skryby.

— Pomożesz mi przez to przelecieć? — zapytał Harry.

Bronstein rozłożył przed nim fotografie.

— Spróbuj sam.

Już po pierwszym zdaniu Harry'ego przeszedł dreszcz.

— Mój Boże, myślisz, że to mógłby być ten Baruch, zaufany proroka? Piszący o swoim Jeremiaszu?

Bronstein uśmiechnął się pod nosem.

— Czemu nie? — odrzekł. — Równie łatwo w to uwierzyć, jak i nie uwierzyć.

Słowa — tak samo jak we współczesnym piśmie hebrajskim — były szkieletami ze spółgłosek nie obciążonymi w ciało samogłosek. Harry trudził się jak dzieciak, który zaczyna poznawać trudną sztukę czytania.

— „Przy wodopoju... za murami od strony północnej...”

— Doskonale — pochwalił Max.

— „...zakopane trzy łokcie pod głazem, na którym... śpiewał król, naczynie zawierające pięćdziesiąt trzy talenty złota.”

— Nie masz z tym żadnych problemów.

— Jaki wodopój za północnym murem? — powiedział Harry. — Jaka skała? Jaki król?

— Ha! — Bronstein wyszczerzył zęby. — Zaczynasz rozumieć, dlaczego mam przeczucie, że David Leslau ma niewielkie szanse, aby po prostu wbić szpadel w ziemię i dokopać się skarbów świątynnych. Wodopój dawno wysechł, głaz być może obrócił się w pył. Za sprawą wzmianki o śpiewie można by domniemywać, że królem, o którym mowa, jest Dawid, żadna jednak legenda opisująca to wydarzenie nie dotrwała do naszych czasów. Nie wiemy nawet, czy opisany w zwoju obronny gród to Jerozolima. Zważ ponadto, że kapłani byli mistrzami w sztuce wysławiania się aż do przesady zagadkowego, zapewne więc zamaskowali wszelkie punkty orientacyjne tak starannie, że nawet ich niewtajemniczeni współcześni mieliby kłopoty z dopatrzeniem się sensu w opisach. — Bronstein ujął neseser i wstał. — Całą niezbędną literaturę znajdziesz na półkach. Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował.

Zwój zawierał długi szereg akapitów, z których każdy określał położenie jednej genizy i nader szczegółowo wyliczał ukryte tam przedmioty. Zanim Harry dobrnął do szóstego akapitu, na biurku wyrósł potężny stos kompendiów. Czasem brakująca literatura powodowała, że musiał się domyślać znaczenia takiego czy innego słowa, odnotował również kilka wyrazów i zdań, których sens musiał skonsultować z Maxem. Doznał nieomal szoku, kiedy dotarł do miejsca, gdzie podjął pracę drugi skryba. Wyob-

raził sobie z wielką wyrazistością tego człowieka, który — znacznie mniej wyrafinowany i gorzej wykształcony niż jego poprzednik — nie umiał pisać dobrze, a nawet poprawnie tak w sensie ortograficznym, jak i czysto technicznym. Nachodzące na siebie słowa i wiersze utrudniały lekturę wręcz niebywale.

W końcu dotarł do partii, które wyjaśniły mu, dlaczego Akiwa postanowił zapoznać go z tym materiałem: „W miejscu, gdzie wzniesiono stos kamieni, gdy ukarano Judę za wzięcie łupów, zakopany na głębokości ośmiu i pół łokcia skrzący się kamień [dalej fragment nieprzetłumaczalny] srebrne dzbany i szaty synów Aarona.”

I kilka akapitów dalej: „W miejscu, gdzie wzniesiono stos kamieni, gdy ukarano Judę za wzięcie łupów, zakopane na głębokości dwudziestu jeden łokci trzysta talentów złota, sześć naczyń ofiarnych i szaty synów Aarona.”

Przestudiowali notatki Harry'ego, a potem na jego prośbę Bronstein przetłumaczył jeszcze raz te dwa szczególnie interesujące akapity. Jego przekład był niemal identyczny.

— „Synowie Aarona” to najwyraźniej arcykapłani.

— Harry, nie mogę dyskutować o interpretacjach. Mogę przekładać, ale tylko tak daleko wolno mi się posunąć.

— Wolno?

— Głupio się wyraziłem.

— Osobliwe, że zawodowy lingwista ma kłopoty ze znalezieniem właściwego słowa.

Popatrzyli na siebie spode łba.

— Nie możemy za dużo gadać, jeśli David ma liczyć na pełną współpracę.

Harry uśmiechnął się z przymusem.

— Więcej luzu, Max.

— Przypuszczam, że chodzi im o twoje profesjonalne usługi.

— A skąd wiesz, że nie o napisanie rozprawki historycznej?

— Kiedy pada hasło: diament, ha! nazwisko Harry'ego Hopemana przewodzi całej stawce.

— A kiedy pada hasło: ranking historyków? No, Max, śmiało. Jak przy drinku w Amerykańskiej Akademii Nauk ocenia się moją pozycję?

Bronstein uniósł prawą dłoń i pokiwał nią lekko.

— No, powiedzmy...

— Chrzanisz.

Max parsknął śmiechem.

— Jakież to komfort czuć się bezpiecznie w dwóch światach! Ile razy publikowałeś w tym roku?

— Siedem.

— A ja harowałem jak katorżnik, żeby opublikować trzy teksty — wycodził Bronstein.

— Twoja specjalność jest pracochłonna.

Bronstein wzruszył ramionami.

— Zdołałem przeczytać kilka twoich prac. Rzetelne. Udokumentowane. Żadnych dróg na skróty. Od dawna chciałem cię zapytać, jakim cudem potrafisz dokonać tak wiele.

Harry zdążył już znienawidzić to pytanie.

— Lubię pracować. Mało błyskotliwa odpowiedź, prawda?

— Akurat małą błyskotliwość trudno ci zarzucić.

— Ta praca — podjął Harry próbę uściślenia — dostarcza mi podniet, jakie inni czerpią z tenisa czy... na przykład oglądania pornosów.

Bronstein pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Czasem mnie też praca podkręca w taki sposób. Ale ciągle brak mi czasu, rzeczywistość skrzeczy. Dzieci... kobiety... Czy twoja żona lubi tenis albo filmy pornograficzne?

— Może teraz lubi.

— Ach — Bronstein odwrócił wzrok. — A zatem zrzuciłeś kajdany — stwierdził, usiłując się zdobyć na lekki ton.

Harry pozbierał swoje rzeczy.

— Czy wiesz, czego po mnie oczekują?

Bronstein gorączkowo pokręcił głową.

— Tylko mi nie mów, z łaski swojej — odparł.

Wymówił się od wizyty u Bronsteinów, a kiedy Cincinnati — węzły kolejowe i meandrująca rzeka — opadło nagle pod brzuchem samolotu, uświadomił sobie, że nawet nie powiedział Maxowi o śmierci ojca.

Włączył lampkę nad głową i zaczął studiować notatki.

Określenie „synowie Aarona” mogło się odnosić tylko do arcykapłanów.

Stos kamieni? Dlaczego go wzniesiono? Nie mogło chyba chodzić o grób. W owych czasach chowano ludzi w naturalnych bądź wykutych pieczarach. Zadumał się nad szatami kapłanów. Mitra, efod i pektorał wysadzany kamieniami plemion były czymś dostatecznie wyjątkowym i szacownym, by zasłużyć na miejsce w genizie.

Miejsce, gdzie ukarano Judę za wzięcie łupów? Na razie nie miał pojęcia, o co może chodzić.

Zawieszony pomiędzy snem a czuwaniem nad tekstem zwoju, wyobrażał sobie obleżone miasto i jego świętych mężów, trudzących się gorączkowo, by ukryć zarówno religijne, jak i doczesne skarby swojego świata.

Ledwie Sidney przywiózł go z lotniska do domu, Harry pospieszył do swej pracowni, do konkordancji i komentarzy biblijnych.

I w siódmym rozdziale Księgi Jozuego przeczytał: „I wzniesli nad nim stos kamieni, który jest aż do dnia dzisiejszego...”

Akan był synem Karmiego, który był synem Zabdiego, który był synem Zeracha. Wiedli się z pokolenia Judy. Będąc żołnierzem w armii Jozuego, która zdobyła Jerycho, Akan, wbrew Boskiemu przykazaniu, by nie łupić, zagarnął strój babiloński i pręt złota. Grzech ów, gdy został odkryty, uznano za przyczynę przegranej wkrótce potem bitwy, Akana zaś wraz z rodziną skazano na śmierć.

Aby unieśmiertelnić przykład płynący z egzekucji, miejsce ukamienowania, małą dolinkę otoczoną górami pełnymi jaskiń, nazwano doliną Akor.

Harry odnalazł ją na mapie biblijnej; znajdowała się nieco na południe od Jerycha, na Zachodnim Brzegu.

Rozdział 6

MAZEŁ UN BROCHA!

Przez dwie noce pod rząd śnił mu się ojciec. W ciągu dnia miewał zaćmienia, podczas których zapominał, że Alfred nie żyje. Nieustannie doznawał pokusy, by do niego zadzwonić.

Obowiązki zajmowały go w zbyt małym stopniu. Kobieta z Detroit telefonowała dwukrotnie w sprawie trzydziestoosmiokaratowego bladoniebieskiego diamentu, ale oszukiwała samą siebie; wiedział, że nie zadzwoni po raz trzeci. Szukał dla aktora dostatecznie imponującego kamienia, rzecz jednak nie była prosta — czasem należało czekać bardzo długo, aż na rynku pojawi się odpowiedni obiekt.

Po raz pierwszy w życiu nie był w stanie rozpocząć gromadzenia materiałów do nowego tekstu. Niemal z ulgą przyjął telefon od redaktora z „Przeglądu Słowiańskiego”, który pragnął przedyskutować niewielki skrót w artykule

rosyjskich klejnotach koronnych. Pracę Harry'ego wychwalał zresztą pod niebiosa.

— Powinien pan rozważyć myśl o wyjeździe do Pekinu

opublikowaniu czegoś na temat zbioru klejnotów cesarskich — zasugerował.

Harry kupił pomysł na pniu. Zainteresowanie naukowców z Zachodu zbiorami chińskimi było tylko kwestią czasu. Mogła powstać książka o przełomowym znaczeniu.

— Najstarsze klejnoty pochodzą z dziesiątego stulecia, z czasów dynastii Sung — mówił redaktor. — „Kultura Chińska” albo inny periodyk mógłby załatwić panu zgodę na pracę badawczą w Muzeum Pałacowym.

— Ale to jednak nie to samo co praca nad zagadnieniem związanym z początkami mojej własnej kultury, prawda? — zapytał Harry.

Chwilę później wyjął z portfela, przerwał na pół i wyrzucił wizytówkę Akiwy.

— Jego eminencja kardynał Pesenti?

— *Buon giorno*, panie Hopeman.

— Eminencjo, nie mogę reprezentować was w sprawie odzyskania klejnotu, o którym mówiliśmy w zeszłym tygodniu.

— *Io bisogno di te* — wyszeptał Pesenti. — Potrzebuję pana, panie Hopeman.

— Niestety — odparł z zakłopotaniem Harry. — Proszę o wybaczenie, eminen-
cjo.

— Proszę powiedzieć, panie Hopeman — zapytał po dłuższej chwili kardynał — czy chodzi o honorarium? Bo jestem pewien, że...

— Nie. Nie chodzi o honorarium.

— Czy będzie pan w tej sprawie reprezentował kogoś innego?

— Nie zdecydowałem się, by reprezentować kogokolwiek.

— Żegnam, panie Hopeman — powiedział kardynał Bernardino Pesenti.

W słuchawce Harry'ego buczała pustka.

Warsztat w West Nyack zwrócił lamborghini. Harry wyjechał na szosę i doświadczył frustracji jazdy dwunastocylindrowym wozem zdolnym do wyciągania dwustu pięćdziesięciu kilometrów po świecie skazanym na siedemdziesiąt. Karoseria auta była czekoladowa, skórzana tapicerka kremowa. Miał je od tygodnia, kiedy podsłuchał przypadkiem, jak Ruth Lawrenson mówi do męża, iż zapłacił za nie więcej, niż wart jest ich dom. Dawno wyrósł już z motoryzacyjnego szaleństwa, a jedynym samochodem, którego prawdziwie pożądał i na który miał minimalne szanse, był duesenberg SJ; pomiędzy 1932 a 1935 rokiem wyprodukowano zaledwie trzydzieści osiem sztuk. Był to model lepszy niż wszystkie wyprodukowane później razem wzięte, a ponieważ jego nabywcami byli ludzie pokroju Clarka Gable'a, Gary'ego Coopera, królów Faruka z Egiptu, Alfonsa Hiszpańskiego czy Mikołaja Rumuńskiego, przesłedzenie losów każdego egzemplarza nie nastęrczało wielkiego trudu. A egzemplarzy owych ocalało na świecie trzydzieści. Wartość jednego pozwoliłaby Lawrensonom kupić trzy domy, tyle że nikt nie sprzedawał duesenbergów. I to właśnie, diagnozował bezbłędnie Harry, budziło w nim pożądliwość. To samo pragnienie zdobycia nieosiągalnego, które napędza branżę diamentową.

Nie wiedział właściwie, dokąd jedzie, dopóki nie znalazł się na przelotówce nowoangielskiej, niemal w Connecticut. Teren przy szkole Jeffa był piękny, skompo-

nowany z kamieni polnych, trawników i starej cegły. Kilkusetletnie drzewa sugerowały dyskretnie, jakie wartości kupuje się tu prócz wykształcenia. Pokój Jeffa pachniał przeпоconymi skarpetkami, ale był pusty.

— Hopeman? — powiedział tyczkowaty chłopak w okularach, który wychylił się z sąsiedniego. — Trenuje bejsbol.

Harry podziękował, wszedł do samochodu i pojechał w stronę boiska, zatrzymał się jednak, ledwie jego uszu dobiegł dźwięk piłeczek uderzanych pałką. Pożegnał się z Jeffem tuż po pogrzebie; chłopak wracał do szkoły z wyraźną radością. Po co więc zaskakiwać go niespodziewaną wizytą? Aby zafundować mu naukę z Tory, że rozpacz jest straszna, strach jednak znacznie gorszy?

Zawrócił i pojechał do domu.

Kiedy dotarł na miejsce, zrobił sobie drinka, załadował adapter płytami Bessie Smith, usiłował czytać, w końcu padł na kanapę w ciemniejącym pokoju, nagle ogarnięty bolesną potrzebą ujżenia swojego odbicia w zwierciadle innego człowieka. Pragnął seksu. Nie budzącego wyrzutów sumienia seksu z Delią, lecz zwierzęcego, bez konsekwencji, spółkowa- nia z kimś, kto nic dlań nie znaczy. Przyszło mu do głowy pewne imię, po chwili odnalazł je w notesie, a potem podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Po czterech sygnałach rozległ się męski głos; mając wrażenie, że zrobił komuś kiepski dowcip, Harry odłożył słuchawkę i jął rozważać, czy chce obcować z książką, płytami czy też z butelką. W końcu przyklęknął i wyjął z kosza przedartą wizytówkę. Numer, kiedy ją złożył, był zupełnie czytelny. Jeszcze raz podniósł słuchawkę.

Kobięcy głos zamiast powitania wyrecytował numer. Był to dziarski, przyjazny głos, tyle że — podobnie jak głosy z wielu central licznych instytucji na Manhattanie — trochę znużony.

— Chcę mówić z panem Akiwą — powiedział Harry.

Kiedy dotarł na umówione miejsce spotkania, zrozumiał, dlaczego wybór Izraelczyka padł na koszerną restaurację. Obok Akiwy siedział ktoś, kto W3'glądał jak sędziwy szary elf.

Saul Netscher.

— Co on tu robi, do cholery? — zapytał Harry.

— Zostałem zaproszony — odparł łagodnie Netscher swoim głosem przypominającym dźwięk gnieczonego papieru ściernego.

Niski, krępy i siwowłosy, nosił krawat nie pasujący do wygnieczonego brązowego garnituru. Był równie obojętny na swą powierzchowność, jak jego przyjaciel Alfred obsesyjnie o nią dbały.

— Na co ci to potrzebne, Saul? Chcesz mieć następny zawal?

— To było cztery lata temu, Harry, nie bądź idiotą.

— Roi ci się, że wciąż jesteś młody. A jesteś starym wariatem. Powinieneś trafić do czubków.

— Mój Boże, niechże się pan uspokoi — powiedział Akiwa.

Podszedł kelner i Harry posępnie zamówił siekaną wątróbkę z sałatą. Akiwa, który zapewne nie miał wielkiego pojęcia o nowojorskich koszernych restauracjach, wybrał rozbratel, Netscher zaś gotowaną wołowinę i butelkę śliwownicy.

— On zostanie w Nowym Jorku, nic mu nie będzie grozić. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zresztą panu też nie. Pojedzie pan do Izraela i kupi diament, jeśli rzeczywiście jest tym kamieniem, który nas interesuje. Potem go pan przywiezie.

— Nie chcę, żeby Saul był w to zamieszany. Czy nie może pan tego zrozumieć?

— Harry, odrobinę szacunku! Mówisz tak, jakby mnie tu nie było.

Harry go zignorował.

— I proszę mi nie wmawiać, że nie ma ryzyka, bo sam pan wcześniej mówił, że jest.

Akiwa westchnął.

— W porządku, pomówmy o ryzyku — powiedział. — Są w naszej części świata bojownicy, którzy pragnęliby zdobyć kamień i uczynić z niego symbol arabizmu. Inni bez wątplenia chętnie położyliby na nim łapę w imię korzyści finansowych. Ale izraelska służba bezpieczeństwa stoi na najwyższym poziomie i możemy zapewnić panu odpowiednią ochronę. Większe zagrożenie stworzą sprzedający; przekażą panu diament dopiero wtedy, kiedy przyjdą pieniądze z Ameryki. Do czasu sfinalizowania transakcji będzie pan zakładnikiem.

— Zakładnikiem?

— Tak. Jeśli spróbuje pan przechwycić diament przed uiszczeniem zapłaty, zabiją pana.

— Zdołałem przeprowadzić wiele transakcji bez takich... idiotyzmów. Tę wystarczy potraktować bardziej rutynowo.

Akiwa wzruszył ramionami.

— Oni życzą sobie, by wyglądała właśnie tak.

— Mam gdzieś, czego sobie życzą, a czego nie!

— Harry, nie denerwuj się — wtrącił nagle Netscher. — Grożą śmiercią, gdyby kontrahent okazał się oszustem. Ale mój drogi, ty przecież nie jesteś oszustem.

Harry zauważył, że od czasu do czasu głowa Netschera lekko drży, a lewa ręka wyraźnie się trzęsie, kiedy Saul zaciska dłoń. W latach dzieciństwa Harry'ego byli sąsiadami ze Wschodniej Dziewięćdziesiątej Szóstej; prawie każdego popołudnia obaj Hopemanowie, ojciec i syn, szli na spotkanie z Saulem do gmachu YMHA na rogu Lexington i Dziewięćdziesiątej Pierwszej. Tam, w łaźni tureckiej, obaj dorośli wdychali z błogością gorącą parę, wiodąc niekończące się dyskusje na wszelkie tematy — od Schopenhauera po pedi-kiur — podczas gdy Harry usiłował przetrwać swoje dziecięce piekło wymuszonych oddechów, zaciętych sporów i monstualnych owłosionych genitaliów. W owych czasach Netscher był miniaturowym Atlase, ciężarowcem o takiej krzepie, że mężczyźni nazywali go Sztarke Mojse, Mocarną Myszą. Odkąd Saul niemal oskalpował Harry'ego mydląc mu głowę pod prysznicem, chłopak żył w przekonaniu, iż jego palce potrafią giąć żelazo. Potem dorósł na tyle, by wypełniać sobie popołudnia na własną modłę, od ślubu z Essie zaś jego ojciec bywał w YMHA coraz rzadziej, aż wreszcie w ogóle przestał tam zachodzić. Jednakże przez wszystkie te lata Harry nazywał Netschera w myślach Sztarke Mojse; teraz stwierdził, że od czasu ich ostatniego spotkania Mocarna Mysz przemieniła się w starca.

— Jedź i załatw to — powiedział Netscher. — Jeśli kamień wyda ci się podejrzany... jeśli cokolwiek przeszkodzi transakcji... wracaj do domu. Nie sprawią nam problemu, jeśli naprawdę są tylko ludźmi, którzy mają towar na sprzedaż.

Chociaż rozbratel Akiwy wyglądał na taki rzemień, jakiego spodziewał się Harry, Izraelczyk wziął się za niego z wyraźną przyjemnością — zresztą jako jedyny z biesiadników jadł lunch.

— Jak nawiążę z nimi kontakt?

— To oni się z panem skontaktują — odparł Akiwa.

— Powiadomię ich, że pan przyjeżdża. Człowiek, który pana odszuka, nazywa się Mehdi, Jusuf Mehdi. — Akiwa wyraźnie powtórzył nazwisko kilka razy, aż Harry skinął głową. — To on doprowadzi pana do towaru.

— A jeśli zechce mnie wywieźć za granicę?

— To wielce prawdopodobne — odrzekł bez mrugnięcia Akiwa. — Rozumie pan teraz, dlaczego kwestią o zasadniczym znaczeniu jest to, aby w Nowym Jorku zajmował się sprawą ktoś, komu ufa pan bez zastrzeżeń?

— Zdeponuje pan pieniądze uzyskane od donatariuszy w Chase Manhattan Bank, otwierając konto na nazwisko Saula

— powiedział. — Kiedy powiadomię go, że dochodzi do transakcji i podam cenę, przeleje niezbędną sumę zgodnie z instrukcją sprzedających.

— Brzmi to sensownie — stwierdził Akiwa.

Netscher rozpromienił się i nalał do kieliszków śliwownicę.

Akiwa skończył oddzielać pasemko tłuszczu od mikroskopijnego strzępka wołowiny.

— Załatwione więc? — spytał.

— Niezupełnie — odrzekł Harry. — Stawiam dwa warunki. Po pierwsze, nie będę załatwiał dla pana żadnych interesów na boku, bo nie podoba mi się współpraca z panem.

Akiwa skinął głową.

— Po drugie, chcę pracować z Davidem Leslauem nad Miedzianym Zwojem.

— Nie.

— W takim razie nie pojedę.

— Trudno. David Leslau jest naukowcem wybuchowym i zazdrosnym, z nikim nie będzie się dzielił pracą.

Popatrzyli na siebie przeciągle.

— Czy tylko dlatego pan do mnie zadzwonił? — spytał Akiwa.

— Tak — przyznał Harry.

Akiwa westchnął.

— Kto panu powiedział, że jest pan Bożym darem dla całego świata, panie Hopeman?

Saul Netscher uśmiechnął się lekko.

— Ja — oświadczył, zerkając na kelnera, który podawał herbatę. Wessał nieco gorącego napitku przez kostkę cukru, z zadowoleniem pokiwał głową. — Mnie przypada cała zasługa. Ten facet miał jeszcze mleko pod nosem, kiedy przyszedł do mnie jak do przyjaciela. Rozdarty. Byłem zaszczycony. Porzucił jesziwę, stanął na rozdrożu. Kochał jubilerstwo, a zarazem pragnął być naukowcem. Wie pan, co mu powiedziałem?

— Mam przeczucie, że niebawem się dowiem.

— Opowiedziałeś mi o Majmonidesie — wtrącił Harry.

— Tak, opowiedziałem mu o Majmonidesie. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, panie Akiwa, dlaczego branża jubilerska jest tak zażydzona? Otóż dlatego, że w średniowieczu nie mogliśmy jak inni uprawiać roli, bo nie wolno nam było mieć ziemi. Mogliśmy natomiast handlować, choć jedynie tym, czym nie zajmował się nikt inny, na przykład diamentami. Tak bardzo zostaliśmy utożsamieni z tą branżą, że jeszcze dzisiaj każdy, kto sfinalizuje diamentowy interes, bez względu na wyznanie mówi: „*Mazel*”, jego kontrahent zaś odpowiada: „*Mazel un brochal*” Szczęście i błogosławień stwo... Niezłe życzenie jak na koniec transakcji handlowej, nie uważa pan?

— Majmonides — przypomniał ze znużeniem Akiwa.

— Ach, Majmonides. Wielki filozof, pisarz, prawnik, lekarz.. Mógł stać się tym wszystkim naraz, bo miał brata imieniem Dawid, który handlował diamentami. Dali przykład naśladowany później przez dziesiątki żydowskich braci w każdej epoce: jeden wybierał targowisko i zostawał handlarzem diamentów, jak ja; drugi poświęcał się Bogu, zostając uczonym bądź rabinem, jak mój brat Icikel. Proszę mi powiedzieć, panie Akiwa, czy wie pan, co stało się z wybitnym intelektualistą, kiedy jego brat, kupiec Dawid ben Majmon, utonął podczas wyprawy handlowej?

Akiwa pokręcił głową.

— Straciwszy brata, który go utrzymywał, Majmonides znalazł sobie jeszcze jedno zajęcie: został handlarzem diamentów, dzięki czemu zdobywał pieniądze niezbędne do kontynuowania pracy naukowej. Powiedziałem więc młodzieńcowi, który prosił mnie o radę: „Nie masz wprawdzie brata, masz jednak w sobie siłę dwóch braci”. I panie Akiwa, nie myliłem się. Oto Harry Hopeman, handlarz diamentów. Lecz zarazem naukowiec poważany w środowisku akademickim. Na pańskim miejscu bez wahania przemówiłbym za nim u Davida Leslaua.

— Proszę powiedzieć Leslauowi, że rozgryzłem jedną z zagadek zwoju — wtrącił Harry. — Potrafię zidentyfikować jedną skrytkę.

Akiwa westchnął.

— Oto argument lepszy niż wszystkie, które zdołałbym sam wykoncypować. — Odsunął krzesło od stołu.

— Chwileczkę — zatrzymał go Harry. — Obiecywał pan, że kiedy się zadeklaruję, wyjaśni mi pan, skąd Leslau bierze przekonanie, iż diament pochodzi ze świątyni.

— Skoro narzuca mu pan swoje towarzystwo, pozostawiam Davidowi trud wyjaśnień — odrzekł Akiwa. — Skontaktuję się z panem w ciągu kilku godzin.

Wyszedł, zostawiając ich nad resztkami posiłku.

Oczy Netschera lśniły. Starzec toczył po stole okruchy chleba, aż przemieniały się w szare robaki.

— I co, Saul?

— I co, Harry?

— Kości zostały rzucone. Netscher wzruszył ramionami.

— Nie wiemy nawet, czy jest tym, za kogo się podaje — dodał Harry.

— Jest.

— Skąd ta pewność?

— Poprosiłem go o referencje. Kazał mi iść na Drugą Aleję, do konsulatu izraelskiego. Zrobiłem to wczoraj rano. Znam konsula generalnego z przynajmniej tuzina kwest. Uścisnęliśmy sobie dłonie, podziękował mi za zaangażowanie. Poczęstował

cygarem i oznajmił, że nie ma wprawdzie pojęcia o projekcie, ale uważa Akiwę za doskonałego urzędnika, z którym warto nawiązać współpracę.

— Kamień z serca.

— Naprawdę? — Saul wydmuchnął dym. — Okropne cygaro — uznał. — Akiwa to bezwzględny mamzer, sukinsyn. Budzi we mnie większy lęk niż twoi kontrahenci.

— Mam zupełnie inne odczucia. Załóżmy, że kiedy będę ich zakładnikiem, ty... cóż, ludzie chorują, zdarzają się wypadki...

— A więc to ci leży na wątrobie! Jestem starcem o rozregulowanym sercu. Mogę umrzeć, kiedy pojedziesz, mogę umrzeć nawet wcześniej, przy tym stole. Masz rację. Zostawię pełnomocnictwo swoim prawnikom. Dokonają przelewu, nawet jeśli cokolwiek mi się przydarzy. — Uśmiechnął się i był to uśmiech wcale nie starczy, lecz pełen mądrości i ciepła.

— Harry, odpuść sobie te żydowskie wyrzuty sumienia. Pozwalając mi pomóc, nie krzywdzisz mnie, lecz robisz przysługę.

Harry skrzywił się. W wyobraźni Netschera, niczym teraz nie skrupowanej, stali na murach obronnych, wymachując Gwiazdą Dawida.

— Przestań się pastwić nad tymi cholernymi okruchami

— powiedział.

— Wiesz, czym się zajmowałem przez ostatnie dwadzieścia lat? Obligacjami izraelskimi. Sprzedawaniem świstków papieru, zadreczaniem przyjaciół. Zebrałem mnóstwo pieniędzy, znacznie więcej, niż wynosi wartość tej transakcji. Ale co się dzieje z pieniędzmi uzyskanymi za obligacje? Idą na rozwój przemysłu. Może w ciągu wszystkich tych lat pomogłem rozpocząć budowę jakiejś izraelskiej cementowni czy papierni. — Gwałtownymi, wściekłymi pociągnięciami rozpałił wygasłe cygaro. — Teraz jednak chodzi o działanie, a nie tylko o pieniądze. Uczestniczenie... i to w moim wieku. — Ujął kieliszek ze śliwowicą. — Harry, postąpiłeś wspaniałomyślnie, pozwalając mi skoczyć do fontanny młodości.

— Zacny przyjacielu ojca, czy jednak umiesz pływać?

Netscher ryknął śmiechem.

— *Le-chaim* — powiedział, wznosząc kieliszek.

Wszystkie głowy obróciły się w ich stronę, ale Harry'ego to nie obeszło. Zastanawiał się, czy byłby spokojniejszy, gdyby wciąż wierzył, iż te pokryte wątrobianymi plamami dłonie potrafią jeszcze giąć żelazne sztaby.

Podniósł swój kieliszek.

— *Le-chaim*. Na życie, Saul — powiedział i nie był to tylko zdawkowy toast.

Rozdział 7

DOLINA AKOR

— Co mam zrobić z bar micwą? — zapytała Della.

— Zaakceptuję każdą decyzję, jaką podejmiesz. — Milczała. — Gdybym mógł, Delio, uczestniczyłbym w planowaniu, ale bezdyskusyjnie muszę jechać, żadna zwłoka nie wchodzi w grę.

— Nie można również odkładać bar micwy. Przynajmniej pożegnaj się z synem — powiedziała z goryczą.

— Mógłbyś sprawdzić, z łaski swojej, czy Jeff Hopeman jest w pokoju? — zapytał właściciela młodego głosu.

— Hopeman?... Hej, obesraniec, do ciebie.

Harry usłyszał to i uśmiechnął się szeroko. On też miał na udach liczne znamiona.

— Halo?

— Jeff, mówi tata.

— Cześć.

— Jak się miewasz?

— W porządku. Byłeś tu w zeszłym tygodniu?

— Och... W rzeczy samej, byłem.

— Wilson cię rozpoznał.

— Kto?

— Wilson, facet z sąsiedniego pokoju. Dlaczego nie zaczekałeś?

— Byłeś zajęty grą w bejsbol.

— Mówisz o tym gównianym treningu? Mogłem się z niego urwać.

— Nie chciałem ci przeszkadzać, a gonił mnie czas. Słuchaj, muszę wyjechać. Interesy.

— Na długo?

— Sprawa jest otwarta... na tak długo, jak to się okaże niezbędne.

— Wyrobisz się w dwa tygodnie?

— Trudno powiedzieć. Czemu pytasz?

— Bo wtedy kończy się szkoła. — Jeff się zawahał. — Nie chcę jechać na obóz. Mama mówi, że mógłbyś dla mnie znaleźć jakieś zajęcie.

— Doskonały pomysł — odrzekł powściągliwie Harry — ale jeśli ugrzęźniemy w negocjacjach, podróż może mi zająć większą część lata.

— A w ogóle dokąd się wybierasz?

— Do Izraela.

— Mógłbym do ciebie dołączyć po szkole?

— Nie — powiedział stanowczo Harry.

— Traktujesz mnie jak szczeniaka — z tłumioną złością stwierdził Jeff. — Nie mogę polować, muszę jechać na ten gówniany obóz...

— Jedziesz po raz ostatni, masz moje słowo.

Jeff milczał.

— Odwiedzę cię po powrocie, pogadamy o ewentualnej pracy, dobrze?

— Taaa...

— Do widzenia, Jeff.

— Cześć.

Chwilę później Harry zadzwonił ponownie.

— Słuchaj, a może po zakończeniu roku szkolnego popracowałbyś u Saula Netschera? Sporo się nauczysz, a kiedy wrócę, przejdiesz do mnie. Stoi?

— Super!

— Załatwię to z Saulem. Weźmie cię chętnie, ale będziesz harował jak wół: biegał po mieście, zamiatał, smarował urządzenia i tak dalej.

— Naprawdę ekstra, tato! Wyuczę się na szlifierza?

— Na to trzeba lat, sam dobrze o tym wiesz. I nauka jest ciężka.

— Jeśli ty dałeś sobie radę, to i ja się jakoś uporam.

Harry parsknął śmiechem.

— Dobrze więc. Uważaj na siebie. Kocham cię, mały.

— Ja też cię kocham, tato — wyrecytował Jeff.

Harry westchnął.

Trzy dni przed wyjazdem dostał poranną pocztą zwykłą białą kopertę; nie było na niej nazwiska i adresu nadawcy, domyślił się jednak, kto ją wysłał. Zawierała informacje o człowieku, z którym miał się spotkać w Izraelu.

„Hamid Bardissi, znany również jako Jusuf Mehdi. Urodzony 27 listopada 1919 w Sigiul, Egipt, jako syn Salje (z domu Mehdi) i Abu Jusufa Bardissiego Paszy. Jego ojciec był w latach 1932—1935 ambasadorem Egiptu w Wielkiej Brytanii, przedtem zaś, w latach 1924—1928, gubernatorem wojskowym prowincji Asjut. Od wczesnych lat męskich Abu Jusuf Bardissi Pasza był również przyjacielem i doradcą Ahmeda Fuada Paszy, który w roku 1922, kiedy Wielka Brytania zniosła protektorat, został pierwszym królem Egiptu.

Hamid Bardissi przyszedł na świat dziesięć miesięcy wcześniej niż Faruk, syn króla Fuada, i od najmłodszych lat wyznaczono go na towarzysza zabaw małego księcia. Kształcono ich razem. Miał szesnaście lat, gdy u boku Faruka wstąpił do Królewskiej Akademii Wojskowej w Woolwich, skąd po zaledwie jednym semestrze odwołano ich na powrót do Egiptu z powodu śmierci Fuada.

Gdy w roku 1939 zmarł Bardissi Pasza, Hamid Bardissi stał się właścicielem plantacji bawełny o łącznej powierzchni 7500 feddanów (odpowiednik 3150 hektarów lub 7780 akrów). Żenił się, jak zezwala muzułmańskie prawo, dwukrotnie, jednakże z pierwszą żoną przestał żyć w 1941 roku; druga, poślubiona w 1942, zmarła rok później, wydając na świat martwe dziecko.

Chociaż nigdy nie sprawował oficjalnego urzędu, budził powszechny lęk i niechęć jako zausznik Faruka. Bez wahania niszczył przeciwników politycznych i to jemu właśnie przypisuje się doprowadzenie do rozkładu partii Wafd, która z zaczepnego ruchu antymonarchistycznego przemieniła się w polityczną przybudówkę tronu. Wedle doniesień, Bracia Muzułmanie zamierzali zgładzić skrytobójczo tak króla, jak i jego. Jeśli tak było w istocie, zamachowi prawdopodobnie zapobiegł przewrót, który w 1952 roku pozbawił Faruka tronu.

Kiedy w pałacu Ras al-Tin 26 lipca 1952 roku Faruk został zmuszony przez generała Nadżiba do abdykacji, jego zaufany człowiek, Bardissi, przebywał w Belgii, odbierając z odbywającej się w Antwerpii Czterdziestej Szóstej Międzynarodowej Wystawy Gemmologicznej niewielką, lecz doskonałą pod względem jakości kolekcję klejnotów ze zbiorów króla. Bardissi pokwitował odbiór siedmiu wielkich diamentów, trzech stanowiących komplet przezroczystych czerwonych rubinów o wadze od dziewięciu do dziesięciu karatów, jeszcze jednego rubinu, który «rozmiaru gołębiego jajka, stanowił dar króla Szwecji Gustawa III dla Katarzyny II, carycy Rosji», a wreszcie tacy zawierającej «kamienie historyczno), klejnoty zatem o interesującej przeszłości, lecz niewielkiej wartości materialnej.

Bardissi nigdy nie wrócił do Egiptu, gdzie wciąż pozostaje w mocy nakaz aresztowania go. Jego majątności zostały skonfiskowane przez państwo w 1954 roku.

Rubin Katarzyny II od roku 1954 znajduje się — wedle dostępnych informacji — w zbiorach irańskiego Skarbu Państwa, czego władze Iranu nie dementują i nie potwierdzają. Są to zbiory zamknięte, co uniemożliwia inspekcję.

Trzy identyczne rubiny nabył w 1968 roku tokijski biznesmen Kayo Mikawa; niemal na pewno pochodzą z kolekcji Faruka. Indagowany przez Interpol, Mikawa wyjaśnił, że kamienie kupił w Londynie od człowieka nazwiskiem Jusuf Mehdi. Interpol skontaktował się z Egiptem, jego władze zaś poprosiły o aktualizowanie wiadomości na temat Mehdiego; nie mają z Wielką Brytanią umowy o ekstradycję, nie mogły zatem podjąć bezpośredniej akcji.

Mehdi ochoczo przyznał Anglikom, że jest w istocie Bardissim. Okazał władzom nadany 18 listopada 1953 roku w Cannes list Faruka, w którym znalazło się oświadczenie, iż klejnoty stanowią osobistą własność Faruka, co czyni bezpodstawnymi wszelkie roszczenia rządu egipskiego, i że Faruk obdarowuje Bardissiego w zamian za wierną i oddaną służbę tak owymi klejnotami, jak i szeregiem innych dóbr. Bardis-

si zdołał przekonać Brytyjczyków, że jest poszukiwany nie jako przestępca, lecz polityk, i że w przypadku powrotu do Egiptu zostanie skazany na śmierć.

Uwolniony, zniknął z pola widzenia. Najwyraźniej wciąż jest przekonany, iż grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Na początku tego roku jednak w Ammanie człowiek podający się za Jusufa Mehdiego nawiązał kontakt z kilkoma osobami znanymi z sympatii prozachodnich i dobrych układów na Zachodzie, napomykając o ewentualnej sprzedaży klejnotów.

O sprawie Hamida Bardissiego mówi się w Kairze, iż jest «w toku, ale uśpiona»."

Harry Hopeman miał sposób, dzięki któremu lot transatlantycki był równie łatwy jak przesadzenie kałuży jednym skokiem. Tym razem też go zastosował. Najpierw, ledwie samolot oderwał się od ziemi, zdjął buty. W kapciach i wygodnym swetrze obejrzał film, nie dość koszmarny, niestety, żeby mógł być zabawny. Nad Nową Fundlandią zjadł odgrzanego kurczaka i pomarańczę jafską; ignorując słodkiego szampa, zamówił butelkę wytrawnego wina.

Długo studiował dossier Mehdiego i notatniki ojca, szczególnie fragment dotyczący Diamentu Inkwizycji. Potem nałożył słuchawki i utonął w muzyce Haendla, która była dlań gwarantem senności. Przy czym przez cały czas popijał wino. Kiedy butelka była w dwóch trzecich pusta, samolot pokonał dwie trzecie drogi nad Atlantykiem. Wtedy przesłonił oczy opaską, dokonał przeglądu kilku innych ścieżek dźwiękowych, by zdecydować się w końcu na głęboki szum przyboju. Zdrętwiały mu palce u stóp, w uszach miał morze, w ustach — łagodny posmak winogron; to wszystko sprawiło, że ześlizgnął się w sen jak ktoś, kto tonie w dziesięciokilometrowej otchłani.

Pełną cenę za wypite wino zapłacił nazajutrz, kiedy na lotnisku Ben Guriona stojące wysoko słońce poraziło go niczym grom.

Panował skwar. Przepelził przez odprawę celną i w końcu doczekał się w kolejce swojej taksówki. Taksówkarz prowadził z rutynową nonszalancją, kiedy więc dojeżdżali do parowu opodal Jerozolimy, gdzie pobocza zaścielały poskręcane wraki, Harry'ego męczyły mdłości.

— Te pojazdy zostały zniszczone, kiedy podczas wojny o niepodległość usiłowały przebić się przez blokadę — wyjaśnił kierowca. — Wiozły do miasta żywność i amunicję. W czasie ostatnich konfliktów sukinsyny nie zapuściły się tak daleko, za

pierwszym razem jednak arabskie działa ostrzeliwały szosę z obydwu stron. Zostawiliśmy te wraki na pamiątkę.

Harry skinął głową.

— Już tu byłem.

Podczas każdej wizyty taksówkarze informowali go, czym są zwałiska rdzewiejącej blachy na poboczach.

Zatelefonował do Davida Leslaua, lecz archeolog wyjechał na cały dzień. Zostawił mu wiadomość.

Jego pokój znajdował się na tyłach hotelu. Miał z okien widok na długi pas cudownie starożytnych murów i szereg pudełkowatych arabskich domów — Wschodnią Jerozolimę. Stare Miasto przyzywało go, przedłożył jednak chłodną pościel nad nieznośny żar przedpołudnia.

Kiedy się obudził, ból głowy nieco zelżał. O dziewiątej dziesięć jadł śniadanie złożone z jajek, pity, małych zielonych oliwek i mrożonej herbaty, gdy zadzwonił do niego David Leslau oświadczając, że jest gotów natychmiast przyjść do hotelu. On i archeolog znali tylko swoje publikacje i opinie, jakimi cieszyli się w środowisku akademickim. Leslau okazał się niskim szpetnym facetem o byczym torsie, domagającej się postrzyżyn ryżej czuprynie i takiejż brodzie; spod jego niegdyś białej koszuli sterczały kępki żółto-brązowych włosów, piwne oczy biegały niespokojnie za grubymi szklami okularów, skóra — osmalona i wysuszona przez miesiące pracy w słońcu

— przywodziła na myśl starą raportówkę. Nosił zakurzone półbuty i płócienne spodnie. Harry doznał w jego obecności wrażenia, że jest wystrojony i odszykowany jak pingwin na święto Antarktydy.

Otoczeni rojącymi się niczym wróble turystami, usiedli we foyer na skórzanych fotelach.

— Który akapit przetłumaczyłeś? — zapytał bez wstępów Leslau, pociągając małżowinę ucha grubymi paluchami.

Harry zaczął mu relacjonować.

— Ta, ta, ta, Jezus, Jozue i ten bidula Hiob. Mój nieszczęsny nowy przyjacielu, który przybyłeś z Ameryki hołubiąc marzenia o nieśmiertelności...

— Nie mów do mnie w taki sposób — ostrzegł Harry spokojnie.

— Jesteś czwartą osobą, która namierzyła genizę opisaną w tym akapicie. Nie pierwszą.

Harry popatrzył nań pytająco.

Leslau westchnął.

— No więc chodźmy, chodźmy.

Volkswagen Leslaua miał skłonność, by krztusić się na wzniesieniach, atakował je więc na najwyższych obrotach. Droga wiła się i falowała, stopniowo opadając w dół.

— Byłeś już w tym regionie? — zapytał Leslau.

— Nie.

Mijali plantacje bananów i cytrusów.

— Ma niezwykły klimat. Afrykański, a konkretnie sudański. Sam zresztą widzisz.

— Mmm.

Leslau zerknął nań kątem oka.

— Zdmuchnąłem płomyk twego entuzjazmu, co? Cholera, nie przejmuj się tym, co powiedziałem w hotelu. Zgryźliwy ze mnie sukinsyn, zdaję sobie z tego sprawę, ale chyba jestem za stary, żeby się zmienić.

— Kto pierwszy ustalił lokalizację genizy? — zapytał Harry.

— Max Bronstein, ale zanim dotarł do mnie jego list, sam w większym czy mniejszym stopniu rozwikłałem zagadkę. Potem skonsultowałem się z pewną bardzo bystrą niewiastą z Uniwersytetu Hebrajskiego, która po tygodniu też wykombinowała dolinę Akor.

Na rozwidleniu Leslau skierował się w lewo, na południe.

— Jerychoński tel leży kilka kilometrów stąd na północ. Od przeszło siedemdziesięciu lat to interesujące stanowisko archeologiczne. Jerycho jest najstarszym miastem świata. Jego początki sięgają ósmego tysiąclecia przed Chrystusem, czasów

więc, kiedy jeszcze nie było Żydów. W kopcu archeologowie znaleźli dziewięć czaszek oblepionych gliną, z muszlami zamiast oczu.

— Do kogo należały?

— Do bogów — odparł Leslau.

Harry popatrzył nań z naciskiem.

— Co znalazłeś, kiedy odkopałeś genizę wspomnianą w zwoju?

— Nie odkopałem genizy. Po prostu rozkopałem ją po raz trzeci. Genizę odkopano wcześniej. — Zjechał z szosy, volkswagen przez jakiś czas toczył się wzdłuż wadi, aż wreszcie dotarł do stromej kamiennej skarpy uniemożliwiającej dalszą podróż. — I na razie nie znalazłem nic — dodał Leslau.

Wyjął ze schowka latarkę i przywołując Harry'ego, oddalił się od auta.

— To jest dolina Bukaja. Niegdyś dolina Akor.

W odległości kilku kilometrów rozciągały się bujne plantacje, tu jednak szli po spękanej pustyni. Ptaki, których Harry nie rozpoznawał — małe, czarne, z białymi ogonkami — donośnie śpiewały wśród tamaryszków i akacji.

— Czy sądzisz, że istotnie Akan i członkowie jego rodziny zostali ukamienowani w tym miejscu? — zapytał.

— Sąd wojenny i egzekucja ku przestrodze? Zajeżdża to na milę brutalną rzeczywistością — odparł Leslau. — Tak, myślę, że zostali straceni właśnie tutaj. — Przeprowadził Harry'ego do rozpadliny w urwisku. — Uważaj na głowę — przestrzegł.

Wejście miało niespełna cztery stopy wysokości, dalej sklepienie podnosiło się o jakąś stopę. Leslau włączył latarkę, wyławiając z mroku pieczarę o rozmiarach mniej więcej osiemnaście na dwanaście stóp; w głębi sklepienie opadało ostro niczym okap dachu. Dwa przekopane na środku prostokąty wyglądały jak grządki, z których wyrwano warzywa.

Harry przykucnął obok bliższego z nich.

— Która to geniza? — zapytał.

— „Zakopany na głębokości ośmiu i pół łokcia skrzący się kamień” i tak dalej.

— A więc był tu diament. Wy jednak nic nie znaleźliście.

— To oczywiście rzecz względna. Znaleźliśmy kilka średniowiecznych francuskich monet. Na głębokości trzech stóp denara karolińskiego. Na głębokości siedmiu stóp trzy pośledniejsze monety zwane obolami. Stopę głębiej górną część sztyletu o klindze z licho wykutej stali. Była to tandetna broń, należała więc raczej do knechta niż rycerza. Pękła być może, kiedy użyto jej do kopania. Na rękojeści wygrawerowano lotaryński krzyż rodu de Bouillon.

— A więc francuscy krzyżowcy.

— Bez wątpienia. Chociaż od czasów drugiej krucjaty nie przybywało tu zbyt wielu Francuzów. — Leslau omiół światłem drugie stanowisko, rozmiaru grobu. — Wydobyty stąd diament wpadł w ręce Saladyna, ale później chrześcijanie go odzyskali

— Jakie masz dowody? — zapytał Harry.

— Pierwsza historyczna wzmianka o klejnocie pojawia się wkrótce po splądrowaniu tej genizy. Obdarowując wielkim diamentem meczet w Akce, gdzie dochrapał się wodzowskich ostróg, Saladyn osobiście odnotował, iż klejnot zdobyli jego Saraceni na Francuzach, niedobitkach rozgromionej przez Turków armii Ludwika VII.

— Ale niespełna sto lat później żółty diament został oszlifowany w katolickiej Hiszpanii.

— Tak, i po oszlifowaniu złożony w darze Kościołowi przez Estebana de Costę, hrabiego Leónu, który był kimś w rodzaju świeckiego funkcjonariusza inkwizycji. De Costa skonfiskował klejnot skazanemu na śmierć Żydowi, przechrzcie, który powrócił do starej religii, głosił jednak wszem wobec, iż diament padł łupem zdobywców meczetu w Akce, uczestniczących w jednej z późniejszych krucjat rycerzy hiszpańskich czysto chrześcijańskiej krwi. — Leslau wyszczerzył zęby. — Ten kamyk był traktowany jak piletka przez trzy religie, sądzę jednak, iż roszczenia żydowskie mają bardzo stary, najstarszy rodowód. Dobrze znasz Biblię?

Harry wzruszył ramionami.

— Pamiętasz zatem, że królowi Dawidowi został odmówiony zaszczyt wzniesienia świątyni, ponieważ jego ręce były splamione krwią.

— Druga Księga Samuela.

— Tak. Dowiadujemy się z niej, iż Dawid scedował na syna swoje plany i skarby, aby to Salomon mógł zbudować świątynię. Później Biblia opisuje to dziedzictwo jako „onyksy i kamienie do wysadzania, kamienie czarne i różnokolorowe i wszelkiego rodzaju drogie kamienie”.

— Pierwsza Księga Kronik? — próbował błysnąć intelektem Harry.

Lesalu się uśmiechnął.

— Rozdział dwudziesty dziewiąty, werset drugi. Takie były początki świątyni. Koniec nastąpił osiemset lat później, kiedy nadeszły hordy Nabuchodonozora. Jeśli mamy wierzyć zwojowi, kapłani na zimno wybrali najświętsze i najwartościowsze przedmioty swego świata. Przyjmijmy prowizorycznie, w co zresztą wierzę, iż kanarkowy diament pochodzi ze świątynnego skarbcza. Łatwo go ukryć, a kiedy w przyszłości zaistnieją bardziej sprzyjające okoliczności, sprzedać, by zbudować gmach zdolny pomieścić ocalałe święte przedmioty.

— Akiwa napomknął, że Mehdi usiłuje prehandlować jeszcze jeden kamień. Granat.

— Znacznie trudniej potwierdzić autentyczność jego pochodzenia. Istnieje tylko jeden żółty diament tego rozmiaru, ale granatów jest mnóstwo. Jeśli pochodzi stąd, może być świętym przedmiotem. Może jednym z kamieni zdobiących „szaty Aarona”, przyodziewek arcykapłana.

Harry przytaknął.

— Nie ukrywaliby zwykłych szat kapłańskich, które łatwo odtworzyć, z pewnością za to ukryli klejnoty zdobiące pectorał arcykapłana, dar plemion.

— Zważ spryt ludzi ukrywających skarby — powiedział Leslau. — Pierwsza geniza jest względnie płytka. Stawiali na to, że rabusie, znalazłszy ogromny żółty diament, nie będą kopać głębiej, gdzie kryją się znacznie cenniejsze, święte skarby.

Harry'ego nagle olśniło: taką samą technikę zastosował jego ojciec, ukrywając klejnoty w słoiku z wazeliną.

— Skąd wiesz, że krzyżowcy nie splądrowali również głębszej genizy?

— Głębszą genizę splądrowano o wiele później. Jedyнным przedmiotem, jaki znaleźliśmy przesiewając ziemię, był miedziany guzik od munduru regularnej armii brytyjskiej, na oko z początków dwudziestego stulecia. — Leslau usiadł na wyschniętej

glinie. — Współczesnymi mieszkańcami doliny byli beduińscy pasterze kóz. Ponieważ pasza jest bardzo skąpa, beduińskie rodziny mają olbrzymie pastwiska, które są przekazywane z pokolenia na pokolenie i których granice sąsiedzi naruszają niezmiernie rzadko. Władze izraelskie są w tym bardzo dobre, odnalazły więc ród, na którego terytorium leżała dolina Bukaja. Teraz ci ludzie uprawiają tytoń w Tubas i po raz pierwszy w swoich dziejach mieszkają w domach. Jeden ze starców pamięta, że jako chłopiec był w tej jaskini i zakopywał kontrabandę.

— Kontrabandę?

— Jego rodzina zajmowała się przemytem. Kupowała za granicą tytoń, żeby sprzedawać go brytyjskim żołnierzom, tak przynajmniej twierdzi. Ponieważ jednak Brytyjczycy mieli nieograniczony dostęp do tytoniu, możemy przyjąć ze stu-procentową pewnością, iż przedmiotem szmuglu był haszysz. Stary nie pamięta roku, ale powiada, że Turcy właśnie opuścili Palestynę, a Brytyjczycy byli w niej od niedawna. Stawiamy więc na rok 1919. Tak czy inaczej, mówi, że kiedy wykopał głęboki dół, aby ukryć kontrabandę, znalazł jakieś przedmioty.

— Jakie?

— Tego dobrze nie pamięta. Ciężkie metalowe naczynia, które wydawały mu się bardzo stare, i kolorowe kryształki w woreczku z przegniłej skóry. Jego ojciec zawiózł to wszystko do Ammanu i sprzedał handlarzowi staroci za sześćdziesiąt osiem funtów szterlingów. Sumę staruszek zapamiętał doskonale, bo były to największe pieniądze, jakie na raz posiadała jego rodzina.

— Czy ktokolwiek rozmawiał z owym handlarzem?

— Handlarz nie żyje od trzydziestu dwóch lat.

— Wierzysz Beduinowi?

— Nie ma powodu, żeby kłamać. Powiedział nie pytany, że czasem, kiedy brytyjscy żołnierze nie mieli pieniędzy, jego ojciec brał w charakterze zapłaty miedziane guziki od ich mundurów. — Leslau wyłączył latarkę. — Chodź — powiedział.

Harry jednak dalej siedział w ciemnościach. Wyciągnął rękę i położył dłoń na ciepłym, twardym klepisku. Nie miał ochoty wychodzić.

— No chodź wreszcie, chodź! — zawołał Leslau.

Niechętnie Harry wyszedł w ślad za nim z jaskini.

— Ten kraj... — powiedział Leslau. — Musisz się do niego przyzwyczaić. Tutaj przeszłość nakłada się na teraźniejszość. Żyło tu i umierało tak wielu ludzi, że wystarczy, iż rozgrzebiesz ziemię, aby posadzić drzewko, i już natrafiasz na ich ślady. Ministerstwo Transportu Publicznego prowadząc roboty drogowe odkopuje sarkofagi książąt. Arabski rolnik postanawia pogłębić piwnicę i znajduje mozaikę, która jego dom zmienia w muzeum.

W Jerychu poszli na kawę do kafejki na otwartym powietrzu. Po drugiej stronie kamiennego muru starszy Arab w ciemnym garniturze i fezie przechadzał się pomiędzy drzewkami pomarańczowymi.

Kiedy popijali kawę, Harry pomyślał o ludziach, którzy rozpierzchli się w obliczu zagłady, usiłując powierzyć swą religię ziemi.

— Ukryli dobrze — zauważył. — Jedna skrytka przetrwała prawie tysiąc lat, drugiej nieomal udało się dotrzeć do dziś.

— Odnaleziono zaledwie maleńką cząstkę — powiedział Leslau. — Przesiedziałem nad zwojem wiele miesięcy. Dziewięć lat temu odkryto w jerozolimskiej jaskini doskonale naczynia z brązu i srebra. Jestem przekonany, iż jeden z akapitów w typowy dla zwoju pokrętny i zakamuflowany sposób mówi właśnie o tamtym stanowisku. Ale wierzę, że naprawdę ważne przedmioty: arka, Przybytek, może nawet same tablice, spoczywają pod ziemią gdzieś niedaleko od nas, czekając, aż zostaną odkryte.

Wracali do Jerozolimy pogrążeni każdy we własnych myślach.

— Chcę z tobą pracować — oświadczył Harry w pewnej chwili.

— Nie. — Leslau wściekłym ruchem zmienił bieg. — Nie jesteś mi potrzebny. Mam kontakty z najlepszymi naukowcami w Izraelu. Liczę tylko, że kupisz diament. Może rozszyfrujemy zwój już jutro i odnajdziemy każdy opisany w nim obiekt? Niemal na pewno taki cud się nie zdarzy. Pewno nigdy nie znajdziemy niczego konkretnego. Ale emocje wywoływane przez drugi Miedziany Zwój dają pewność, że mój grant będzie odnawiany jeszcze przez kilka lat, a wiedz, że jestem przygotowany, aby poszukiwaniom poświęcić całe życie. — Zgarbiony nad kierownicą, odwrócił na moment głowę i prześwidrował Harry'ego spojrzeniem. — Diament jest wart olbrzymie pieniądze, ale mam to gdzieś. Chcę go zdobyć, bo pochodzi ze świątyni. Ze świątyni, człowieku, tylko o tym pomyśl!

Harry zadumał się na chwilę.

— Czy będziesz kontynuował poszukiwania nawet wtedy, kiedy nie znajdziesz obiektów opisanych w zwoju?

Leslau przytaknął.

— Dokonałeś już wiele. Dlaczego w przypadku fiaska nie chcesz zająć się czymś innym?

— Czy będąc w Watykanie miałeś może okazję przyjrzeć się ekspedycji świętych relikwii?

Harry uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Jest takie pomieszczenie w Pałacu Apostolskim, gdzie na półkach stoją pojemniki z popiołami, fragmentami kości i innymi szczątkami chrześcijańskich świętych i męczenników. Kustosz bierze pęsetą drobiny owych relikwii, umieszcza je w kopertach i wysyła listami poleconymi do wszystkich nowo powstałych kościołów świata. Wedle prawa kanonicznego, ołtarz każdego kościoła musi zawierać świętą relikwię.

Harry mruknął z niesmakiem, Leslau zaś natychmiast przywołał go do porządku.

— Ty widzisz tylko szczątki doczesne — powiedział — ja natomiast dostrzegam powód, dla którego zostało ustanowione to prawo. Kościół pojął, iż istnieje bezwzględna potrzeba, aby człowiek współczesny utrzymywał bezpośredni kontakt z początkami swej wiary.

— Ale jaki ma to związek z tobą?

— Uznaję wartość prochu — odparł Leslau — nie mówię jednak, że zamierzam poświęcić życie na poszukiwanie prochów. Ja pragnę odnaleźć fundamenty, na których opiera się Stary Testament.

Wysiadając z samochodu, Harry zatrzymał się na chwilę.

— Chciałbym przestudiować oryginał zwoju — powiedział.

— To raczej nie wchodzi w rachubę — odparł z irytacją Leslau. — Szalom. — Zatrzasnął drzwi i ruszył przed siebie.

Przygnębiony grubiaństwem archeologa, Harry odprowadzał samochód spojrzeniem. Nagle odczuł skutki różnicy czasu. Nie opodal jakiś starzec miarowo pociągał

za linkę wachlarza odganiającego muchy od wózka pełnego daktyli. Harry kupił pół kilo owoców i rozmyślał o perspektywie powrotu do pustego pokoju.

Akiwa polecił mu czekać w hotelu, aż skontaktuje się z nim Jusuf Mehdi, zlekceważył jednak instrukcję i jedząc daktyle, ruszył na wschód. Napięcie opadało zeń w miarę, jak coraz głębiej zanurzał się w wąskie uliczki. Za całym tym turystycznym sztafażem i reklamowym zgiełkiem o Złotej Jerozolimie kryło się jądro prawdy, która nie dawała mu spokoju.

Miasto było piękne.

Rozdział 8

JEROZOLIMA

Szedł wolno, delektując się otoczeniem, przyglądając twarzom. Rychło stracił orientację, przez jakiś czas włóczył się bezcelowo, potem jednak rozpoznał znajome miejsca :— był w pobliżu uniwersytetu — i zarazem znalazł cel: Muzeum Izraela.

Od razu pospieszył do obrazu, który widział już trzykrotnie. Usiadł na ławeczce i popatrzył na „Żniwa w Prowansji” w taki sposób, w jaki zwykł wpatrywać się w diament: najpierw postrzegając go jako całość, potem kawałek po kawałku. Barwy przypuszczały nieomal brutalny atak: żółte pole, pomarańczowe kopy snopków i wreszcie niebiesko-zielone niebo, które na kształt nieuchronnego losu zawisło nad samotnym maleńkim człowieczkiem. Miał wrażenie, że mógłby wmaszerować na to pole i dotknąć palcami szaleństwa, które dwa lata po powstaniu płótna doprowadziło van Gogha do samobójstwa.

Po długim czasie przeszedł na wystawę starożytnych miedzianych skarbów, które w roku 1960 znalazł w jaskini trzystumetrowego urwiska archeolog poszukujący na Pustyni Judzkiej kolejnych zwojów znad Morza Martwego. Na ekspozycję składały się pięknej roboty topory, główce maczug, korony i berła, pochodzące z epoki miedzi i brązu, okresu jeszcze przedhebrajskiego. Podziwiając je, doświadczył przyływu tęsknoty, a zarazem ogarnęła go głęboka niechęć do Davida Leslaua.

Podczas wędrowki po muzeum wytropił i nazwał po imieniu swój osobisty grzech śmiertelny — aż do bólu pragnął odnaleźć te wszystkie ukryte przed ludzkim okiem cudowności. Zawłaszczał twórcze szaleństwo van Gogha. Pożądał wszystkich pięknych kobiet świata. Nienasycony żarłok, pożądał wszystkiego co piękne.

Słońce już zachodziło, gdy wyszedł z muzeum na ulicę Króla Jerzego. prostytutki w letnich sukienkach krążyły parami jak ćmy i Harry poczuł się swojsko, odniósł bowiem wrażenie, iż jest w tej chwili na Ósmej Alei. W ukrytej opodal ulicy Jafskiej małej knajpce z rosyjskim kucharzem zjadł cztery bliny i mały ocean chłodnika z wysepkami gorących ziemniaków, kiedy zaś po posiłku zatrzymywał taksówkę, podeszły doń dwie dziwki.

— *Chawer* — powiedziała jedna z nich — złapałeś już dla nas gablotę?

Były ładne i młode, jedna ciemno-, druga jasnowłosa. Ich oczy tańczyły prowokująco.

Pomyślał o swoim pustym pokoju i szeroko otworzył drzwi auta.

— *Bouna achajot*. Chodźcie, siostry — powiedział.

Blondynka, niska i pulchna, miała na imię Teresa. Ciemnowłosa smagła Kocza-wa była chuda i sprawiała wrażenie żylastej. Przymaszerowały przez hotelowe foyer z dystynkcją i opanowaniem.

W pokoju uśmiechnęły się doń promiennie.

— No i cóż? — powiedział.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, nie zobaczył detektywa hotelowego. Nikogo nie zobaczył.

Pukanie rozległo się ponownie. Do drzwi łączących pokój Harry'ego z sąsiednim. Otworzył je i stwierdził, że stoi za nimi wysoka kobieta.

— Pan Harry Hopeman? — zapytała.

— Tak.

— Nazywam się Tamar Strauss. Oddelegowano mnie do pana.

Mówiła po angielsku z owym szczególnym, na poły brytyjskim akcentem. Miała tak ciemną skórę, że w pierwszym momencie uznał ją za czarną; być może, pomyślał, pochodzi z Iranu albo Maroka. Liczyła mniej więcej dwadzieścia siedem lat, nosiła prostą jasnoniebieską sukienkę. Jej ciało było pełne, usta odrobinę za duże, smukły zakrzywiony nos — okrutny i piękny. Harry uzmysłowił sobie, że wlepie w nią wzrok.

— Czy mogę wejść? — zapytała. Któraś z dziewczyn szepnęła coś i zachichotała. Kobieta w drzwiach spojrzała Harry'emu przez ramię. — Ach, widzę, że przeszkadzam — stwierdziła grzecznie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Poczuł się jak piętnastolatek przyłapany z dłońmi pod kołdrą.

— Ależ skąd — zapewnił, kobieta jednak zaczęła się już wycofywać.

— Jak pan widzi, mieszkam obok. Porozmawiamy jutro rano. Dobrej nocy.

— Dobranoc — odrzekł, zamykając drzwi.

Impreza zdechła, zanim się zaczęła. Potrzebował wiele czasu, aby przekonać Teresę i Koczawę, iż naprawdę chce, aby wyszły. Hojnie im zapłacił, a potem odprowadził do drzwi.

— *Szalom* — powiedziała Koczawa, usiłując przyoblec twarz w wyraz ubolewania.

— *Szalom, Tereso. Szalom, Koczawa. Szalom, szalom* — powtarzał, jakby uczył się lekcji z hebrajskiego elementarza, której temat brzmiał: Spławianie Teresy i Koczawy.

Kiedy się ich pozbył, zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju.

Kobieta wyglądała teraz inaczej: zdjęła niebieską sukienkę, która wisiała na wieszaku w otwartej szafie, nałożyła zaś granatowy skromny peniuar. W dłoni trzymała szczotkę do włosów, a jej włosy, przedtem upięte w ciasny kok, spływały z ramion jak gęsta czarna pelisa.

— Jestem już gotów do rozmowy.

— Jedna chwilka, jeśli pan pozwoli.

Drzwi trzasnęły. Kiedy otworzyły się ponownie, szafa była zamknięta, szczotka do włosów zniknęła, stopy kobiety zaś, wąskie brązowe stopy o paznokciach jak muszle, tkwiły w pantoflach.

— Proszę wejść.

— Dziękuję. — Usiadł na krześle, ona na łóżku. — Panno... Strauss, tak chyba brzmi pani nazwisko?

Skinęła głową.

— Strauss.

— Dlaczego została pani do mnie oddelegowana?

— Uważa się, że mogę okazać się użyteczna.

— A któż mógłby tak uważać?

Zignorowała pytanie.

— Jestem historykiem sztuki w Muzeum Izraela.

— Na co mi historyk sztuki?

— Specjalizuję się w rozpoznawaniu antykizowanych obiektów.

— Mówimy jednak o klejnotach, a to moja specjalność. Wszystkie klejnoty są stare. — Nagle zrozumiał odczucia Davida Leslawa. — Nie jest mi pani potrzebna.

— Moje instrukcje, obawiam się, nie zakładają, iż dam panu prawo wyboru — odparła spokojnie.

— Przybyłem tu, aby zrobić coś, na co wyraziłem zgodę. Nie wyraziłem natomiast zgody na współpracę z kimkolwiek.

— Niech pan się prześpi z tym problemem — zasugerowała. — Przedyskutujemy go jutro rano.

Wcale nie miał ochoty wychodzić.

— Byłem dziś rano w pani muzeum — powiedział. Odczuwał irytację, że zmusza się, by wstać i ruszyć w stronę drzwi. Byłby gotów porozmawiać z nią o van Goghu.

Po raz pierwszy dostrzegł w jej oczach rozbawienie.

— Ufam, że jest pan zadowolony z wizyty. Dobrej nocy, panie Hopeman.

— Dobranoc, panno Strauss.

— Właściwie pani Strauss — poprawiła go, zamykając drzwi.

Następne pukanie usłyszał godzinę później, ale tym razem z korytarza do jej drzwi. Wpuściła kogoś — mężczyznę o głębokim głosie. Rozmawiali po hebrajsku, lecz Harry nie mógł uławić słów. Często oboje wybuchali śmiechem. Po jakimś czasie włączyli telewizor.

Leżał na łóżku, słuchając zgiełku czynionego przez aparat za ścianą, kiedy zadzwonił telefon.

— Tu recepcja, panie Hopeman. Mamy dla pana przesyłkę.

— Pocztową?

— Przed chwilą dostarczył ją taksówkarz.

— Oddzwonię — powiedział Harry, odkładając słuchawkę.

Gdy po kilku minutach wykręcił numer recepcji, usłyszał ten sam głos.

— Możecie przynieść przesyłkę na górę? — zapytał.

— Oczywiście, proszę pana.

Niebawem portier wręczył mu owinięty w szary papier sześcianik o boku około pięciu cali; nakreślone zamasztyłym pismem nazwisko Harry'ego i nazwa hotelu widniały z dwóch stron paczuszki. Harry położył ją na środku stołu.

Wziął prysznic i nałożył piżamę. Wychodził z łazienki, gdy telewizor w sąsiednim pokoju nagle umilkł i zapanowała przeraźliwa cisza.

Przytknął paczuszkę do ucha, ale niczego nie usłyszał. Trzy tygodnie wcześniej motocykl-pułapka eksplodował na ulicy Jafskiej powodując ofiary śmiertelne; Harry widział tego popołudnia poblížniony trotuar. W tym kraju bomby tkwiły w lalkach, książkach, puszkach kawy. W małych paczuszkach owiniętych szarym papierem i w białych anonimowych kopertach.

Włożył przesyłkę do szuflady komody, przykrył ją koszulami i bielizną. Dosunął do komody ciężki skórzany fotel.

Był zmęczony, zmęczony tak, że opadały mu powieki, zamiast jednak zasnąć, wciąż dokonywał przeglądu wydarzeń dnia. W końcu wstał i zjadł kilka słodkich, soczystych daktyli. Wyjął z szuflady paczuszkę i wreszcie ją otworzył — nie wybuchła. Pudełko zawierało poskładane arabskie gazety; usuwał warstwę po warstwie, aż natrafił na kamień rozmiaru owocu winogrona.

Zrzucił ze stołu wszystko, pozostawiając tylko ów kamień.

Pokrywała go ciemna, gęsta patyna, ktoś jednak wy drapał w niej dwa okienka. Podniósł kamień do oczu i stwierdził, że chociaż przepuszcza światło, nie jest przezroczysty.

Wyjął z torby lupę, instrumenty pomiarowe, a w końcu, powodowany impulsem, również notatniki ojca. Odnalazł ostatni zapisek w ostatnim notesie, przewrócił stronę i napisał: „Tu kończą się techniczne zapiski Alfreda Hopemana, syna Jozuego Lewity (Aarona ben Jeszuy Halewiego)". Na następnej stronie zaś: „Tu zaczynają się techniczne zapiski Harry'ego Hopemana, syna Alfreda Lewity (Jeszuy ben Aarona Halewiego)".

Przyrządy były starymi przyjaciółmi, zdolnymi — jak się zdawało — działać samodzielnie, pomiary więc i sporządzenie notatki trwało zaledwie chwilę.

„Typ kamienia: pirop. Średnica: 0,75 cala. Waga: 138 karatów. Kolor: krwisto-czerwony. Gęstość: 3,73. Twardość: 7,16. Forma krystaliczna: dwunastościan rombowy (płaszczyzny ze wszystkich stron są w pełni ukształtowane i mają delikatny relief).

Uwagi: Kamień jest surowy i nieoprawiony. Mniej więcej 70% granatu ma spękania i zmatowienia spowodowane zapewne przez tlenki żelaza. Jego kiepska jakość jednak nie umniejsza w żadnym stopniu ewentualnej wartości historycznej; wręcz przeciwnie — w czasach biblijnych kryteria szacowania klejnotów były w powijkach, można zatem przyjąć, iż taki właśnie granat, znaleziony przez Izraelitów podczas ich wędrówek, mógł się stać wkładem pokolenia Lewiego w ozdobienie pektorału arcykapłana. W rezultacie odcięcia zdyskwalifikowanej przez skazy części granatu można by uzyskać mniej więcej czterdziestokaratowy kamień półszlachetny średniej jakości i drugiej kategorii, którego hurtowa wartość wynosiłaby około stu osiemdziesięciu dolarów. Jako taki nie zasługuje na zainteresowanie firmy Alfred Hopeman i Syn."

Nie mógł zasnąć, bo jego zegar biologiczny kompletnie się rozregulował. Z okien pokoju rozświetlony reflektorami mur Wschodniej Jerozolimy wyglądał jak plan hollywoodzkiego filmu o tematyce biblijnej. Wędrował pomiędzy wciąż nadającymi program kanałami telewizyjnymi, jednym hebrajsko-, drugim zaś arabskojęzycznym, aż wreszcie nieodwracalnie zakończyły emisję.

Potem długo wpatrywał się w fotokopie Miedzianego Zwoju, obojętne jednak, jak bardzo wyteżał wzrok, nie mógł rozszyfrować dwóch słów w akapicie dotyczącym genizy z żółtym diamentem. „W miejscu, gdzie wzniesiono stos kamieni, gdy ukarano Judę za wzięcie łupów, zakopany na głębokości ośmiu i pół łokcia skrzący się kamień (coś) (coś)..."

Daremnie szukał przesłanek w dokonanym przez Alfreda Hopemana opisie diamentu, aż wreszcie westchnął z rozpaczą:

— Tato, pomóż mi.

Wiedział, co usłyszałby w tym momencie od ojca. *Du bist ah nahr*. To właśnie Alfred Hopeman zwykł powtarzać, ilekroć Harry przegapiał rzeczy oczywiste. Jowialny ton w niczym nie zmieniał sensu słów. *Du bist ah nahr*, jesteś głupcem.

Jeszcze raz przeczytał notatki, usiłując ujrzeć żółty kamień oczyma ojca.

Rozdział 9

BERLIN

Dwa lata po założeniu własnej pracowni i sklepu w najelegantszej części Leipziger Strasse Alfred Hauptmann został zaproszony do Antwerpii na spotkanie niezależnych handlarzy diamentów, którzy przymierzali się do powołania nieformalnej organizacji detalistów. Wszelkie zaś organizacje były wielce poważane przez branżę diamentową, odkąd grupa De Beers stworzyła Syndykat zajmujący się kierowaniem diamentów na rynek. Tak więc Alfred Hauptmann przyjął zaproszenie. Zjazd cieszył się dużą frekwencją, koncepcja jednak powołania nowego stowarzyszenia napotkała spory opór, a to z dwóch powodów: jubilerzy są z natury indywidualistami, po drugie zaś — istniejące już kluby diamentowe zaspokajały wszelkie ich potrzeby w dostatecznym stopniu. Poza tym nikt z ich grona nie miał tyle talentu organizacyjnego i żądz władzy, ile ludzie ze spółek wydobywczych, które skrzyknawszy się kiedyś, doprowadziły do powstania De Beers.

Nikogo nie rozczarowało fiasko zjazdu w kwestii jego deklarowanych celów: doszło do wielu satysfakcjonujących obie strony transakcji, Alfred zaś miał okazję spotkać się z trzema krewnymi, którzy do Antwerpii przybyli z Czechosłowacji. Bardzo lubił swojego kuzyna Ludvika — czy też Laibela, jak go nazywał — towarzysza z lat jubilerskiego terminowania w Amsterdamie, ale prawie nie znał Karela, młodszego brata Ludvika. Teraz Kareł przy każdej nadarzającej się okazji nabożnie studiował konserwatywne tenisy Alfreda, jego getry z jeleniej skóry, miękkie połysk butów i zawsze świeży kwiat w butonierce. Wuj Alfreda, Martin Voticky, nie posiadał się z dumy, gdy podczas obiadu sporo ludzi zatrzymywało się przy ich stoliku, aby uściśnąć dłoń młodego jubilera z Berlina. Jednym z owych ludzi był Paolo Luzatti ze znanego neapolitańskiego domu jubilerskiego Sidney Luzatti i Synowie.

Później tego samego dnia, gdy Alfred samotnie opuszczał Beurs Voor Diamen-thandel, Luzatti podszedł do niego i zapytał:

— Czy moglibyśmy porozmawiać?

Usiedli w kawiarni przy Pelikaanstraate. Niemiecki Luzattiego był niewiele tylko lepszy niż włoski Alfreda, rozmawiali więc w jidysz.

— Jeśli pan wyrazi chęć, moja firma może zlecić panu poważną pracę — powiedział Luzatti. — Poproszono nas o naprawę i konserwację bardzo szczególnego obiektu.

— Mam u siebie kilka osób zajmujących się pracami tego rodzaju — odrzekł Alfred.

Luzatti popatrzył nań z rozbawieniem.

— Bez wątpienia. Mamy podobnych. Ale to jest skarb, który upadł i być może doznał uszczerbku. Mówię o Diamencie Inkwizycji i tiarze, którą zdoła.

— Moja rodzina miała z tym klejnotem wiele wspólnego — zaczął z ożywieniem Alfred, Luzatti jednak nie pozwolił mu skończyć.

— Wiemy. Między innymi dlatego pomyślałem o panu. Znamy również pańską pracę dla Syndykatu w Afryce Południowej. Powinien pan umieć ocenić uszkodzenia wielkiego klejnotu.

— Umie, zapewniam pana. — Gwizdnął przez zęby.

— No, no, konszachty z Watykanem!...

— Tak.

Perspektywa wydała się Alfredowi ekscytująca.

— Czy będę mógł obejrzeć kamień niebawem? Mógłbym pojechać do Rzymu wprost z Antwerpii.

— Nie, nie! To sprawa niezmiernie delikatna. Rozumie pan... żydowska firma i Kościół katolicki. Kościół nie wie, co to pośpiech, toteż ja nie wiem, kiedy przekaże nam klejnot.

Alfred wzruszył ramionami.

— Proszę się ze mną skontaktować, kiedy to uczyni.

Luzatti skinął głową, a potem gestem polecił kelnerowi przynieść dwie następne kawy.

— Niech pan powie, Hauptmann, czy jest pan zadowolony z życia w Berlinie? — zapytał.

— To najbardziej fascynujące miasto świata — odrzekł Alfred.

W Berlinie przyszedł na świat i spędził dzieciństwo w kanciastym szpetnym domu z szarego kamienia stojącym przy Kurfurstendamm. Opuścił go, zdruzgotany i przerażony, kiedy miał czternaście lat, trzy dni po śmierci rodziców, którzy w czasie podróży w interesach zginęli w pożarze wiedeńskiego hotelu. Wykonawcą ich testamentu i kuratorem majątku został stryj Alfreda, Martin Voticky, postać — w oczach młodego chłopaka — odpychająca i obca. Jego nazwisko, przyjęte po wyjeździe do Pragi, było czeską wersją niemieckiego Haupt- manna.

— Jeśli chcesz, możesz zamieszkać z nami — oświadczył Voticky — albo pod-
jąc naukę w szkole z internatem.

Alfred dokonał niewłaściwego wyboru.

Stryj, mając nieprzyjemne wspomnienia z niemieckich gimnazjów, zapisał go do drogiej szkoły w Genewie, lecz tam również postawa uczniów odzwierciedlała uprzedzenia rodziców. Alfred słyszał swe nazwisko tylko wtedy, kiedy wywoływano go do odpowiedzi, albo też gdy wieczorem zasiadał do szachów z innym pariasem, Chińczykiem Pinem Ngau. Pin zresztą w rozmowach z innymi zawsze mówił o Alfredzie „Juif”, Żyd.

Po trzech latach nieznośnej samotności ukończył szkołę z płynną znajomością francuskiego i niechęcią, by jeszcze raz przechodzić przez to wszystko na uniwersytecie, kiedy więc stryj zasugerował, by wraz ze swoim kuzynem wyruszył do Amsterdamu uczyć się szlifowania diamentów, ochoczo wyraził zgodę.

Następne lata były najszcześniejsze w jego życiu. Ludvik szybko zmienił się w Laibela i zastępczego brata Alfreda. Dzielili pokój na poddaszu, skąd mansardowe okienka dawały widok na Prinsengracht Canal i odległy zaledwie o trzy domy wiatrak, którego poskrzypujące śmigła przez pierwszych kilka nocy nie pozwalały im zasnąć, później jednak już zawsze wyśpiwały niekończącą się kołysankę. Błyskawicznie obaj rozmawiali się w sznapsie, kobietach i wędzonych śledziach zwanych tu *bokking*, chociaż rzadko mieli pieniądze na coś więcej prócz śledzia. Każdego dnia z wyjątkiem niedziel uczęszczali na zajęcia z matematyki i optyki w technikum, wybranym przez Martina z racji rygoru i wysokiego poziomu nauczania, i każdego dnia

spędzali długie godziny w jednej z najstarszych pracowni jubilerskich miasta, obrabiając metale szlachetne i najrozmaitsze kamienie.

Żaden z nich nie miał szans stać się słynnym szlifierzem, po czterech latach jednak opuszczali Amsterdam z wiedzą techniczną nieocenioną wręcz dla handlarza drogich kamieni.

Laibel wrócił do Pragi, aby podjąć pracę w firmie ojca, Martin Voticky zaś pogodził się z myślą, że będzie musiał zatrudnić również bratanka, Alfred wszakże zupełnie go zaskoczył, gdy okazało się, że ma własne marzenia i plany. Poprosił o pracę w Syndykacie Diamentowym i już kilka tygodni później, czując się jak kosmopolityczny poszukiwacz przygód, wylądował w Kimberley w Afryce Południowej.

Miasto wyrosło na płaskiej afrykańskiej sawannie wokół tego, co pozostało jeszcze z kopalni Kimberley. W czasach prehistorycznych roztopiona lawa wypłynęła tu na powierzchnię ziemi, a potem na powrót ściekła w dół i ostygła. Górnicy przekonali się już dawno, że największe diamenty znajduje się w niebieskiej glince takiego komina, toteż kopalnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją Alfred, była całkowicie wyeksploatowana. W latach 1871—1914 wydobyto z niej trzy tony diamentów — 14 504 567 karatów — pozostawiając Wielką Dziurę, ziejący krater o średnicy jednej trzeciej mili i głębokości trzech tysięcy sześciuset stóp, z jeziorem głębokości siedmiuset stóp na dnie. Całość otaczała siatka. Alfred unikał tego miejsca jak zarazy.

Ze względu na biegłą znajomość francuskiego został skierowany do Compagnie Française de Diamant, jednej ze spółek holdingu, gdzie powierzono mu sortowanie, klasyfikowanie i ocenę surowych kamieni; całymi dniami pracował pod nadzorem ludzi, dla których wewnętrzna struktura kryształów była otwartą księgą. Analizował setki diamentów z najrozmaitszymi skazami, opisując, które mogą zostać oszlifowane tak, że ocaleją jako klejnoty, które zaś nadają się wyłącznie do zastosowań przemysłowych. Było to jedyne w swoim rodzaju doświadczenie zawodowe — za które zresztą otrzymywał godziwą płacę — ale nienawidził tamtejszego klimatu i sytuacji rasowej; poza tym, jakkolwiek zdawał sobie sprawę z niezbędności takich praktyk, nigdy nie przywykł do widoku ludzi, którzy przyświecając sobie latarkami poszukują w gardłach i odbytkach innych ludzi skradzionych diamentów.

Gdy jego dwuletni kontrakt dobiegł końca, dyrektor wezwał go do siebie i zapytał, czy zechciałby pozostać w firmie, potem zaś, słysząc uprzejmą, lecz odmowną odpowiedź Alfreda, ze zdumieniem spojrział nań sponad okularów.

— Ach, tak? Gdzie zatem zamierza się pan udać, Hauptmann?

— Do Berlina — odparł Alfred.

„Nie podoba mi się twój plan” — napisał stryj Martin.

— „W Syndykacie czekała cię wspaniała przyszłość, uważam zaś za czyste szaleństwo, że człowiek tak młody jak ty zamierza działać w branży jubilerskiej na własną rękę. Któż kupi kosztowności od takiego młokosa? Jeśli musisz odejść z De Bers, przyjedź do Pragi. Interesy kwitną, z pewnością się nam przydasz, a za dziesięć albo piętnaście lat, kiedy będziesz doświadczony i dojrzały, pomożemy ci zacząć.”

Alfred jednak trwał przy swoim i Martin wreszcie skapitulował. „Widać nadszedł czas. Odtąd będziesz odpowiadał sam za siebie” — napisał i zaprosił bratanka do Pragi. Kiedy Alfred tam dotarł, zaryglował drzwi biura, otworzył sejf i przekazał oszołomionemu Alfredowi jego dziedzictwo — bryłkę o pozłoczonej podstawie.

— Jest w rodzinie od wieku pokoleń — oświadczył

— przechodząc z ojca na najstarszego syna. Daję ci to, ponieważ zastępuję twojego ojca.

Pozłoczonemu kamieniowi towarzyszyła jego historia i wiele innych tajemnic dotyczących jubilerskich tradycji rodzinnych; ich przekazanie trwało całe popołudnie, a kiedy Martin wreszcie skończył, Alfred był poruszony do głębi — zaczął rozumieć samego siebie, usłyszał bowiem opowieść na miarę swoich marzeń. Ich realizacji nie mogły zapewnić pozostawione przez ojca pieniądze, które na pożegnanie przekazał mu stryj — lata nauki uczyniły w kapitale spory wyłom — Alfred miał jednak pewne oszczędności poczynione w Kimberley i to wszystko na początek musiało mu wystarczyć.

Nie mógł wybrać odpowiedniejszego momentu na powrót do Niemiec. Podczas jego nieobecności kraj doświadczył porażki, rewolucji, bezrobocia i głodu, ale w połowie lat dwudziestych rozkwitał, zagraniczni inwestorzy zaś zasilali niemiecki przemysł i handel olbrzymimi zastrzykami gotówki. Alfred wędrował po Berlinie zastanawiając się, gdzie otworzyć sklep. Ktoś młodszy lub starszy niż on patrzyłby może z odrazą na to wszystko, co działo się w mieście, Alfred był jednak w wieku, kiedy występki nieodparcie pociąga. Aleje — wciąż szerokie, czyste i piękne — dniem i nocą patrolowały armie prostytutek w wyzywających strojach, bary, lunaparki i mordownie wyrastały jak grzyby po deszczu w miejscach, które pamiętał jako spokojne kwartały

zamieszkiwane przez solidnych kupców i uczciwych robotników. Berlin zdawały się zaludniać same piękne kobiety, długonogie, szczupłe i wyuzdane.

Dom przy Kurfurstendamm, szary kamienny budynek, wyglądał tak samo jak kiedyś, tyle że w ogrodzie ścięto dwie jarzębiny, trzecia zaś zmieniła się w dorosłe drzewo. Długo stał na ulicy, niemal oczekując, że otworzą się drzwi kuchenne i usłyszy okrzyk: „Alfred! Alfred! Natychmiast wracaj. Ojciec będzie lada chwila.”

W końcu drzwi otworzyły się i wyszedł z nich starszy pan. Miał siwe gęste wąsy, wyglądał jak emerytowany wojskowy. Spojrzał na ulicę akurat w chwili, kiedy jeden ze szwen- dających się tam homoseksualistów podszedł tanecznym krokiem do Alfreda, dotknął jego ramienia i zapytał:

— *Na?*

— Nie — odrzekł Alfred i spiesznie ruszył przed siebie.

*

Znalazł sobie mieszkanie w centrum Berlina, przy Wilhelmstrasse, które przejął wraz z dobrodziejstwem inwentarza: parą zastępczych rodziców w osobach właścicieli domu, mieszkających na pierwszym piętrze. Bernhard Silberstein był emerytowanym lekarzem, brodatym i siwowłosym, miał chroniczny kaszel i palce poźółkłe od nikotyny. Jego żona, tłusta i pełna ciepła staruszka o imieniu Annalise, dała jasno do zrozumienia, że liczy na obecność Alfreda podczas piątkowych wieczery otwierających szabat.

— Nie, nie jestem religijny — odparł Alfred, zbyt zakłopotany i stropiony, żeby chociaż uczciwie jej podziękować.

— A zatem we wtorki — oświadczyła Frau Silberstein głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Pierwszego razu na przystawkę zaserwowała pokrojoną w plastry gęsią wątróbkę ze skwarkami, potem faszerowanego owocami ptaka, którego przyrumieniona skórka po prostu rozpływała się w ustach, do niego zaś kluski ziemniaczane i czerwoną kapustę. Deser — gorący jabłecznik — wyrwał z ust Alfreda głębokie westchnienie.

— Grywa pan w szachy? — zapytał po kolacji Silberstein.

— Dawno nie grałem.

— Tego się nie zapomina — stwierdził stary doktor, przydzielając sobie czarne. Był bardzo dobry, natychmiast zaczął dziesiątkować białe. — Dlaczego wrócił pan do Niemiec?

— Kocham Berlin. Od lat marzyłem o powrocie.

— Ale tutejsi ludzie nienawidzą Żydów — powiedział cicho Silberstein.

— Tak samo jest wszędzie.

— Drogi młodzieńcze, czy zna pan Walthera Rathenaua?

— Oczywiście, to zamordowany minister spraw zagranicznych.

— Był taki marsz śpiewany przez Freikorps: „Knallt ab den Walther Rathenau, Die Gottverfluchte Judensau". Zastrzelcie Rathenaua, bo to parszywy Żyd. Słyszał pan o nazistach? O Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników?

— Nie, słabo orientuję się w polityce.

— Mikroskopijna partyjka. Szumowiny. Obiecują, że oczyszczą Niemcy z Żydów.

— Jak wypadli w ostatnich wyborach?

— Żałośnie, zaledwie dwieście osiemdziesiąt tysięcy głosów w całym kraju.

— No i sam pan widzi — stwierdził Alfred.

„Wertheim" przy Leipzigerplatz był domem towarowym dla elit, pałacem z marmuru i kryształu: miał fontanny wyłożone glazurą z należących do samego cesarza wytwórni ceramiki, osiemdziesiąt trzy windy, schody ruchome i całe kilometry rur pneumatycznych. Obecnie architekt Erie Mendelsohn budował na zlecenie handlarzy futer o nazwisku Herpich drugi taki pałac, tym razem przy Leipziger Strasse. Alfred uważnie śledził tę budowę; Mendelsohn, co było absolutną nowością, zaprojektował gmach niemal w całości szklany. Dwaj zagadnięci przez Alfreda młodzi pracownicy architekta wyjaśnili z entuzjazmem, że chodzi o nową formę ekspozycji, wieczorem bowiem ukryte światła elektryczne wydobędą całą świetność tak wewnątrz, jak i wypełniających je towarów.

Koncepcja zaintrygowała Alfreda.

Nieco dalej przy tej samej ulicy znalazł budynek, w którym niedawno zlikwidowano sklep obuwniczy. Kiedy właściciel zażądał wygórowanego czynszu, Alfred odparł:

— Zapłacę, jeśli dokona pan pewnych zmian.

Właściciel wysłuchał jego żądań i wyraził zgodę.

Podczas trwania prac remontowych Alfred zapuścił wąsy. Stryj Martin wysłał listy polecające do producentów tanich zegarków i również taniej, choć cieszącej się wzięciem biżuterii, Alfred jednak nie skorzystał z rekomendacji stryja, lecz osobiście odbył wiele rozmów telefonicznych z Londynem i napisał mnóstwo listów. Dokładnie sobie przemyślał, co chce sprzedawać, był więc w swych prośbach niezmiernie konkretny. Jego rozmach podziałał na wyobraźnię jednego z wyższych urzędników Syndykatu, który sprawdził referencje Alfreda w aktach personalnych spółki, następnie zaś odpowiedział, że wprowadzie De Beers nie sprzeda mu kamieni bezpośrednio, ale zarekomenduje go kilku środkowoeuropejskim hurtownikom. Ku swej bezmiernej radości Alfred zdołał zaopatrzyć sklep w towar wyłącznie na kredyt, przeznaczając zaoszczędzoną w ten sposób gotówkę na wystrój — puszyste tureckie dywany i antyczne krzesła otaczające gabloty, w których będą spoczywać kamienie. Na alabastrowo białych ścianach zawisły niezliczone zwierciadła.

Otwarcie Domu Towarowego Herpichów było wielkim wydarzeniem towarzyskim — przemawiali politycy, przecinano wstęgę i pito szampana. Potem panie i panowie w strojach wieczorowych mogli zachwycać się do woli norkami, sobolami i kunami skąpanymi w blasku przemyślnie ukrytych świateł. Wreszcie wychodzili na ulicę i wtedy, zwabieni oślepiająco jasną lampą Kliegla, sunęli niespiesznie w stronę dawnego sklepu z obuwiem, którego wszystkie okna zamurowano, otynkowano i wraz z całą fasadą pomalowano na barwę śliwkową. Po futrzanym szaleństwie domu towarowego ta ściana jakby przynosiła uspokojenie... dopiero z bliska było widać, że jest w niej szczelina, przywodząca na myśl wąziutkie okienko w zaświaty. I tam, za szkłem, na podwyższeniu okrytym czarnym aksamitem, spoczywał biały nieoprawiony diament.

Na mosiężnej zaś tabliczce przy drzwiach wygrawerowano tylko jedno słowo: HAUPTMANN.

Alfred dopilnował, żeby spłacić hurtowników z pierwszych zarobionych pieniędzy. Na początku dwóch dostawców usiłowało wykorzystać jego młody wiek. Otóż

Bracia Deitrich, stara firma niemiecka, i Spółka Koenig, nieco mniejsza żydowska, praktycznie monopolizowały berliński rynek złotych opraw. Irwin Koenig podał cenę — z czego Alfred zdawał sobie sprawę — absurdalnie wysoką, wkrótce potem tak samo postąpili Bracia Deitrich. Bez opraw nie mógł sprzedawać pierścionków z diamentami. Było oczywiste, że obie firmy uzgodniły ceny, aby przyprzeć go do muru.

— Nie, dziękuję — oznajmił Koenigowi, kiedy ten przyszedł po odpowiedź. — Postanowiłem zamówić towar w innym źródle.

To samo powiedział Deitrichom.

Nie posiadał się z niepokoju, lecz po tygodniu Koenig przedstawił dość rozsądną ofertę. Potraktował ją jako punkt wyjścia do negocjacji z Deitrichami i uzyskał cenę jeszcze korzystniejszą, poczyniwszy zaś pewne ustalenia, zdecydował, że w przyszłości zaopatrywał się będzie w złote oprawy w Pradze, za pośrednictwem sklepu stryja Martina. Niebawem miał na tyle duże obroty, by zatrudnić dwóch techników z Amsterdamu, ludzi, którzy przeszli przez takie samo szkolenie jak on i Laibel.

Od samego początku lubił zarabiać i wydawać pieniądze. Kupił ciemnoszary automobil, jeden z pierwszych produktów fuzji Daimlera i Benza, znalazł sobie krawca i zaczął zamawiać garderobę. Doktor Silberstein, który miał jeden wyświecony garnitur i czytywał publikacje Instytutu Psychoanalizy, zawyrokował, że usiłuje powetować sobie samotne dzieciństwo; zaraz potem Alfred przeniósł się do innego krawca, najdroższego krawca na Tauenzienstrasse. Ów polecił mu bieliźniarza i szewca, który wyrabiał również getry. Trzy razy dziennie posłaniec z kwaciarni zjawiał się w sklepie Hauptmanna ze świeżymi kwiatami do butonierki.

Bujny rudy wąs Alfred przyciął w taką szczoteczkę, jaką widział na wardze jegomościa stojącego w drzwiach domu jego dzieciństwa. Fantazjował, że w ten sposób dodaje sobie mniej więcej pięć lat. Wyjąwszy zresztą potyczkę z dostawcami, młody wiek nie stanowił przeszkody, wręcz przeciwnie — pod warunkiem, rzecz jasna, że człowiek odniósł już sukces.

Życie nauczyło go powściągliwie traktować zaproszenia, kiedy jednak Lew Ritz, amerykański student medycyny, zapytał, czy pójdzie z nim na przyjęcie, wyraził zgodę, bo bardzo lubił Ritza, którego imię w jidysz brzmiało tak samo jak imię kuzyna Ludvika — Laibel. Wieczorem pojechali na zachodnie przedmieście Berlina, do domu stojącego na brzegu Haweli. Drzwi otworzyła im służąca odziana tylko w fartuszek, dom wypełniały zupełnie nagie kobiety i nienagannie ubrani mężczyźni. Kilku

z nich otaczało wianuszkami tancerkę przybyłą do Berlina w zespole Josephine Baker. Czarne kobiety stanowiły w mieście ostatni krzyk mody, Alfred wszakże i Lew jak jeden mąż ruszyli w stronę kogoś zupełnie innego.

Zatrzymali się w pół drogi, popatrzyli na siebie i Ritz wyjął monetę.

Dziewczyna miała ładną buzię, nierówne zęby i smukłe ciało z różowymi śladami po pasie na bardzo białej skórze.

— Nie tym razem — powiedział Alfred. — Pozwolisz, Laibel?

Ritz był dobrodusznym facetem, pokręcił więc głową i odszedł.

— Jestem Alfred.

Sprawiała wrażenie skrępowanej, może nawet złej. Niewykluczone, uznał Alfred, że bardziej przypadł jej do gustu Lew.

— Jestem Lilo.

— O czym myślisz?

— Że masz fantastyczne wdzianko.

— Gdzie mu do twojego! — odparł z grobową powagą.

Wybuchnęła śmiechem.

— Musimy sterczeć w tym cyrku? — zapytał.

— Jest zimna noc. Lepiej pójdę po ubranie — odparła.

Opodal kiosku, gdzie doktor Silberstein kupował gazetę w jidysz, młodzieńcy w brunatnych koszulach zaczęli sprzedawać swój antysemityczny tygodnik „Atak”. Nazywali siebie szturmowcami, Sturmabteilung, i zastraszali ludzi, ale również w następnych wyborach ich partia wypadła kiepsko.

— Zaledwie dwanaście mandatów! — triumfował Silberstein. — Zaledwie dwanaście miejsc w Reichstagu liczącym pięciuset deputowanych!

— W końcu — przypomniał mu Alfred — żyjemy w kraju, który uczynił Alberta Einsteina dyrektorem Instytutu Cesarza Wilhelma.

— Ale to również kraj... — odparł Silberstein, bijąc Alfredowego piona jednym ze swoich laufrów — ...gdzie obywatele wystają przed gabinetem Einsteina w Pru-

skiej Akademii Nauk i pod jego mieszkaniem przy Haberlandstrasse, aby obrzucać go zniewagami, ponieważ jest Żydem.

— Półgłówki.

Stary doktor mruknął pod nosem. Tradycja wtorkowych wieczorów była dla nich świętością, a gra Alfreda poprawiała się z partii na partię. Jego pierwsze zwycięstwo nad gospodarzem było niezwykłym wydarzeniem, teraz jednak walczyli ze sobą jak dwa tygrysy na łowach, nie prosząc o litość i nie okazując jej ofierze. Silbersteina prześladowały urojenia. Pewni holenderscy finansiści, czterej bracia nazwiskiem Bar-mat, zostali oskarżeni publicznie o próbę przekupienia wysokich niemieckich funkcjonariuszy rządowych. Byli Żydami i Silberstein spodziewał się reperkusji.

— Nonsens — uznał Alfred. — Czyż nie ma przestępców katolików? I przestępców protestantów?

— Musimy być nadzwyczaj ostrożni — odparł z wahaniem Silberstein. — W szczególności musimy się wystrzegać wszelkich dwuznaczności w prowadzeniu interesów.

Alfred zorientował się wreszcie, w jakim kierunku zmierza rozmowa — Bernhard Silberstein udzielał się w Radzie Żydowskiej wraz z Irwinem Koenigiem, dostawcą, z którym Alfred miał problemy.

— Chyba zdołał mnie pan już poznać — powiedział. — Proszę zatem powiedzieć, czy sądzi pan, że oszukałem tę gnidę?

— To bez znaczenia. Istotne, że on utrzymuje, iż pan go oszukał. Rabi Hillel rzekł: „Nie wystarczy unikać zła. Trzeba również unikać pozorów zła.”

Alfred westchnął.

— Czy zechciałby pan wziąć udział w posiedzeniu Rady Żydowskiej w przyszły wtorek? — zapytał Silberstein. — Będziemy czcić dwusetną rocznicę urodzin Mendelssohna.

— Feliksa Mendelssohna, tego kompozytora?

— Ależ nie, nie, Mojżesza Mendelssohna, jego dziadka, który przełożył na niemiecki Pięcioksiąg.

— Nie mogę — odparł Alfred. Przeanalizował sytuację na szachownicy, a potem wykonał ruch, który okazał się wielce ryzykowny. — Jestem ostatnio niezwykle zajęty — dodał.

Utrzymywała, że ma nadprzyrodzoną moc, ponieważ jest obrzezany, że hipnotyzuje ją i niewoli. Kiedy pochylał głowę, nuciła mu pieściwie i nazywając swoim żydowskim rycerzykiem, mawiała, by wstał i ruszył do boju.

Miała dziesięć lat więcej niż Alfred. Wszyscy wołali ją Lilo, choć naprawdę nazywała się Elsbeth Hilde-Maria Krantz i była córką westfalskiego hodowcy świń. Przez siedem lat pracowała jako pokojówka broniąc dziewictwa i oszczędzając każdego feniga, aby mieć posag niezbędny dziewczynie z jej klasy społecznej do zdobycia męża. W dni wolne od pracy wracała do domu i pomagała ojcu w karmieniu albo biciu świń, co zależało od pory roku. Uskładała już prawie dostateczną sumę, gdy zaatakowała inflacja i prawie z dnia na dzień uciulane z takim trudem marki straciły wszelką wartość.

— Moje życie nie miało sensu — wyznała Alfredowi, kiedy leżeli w łóżku, a przez podłogę przesączała się muzyka z czyjegoś gramofonu. — Dlaczego musiałam wybierać pomiędzy sprzątaniami toalet a wachaniem świńskiego gówna? Postanowiłam zostać aktorką.

Teraz pracowała jako urzędniczka w fabryce tekstyliów, była na liście dyspozycyjnych statystów w Wytwórni Filmowej UFA i mętnie napomykała o filmie, w którym ją obsadzono. Alfred domyślał się, jaki to mógł być obraz.

Lubił jednak jej towarzystwo; chodzili do kabaretów, w szczególności do Tingeltangla, za którym przepadała. Czasem załatwiała dziewczynę dla Ritza, mimo że kpił, iż na jazz mówią „jac”, ale na ogół odbywali swe eskapady tylko we dwoje. Alfred zabierał ją do teatrów i na koncerty w filharmonii, gdzie Artur Schnabel wzruszał ją do łez.

Dostała od Alfreda naszyjnik i bransoletę. U Herpichów kupił jej futro i czasem dawał pieniądze, lecz nie łączył ich żaden sformalizowany układ. Alfred był wielce zadowolony ze swego życia i miał się za cholernie pociągającego faceta.

Pewnego dnia weszli pomiędzy występami do baru w Tingeltangu akurat w chwili, kiedy barman wyłączył radio.

— Nie ma dziś żadnej muzyki — wyjaśnił — tylko bez końca gadanie o Nowym Jorku. A kogo obchodzi Nowy Jork?

— Co tam się właściwie dzieje? — zapytał Alfred, sadowiąc się na stołku.

Barman wzruszył ramionami.

— Jakieś zamieszanie na giełdzie — odparł.

Kilka miesięcy później dozorca budynku, w którym mieścił się sklep, powiedział Alfredowi, że obecna sytuacja przypomina mu tę z roku 1921.

— A gdzie pan był w dwudziestym pierwszym, Herr Hauptmann? — zapytał.

— W Szwajcarii, w szkole.

Dozorca westchnął.

— W dwudziestym pierwszym moje dzieci często chodziły spać głodne.

Teraz w Niemczech też głodowało wiele dzieci, nic więc dziwnego, że mało kto myślał o kupowaniu diamentów i oto nagle okazało się, że holenderscy technicy nie mają czego szlifować i oprawiać. Alfred dał im największą odprawę, na jaką mógł sobie pozwolić, i odesłał ich do domu.

Lew Ritz opowiadał, że produkcja w należącej do jego ojca fabryce kapeluszy praktycznie stanęła. Na wiosnę zrobił dyplom i wrócił do Ameryki. Nazajutrz po jego wyjeździe Alfred dostał list od stryja Martina. Voticky sugerował, że mógłby podesłać Alfredowi kuzyna Karela do pomocy, a kto wie, czy również nie Laibela, ponieważ interesy w Pradze chwilowo idą kiepsko.

Alfred odpisał, że raczej powinni zostać w domu.

— Wszystko zwalają na Żydów — powiedział Silberstein.

Ostatnimi czasy wyglądał źle. Annalise wyznała Alfredowi,

że szwankuje na zdrowiu i nawala mu serce. To dlatego ciągle kaszle. W upalne noce starszy pan miał kłopoty z oddychaniem, wsparty więc o poduszki przesiadywał do rana przy otwartym oknie.

— We Frankfurcie nad Menem uczy się w jesziwie mój krewny z Polski — ciągnął Silberstein. — Faszyści biją tam Żydów, a policja nie chce nawet słuchać skarg.

— Berlin jest wciąż cywilizowanym miastem — stwierdził Alfred.

— Powinien pan wyjechać. Jest pan młody.

Alfred stracił cierpliwość.

— Zajmijmy się lepiej szachami — zaproponował.

Interesy szły coraz gorzej. W Kapsztadzie niejaki Ernest Oppenheimer został prezesem De Beers i stwierdził, że depresja nie jest jego jedynym problemem, holding bowiem zgromadził tak potężne zasoby diamentów, że dramatycznie stracą na wartości, jeśli trafią na rynek. Co gorsza, w Transwalu i na wyżynie Nama otwarto nowe kopalnie. Oppenheimer rozwiązał zatem Syndykat, zastępując go Korporacją Diamentową, której celem było kierowanie na rynek kamieni tak wąską strużką, by zachowywały wysokie ceny. Jakiż jednak sens miało utrzymywanie wysokich cen, jeśli obroty były zerowe?

Alfred obudził się pewnego ranka i stwierdził, że zupełnie mu zbrzydła pozycja człowieka interesów, który codziennie chodzi do sklepu tylko po to, aby gapić się na niezmiernie rzadko otwierane drzwi. Niektórzy znani jubilerzy zaczęli handlować tandetą w rodzaju tej, jaką na początku podsuwał mu stryj Martin, Alfred jednak postąpił inaczej: zafundował sobie czterodniowy pobyt w Holandii, gdzie zamówił kolekcję doskonale wykonanej biało-niebieskiej ceramiki z Delft, oddał wszystkie kamienie wzięte na weksel i pozbył się właściwie całego dawnego towaru z wyjątkiem siedmiu małych żółtych diamentów, które trzymał w sejfie, żeby wciąż czuć się jak jubiler. W witrynie miejsce klejnotu zajął zegarek szwajcarski. Nowa kolekcja szła kiepsko, ale sytuacja wcale nie wyglądałaby lepiej, gdyby nastawił się na lichotę. W lasach dookoła Berlina bezrobotni wznosili kolonie namiotów.

— Tylko silny człowiek może wyprowadzić nas z tego szamba — stwierdził dozorca, szacując wzrokiem piękny garnitur Alfreda. Dziwnym wzrokiem... Był pewnie nazistą lub komunistą, a może po prostu miał głodne dzieci.

Z Neapolu napisał Paolo Luzatti informując, że zlecenie, o którym rozmawiali w Antwerpii kilka lat temu, jest aktualne. Alfred wiele rozmyślał o Diamencie Inkwizycji, a perspektywa zajęcia się Tiarą Grzegorza ubarwiała nieco szarość codziennej egzystencji. Albowiem Berlin pomroczniał; jeszcze niedawno Alfred uwielbiał space-

rować aleją Unter den Linden, lecz teraz dwa lub trzy razy w tygodniu odbywały się tam parady brunatnych koszul z SA bądź ubranych w wyblakłe żółte bluzy robocze komunistów, czasem zaś i tych, i tych jednocześnie. Ilekroć kolumny stawały oko w oko, pięści szły w ruch.

Wyglądało to tak, jakby na najpiękniejszej ulicy miasta osy toczyły bój z karaluchami.

Wrześniowe wybory przyniosły katastrofalny wynik. Naziści, którzy utrzymywali buńczucznie, że podniosą swój stan posiadania z dwunastu do pięćdziesięciu mandatów, dostali koniec końców sześć i pół miliona głosów, Niemcy więc obdarowali Adolfa Hitlera stu siedmioma miejscami w Reichstagu.

Tydzień po wyborach Paolo Luzatti przyjechał do Berlina, przywożąc Tiarę Grzegorza w brezentowej torbie, jaka mogłaby służyć hydraulikowi do noszenia narzędzi.

— Wspaniały przedmiot— stwierdził Alfred na jej widok.

— Pańska rodzina słynie z dobrej roboty.

Podziękował za komplement nieznacznym skinieniem głowy.

Przejmując tiarę neapolitańska firma ubezpieczyła ją na znaczną kwotę i teraz takie samo ubezpieczenie musiał wykupić Alfred; podczas sporządzania dokumentu Luzatti dygotał w tle jak rozstrojona nerwowo ćma.

Papieskie nakrycie głowy uległo uszkodzeniu podczas upadku na ziemię. Luzatti zaglądał Alfredowi przez ramię, gdy ten ostrożnie uwalniał diament z oprawy i badał go przez lupę. Obaj wiedzieli, jak łatwo, mimo swej twardości, pękają diamenty.

— Chyba nie doznał uszczerbku — zawyrokował Alfred, a Luzatti odetchnął z ulgą. — Niemniej — ciągnął obojętnie — muszę przeprowadzić dokładniejsze badanie, a to trochę potrwa. Przy okazji mógłbym naprawić oprawę.

Luzatti popatrzył nań spode łba.

— Czy ma pan niezbędne umiejętności? Tiara musi być w idealnym stanie, kiedy będziemy zwracać ją do Watykanu.

Alfred wzruszył ramionami.

— Być może trzeba będzie wezwać na pomoc złotnika. Jest tu kilku prawdziwych mistrzów.

W końcu rozstali się z obopólnym uczuciem ulgi — Luzatti wrócił pociągiem do Neapolu, Alfred zaś został sam na sam z tiarą.

Mimo polisy nie rozstawał się z nią i diamentem ani na chwilę — zabierał je w torbie do sklepu, a po pracy w tej samej torbie niósł do domu. Pewnego wieczoru, goszcząc u siebie Lilo, pokazał jej oba przedmioty.

— Do kogo należą? — zapytała.

— Do papieża.

Zmarszczyła czoło. Nie była zbyt religijna, ale podobne żarciki uznawała za nie stosowne. W szczególności w ustach kogoś takiego jak Alfred.

— Przedtem diament należał do pewnego człowieka z Hiszpanii — dodał Alfred — którego spalono za to, że w żyłach miał za dużo żydowskiej krwi.

— Czasem myślę, że jesteś szurnięty — stwierdziła pogodnie.

Dokładne badania dowiodły definitywnie, że kamień nie jest uszkodzony, pewnego ranka więc Alfred osadził go w tiarze. Zastanawiał się przy tym, czy watykańscy dostojnicy mają świadomość, iż tworząc ją, jego przodek wzorował się na masniefesie, nakryciu głowy żydowskiego arcykapłana, różniącym się od złotej tiary jedynie tym, że było wykonane ze lnu. Czyszczenie tiary okazało się skomplikowanym procesem, za co zresztą Alfred był wdzięczny losowi, bo delectował się każdym kolejnym etapem. Przeprowadziwszy drobne eksperymenty, doszedł do wniosku, że nie potrzebuje pomocy złotnika, by dokonać niezbędnych napraw — nieznacznymi uderzeniami młoteczka wyklepał uszkodzone miejsce, zdając się czerpać natchnienie i kunszt z talentu swojego przodka, który powołał do istnienia piękny przedmiot.

Praca, chociaż bardzo tego pragnął, nie uczyniła go ślepym na rzeczywistość. W październiku zebrał się nowo wybrany Reichstag, a pod budynkiem parlamentu wielotysięczny tłum wiwatował na cześć Alfreda Hitlera. Wbrew prawu naziści przemycili na posiedzenie swe szturmowe mundury, przebrali się w toaletach i zdołali zniszczyć całą powagę sesji, wygwizdując i wytupując każdego, kto usiłował zabrać głos. Kiedy w końcu policja rozproszyła tłum pod Reichstagiem, organizatorzy manifestacji uformowali pochód i poprowadzili go na Dom Towarowy Herpichów. Rychło po-

wybijano w nim szyby i zaczęto rabować futra. Siedząc w swym sklepie Alfred słyszał, jak suną potem ulicą w drodze do Wertheima, wywrzaskując:

— *Judaverrecke!* Wykończyć Żydów! Wykończyć Żydów! Wykończyć Żydów!

Lew Ritz informował w liście, że rozpoczyna praktykę w nowojorskim szpitalu, potem zaś pisał: „Jak rozumiem, zapotrzebowanie na amerykańskie wizy raptownie w Niemczech wzrasta. Czy rozważałeś myśl o ewentualnym przyjeździe do Stanów? Na wypadek gdybym cię do tego namówił, przesyłam załącznik. Może ci się przydać, nie dają bowiem wiz osobom, które nie potrafią dowieść, iż w pierwszej kolejności nie przedłużą kolejek po zasiłki. Mam nadzieję, że przyjedziesz. Jeśli tak, zabiorę cię do lokalu o nazwie Cotton Club, gdzie przekonasz się, iż nigdy dotąd nie słyszałeś prawdziwego «jacu»...”

„Załącznik” okazał się wystawionym przez ojca Lew Ritza zaświadczeniem, że natychmiast po przekroczeniu granicy Stanów Alfred Hauptmann zostanie zatrudniony w Ritz Hcadwear Corporation. Alfred umieścił dokument w sejfie, kiedy jednak dziękował listownie przyjacielowi, nie omieszkał zaznaczyć, iż faszyci są zaledwie drugą co do wielkości partią w Niemczech. „Prezydentem Republiki Niemiec jest Paul von Hindenburg, który poprzysiągł strzec zasad konstytucji” — napisał. Wolał nie myśleć, iż Hindenburg liczy sobie osiemdziesiąt cztery lata i często zapada w drzemki.

Lilo wciąż okazywała mu przyjaźń i przywiązanie, najwyraźniej jednak niepokoił ją rozwój wydarzeń. Nie mruczała już melodyjek swojemu żydowskiemu rycerzykowi, a kiedyś, leżąc obok Alfreda w ciemnościach, dała wyraz swoim obawom.

— Naziści mają meliny w różnych częściach miasta. W opuszczonych składach i fabrykach, wiesz?

— Nie słyszałem.

— Nazywają je punktami zbornymi. Sprowadzają tam na przesłuchania swoich wrogów, komunistów i Żydów.

— Skąd wiesz?

— Ktoś mi mówił.

Uspokajająco poklepał jej udo. Zapewne był to tylko wymysł, choć z drugiej strony któż to wie? Ludzie naprawdę znikali. Z kanału Landwehr nieustannie wyląwiano teraz jakieś zwłoki.

I wszędzie kręcili się umundurowani faszyci, bardzo wielu faszystów, w znacznej części świeżej daty. Hitler obiecywał pracę i dostatek, kiedy tylko zostaną naprawione wersalskie krzywdy, a Żydów przepędzi się z Niemiec.

Artykuł redakcyjny w „Ataku” z nieszczerą troską przestrzegał obywateli, by nie usiłowali rozstrzygać kwestii żydowskiej na własną rękę, jest to bowiem problem państwa, coraz więcej obywateli jednak postępowało wręcz odwrotnie. Przerażony wybuchami przemocy krewniak Silbersteina porzucił jesziwę i umknął z Frankfurtu nad Menem do Berlina, ale i tu natychmiast rozpoznawano w ospowatym młodzieńcu z rzadką bródką jednego ze znienawidzonych *Ostjuden*, Żydów, którzy przybyli do Niemiec z Europy Wschodniej. Dwa dni po przyjeździe Max Silberstein, idąc do kiosku po gazetę dla krewnego, natknął się na faszystów sprzedających „Atak”. Wrócił do domu blady, z obłędem w oczach i przyczepioną do pleców kartką, na której widniał napis: JESTEM ŻYDOWSKIM ZŁODZIEJEM. Nazajutrz jechał pociągiem do Krakowa.

Tego Silbersteinom było już za wiele: uładzili swoje berlińskie sprawy i przenieśli się do znajomej lekarki, która miała gospodarstwo rolne w górach Harzu.

— Dlaczego nie chce pan wyjechać z kraju? — zapytał Alfreda na pożegnanie doktor Silberstein.

— Prowadzę tu interesy — odparł Alfred, siłąc się na spokój.

— Chce pan doczekać momentu, kiedy wszyscy zapragną uciec i będzie już za późno?

— Skoro postrzega to pan w taki sposób, dlaczego sam pozostaje w Niemczech?

— Głupcze! Trzeba przejść badania, aby otrzymać wizę.

Patrzyli na siebie z gniewem.

— Niech pan zapomni o interesach. — Podniecony starzec oddychał z coraz większym trudem. — Czyż jest coś prawdziwie wartościowego, czego nie mógłby pan ze sobą zabrać?

Alfred zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, to miasto — odrzekł.

A przecież miasto, które kochał, praktycznie przestało istnieć. Faszyści i komuniści wyrosli już z pałek, toteż podczas spacerów często musiał zmieniać trasę, aby uniknąć miejsc, gdzie rozlegała się strzelanina.

Gdy pewnego ranka przyszedł do pracy, zobaczył na śliwkowym murze wypisany ciekącą białą farbą napis: JUDE. Nie stał go, paradoksalnie zyskując w ten sposób dobrą reklamę, każdego dnia bowiem pojawiała się kilku sympatycznych klientów, którym sprzedawał sporo ceramiki z Delft. U Herpichów kilkakrotnie wstawiano szyby, aż wreszcie zabito okna deskami i tak już zostało. Krążyły pogłoski, że Herpichowie noszą się z zamiarem sprzedania sklepu chrześcijanom. Może były zgodne z prawdą, istniała bowiem tendencja przejmowania przemysłu i handlu przez Aryjczyków. Któregoś dnia Alfreda odwiedził Richard Deitrich i oznajmił, że jego spółka wykupiła Irwina Koeniga.

Richard Deitrich miał pogodną błyszczącą twarz i doskonałego krawca. Sądząc po swastyce w klapie marynarki, krawiec ów będzie musiał przestawić się niebawem na szycie mundurów.

— To uroczy sklepik, zawsze go podziwiałem — stwierdził Deitrich. — Czy nie byłby pan zainteresowany ewentualną sprzedażą, Herr Hauptmann?

— Dotąd o tym nie myślałem.

— Pewnym osobom coraz trudniej będzie prowadzić interesy, jeśli pan wie, co mam na myśli. Jeżeli spienięży pan sklep teraz, moglibyśmy pana zatrudnić.

— To raczej nie wchodzi w grę.

— W przyszłości jego wartość będzie znacznie niższa — stwierdził uprzejmie Deitrich.

Alfred podziękował mu za propozycję.

Miał niemieckie nazwisko, czuł się Niemcem, a przecież w restauracjach i kolejkach do kas teatralnych kłuły go pełne niechęci, a nawet odrazy spojrzenia innych.

Mieszkanie Silbersteinów stało puste, Alfredowi brakowało wtorkowych szachów, w dodatku nagle Lilo była strasznie zajęta, ilekroć do niej dzwonił. Pewnego wieczoru barman z Tingeltangla wspomniał mu, że przychodzi czasem z facetem w brunatnej koszuli.

Zatelefonował do niej i poprosił o rozmowę. Kiedy przyjechał, ubrana w szlafrok nakładała lokówki, które cuchnęły jak zepsute jajka.

— Tak, to prawda — przyznała. — Mam nowego przyjaciela.

Czekał na wybuch gniewu lub falę smutku, nie doświadczył wszakże ani jednego, ani drugiego.

— Mówił mi, że zamierzają wprowadzić nowe prawo... surowe wobec kobiet zadających się z Żydami.

Zaciągnęła się papierosem, który drżał w kąciku jej ust.

— Nie możemy dopuścić, żebyś pod nie podpadła.

Wpatrywała się weń przez kłęby dymu.

— Powodzenia, Lilo.

— I tobie życzę szczęścia — powiedziała.

W środku nocy przypomniał sobie, że pokazał jej zawartość granatowej torby. Próbował przestać o tym myśleć, cokolwiek bowiem łączyło ich ze sobą lub nie łączyło, byli wobec siebie uczciwi. Ufał jej.

Nie mógł jednak zasnąć.

Wstał z łóżka przed świtem, usiadł przy stole i pograżył się w gorączkowej pracy. Kiedy ją skończył, złoto lśniło, diament gorzał, a tiara była wcieloną doskonałością. Zabezpieczył ją kilkoma warstwami wyściółki i włożył do pudełka, które z kolei umieścił w znacznie większym pudle. Następnie zaadresował paczkę do Paola Luzattiego. Czekał już przed urzędem pocztowym, aż otworzą jego podwoje.

W piątek rano obudził go telefon.

— Herr Hauptmann?

Dzwonił dozorca z Leipziger Strasse.

— Mam straszne wiadomości — powiedział.

Alfred odchrząknął.

— Było... mhm... włamanie.

— Do mojego sklepu?

— Tak. Wszystko zabrali.

— Wezwał pan policję?

— Tak.

— Zaraz będę.

Przeleżał jednak w łóżku jeszcze dwadzieścia minut, jakby to była niedziela i nie czekały go żadne obowiązki. Kiedy wreszcie wstał, wykąpał się, ogolił, starannie ubrał i spakował walizkę.

Pojechał taksówką, ale na widok dwóch ludzi w brunatnych koszulach stojących przed jego sklepem polecił kierowcy zatrzymać się o przecznicę wcześniej, przed Herpichem. Obszedł dom towarowy i alejką dotarł do drzwi wiodących na zaplecze budynku, w którym mieścił się jego sklep.

Były zamknięte, lecz miał klucz. Otworzył je i zobaczył przed sobą dozorcę.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry panu. — Dozorca odwrócił się i przystąpił do zamiatania podłogi.

Wyłamano drzwi wiodące do sklepu z korytarza, zabrano cały towar, zniszczono sprzęty. Alfred wślizgnął się do pokoiku biurowego i stwierdził, że próba wyłamania drzwiczek sejfu zakończyła się fiaskiem. Wyrób firmy Kromer z doskonałej stali z Zagłębia Ruhry nie poniósł żadnego uszczerbku prócz kilku zadrapań.

Dwaj SA-mani stali przed wybitą witryną, oddzieleni od wnętrza sklepu za ledwie drewnianym przepierzeniem tak cienkim, że Alfred słyszał wyraźnie, jak wymieniają uwagi na temat dziewczęcych biustów.

Czy byli tu za sprawą kobiety czy też z powodu jubilera? A może z jakiejś innej, zupełnie przypadkowej przyczyny?

W tej chwili liczyło się jednak tylko to, czy usłyszą, jak otwiera sejf. Zaczynał przekręcać rozetkę, gdy szuranie miotły dozorczy przesunęło się gdzieś dalej, w głąb korytarza, a potem z nową mocą zabrzmiało na dworze.

— Hej, ty — zawołał jeden ze szturmowców — widziałeś Icka?

— Kogo? — zapytał dozorca.

— Icka, jubilera.

— Ach, Herr Hauptmanna!...

Drzwiczki sejfu stanęły otworem. Alfred wyjął dokument od Ritza i paczuszkę z pozłacaną bryłką i siedmioma diamentami.

— Nie, nie widziałem Herr Hauptmanna od wczoraj — odrzekł dozorca.

W Ambasadzie Amerykańskiej przy Tiergarten Platz spędził siedem godzin, przeważnie w poczekalniach. Kiedy wreszcie wyszedł, bank Damstadt, w którym trzymał pieniądze, był już zamknięty.

Miał jednak wizę amerykańską. Pojechał wprost na Anhalter Bahnhof, przez kilka minut stał w kolejce do okienka sprzedającego bilety pierwszej klasy, potem zmienił zdanie i kupił trzecią. Przedział cuchnął potem, miejsca były wąskie i twarde, ale w takich właśnie warunkach drobni kupcy jeździli w interesach do Holandii.

Miał w Amsterdamie kilku znajomych, lecz z nikim nie chciał się spotykać. Rankiem następnego dnia po przyjeździe zamierzał sprzedać jeden z diamentów, udać się do Rotterdamu, a stamtąd pierwszym nadarzającym się statkiem do Nowego Jorku. Wziął pokój w najtańszym hoteliku, jaki zdołał znaleźć, potem poszedł do robociarskiej knajpy, zjadł talerz śledzi i popił je piwem.

Na dworze rozpadał się deszcz, lecz nogi same poniosły Alfreda przed dom, w którym mieszkał kiedyś z Laibelem. Tak ukochany przez nich wiatrak przestał istnieć.

Po powrocie do hotelu nie miał pojęcia, co ze sobą począć. Jego pokój był nędzny i dosyć brudny, łóżko nie kusilo. Usiadł więc przy oknie i zagapił się w deszcz.

— Proszę o wybaczenie, doktorze Silberstein — wyszeptał w stronę lśniących od wilgoci dachów Amsterdamu.

Część druga
Skrytka

Rozdział 10

TAMAR STRAUSS

We śnie Joel żył i czynił zadość potrzebom jej ciała z teutońską kompetencją, której nie zdołał odrzucić wraz z resztą niemieckiego dziedzictwa. Tamar była w siódmym niebie, kiedy obudziła się w cichym pokoju hotelowym. Długo leżała w pogniecionej pościeli, sparaliżowana nagle rozpaczą, o której niemal zapomniała. Wykładziny cuchnęły kurzem.

Próbowała odpłynąć ponownie, ale sen umykał przed nią jak spłoszony zając. Usiłowała ujrzeć oczyma duszy twarz Joela, jego rysy wszakże nie nabierały wyrazistości. Miał skórę znacznie jaśniejszą niż ona, jak na jekesa jednak, niemieckiego Żyda, był bardzo śniady. To jego oczy, zamyślane błękitne oczy, szokująco jasne w smagłej twarzy, zafascynowały ją natychmiast, gdy owego wieczoru spotkali się na przyjęciu w muzeum. Nie zostali sobie przedstawieni. Joel patrzył na nią z przeciwległego kąta sali.

Odwróciła wzrok, dziobiąc sałatkę.

Kiedy podniosła głowę, wciąż czuła na sobie jego przeklęte aszkenazyjskie spojrzenie. Bezwstydne.

— *Beseder?* W porządku? — spytało.

Wypchaj się, arogancki sukinsynu, wyzywająco odpowiedziała w duchu

Zdradziły ją jednak i przywiodły do kapitulacji oczy.

— *Beseder* — odparły.

Chodzili ze sobą przed kilka miesięcy. Był na ostatnim roku rezydentury w Szpitalu Beilinsona w Petach Tikwa i miał dwuletniego czerwonego volkswagena, którym przyjeżdżał do niej przy każdej okazji. Bywali w kawiarni „Alaska” przy ulicy Ja-

fskiej, chodzili na koncerty izraelskich filharmoników, korzystając z abonamentu jego rodziców — z tego powodu zresztą uważała ich za majątnych.

Obłapiali się radośnie w małym autku; z czasem coraz trudniej było go powstrzymać, aż wreszcie pewnego wieczoru na plaży w Bat Jam nie zdołała tego dokonać i sprawił jej ból. Długo potem płakała. On nie zdawał sobie sprawy, że zniszczył ją, przynajmniej wedle norm kultury, w której została wychowana. Kochał ją jednak i dzięki temu zdołał uzdrowić.

Jego matka pożyczyła im szczęścia w taki sposób, jak gdyby składała kondolencje. Nie fatyguj się, wiem, co zrobiłaś w mroku plaży, aby go usidlić — zdawały się mówić jej oczy równie bladoniebieskie jak oczy syna.

On zaś odwiedził jej abę, ojca, przynosząc współczesną wersję wykupu za córkę: kosz z owocami i butelką araku.

— Twoje dzieci będą brązowe — oznajmił sprytnie aba.

— Mam nadzieję — odparł Joel.

Kiedy tydzień później Tamar wróciła do Rosz Hajin, jemeńskiej wioski, którą jej rodzice uczynili swoim domem, stwierdziła, że nienaruszony celofan wciąż okrywa szerniałe banany i zapleśniałe pomarańcze. Wyrzuciła kosz do śmieci. Wieczorem aba popatrzył na nią pytająco.

— Wezmiesz tego jekesa, Niemca?

Gdy nie odpowiedziała, ze znużeniem pokiwał głową i otworzył flaszkę araku.

Rezydentura Joela dobiegała końca. Zgłosił chęć badania umieralności niemowląt wśród Beduinów i ku ich obopólnej satysfakcji temat został zaakceptowany, czemu towarzyszyło stanowisko w klinice matki i dziecka przy szpitalu Hadasa.

Planowali, że zamieszkają w Jerozolimie. Propozycja jego rodziców, że kupią im lokum, zaskoczyła Tamar, która już dawno straciła wszelkie złudzenia co do ich zaможności. W swym ciemnym sklepiku sprzedawali zaledwie dość tanich mebli, aby żyć bez troski o jutro.

Były jednak odszkodowania z Niemiec.

Jego ojciec siedział w Mauthausen. Troje dziadków i ciotka przepadli w Buchenwaldzie. Majątek obu rodzin został skonfiskowany, po wojnie więc ojciec Joela

zgłosił roszczenie i ostatnio uzyskał niewielką sumę. Ale nie chciał jej zatrzymywać dla siebie.

Tamar też tych pieniędzy nie chciała.

Pewnego dnia pan Strauss zaprosił ją na herbatę. Stwierdziła, że budzi w niej ciepłe uczucia. Był znużony i łysy. Czy Joel, zastanawiała się, też będzie tak wyglądał w przyszłości?

Poklepał jej dłoń.

— Uważasz, że powinienem odesłać im te pieniądze?

Toteż niczym milionerzy ona i Joel wybrali dla siebie trzypokojowe mieszkanie w dosyć nowym budynku z widokiem na Jemin-Mosze, usiłując zapomnieć, że za ich gniazdko zapłaciły duchy. Pan Strauss proponował, że załatwi im po cenach hurtowych duńskie meble, ale Joel, co Tamar przyjęła z bezgraniczną ulgą, zaakceptował jej koncepcję urządzenia domu. Kupili prosty tapczan, dwie małe komody, niski stół i kilka pufów z wielbłądziej skóry, które wypchali podartymi na strzępy starymi numerami „Ha-Arecu” i „Maariwu”. Wywołując niesmak jej matki — której przyjaciółki już dawno zastąpiły podobne rupiecie nowoczesnymi aluminiowymi garnkami — zdobyli kilka powgniataanych miedzianych naczyń. Joel trudził się przez trzy tygodnie, malując ściany na biało, Tamar natomiast ozdobiła je później tanimi arabskimi tkaninami kupionymi na targu w Nazarecie.

Kiedy skończyli urządzać mieszkanie, wyglądało nawet lepiej niż to w Sanie, gdzie Tamar przyszła na świat.

Uma, matka, chciała, by brała ślub w tradycyjnej jemeńskiej szacie, względy praktyczne wzięły jednak górę i Tamar kupiła sukienkę, którą mogła nosić jeszcze długo: prostą sukienkę z czesanej wełny koloru zgaszonej lawendy. Na takim tle ciemna skóra Tamar zdawała się rozkwitać. Ceremonia miała miejsce w krytej cynową blachą synagodze w Rosz Hajin. Rabin był mężem mocno już sklerotycznym, siedem błogosławieństw więc przeciągał w nieskończoność. Gdy Joel podeptał wreszcie szkło, odbyła się biesiada złożona z kurcząt faszerowanych jajkami na twardo i ryżem z domieszką rodzynków i migdałów, a także z warzyw, owoców, win i araków.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji czmychnęli do Elatu, gdzie spędzili trzy cudownie pogodne dni. Każdego ranka wypływali łodzią o szklanym dnie, żeby podziwiać koralowce i ryby, poznali jakichś francuskich hipisów, którzy mieszkali w

namiotach na plaży, wdali się z nimi w zacięty spór na temat komunizmu i dopiero kiedy Joel postawił wino, zostali na powrót przyjęci w szeregi proletariatu. Zbierali korale, brodzili i pływali.

Gdy wrócili do Jerozolimy, matka niczym sfinks czekała przed ich blokiem. Wszyscy sąsiedzi byli zbici z pantałyku, kiedy wylała na ziemię wodę i rozsypała liście ruty, w tradycyjny sposób witając młodych w ich nowym domu. Tamar była wzruszona, zdawała sobie bowiem sprawę, jakim wysiłkiem musiało być dla matki samotne odbycie takiej wyprawy. Nalegali, by została, ona jednak ucałowała tylko córkę, figlarnie życzyła zięciowi pociechy z żony, a potem, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, wróciła autobusem do Rosz Hajin.

Ponieważ jej miesięczna niedyspozycja zaczęła się tuż przed weselem, dopiero teraz, ku swej bezmiernej zresztą uldze, Tamar mogła się przekonać, że seks we własnym łóżku jest nieporównanie lepszy niż szczeniacka prowizorka. Rychło zaczęła w nim uczestniczyć z takim zaangażowaniem, że bardzo skądinąd zadowolony Joel zyskał temat do żartów. Dokonał poważnej inwestycji: kupił duże lustro — jedyne odstępstwo od arabskiego wystroju mieszkania — które powiesili tak, by móc widzieć, jak ich biele i brązy dają życie nowej, pięknie cętkowanej istocie.

Małżeństwo przyniosło Tamar powodzenie: awansowała w muzeum. Pewnego dnia do działu konserwacji przyniesiono unikatowe naczynie — fenicki brąz w kształcie lwiego łba — od którego odłupał się maleńki kawałek. Uważnie zbadała ów kawałek i spostrzegła, że składa się z kilku dziwnych, łagodnie mówiąc, warstw; delikatnie zadrapała jedną z nich, stwierdzając, że jest z miedzi o zdumiewająco nowym wyglądzie. Drugi był z mieszanki czerwonej szpachlówki i miękkiej cyny lutowniczej. Umieściwszy naczynie w ultrafioletowym świetle przekonała się, iż jest autentycznym zniszczonym brązem, na którym fałszerz kunsztownie zbudował sztuczną powierzchnię sprawiającą wrażenie bardzo starej, lecz doskonale zachowanej. Muzeum zamierzało kupić ten brąz za sumę wielokrotnie przekraczającą roczne dochody Tamar.

Od tego czasu wiele osób witało ją serdecznie, kiedy przychodziła do pracy.

Status żony również sprawiał jej przyjemność. Przekonała się, że Joel nie może jeść jemeńskich przypraw i nienawidzi baraniny, przepada za to za miszmisz, małymi morelkami o tak cudownym smaku, że Arabowie chcąc opisać obietnicę przyszłej szczęśliwości, mawiają: „Kiedy dojrzeją *miszmisz*”. Joel wydrukował to powiedzonko

na kartkach, które wręczał Tamar przy pierwszych oznakach zniecierpliwienia z jej strony.

Był najwyraźniej lubiany przez współpracowników — po części dlatego, uważała z poczuciem winy Tamar, że idąc własną drogą, nie konkurował z nikim o awanse i karierę. Miał jednak rezultaty. Umieralność matek i dzieci zawsze była wśród plemion beduińskich tragicznie wysoka, a to za sprawą zarówno trudów wędrownego życia, jak i braku jakiegokolwiek medycznej opieki prenatalnej. Przez pierwsze miesiące Joel atakował najrozmaitsze struktury administracyjne, usiłując przekonać je do swoich pomysłów. Zaopatrzony we wszelkie możliwe dokumenty, jakie mogły wystawić służby medyczne, tak długo nękał Komisję Wodną, aż ta zgodziła się przeprowadzić naziemną rurę wodociągową na pastwiska jednego z plemion beduińskich z Beer-Szeby — czarną plastikową rurę, szpetną jak zaraza, lecz życiodajną. Po raz pierwszy w historii plemię nie musiało wyruszać na poszukiwanie nowych terenów, Joel bowiem wraz z agronomek rządowym zdołał przekonać sędziwego szejka, by pozostał ze swym ludem na miejscu dopóty, dopóki władze będą gwarantować obfitość paszy dla trzód plemienia. Szejk ze swej strony zobowiązał się skłonić wszystkie ciężarne kobiety do regularnych wizyt w klinice matki i dziecka. Najtrudniejszym zadaniem było hospitalizowanie kobiet, które miały we krwi przekonanie, iż dziecko powinno przychodzić na świat w namiocie ojca, lecz pierwszy tuzin porodów bez jakichkolwiek komplikacji okazał się najwymowniejszym argumentem.

Gdy któraś z kobiet spóźniała się na badanie, Joel bez wahania wyruszał do obozowiska w Beer-Szebie, a Tamar, jeśli miała wolny czas, jechała razem z nim, pełniąc rolę tłumaczki. Właśnie podczas jednej z takich wizyt — kiedy Joel zbadał już i skarcił podopieczną, ona zaś z głupawą miną obiecała, że w przyszłym miesiącu na pewno zjawi się w klinice — zasiedli w namiocie szejka przy kawie i daktylach.

Stary Beduin z zaciekawieniem popatrzył na Joela i przemówił.

— Pyta, dlaczego to robisz — przetłumaczyła Tamar.

— Zapytaj, czy nie jesteśmy braćmi — poprosił Joel.

— Powiada, że nie.

— Zapytaj, czy nie nadejdzie taki dzień, kiedy będziemy mogli stać się braćmi.

— Powiada, że to mało prawdopodobne.

— Powiedz mu, że nic mnie, do cholery, nie obchodzi, kim jesteśmy, dopóki pomagamy sobie i żyjemy w pokoju.

Szejk wpatrywał się w oczy Joela, szukając ukrytego w nich zagrożenia.

— On pyta: A jeśli nie możemy żyć w pokoju?

— Wtedy *miszmisz* nie dojrzeją nigdy — odparł Joel.

W lipcu Joel, jak co roku, poszedł na miesiąc do wojska; był oficerem służby medycznej w stopniu kapitana. Jeszcze przed wyjazdem Tamar zorientowała się, iż dręczą go złe sny, a Joel bez oporów przyznał, że się boi. Zgłosił się ochotniczo na szkolenie spadochroniarskie.

Co noc, pomiędzy drugą a czwartą nad ranem — wtedy więc, gdy izraelscy żołnierze mają prawo za darmo dzwonić do domu — z obłędem w oczach czekała przy telefonie. Zaterkotał dziesiątej nocy.

— Bułka z masłem — powiedział Joel.

Nie domagała się żadnych uściśleń, bo tylko z jednego powodu w jego głosie mogła brzmieć tak bezgraniczna ulga. Ukończył kurs po pięciu kolejnych skokach i dwudziestu jeden dniach szkolenia. Kiedy przyjechał do domu, przyszyła mu do mundurów emblematy z biało-czerwonym smokiem. Podziwiała jego czerwony beret i czerwone komandoskie buty, zwane przez spadochroniarzy baletkami.

Joel służył pod dowództwem majora Michaelmana, chirurga ze szpitala Eliezara Kapłana w Rechowot. We wrześniu, kiedy Michaelman wraz z żoną przyjechał do Jerozolimy na konferencję, Tamar i Joel zaprosili ich na kolację. Michaelman był szczupłym siwiejącym mężczyzną o spokojnych oczach, miał przydział do sztabu, skąd kierował pracą lekarzy w jednostkach liniowych. Najbardziej charakterystyczną cechą rudowłosej, krągłutkiej Ewy Michaelman były dziewczęce usteczka wyglądające dość absurdalnie w twarzy kobiety dobrze już po czterdziestce. Po kolacji Joel włączył radio i to był błąd. Na zachodnim brzegu Kanału Sueskiego rozpoczynała się koncentracja egipskich jednostek pancernych.

— Manewry — stwierdził Michaelman. — Odbywają je każdej jesieni.

Rzecz osobliwa: nie wiadomość przeraziła Tamar, lecz przemiana rysów Ewy Michaelman, której usteczka nagle stały się równie stare jak twarz.

Pojechali do rodziców Tamar na Rosz Haszana, żeby zaś przyzwoitości stało się zadość, Jom Kipur spędzili z rodzicami Joela w ich małej aszkenazyjskiej synagodze.

Tuż po południu w szul zjawilo się trzech oficerów. Przepisnęli się przez wiernych nakrytych szalami modlitewnymi i weszli na bimę, żeby wręczyć rabinowi pismo.

Chazan poprosił o ciszę.

— Następujący mężczyźni mają rozkaz zgłosić się do swoich jednostek... — powiedział rabin.

Joela nie było wśród wyczytanych, ale przepisnął się do przodu, żeby o coś zapytać. Tamar, która patrzyła na to stojąc wśród innych kobiet, miała kłopoty z oddychaniem. Wyszła na dwór, kiedy rozległ się jazgot syren.

— Co to? — zapytała teścia, który przyłączył się do niej po chwili.

Pan Strauss podrapał siwy krótki zarost i spojrzał w niebo nad drucianymi oprawkami swych okularów.

— Może się zaczęło — odparł.

Pospieszyli do domu, lecz w eterze panowała cisza, bo podczas Jom Kipur ani radio, ani telewizja nie nadawały.

— Trzeba zatankować samochód — powiedział Joel.

— Ale stacje są pozamykane.

— Arabskie w Starym Mieście będą pracować.

Skinęła głową, zdając sobie sprawę, że bardziej niż na paliwie zależy mu na wiadomościach. Wybiegł z domu jak oparzony.

O czternastej czterdzieści radio ożyło, aby nadać komunikat izraelskiego Ministerstwa Obrony. O czternastej zero zero siły egipskie i syryjskie przeszły Kanał Sueski i przypuściły atak na wzgórza Golan. „Z powodu aktywności lotnictwa syryjskiego w rejonie Golan syreny przeciwlotnicze będą słyszalne na obszarze całego kraju. To prawdziwy alarm... Wydano rozkaz mobilizacji powszechnej. W związku z zagrożeniem wszyscy, którzy nie mają absolutnej potrzeby opuszczania domów, powinni się od tego powstrzymać...”

Po powrocie do domu Joel zastał Tamar wsłuchującą się w dziwne komunikaty, które co pewien czas przerywały muzykę i wiadomości. „Purpurowy Hiacynt, Purpurowy Hiacynt, zgłoś się o szesnastej w punkcie koncentracji.”

— Jakie jest hasło wywoławcze twojej brygady? — zapytała.

— Biblia — odparł. — Niemądre, prawda?

Przytaknęła drżącym głosem.

Wciąż na siebie patrzyli, gdy z odbiornika padło to właśnie słowo.

— Cóż... — powiedział Joel.

— Mogę ci pomóc w przygotowaniach?

— Muszę tylko nałożyć mundur i wziąć przybory toaletowe. Nic więcej nie trzeba robić.

— Mylisz się.

W łazience przez chwilę trzymała w palcach krążek, potem zamknęła go w pudełeczku, pudełeczko zaś wsunęła do szafki. Kochali się pospiesznie, bez prawdziwej przyjemności. Kiedy Joel szczytował, wyszeptała mu na ucho, co zrobiła.

— Ach, ty głuptasie...

Dostrzegła wyraz irytacji na jego twarzy.

— Dlaczego głuptasie? — zapytała.

— Za kilka dni będzie po wszystkim, a nam spadną na głowę problemy z ciążą i dzieckiem. — Pocałował ją jednak.

— Sądysz, że spłodziliśmy dziecko? — zapytała przypatrując się, jak nakłada mundur.

Z roztargnieniem wzruszył ramionami. Zorientowała się, że jakaś część jego duszy chce iść, stawić czoło niebezpieczeństwom, o których ona myślała z taką nawiścią.

— Joel...

Jego pocałunek był wymowniejszy niż wszystko, co mógłby z nią zrobić w łóżku.

— Szalom, Tamar.

— Mam nadzieję — odparła.

Miasto zmieniło się nie do poznania. Każdego ranka, wychodząc do pracy, Tamar widziała, jak starzy ludzie napełniają piaskiem jutowe worki. Ruch na ulicach zmalał prawie do zera, bo wiele samochodów, jak na przykład czerwony garbus, w prowizorycznym kamuflażu z błota powiozło swych właścicieli do jednostek wojskowych. W piwnicach bloku był schron, do którego kobiety ściągały materace. Tamar pomagała przy oklejaniu taśmą i zaciemnianiu wszystkich okien. Pracownicy muzeum cięły prześcieradła na bandażę.

Te najrozmaitsze formy aktywności podnosiły na duchu. Wyciągając wnioski z dawniejszych doświadczeń, wszyscy przewidywali krótką wojnę, błyskawiczne rozgromienie najeźdźców, a potem całkowite zwycięstwo.

Przez trzy dni jednak komunikaty były zastanawiająco mętne, potem ranni zaczęli napływać masowo do szpitala Hadasa, wiadomości zaś — mówić szczerze o katastrofie spowodowanej przez zaskoczenie i najnowszą sowiecką broń. Egipcjanie umocnili się na wschodnim brzegu Kanału, na wzgórzach Golan natomiast Syryjczycy zadawali wojskom izraelskim poważne straty.

Wszyscy usiłowali funkcjonować jak gdyby nigdy nic. Tamar zdemaskowała następne fałszerstwo, tym razem obrazu. W promieniach rentgena wyszło na jaw, że portret, liczący rzekomo przeszło sto lat, namalowano na pejzażu. Tamar zdrapała z owego pejzażu szczyptę farby i poddawszy ją analizie chemicznej, stwierdziła obecność tytanu. Ponieważ tytan wchodził w skład farb dopiero od lat dwudziestych XX wieku, nawet pejzaż stanowiący tło mógł liczyć najwyżej kilka dekad.

Została wezwana do dyrektora, który spytał:

— Co wzbudziło pani podejrzenia?

Tamar wzruszyła ramionami.

— Ślady pigmentu... w kilku przypadkach odmienne pociągnięcia pędzlem... w jednym miejscu przybrudzone przejście z jednego odcienia w drugi.

Dyrektor pokiwał głową.

— Ma pani talent, pani Strauss. Potrafi pani wytropić jabłko w wagonie pomarańczy, a to umiejętność nieczęsto spotykana — stwierdził z namysłem.

Tym razem dostała podwyżkę i awans z asystenta technicznego na konserwatora uczestniczącego w procesie zakupów — każdy interesujący muzeum eksponat musiał od tej chwili przechodzić przez jej ręce. W zwykłych okolicznościach nie posiadałaby się ze szczęścia, teraz wszakże obojętnie przeszła nad tym wydarzeniem do porządku dziennego. Każdej nocy budzik zrywał ją ze snu o drugiej, każdej nocy wyczekiwała przy telefonie do czwartej nad ranem. Aparat jednak milczał.

Dostała dwa listy, rzeczowe i niepoetyczne: Joel informował w nich, że miewa się dobrze i że raczej nie powinna spodziewać się telefonów, linie bowiem są zarezerwowane „dla żołnierzy z problemami osobistymi, na przykład chorobą w rodzinie, a tych, dzięki Bogu, nie mamy i nie będziemy mieć”. Nie pisał, gdzie jest, i ani słowem nie wspomniał o wojnie.

Pod koniec tygodnia sytuacja na obu frontach zaczęła się zmieniać. Kissinger usiłował doprowadzić do rozejmu. Sadat najpierw stanowczo odmawiał, potem nagle zmienił zdanie. Wojska izraelskie weszły już daleko w głąb Syrii, posuwając się w stronę Damaszku, gdy pewnego ranka radio podało wiadomość, że Izrael przekroczył Kanał i wojna przeniosła się do Egiptu. Spodziewano się, iż zawieszenie broni jest kwestią godzin.

Zapra gnęła podziękować Bogu przy Ścianie Płaczu.

Kiedy dotarła na miejsce, przekonała się, że setki innych wpadły na ten sam pomysł. Tłum falował, ludzie na jego obrzeżach, maleńcy przy gładzach Heroda, czekali cierpliwie. Tamar czuła wiele rzeczy, ale może płynęły z jej wnętrza, uwięzione w ciele tak, jak ona sama była uwięziona pomiędzy zapłakany m siwobrodym starcem a młodym chłopakiem z oszołomieniem na twarzy.

Znalazła jakąś szczelinę w gęstwie, była coraz bliżej. Ci, którzy dotarli już do Ściany, nie zachowywali się egoistycznie — pozostawali chwilę lub dwie i odchodzili, pozwalając docisnąć się innym. Popychana w przód i na boki, ujrzała wreszcie przed sobą rozgrzane słońcem kamienne ciosy.

Na lewo i prawo od niej ludzie z szacunkiem dotykali owych gładzów, łkali ogarnięci wdzięcznością, a także — dając ucha legendzie, iż podobne prośby są spełniane przez Pana

— pisali swe modlitwy na kartkach i wciskali je w szczeliny muru. Tamar miała przy sobie tylko listę zakupów: na jej odwrocie nagryzmoliła suplikę, aby Bóg zesłał jej syna, który jeszcze tym razem nie został jej dany, po czym wsunęła świstek w roz-

padlinę, przejęta irracjonalną obawą, iż strony karteczki mogą zostać pomyłone, ona zaś będzie musiała nosić w brzuchu, a potem wydać na świat jajka, chleb, ser, jabłka i śledzia.

Cofnęła się, ustępując miejsca innej kobiecie. Tłum był jak sieć, którą taranowała tak długo, aż oka rozstały się pozwalając jej wpłynąć w nurt dźwięku donośnego jak ból, szofaru wlewającego się wprost w jej uszy. Grupa polskich chasydów tańczyła kręgiem, trzymając się za ręce, i do własnej triumfalnej melodii wyśpiewywała fragment psalmu: „Zaufałem Twemu miłosierdziu”. Niektórzy byli siwi i brodaci, ale nie brakło wśród nich małych chłopców; ubrani w takie same sztrajmle i długie czarne kaftany jak ojcowie, uczestniczyli w wyplataniu ciałami i głosami ekstatycznego gobelinu. Tamar przyglądała się akurat rozradowanej grupie, gdy wirując i postukując czerwonymi butami, tak samo jak inni wbijając spojrzenie w niebo, ogniwem łańcucha stał się oficer wojsk desantowych. Kiedy wreszcie roześmiany i bez tchu wyłamał się z kręgu, Tamar uświadomiła sobie, że go zna.

— Majorze Michaelman! — zawołała. — Michaelman!

Usłyszał. Spojrzał na nią i wtedy jego uśmiech najpierw zastygł, a potem rozpadł się w wyraz udręki tak dojmującej, że poraziła Tamar z bezwzględnością pocisku. Wszystko stało się jasne.

Kiedy podczas masowego pogrzebu na cmentarzu wojskowym Mosze Dajan i naczelny rabin Izraela, Szlomo Goren, wygłaszali pochwałę poległych bohaterów, Tamar widziała ruchy ich ust, lecz słów nie słyszała. Przez cały tydzień szifty przychodzili rodzice Joela, w odrętwieniu siedzieli bez butów, zagadnięci odpowiadali monosylabami, o zachodzie słońca wychodzili, podpierając się wzajem, by wrócić następnego dnia rano. Rodzina Tamar też przyjechała z Rosz Hajin, ale trzeciego dnia ojciec nie wytrzymał i zaczął pić. Ciszę, jaka zapadła po zakończeniu żałoby, Tamar przyjęła z uczuciem ulgi.

Czek z sumą ubezpieczenia — dziesięć tysięcy funtów — przyszedł bardzo szybko, potem listy kondolencyjne od władz, kapelana sił zbrojnych, od dowódcy sił powietrzno-desantowych, który informował Tamar, że jej błogosławionej pamięci mąż został pośmiertnie awansowany, i opisywał okoliczności śmierci majora Straussa. Dała te wszystkie listy teściowi, który oprawił je i powiesił w swym ciemnym sklepieniu nad biurkiem pełnym faktur i rachunków.

Wpłaciła pieniądze na konto, zlecając zarazem bankowi, by przekazywał jej rodzicom pięćdziesiąt funtów miesięcznie.

Wszędzie wokół siebie widziała coś, co istniało nadal, chociaż on przestał istnieć. W każdym razie mieszkanie było w tej chwili przesadnym zbytkiem, a Straussom mogły przydać się pieniądze, które dali Joelowi na jego kupno. Szybko, żeby się nie rozmyślić, dała ogłoszenie. Na dobre lokale był popyt, toteż klienci znaleźli się natychmiast.

Kilka dni po transakcji zaprosiła pana Straussa na lunch. Kiedy wychodzili z restauracji, spokojnie wyjaśniła sytuację i usiłowała wcisnąć mu czek, ale wpatrywał się w nią tylko wilgotnymi oczyma i dłońmi odpychał od siebie puste powietrze.

Potem zrejterował... Oddalający się pospiesznie ulicą Jafską znużony stary człowiek. Zrozumiała: te czerwone od krwi pieniądze wracały znowu, przekazywane przez nowe duchy. Należały jednak do Straussów. W banku otworzyła konto na ich nazwisko i przesała im pocztą książeczkę czekową.

Nowi właściciele mieszkania nalegali, by zwolniła je jak najszybciej, lecz Jerozolima była tak droga i przeludniona, że znalezienie stosownego lokum nastroczało wiele problemów. W dniu wolnym od pracy wybrała się na poszukiwanie, ale w miarę wędrówki ogarniała ją coraz większa depresja, bo wciąż widziała wokół siebie twarze pełne młodej ulgi i radości życia. Dotarła do Starego Miasta, zagłębiła się w Via Dolorosa, w końcu weszła do sklepu pamiątkarskiego z napisem: „Abdulla Heikal, Sp. z o.o.”, gdzie na tysiącu krzyży z drewna oliwkowego wisiały tysiące krzywoszyich Chrystusów. Pomalowany akwarelami Nasser, pamiątka z wcześniejszej wojny, szczerzył śnieżnobiałe zęby nad dwoma mężczyznami w kafi-jach, którzy wyklócali się zawzięcie, wreszcie jeden z nich westchnął i w geście kapitulacji uniósł dłonie. Uśmiechnęli się obaj, dobiwszy targu, a ten, który skapitulował, kiwnął głową i spieszenie wyszedł ze sklepu.

— Coś dla pani?

Nic, powodowana impulsem odparła po arabsku, chyba że wie o jakimś miłym pokoju do wynajęcia.

Nie wiedział, ale miał puf z najlepszej wielbłądziej skóry, naprawdę za grosze.

Pokręciła głową, sklepikarz zaś stracił dla niej całe zainteresowanie, gdy z pudełkiem damskich torebek wrócił jego niedawny rozmówca.

Kilka minut później Tamar wracającą przez Via Dolorosa dogonił starszy mężczyzna.

— Podobno szuka pani pokoju — powiedział.

Patrzyła nań z powątpiewaniem, żałując już pochopnego kroku.

— Proszę obejrzeć. Potem postanowić. — Napisał w notesie adres, wydarł kartkę i podał ją Tamar.

Ahmed Mohieddin. Zaulek Studni, opodal Aqabat asz- -Szeik Rihan.

Aqabat asz-Szeik Rihan, chociaż węższa niż Via Dolorosa, była kolejną z prama-tek jerozolimskich alei. Tamar pytała o drogę cztery osoby, zanim znalazła Zaulek Studni, rozpadlinę pomiędzy dwoma otynkowanymi domami. Drzwi Ahmeda Mohieddina nie wyglądały zachęcająco, ale nawet najbardziej katastrofalne z zewnątrz arabskie sadyby często prezentują od środka zupełnie odmienne oblicze. Mroczna sień wiodła na rozsloneczniony dziedziniec przyozdobiony roślinami w donicach otaczającymi studnię, od której uliczka wzięła nazwę. Żona Mohieddina zaprowadziła Tamar na górę do przewiewnego pokoju z łukowymi oknami. W domu nie było bieżącej wody, kanalizację zastępował wychodek, Tamar jednak bez wahania zapłaciła kobiecie czynsz za miesiąc z góry.

Pierwszej nocy spędzonej w nowym mieszkaniu leżała w pozycji embrionalnej usiłując wyłączyć wszystkie bodźce — głosy, ruchy, uczucia.

On nie żył. Ona żyła.

Nikt inny nie uważał tego za osobliwe.

Była amatorką w dziedzinie wszystkich rozrywek. Spacerowały okazały się najłatwiejsze. Nabrała zwyczaju włóczenia się po Starym Mieście w cichych godzinach nocy. Kiedy pewnego razu jej rozdygotane nerwy zaczęły domagać się dowodów, że ziemia jest zamieszkana, znalazła przy Bramie Jafskiej kafejkę, która przypominała słabo oświetloną pieczarę pełną Arabów zajętych swoimi fajkami, rozmowami, grą w karty i *szesz besz*. Było to terytorium zarezerwowane dla mężczyzn, ale Tamar zupełnie zadowolili stolik na zewnątrz, filiżanka piekielnie mocnej kawy i wsłuchiwanie się w mieszaninę dźwięków — męskich głosów i śmiechów, gulgot nargili, postukiwanie pionków. Oprócz niej siedział na dworze tylko jeden klient — mężczyzna ubrany w amerykańskim stylu. Był młody — może odrobinę starszy od niej — a na szyi miał aparat fotograficzny, którego futerał spoczywał na sąsiednim krześle. Odwróciła

wzrok, potem umknęła w labirynt brukowanych uliczek, gdzie jedynym światłem był blask księżyca, a jedynymi dźwiękami — jej kroki i oddech.

Gdy wróciła do kafejki następnego wieczora, już tam siedział. Tamar uprzejmie odpowiedziała na jego powitanie, kiedy wszakże po chwili wymierzył w nią obiektyw aparatu, powiedziała:

— Proszę tego nie robić.

Skinął głową. Wszedł z aparatem do środka i wędrując pośród graczy, pstrykał zdjęcie za zdjęciem.

— Przyjemny lokal — oświadczył po powrocie. Przyznała mu rację, on zaś usiadł przy jej stoliku i zamówił następne kawy. Był fotografem mody z Londynu, przyleciał kilka dni wcześniej niż modelki, żeby poszukać plenerów. — Obserwowałem cię. Jesteś bardzo nieszczęśliwa.

Kiedy zaczęła wstawać, obronnym gestem wyciągnął ramię.

— Wcale nie mam zamiaru zachowywać się grubiańsko — powiedział łagodnym tonem — ale stan unieszczęśliwienia jest po prostu tym, czego organicznie nie potrafię zaakceptować.

Została więc, w milczeniu popijając kawę. Poprosił ją, żeby go oprowadziła: krążyli wąskimi uliczkami, Tamar pokazywała mu Wieżę Dawida, dzielnicę ormiańską i odbudowaną dzielnicę żydowską, w 1948 roku zmiecioną z powierzchni ziemi przez Jordańczyków. Nie sprowadzał rozmowy na tematy osobiste, po dwóch godzinach zatem знаła tylko jego zawód i imię — Peter. Był sympatycznym towarzyszem. W arabskiej restauracji przy ulicy Łańcucha zamówił dolmę w winogronowych liściach, kuskus i zapytał Tamar, czy ma ochotę napić się araku.

Pokręciła głową.

— No to może szkockiej?

— Choruję po niej.

— Ja też. — Wyjął z kieszeni emaliowane puzderko, z puzderka zaś dwie pigułki, które przypominały okrągłe poziomki. — Musisz wziąć dwie, jedna nie wystarczy.

— Co to jest?

— Szczęście.

Gdy opierała się, sam popijając kawą połknął dwie, żeby pokazać, jakie to łatwe.

Kiedy w końcu połknęła pigułki, nie poczuła żadnej zmiany. Ani później, gdy po kolacji wyszli na ulicę. Była odporna na szczęście.

— Wiesz, czego teraz potrzebuję? — powiedział. — Starego arabskiego ogrodu z piękną fontanną. Znasz takie miejsce?

— Nie z fontanną. Ogród ze studnią. Bardzo ładny.

Gdy dotarli do ogrodu Mohieddina, była troszeczkę szczęśliwa.

Nie miała palców u stóp.

I to urocze, urocze odrętwienie wokół ust.

Z nowym podziwem postrzegała, jak księżyc srebrzy kamień i rzuca cienie.

Gwizdnął przez zęby.

— Poczekaj, aż udekorujemy to chudymi laseczkami w paryskich kreacjach! Jak jest w środku?

„Szczęśliwa?“, zapytał ktoś, kiedy prowadziła go po schodach.

Kto?

„Szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa.“

Kto pytał? Kto odpowiadał?

Powietrze gęstniało w galarete. Osunęła się w nią i runęła na łóżko.

Roześmiana!

Obserwowała jego solowy występ w wodnym balecie zdejmowania garderoby.

Wydawał się większy niż Joel, ale mniej owłosiony. Ciekawe — szczęście było zupełnym zapomnieniem, brakiem bólu, brakiem jakichkolwiek odczuć; doszła do takiego wniosku przyglądając się, jak zawisa nad nią blada nieznamiona twarz.

I zaczyna podskakiwać.

Podskakiwać.

A potem odpływa w górę.

Potem taniec-rozbieranka puszczony wstecz. Wreszcie jego wykonawca chwycił swój aparat i odpłynął na dobre z życia Tamar, która śmiała się tak długo, aż zasnęła.

Nazajutrz w muzeum ogarnięta zgrozą gorączkowo wypytywała wszystkich o jakieś mieszkanie, wymyśliwszy naprędce plagę karaluchów jako powód rezygnacji z dotychczasowego.

Kierowniczka sklepu z upominkami najpierw z niesmakiem zmarszczyła nos, a potem rozpromieniła oblicze: co za szczęśliwy traf, jest pokój w mieszkaniu Hany Rath, jej córki, przy pięknej ulicy Raszi. Wieczorem Tamar znów była mieszkanką żydowskiej części miasta; jeśli nawet mężczyzna wróci do Mohieddina ze swoim szczęściem, już jej nie zastanie.

Ale znienawidziła nowy pokój.

Miniaturowy rozmiar i obrzydliwe kalkomanie na ścianach świadczyły dowodnie, że pełnił rolę dziecięcego. Dwora, jego eksmitowana mieszkanka, była cierpiącym na kolki niemowlęciem, które płakało po całych nocach w łóżeczku ustawionym teraz tuż koło łóżka rodziców. Eli Rath, posępny kierowca ciężarówki, donośnie chrapał i wiatrami wyrażał swój bunt wobec nieudanego małżeństwa. Rathowie wyklócali się o politykę, seks oralny, kucharzenie Hany... ich przenikające przez cienką ścianę szpetne słowa uzależniły Tamar od cuchnących krajowych papierosów.

Dwadzieścia dwa dni po spotkaniu z mężczyzną o imieniu Peter uświadomiła sobie, że jej okres, który powinien być się już kończyć, jeszcze się nie zaczął.

Na wszelki wypadek odczekała kolejne cztery dni, po czym pojechała do kliniki w Tel Awiwie i leżąc z nogami w strzemionach słuchała przez najwyżej pięć minut, jak hałaśliwe urządzenie wysysa z niej syna, o którego modliła się przy Ścianie Płaczu. Tej nocy miała krwawienie niewiele większe niż podczas menstruacji i odczuwała nieznaczny ból, lecz nie mogła zasnąć, bo za ścianą niemowlę znowu piszczało, a Hana Rath zawodziła: „Dwoorehlehh... Dworehlehh, kochanie...” Leżąc na wznak, Tamar paliła mocne papierosy i przeklinała Boga.

Następnego dnia zamiast iść do pracy, poszła do eleganckiego biura werbunkowego przy ulicy Raszi, kilka domów od mieszkania Rathów, i na ochotnika zgłosiła się do wojska.

Została wyszkolona na radiooperatorkę. Służba w jednostkach liniowych była zwykle zarezerwowana dla najmłodszych kobiet, lecz Tamar taktownie zwróciła prze-

łożonym uwagę, że kilka lat różnicy nie czyni jej anemiczną staruszką, poza tym okoliczności, w jakich wstąpiła do wojska, przemawiają na jej korzyść. Skierowano ją do Obozu 247 w Aradzie.

Leżał na pustyni, kilka kilometrów od miasta. Druty kolczaste otaczały prostokąt porządnym brązowym baraków, pomiędzy którymi, na środku doskonale utrzymanego terenu, stały dwa ogrodzone budynki — wszystko przynosiło zaszczyt powiewającemu w górze sztandarowi z Gwiazdą Dawida. Jeden z centralnych budynków zajmowała kompania saperów, drugi — grupa może dwudziestu mężczyzn, którzy ubierali się po cywilnemu.

Sprzęt radiowy mieścił się w osobnej szopie, a oficer, z którym miała współpracować Tamar, nazywał się Szamir. Wkrótce wracał do cywila i pracy w studiu nagrań, nie interesował się nikim, czyjego życia nie wypełniały przedwzmacniacze, wzmacniacze i syntetyzery. Już pierwszego dnia zapytała go o grupę cywilów.

— Pracują dla Sieci Wodnej — odparł.

— Ach, tak. Czym się zajmują?

— Brudną robotą — wyjaśnił, nie odrywając wzroku od sprzętu.

Obóz był niewielki. Miał dobry szekem, coś w rodzaju kantyny czy świetlicy, gdzie ludzie spotykali się ze sobą po służbie, toteż Tamar potrzebowała zaledwie tygodnia, żeby poznać dosłownie wszystkich — także mężczyzn w cywilu. Nie zadawała na ich temat żadnych więcej pytań, ponieważ rychło zorientowała się, że nie są żadnymi cywilami i nie pracują dla Sieci Wodnej. Spostrzegła, iż oprócz wozów wojskowych używają dwóch samochodów z cywilnymi numerami rejestracyjnymi — willysów: terenówki i vana. Brama wiodąca na ich teren otwierała się tylko wtedy, gdy wewnątrz naciśnięto brzęczyk: tabliczka na ogrodzeniu informowała, że są Czwartym Specjalnym Pododdziałem Taktycznym. Dowodził nimi szczupły major tak opalony, że miał skórę prawie równie ciemną jak Tamar. Nazywał się Zeew Kagan i cieszył się wśród swoich ludzi ogromnym mirem. W ciągu trzech dni czterech z nich mimochodem napomknęło Tamar, kim jest jego ojciec.

Regularnie grupy żołnierzy wychodziły na pustynię na ćwiczenia i czasami Tamar widywała wśród nich jedną czy dwie dziewczyny z pododdziału kobiecego. Pewnego dnia zapytała którąś z żołnerek, jak się to załatwia.

— Nic trudnego — usłyszała w odpowiedzi. — Wystarczy poprosić. Lubią, kiedy idzie z nimi babka.

Pozwoliła, by kapitan Szamir zwalił na jej barki większość swoich obowiązków. Czuła, jak staje się innym człowiekiem, jak w miarę przyjmowania do wiadomości, że Joel nie żyje, pozbywa się komórek dawnego życia, zastępując je nowymi. Bywały wprawdzie dni, kiedy widziała twarz Joela w najdrobniejszych szczegółach, ale zdarzały się również inne — kiedy odtwarzała jej pojedyncze cechy z największym trudem, by potem z różnymi rezultatami usiłować złożyć je w całość. Sypiała źle, bo jej ciało zaczynało odczuwać głód, który w nim obudził, a kiedy już zdołała zasnąć, śniła o Joelu, często w erotycznym kontekście. Codziennie rano ćwiczyła, lecz to nie wystarczało.

Gdy weszła do kancelarii, Zeew Kagan siedział przy jednym z biurk i pisał na maszynie. Oficer dyżurny — kapitan dowodzący kompanią saperów — wysłuchał Tamar i skinął głową.

— Zeew — powiedział — zaczynasz jutro szkolić swoich ludzi. Czy pani porucznik mogłaby z tobą pójść?

Kagan zmierzył ją wzrokiem.

— Nie mogę pozwolić sobie na odsyłanie cię pod opieką, jeżeli uznasz, że chcesz zrezygnować.

— Nie zechcę zrezygnować.

Uśmiechnął się z powątpiewaniem.

— Więc nie mam nic przeciwko temu — oświadczył i wrócił do pisania.

Wychodziła z nimi trzy dni pod rząd. Nosili kombinezony bez jakichkolwiek emblematów. Pierwszego dnia przemaszerowali piętnaście kilometrów, każdego następnego po pięć więcej.

Co dzień po powrocie brała długi gorący prysznic, ale jej mięśnie były sztywne i obolałe.

Trzeciego dnia pożałowała, że wyszła, major Kagan bowiem poprowadził ich wyjątkowo szybkim marszem przez spękane lessy i dziesiątki zasłanych kamieniami wzgórz. W pewnym momencie zarządził postój, a potem podszedł do Tamar, która

obok młodego jasnowłosego chłopaka imieniem Awram stała mniej więcej w środku kolumny dwójkowej.

Polecił, by dołączyła do niego i szła na czele.

— Świetnie się czuję — zaoponowała z przekorą.

— Nie chodzi mi o ciebie — odparł. Wtedy zrozumiała, że Kagan chce, aby widział ją każdy żołnierz, który zwątpi, czy zdoła wytrzymać.

Nie odezwał się do niej więcej. Był potężnym mężczyzną o profilu, co stwierdziła zerkając kątem oka, po ptasiemu ostrym i szpetnym. Gdy dotykali się przypadkiem, czuła, jak twarde jest jego ciało.

Śnił jej się tej nocy; i odtąd mężczyzną ze snów czasem był Joel, a czasem nie.

Pewnego ranka nie mogła iść, bo Szamir dosłownie zawalił ją wiadomościami do wysłania. Wieczorem Kagan podszedł do niej w szekemie.

— Gdzie się podziewałaś? — zapytał.

Wyjaśnienie przyjął do wiadomości skinieniem głowy i zapytał, czy przyłączy się do nich nazajutrz.

— Jeszcze nie postanowiłam.

Popatrzył na nią przeciągle.

— Chcę, żebyś poszła — powiedział. Miał twarz równie ciemną jak ona, ale oczy szare, aszkenazyjskie.

W obozie obowiązywał niepisany kodeks, w myśl którego nie powinno się komplikować życia wojskowego powikłaniami osobistymi, ale męsko-damskie wypadki na jedną noc stanowiły powszechną praktykę.

Tak długo nie mógł zdecydować się na wystąpienie z inicjatywą, że Tamar zaczęła już sądzić, iż oceniła go błędnie.

Pojechali do Tel Awiwu, do małego hoteliku nad byle jakim kawałkiem plaży. Przez otwarte okno wdzierał się szum morza. Zeew rozebrał się; jego smagłe ciało od bioder do połowy ud przecinał niemal oślepiająco biały pas. W pierwszej chwili pełna entuzjazmu Tamar sądziła, że będzie znacznie lepiej niż we snach, rychło jednak stało się oczywiste, że coś nie gra. Litowałyby się nad sobą, gdyby tak bardzo nie litowała

się nad nim, a równocześnie doznawała szaleńczej pokusy, żeby roześmiać się z nich obojga jak z pary kiepskich komików, którzy na odległym ekranie daremnie usiłują rozbawić widzów.

Wychodziła ze skóry, żeby mu pomóc. Daremnie.

Powiedział, że widuje się z psychiatrą. Lekarz zachęcał go do ponowienia próby, ostrzegając zarazem, by nie załamał się w przypadku fiaska.

Przepraszał!

Kiedy uznała, że wróciło jej opanowanie, ujęła jego dłoń i pokazała mu, jak bardzo w wyniku marszów stwardniały jej uda. Napomknęła ostrożnie, że czytała co nieco o podobnych dolegliwościach. Są nader powszechne i bez wątpienia przejściowe.

Wkrótce wszystko odmieni się na lepsze.

— Kiedy? — zapytał tonem zniecierpliwionego dziecka.

Wzięła papierosa z jego paczki nelsonów leżącej na stoliku nocnym; kiedy podawał jej ogień, spostrzegła, iż jego oczy są oczyma kochanka, pełnymi namiętności i czegoś jeszcze... czegoś, co uczyniło absurdalną jej niedawną pokusę, by wyśmiać ich oboje. Mocny dym podrażnił jej gardło, załzawił oczy; dotknęła go na oślep, wkładając w ów dotyk tyle uzdrowieńczej czułości, ile mogły przekazać jej drżące palce.

— Kiedy dojrzeją *miszmisz* — odparła.

Potrzebowała trzech tygodni, aby dokonać tego, co przerosło umiejętności psychiatrów.

Postawiła Zeewa Kagana na nogi. To był dostateczny powód, żeby żyć.

Nie był mężczyzną w jej guście. Joel trudił się, aby dać Beduinom zdrowie i wieczniezielone pastwiska. Kagan zatruwał studnie, aby przyspieszyć exodus Beduinów podejrzewanych o prowadzenie działalności wywiadowczej na rzecz państw arabskich. Swoim informatorom płacił haszyszem.

Zawiadywał brudną robotą; Bóg jeden wie, co robił i co zrobił.

Przez czternaście miesięcy byli prawie nierozłączni. W końcu zaangażował się zbyt poważnie, żądał więcej, niż mogła mu dać. Zerwała związek wkrótce po powrocie do cywila i pracy w muzeum.

Gdy zaproponował, by wykonała dla niego pewną robotę, sądziła, że żartuje. Wtedy wyjaśnił charakter misji, wzbudzając w niej zainteresowanie.

W końcu zgodziła się wziąć urlop, spakowała torbę i zamieszkała w hotelu — przez ścianę z Harrym Hopemanem.

Amerykanin telefonicznie zaprosił ją na śniadanie. Gdy była gotowa, zapukała do jego drzwi. W jadalni poczekała, aż złoży zamówienie, i dopiero wtedy powiedziała, że zdaje sobie sprawę, iż nie jest zachwycony jej obecnością.

— Żadne z nas nie ma w tej chwili wyboru. Zostałam do pana oddelegowana.

— Chciałbym porozmawiać z osobą, od której przyjmuje pani rozkazy.

— Musi pan poprzestać na mnie. Ci ludzie pozostaną dla pana anonimowi.

Spojrzał na nią wściekle.

Miał proste rysy, ale żywe oczy sprawiały, że jego ostra twarz wyglądała interesująco. Zwróciła uwagę na jego dłonie, kiedy smarował bułkę masłem. Na temat dłoni powstawały legendy. Dow Michaelman był świetnym chirurgiem o krótkich serdelkowatych palcach. Palce tego mężczyzny były długie, a dłonie — piękne. Wyobraziła sobie, jak zawiązują skomplikowane węzły, nawlekają igłę, dotykają kobiety. Potem roześmiała się w duchu ze swej głupoty; w tej ostatniej sytuacji na pewno były niezgrabne i rozbiegane.

Stwierdziła ze złością, że opacznie zinterpretował jej uśmiech. Rozpieszczony Amerykanin, uznała; zbyt dużo forsy, zbyt wiele powodzenia w życiu. Zbyt wiele kobiet, które obdarzają go uśmiechem.

— W pokoju czeka na mnie praca — powiedziała. — Nie będę się panu narzucać w czasie oczekiwania na kontakt.

Wyjął z kieszeni marynarki kwadratową paczuszkę i położył ją na stole.

— Nie sądzę, aby to oczekiwanie trwało długo — powiedział.

Rozdział 11

MONSIGNORE

— Jak w Arizonie, w okręgu Gila.

— Czyli jak?

Wzdrygnął się na dźwięk jej głosu; dowiodła, że jest zdolna do milczenia ciągnącego się całymi milami.

— Gorąco. — Nie spuszczał oczu z wąskiej drogi. Z przeciwka walił wóz ciężarowy z przyczepą, nieco dalej w tę samą stronę co oni sunął podskakujący na osiołku arabski chłopiec. Harry zahamował. Ciężarówka minęła ich z rykiem, oni wyprzedzili chłopca. Borykając się z dźwignią czterobiegowej skrzyni, Harry musnął grzbietem dłoni udo Tamar. — Przepraszam — powiedział. Poczuł mrowienie w palcach.

Z Jemenu czy Bronxu, kwecz to zawsze kwecz. Ledwie wsiadła do wozu, kazała wyłączyć klimatyzację, wyjaśniając, że tylko by się od niej pochorowali; będzie dla Harry'ego lepiej, jeśli nauczy się znosić upał.

Wdzierające się przez okno powietrze waliło go w twarz jak gorący podmuch z pieca hutniczego.

Tego ranka czekała na niego wiadomość. Krótka, rzeczowa, skreślona tym samym zamaszystym pismem co adres na przesyłce z granatem. Polecała udać się do Aradu i zameldować w hotelu.

— Na północy jest chłodno. Śnieg leży na szczycie góry Hermon przez cały rok.

— Arad jednak nie jest na północy, lecz na południu — zauważył.

— Tak, Arad jest na południu — potwierdziła z uśmiechem. — Widzisz? Potrafimy dojść do zgody w pewnych kwestiach.

Płaskie, spalone słońcem miasto. Ulice pełne żołnierzy i pojazdów wojskowych.

— Stań, proszę! — wykrzyknęła, kiedy mijali hotel.

— Chcę tam wpaść. Chodź ze mną, postawię ci kawę.

— Ale to nie jest nasz hotel — zaproponował.

— Wiem, wiem. No chodź.

W kawiarni ogolony na łysą pałę wąsaty jak Turek barman po czterdziestce dwa razy plasnął dłonią w szynkwias.

— Aha! — Okazało się, że ma na imię Misza. Wymierzył w Harry'ego masywny paluch. — Lepiej bądź dla niej miły. To wyjątkowa osoba.

Harry siedział, kiedy ze sobą gawędzili. Gdzie jest Icchak? W kibucu na północy. Gdzie jest Joaw? W Tel Awiwie, pracuje jako księgowy. Gdzie jest kapitan Abelson? Już major, ciągle tu.

— A Zeew? — zapytał Misza. — Przestał przychodzić. Jak się miewa Zeew?

— Chyba dobrze.

— Chyba? Hahaha!

Po raz pierwszy Harry dostrzegł zakłopotanie na jej twarzy.

— Tylko Misza potrafi włożyć tyle znaczeń w „hahaha” — wyjaśniła mu Tamar.

Misza podał im kawę na koszt firmy.

— Obóz się powiększył? — zapytała. Misza wzruszył ramionami.

— Po ulicach kręci się tylu żołnierzy, dlatego sądziłam...

— Ściągnęli zewsząd. Na manewry.

— O... Arad się jednak rozrósł. Misza smętnie pokiwał głową.

— A byłaś ostatnio w Dimonie? Sami imigranci: z Rosji, Ameryki, Azji, Maroka. Zbyt wiele roślin w jednej doniczce. Same problemy — stwierdził i oddalił się, żeby obsłużyć innego klienta.

Harry przyglądał się jej ukradkiem, kiedy piła kawę. Jej przepocona bluzka, bluzka przeciwniczki technologii chłodniczych, lepiała się do skóry. Odwrócił wzrok.

— Często tu bywałaś?

— Stacjonowałam w pobliskim obozie wojskowym. Bardzo często.

Z Zeewem, pomyślał. Podsumowanym teraz krótkim „ha- haha”.

Dopili kawę, pomachali Miszy na pożegnanie.

— Tyle wojska... manewry. Wiesz, oni się tu nie zjawiają. Mam na myśli tych ludzi, z którymi jesteś umówiony — powiedziała już w samochodzie. — Bali się spotkać z tobą w Jerozolimie, na pewno więc nie wpakują się w środek takiego skupiska żołnierzy izraelskich.

Harry mruknął; jak ognia unikał pytania jej o zdanie.

W ich hotelu nie czekały żadne wiadomości. Przy kolacji prawie ze sobą nie rozmawiali. Tamar polecała kurczaka; Harry zamówił cielęcinę, która okazała się łykowata.

Tuż przed zmierzchem z pustyni przyszedł wielbłąd i zaczął obżerać rabatę na tyłach hotelu. Recepcjonista przegnał go przekleństwami i kamieniami.

Rankiem, kiedy przechodził przez foyer, aby spotkać się z Tamar na śniadaniu, znalazł w recepcji zaadresowany do siebie list.

— Dzień dobry.

— Boker tow.

— Jakie mają tu jajka?

— Świeże.

Zamówił jajka. Podał jej list, patrzył, jak czyta. Polecano mu wrócić do Jerozolimy i znów czekać w hotelu.

— A więc miałaś słuszność — powiedział.

Podniosła na niego wzrok.

— Przyznanie słuszności kobiecie nie nastęrcza ci problemów — zauważyła.

Wzruszył ramionami.

— Słuszność to słuszność.

— I nie wygląda na to, żebyś był poirytowany tą... bezsensowną włóczęgą.

— To wcale nie musi być bezsensowna włóczęga. Kiedy handluje się maleńkimi obiektami o wielkiej wartości, niechęć do przeprowadzania transakcji w niepewnych miejscach staje się cechą godną aprobaty.

— Wrócimy teraz do Jerozolimy i będziemy czekać w hotelu?

— Wrócimy do Jerozolimy. Jeśli zadzwonią pod moją nieobecność, na pewno znów się odezwą. Oprowadzisz mnie po mieście?

— Z największą przyjemnością — odparła z uśmiechem.

W drodze powrotnej oznajmił, że nigdy nie widział Via Dolorosa i kościołów.

— Nie lubię Wschodniej Jerozolimy — stwierdziła.

— W Nowym Mieście są znacznie ciekawsze rzeczy do obejrzenia.

— Ale naprawdę chcę zobaczyć Via Dolorosa.

Skinęła głową, lecz zanim dotarli do miasta, miała już migrenę.

Wyruszył więc sam. Wszedł do Starego Miasta przez Bramę Heroda,, dosłownie przenosząc się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z Zachodu na Wschód. Labirynt wąskich uliczek wypełniały tłumy, wszędzie dokoła targowano się zgiełkliwe. Jediną zmianą, jaka nastąpiła tu od czasów krucjat, uznał Harry, było pojawienie się anten telewizyjnych na starożytnych dachach oraz stanowiących rażący dysonans reklam coca-coli i singerowskich maszyn do szycia.

Po kilku minutach zaczepiono go.

— Przewodnika, sir? Via Dolorosa i kościoły? Siedem funtów?

Przewodnikiem był Arab, holujący już za sobą pięć osób. Harry skinął głową, zapłacił i ruszył za francuską rodziną — matką, ojcem i dorastającą córką — oraz dwoma amerykańskimi chłopakami, z których jednemu młoda Francuzeczka słała co jakiś czas ukradkowe spojrzenia. W miejscu Pierwszej Stacji Drogi Krzyżowej, gdzie Jezus został skazany na śmierć, była teraz szkoła podstawowa. Przewodnik pokazał im wyryte w kamiennych płytach chodnika ślady gier, którymi zabawiali się rzymscy żołnierze.

Minęli Drugą Stację, gdzie Jezus przyjął krzyż, a potem Trzecią i Czwartą, gdzie — kolejno — upadł i spotkał swą mdlejącą matkę. W miejscu Czwartej był kościół ormiański, z którego wychodziła akurat procesja duchownych.

— W każdy piątek właśnie, o tej porze — wyjaśnił przewodnik — kapłani z całego świata, goszczeni przez franciszkanów i prawosławnego metropolitę Jerozolimy, odgrywają ukrzyżowanie Pana Naszego, Jezusa Chrystusa. Niech państwo zwrócą uwagę na różnorodność ubiorów duchownych. Dwaj dzentelmeni w białych sutannach i myckach to opaci cystersów, znanych szerzej jako trapiści. Ci w szarych habitach to franciszkanie, mąż odziany na niebiesko jest kapucynem, a ten w czerni i szerokim czerwonym kapeluszu kardynałem, który zaszczyił nas wizytą.

Był również kapłan w białym tropikalnym garniturze oraz kilku w bardzo eleganckich czarnych.

Ksiądz obarczony ciężkim drewnianym krzyżem grał swoją rolę aż za dobrze, w pewnym momencie bowiem potknął się i omal nie upadł. Usiłując odzyskać równowagę, odwrócił głowę. Wysiłek tak wykrzywił mu rysy, że w pierwszej chwili Harry go nie poznał.

Potem jednak zyskał całkowitą pewność. Postąpił krok w stronę procesji.

— Peter...

W oczach mężczyzny niosącego krzyż dojrzał przeżycie tak osobiste i dojmujące, że natychmiast się cofnął.

Kiedy procesja ruszyła po Via Dolorosa w stronę Piątej Stacji, podążył za nią.

— Proszę pana! — wykrzyknął z ożywieniem przewodnik. — Jeszcze nie teraz. Musimy najpierw zwiedzić kościół ormiański.

Zbagatelizował jego słowa machnięciem ręki. Podążał za duchownymi przez dziewięć kolejnych stacji, a potem siedział cierpliwie w bazylice Grobu Świętego, obserwując, jak Peter Harrington asystuje kardynałowi w udzielaniu komunii.

Po mszy docisnął się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

— Witaj, ojciec — powiedział.

Dojrzał w oczach Petera błysk radości, a zarazem coś, co go zaniepokoiło. Ów niepokój ulotnił się błyskawicznie, Harry jednak zrozumiał, że oto napotkał przeciwnika w osobie przyjaciela.

Oczywiście poszli na kolację.

Peter Robert Harrington odkrył nieziemskie rozkosze stołu jeszcze jako kleryk w Mount Saint Mary's w Baltimore, a kraby i niemieckie piwo wydały mu się zrazu słabościami nie niosącymi większego zagrożenia. Miał zresztą niewiele słabości i harował jak wół. Systematyczność w studiach połączona z giętkim intelektem zawiodła go do Collegio Americano del Nord, gdzie zdobył licencjat z teologii. W Rzymie skapitulował bez reszty przed sztuką klasyczną i kuchnią włoską. Po wyświęceniu osiemnaście nudnych miesięcy na stanowisku wikariusza w podmiejskiej parafii Baltimore pozwoliło mu w pewnym stopniu odzyskać powściągliwość, odkąd bowiem posmakował *ossobuco* z *gnocchi*, kraby nie wydawały mu się równie kuszące jak kiedyś.

Ale ponownie wysłano go do Rzymu i Kolegium Północnoamerykańskiego .

Spodziewał się, że będzie kontynuował studia teologiczne, jako że jego przełożeni nie nazywali teologii inaczej niż „królowa wszech nauk”, doznał jednak miłego zaskoczenia, gdy zasugerowali mu, by zajął się historią sztuki. Wstąpił do Accademia di San Luca, gdzie we właściwym czasie tak przekonująco obronił swą pracę „Uświęcone dzieła sztuki jako symbole w pismach pierwszych Ojców Kościoła”, że zdobył prawo noszenia czterograniastego doktorskiego biretu z czerwonym pomponem.

Skierowano go do pracy w muzeum podlegającym dyrektorowi Patrimonium Petri. Podczas wypełniania codziennych obowiązków miewał do czynienia z darczyńcami i właścicielami galerii, ludźmi zatem nawykłymi do biesiadowania w najlepszych restauracjach.

Kiedy pierwszy raz w kameralnej atmosferze konfesjonału podniósł kwestię swojej słabostki, spowiednik, brat Marcello, uspokoił go:

— Zapewne wyolbrzymiasz problem. Módl się częściej, posilaj z większym umiarem i mów „dostyc” przed czwartym mocnym drinkiem.

Kiedy jednak wrócił po raz drugi, trzeci i czwarty, żeby wyznać, iż znów się opił i rozkoszował wykwinnym jadłem jak sakramentem, uśmiech zniknął z głosu, który dobiegał z konfesjonału. Spowiednik nakazał mu co wieczór medytować przez pół godziny na temat grzechu obżarstwa oraz codziennie odmawiać różaniec w intencji zapanowania nad swym apetytem. W dodatku ojciec Harrington sam sobie wymierzył pokutę: dwutygodniowy post po każdym upadku, a konkretnie

— rezygnację z deserów i ciast, za którymi bezgranicznie przepadał. Zaczął codziennie rano uprawiać jogging, zwalczając swą słabość wysiłkiem, abstynencją i modlitwą.

Pewnego dnia na Piazza Bologna spostrzegł innego biegacza, młodego Amerykanina. Tego samego popołudnia kardynał Pesenti przedstawił ich sobie. Coś pomiędzy nimi zaskoczyło — zaprzyjaźnili się niemal natychmiast. Podczas pobytu Harry'ego w Watykanie wielokrotnie jadali kolacje w najrozmaitszych restauracjach, a przede wszystkim wiedli nieustające przyjacielskie spory, dostrzegając w sobie wzajem umysły nieustępliwe i sprawne, stanowiące zarazem magnes i wyzwanie. Harry zawdzięczał księdzu całą swą wiedzę kulinarną i winiarską.

W zamian nauczył ojca Harringtona niejednego o kamieniach szlachetnych.

Peter zaprowadził go na ulicę Króla Jerzego, do amerykańskiego baru z rodzaju tych, które rozrzucone po całym świecie, obliczone są na to, aby wyciągać dolary od turystów.

— To jedyne miejsce, gdzie podają irlandzką whiskey — wyjaśnił.

Zamówili dwie podwójne.

— *Le-chaim, chawer.*

— Twoje zdrowie, ojczulku.

— Już nie ojczulku. Od dwóch lat jestem monsignorem, Harry.

— A więc jutro czerwony kapelusz.

— Nie, nie. Popełniłem błąd, idąc do sztabu jako młodszy oficer. Mógł mnie przed tym ostrzec byle żołnierz.

— W gruncie rzeczy nic cię nie obchodzą awanse, Peter. Widziałem twoją twarz, kiedy dźwigałeś krzyż. — Przechylił się przez stół. — Jesteś urodzonym szczęściarzem, jednym z wybrańców.

— Dziękuję, Harry — odparł cicho Peter. Zmierzył Harry'ego wzrokiem, a potem opuścił oczy na menu. — Rekomenduję gulasz.

— W Izraelu trudno o dobrą wołowinę.

— Ta knajpa sprowadza ją samolotami z Chicago.

Gulasz okazał się gorący i pieprzny.

— Lepszego nie dostałbyś nawet w Chicago — uznał duchowny.

— Cóż, tu używają importowanego mięsa.

Monsignore uśmiechnął się, ale tylko wargami.

— Pamiętasz cielęcinę w Rzymie?

Harry westchnął.

— W Grandzie. Wciąż taka wyśmienita?

— Tak. — Harrington międlil w dłoniach serwetkę. — Pokazano ci już kamień?

— Nie.

— Mnie też nie. Jak dureń czekałem w Papieskim Instytucie Biblijnym przez dwa tygodnie.

— Wygląda na to, że ktoś inny dograł sprawę, a my jesteśmy trzymanii w rezerwie — stwierdził z irytacją Harry. Popatrzył na przyjaciela. — Możesz liczyć na pomoc policji?

— Tylko we Włoszech.

— Klejnot był ubezpieczony?

— A któreż muzeum ubezpiecza eksponaty? Podczas przewozów, owszem. Ale za murami? Nigdy. Nasze eksponaty są bezcenne, ubezpieczenie byłoby niebosiężne — odparł posępnie.

— Próbujecie jednak odkupić diament, prawda?

Harrington wzruszył ramionami.

— Pragniemy odzyskać Oko Aleksandra. To nie jest kwestia pieniędzy. Niech sobie mają akt własności... my postrzegamy to tak, jakbyśmy płacili okup za uprowadzone dziecko. Mam ci wyznać, czego nie pojmujemy, Harry?

— Jeśli łaska...

— Otóż nie rozumiemy, dlaczego dla nas nie pracujesz.

— Diament ma długą żydowską przeszłość.

— Ale jest nasz! Ten kamień został nam skradziony!

— Kradziono go niejednen raz, chciałbym, abyś to miał na uwadze, Peter.

— Czyżbym oceniał cię błędnie? Czyżbyś nie stronił od kupowania kradzionego towaru?

— Krew nie woda — odrzekł Harry. — Nawet święcona. W dzisiejszych czasach nie możesz mnie zmusić, żebym dla was pracował. Nie możesz mnie uwięzić czy spalić na stosie.

— Chrzanisz — powiedział z niesmakiem Harrington. — To stare dzieje, ale wy, Żydzi, kurczowo wczepiacie się w przeszłość.

— Uczymy się na przeszłości. Spójrzmy na tę przeszłość, ekscelencjo. W jaki sposób Kościół zdobył ten kamień? W czyich był rękach, zanim stał się własnością Kościoła?

— Mówisz tak samo jak syjonista o Izraelu.

— O to chodzi, o to właśnie chodzi! Właśnie dlatego muszę kupić ten diament. Odebrano nam coś cennego, a ty potępiasz nas za to, że usiłujemy tę rzecz odzyskać i zatrzymać.

Duchowny pokręcił głową.

— Należy do nas. W muzeum spoczywa piękna tiara, w której ziele dziura. Tiara noszona przez papieży. Mam zamiar cię pokonać, Harry.

— Nie, Peter.

— Tak. Oczywiście żeby przysłużyć się Kościołowi. Ale przede wszystkim dla samego siebie. To nie jest bardzo chrześcijańskie, prawda?

— Ale bardzo ludzkie. Rozumiem cię doskonale.

— Hopeman i ta jego pewność siebie! Cóż by z ciebie był za wspaniały jezuita, Harry! Szkoda, że nie jesteś katolikiem.

— Jestem urodzonym szczęściarzem. Jednym z wybrańców.

Świdrowali się wzrokiem, poruszeni eksplozją goryczy, która legła pomiędzy nimi.

— Chyba lepiej zamówię dwa koniaki — powiedział wreszcie z rezygnacją Peter Harrington.

— Desery w tym kraju są do kitu, ale pociesz się, że odpuścisz sobie kilka doskonałych, kiedy będziesz pokutował za obżarstwo.

Peter usiłował opanować drganie kącika ust, w końcu odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

— Ach, ty zwariowany żydowski sukinsynu! — zdołał wykrztusić po chwili.

Zamówił drinki. Zmierzyli się wzrokiem, lecz tym razem Harry nie wytrzymał i znów, w reakcji na stres, parsknął śmiechem. Zataczali się, chichotali, aż do bólu brzucha.

Duchowny wyciągnął niepewny palec.

— ...Pokonam cię.

— Takiego świńskiego niekoszernego wała! — zdołał dosyć wyraźnie zareplikować Harry.

— Oczywiście z importu, bo jakżeby inaczej!?

Znów ryknęli śmiechem. Harry zgiął się w pół.

Barman śmiał się również, chociaż nie miał pojęcia dlaczego.

Rozdział 12

MASADA

Nazajutrz rano, kiedy zadzwoniła do niego Jemenka, w głowie Harry'ego rozbrzmiewała wystukiwana przez niewidoczne tam-tamy pilna wiadomość: „Nie pij z duchownymi”. Przełknął trochę aspiryny, popijając ją sokiem pomidorowym, następnie zaś przyjął propozycję kobiety, że zostanie jego przewodniczką. Zabrała go do muzeum, gdzie w salach wystawowych panował kojący chłód, a strażnicy zwracali się do niej po imieniu i traktowali ją jak księżniczkę. — Była niesłychanie kompetentna, jej uwagi dodawały blasku pięknym eksponatom i sprawiały Harry'emu wiele satysfakcji. Pod koniec sympatycznego poranka czuł się znacznie lepiej, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

— Gdzie zjemy lunch? — zapytała.

Podjechali taksówką pod Bramę Jafską, gdzie przed niewielkim kamiennym budynkiem ustawiono pół tuzina stolików.

— W środku będzie chłodniej — zasugerował, ona zaś odparła:

— Ale nie tolerują tam kobiet.

Zajęli jedyny stolik skryty w cieniu. Zgodnie z sugestią Harry'ego zamówiła zestaw sałatek; nabierali je z talerzy kawałkami pity i popijali herbatą miętową.

Z wnętrza kafejki dobiegały podniesione męskie głosy, goście emocjonowali się grą, do której używano kości i pionków. Kobieta nazywała ją szesz besz, a kiedy wyjaśniła zasady, Harry uświadomił sobie, że chodzi o tryktraka.

— Sądziłem, że nie przepadasz za tą częścią Jerozolimy — stwierdził.

— Uwielbiam ją. Kiedyś tu nawet mieszkałam, ale to był zły okres w moim życiu. — Podniosła na niego wzrok.

— Przywiozłam cię tutaj, bo przypomniałam sobie zeszłej nocy, że człowiek nie może uciekać przed sprawami, które napawają go lękiem.

— Postępuję tak nieustannie — odparł Harry. Podszedł kelner i zaproponował im nargile. Dwaj siedzący

w pobliżu Arabowie palili takie właśnie fajki wodne, gulgocące przy każdym pyknięciu. Harry odmownie pokręcił głową.

Opowiedział jej o monsignorze Harringtonie, a potem zapytał:

— Ludzie, którzy polecili ci ze mną współpracować... czy nie zechciałabyś ich poprosić, żeby go obserwowali?

— Zrobię to.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że przyda się nam każda pomoc — powiedział. — Jesteś rozwódką?

— Mąż nie żyje — odpowiedziała, upijając łyk kawy.

„Drogi Panie Hopeman,

proszę udać się do Masady i czekać tam, aż się z Panem skontaktuję.

Pozwoli Pan zarazem, że podziękuję mu za godną najwyższego uznania cierpliwość i gotowość współpracy. Ubolewam, iż doszło do zwłoki w przeprowadzeniu naszej transakcji, była jednak niezbędna i liczę w tej kwestii na Pańskie zrozumienie. Z niecierpliwością oczekuję osobistego spotkania. Szczerze oddany Jusuf Mehdi."

Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

— Masada jest na pustyni — stwierdziła. — Z dala od ludzkich siedzib. Autobusy dowożą tam grupy turystów, ale podczas letnich upałów przyjeżdża ich niewiele. No i nie ma tam żołnierzy, którzy mogliby wystraszyć twoich przyjaciół.

— Będziemy musieli biwakować? Zastanawiała się przez chwilę.

— Na zboczu góry od strony Morza Martwego jest schronisko, z reguły jednak zatrzymują się w nim młodzi ludzie. Wątpię, czy Mehdi zechce się z tobą kontaktować w ich obecności. Ale od strony pustyni zbudowano chatę, z której od czasu do czasu korzysta strażnik z Ministerstwa Parków Narodowych i Rezerw Naturalnych. Jeśli akurat stoi pusta, zdołam zapewne załatwić pozwolenie, byśmy mogli w niej zamieszkać.

Pół godziny później zadzwoniła do jego pokoju.

— Zrobione — powiedziała.

Znowu pojechali do Aradu. Kiedy Tamar poszła na zakupy, Harry zatankował wynajęty samochód, uzupełnił olej i wodę, a w końcu, powodowany nagłym impulsem, wziął jeszcze butelkę izraelskiej brandy.

Niedaleko za Aradem skręcili z asfaltu w gruntową drogę o nawierzchni z piasku i kamyków, które strzelały spod kół. Kiedy mijali dwa stojące nieruchomo wielbłądy, Harry zapytał, czy na pustyni żyją jeszcze jakieś stworzenia, ona zaś odparła, że tak, i to wiele: żmije, hieny, gazy, całe stada szakali. Ostatnio w pobliżu miejsca, przez które przejeżdżali, dostrzeżono nawet czarną panterę.

— Stań za następnym wzniesieniem — poleciła.

Zatrzymał wóz za grzbietem niewielkiego wzgórza i oto

w odległości ośmiu, dziewięciu kilometrów, w samym środku smaganej wiatrami pustaci, wyrosła przed ich oczami Masada.

— Widzisz te tarasy wykute na szczycie? Tam, z lewej strony? To tam właśnie w ciepłe noce stary król Herod zwykł siadywać z tłustą chatichą na każdym kolanie.

— Tłustą kim?

— Chatichą. Niech pomyślę... — Uśmiechnęła się szeroko. — Kimś, kogo wy, Amerykanie, nazywacie niezłą laseczką.

Odpowiedział uśmiechem i wrzucił bieg. Samochód popędził w dół krętą wyboistą drogą. Masada rosła z sekundy na sekundę; niebawem coraz bardziej zafrapowany Harry dostrzegł, iż jest podziurawiona ciemnymi wlotami jaskiń, Bóg raczy wiedzieć jak głębokich. Po raz pierwszy doznał wrażenia, iż przyjazd tutaj wcale nie był głupotą.

Chata była wyposażona w starą, lecz wciąż działającą lodówkę, dwupalnikową kuchenkę, sedes z dychawiczną spłuczką i prysznic z zardzewiałym sitkiem. Na umeblowanie składały się tandetne bądź połamane rupiecie oraz jedna wojskowa prycza.

— Uroczy apartament — uznał Harry. — Bierzemy.

Kiedy wynosił z samochodu zapasy, podniósł głowę i dostrzegł rząd uzbrojonych żołnierzy. Zadźwigał pudło do chaty, postawił je na podłodze i rzucił pytająco:

— Przypuszczam, że to Izraelczycy?

Wyrzała przez okno, potem podeszła do drzwi.

Żołnierzy było może dwudziestu, wśród nich dwie kobiety.

Harry, który swoją służbę wojskową odbywał w piechocie, patrzył ze współczuciem, jak siadają w cieniu chaty, nieomal czując wraz z nimi ból nóg, pieczenie płuc, ciężar plecaka przyklejonego do przepoconej koszuli. Dwie żołnierki były urodziwe mimo plam od potu na drelichach i pięciu manierek pogrubiających talię. Podeszedł do samochodu i wyjął aparat fotograficzny.

Oficer odwrócił się do Tamar, wrzasnął coś po hebrajsku, potem przeszedł na angielski:

— Żadnych zdjęć! Żadnych zdjęć!

Harry odłożył aparat, oficer jednak nie przestawał się wydzierać.

Harry prześwidrował go spojrzeniem.

— Spokojnie, człowieku — powiedział.

Tamar rzuciła ostrym tonem kilka zdań.

Oficer wydał rozkaz, który jego podwładni skwitowali chóralnym jęknięciem. Kilka minut później żołnierze odeszli.

Po powrocie do chaty przez jakiś czas w milczeniu rozpakowywali zapasy.

— Trudno to chyba nazwać lekcją demokracji, prawda? — zapytał wreszcie Harry.

— Obiecałam mu, że zabiorę ci film — odparła.

— Ale przecież nie pstryknąłem ani jednego zdjęcia.

— Muszę mieć ten film.

— Boże Wszechmogący!

Wyszedł po aparat. Nie spuszczała go z oka, kiedy przewijał film, a potem wzięła szpulę.

— Przepraszam, że musiałeś to zmarnować — powiedziała.

Zaczął szukać nowego filmu, a końcu wysypał na podłogę całą zawartość torby — bieliznę, koszule, skarpety, pudełko miętówek, kilka książek w broszurowych wydaniach, film i kilka zaadresowanych do Delii toreb na brudy.

Przeczytała nadruki i popatrzyła na Harry'ego z niedowierzaniem.

— Wysyłasz brudne rzeczy do Ameryki?

Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź.

— Mój Boże — westchnęła.

— Ona ich nie pierze, tylko odsyła do mojej pralni.

Zaczęła nad zlewem szorować patelnię i garnek, po chwili zaś odwróciła głowę i powiedziała:

— Ta podłoga jest strasznie zaświniona. W kącie stoi szczotka.

— Jestem przyzwyczajony do odrobiny bałaganu. Żyjemy z żoną osobno.

— A kogo, do cholery, może obchodzić, jak i z kim lub bez kogo pan mieszka, panie Hopeman? — zapytała retorycznie, szorując patelnię z coraz większą pasją.

— Wypchaj się — odburknął błyskotliwie.

Wziął z pryczy jeden z dwóch złożonych koców wojskowych, wrzucił do torby dwie pity i kilka bananów, następnie zaś z przemożnym uczuciem, że jest mężem, który ucieka z domu, wyszedł na dwór i uzupełnił swoje zapasy o wyjętą z auta butelkę brandy. Potem ruszył ścieżką wiodącą na szczyt Masady.

Wiedział, że ów szlak nosi nazwę „rzymskiej rampy”, ponieważ został zbudowany przez żołnierzy Dziesiątego Legionu usiłujących dobrać się do gromadki Żydów, do ostatniego gniazda zbrojnego oporu Judei przeciwko Rzymowi.

Ponoć drewniane słupy użyte przez legionistów do opalowania rampy wciąż były widoczne — i rzeczywiście, dostrzegł je bez trudu, kiedy pokonał mniej więcej jedną trzecią drogi na szczyt. Przystanął, żeby obejrzeć je dokładniej: zbielewały tak, że wyglądały jak matowe srebro, sprawiały jednak wrażenie zdrowych — sól i suche powietrze skutecznie zabezpieczyły je na dwa tysiące lat.

Był oszołomiony. Prawdziwe drewno, osadzone tu przez ludzkie ręce, takie same jak jego własne, dawało mu poczucie fizycznej więzi z wydarzeniami sprzed dwudziestu stuleci.

W pobliżu piętrzyły się czerwono-szare urwiska i stożki gór ścięte — mogłoby się zdawać — jakimś naturalnym bułatem. Wszystkie były podziurawione przez pieczary.

Podobna sceneria, głazy i niebo, czekała go u kresu męczącej wędrówki, na płaskowyżu. Rumowiska tuliły się do gruntu niczym podmurówki zbombardowanych domów, tu i ówdzie widać było nienaruszony kamienny dach. Wiał suchy gorący wiatr, za którego sprawą — a może zresztą tylko w wyniku wspinaczki — Harry miał niejakie kłopoty z oddychaniem. Wszedł ze swoim majdanem do jednej z kamiennych budowli, znalazł w niej chłód i mrok.

Wzdrygnął się, gdy tuż obok smyrnęło jakieś niewielkie stworzenie.

— Przepraszam — powiedział. — Szalom, szalom, kimkolwiek jesteś.

Usiadł, żeby złapać oddech, a kiedy jego oczy przywykły do półmroku, dostrzegł, iż ściany i sufit pokrywa gruba warstwa tynku, idealnie gładkiego i przyjemnego w dotyku. Prawdopodobnie położono go w starożytności. Posadzkę stanowiła mocno ubita polepa, zimna, lecz zupełnie sucha. Rozłożył koc, biorąc to miejsce we władanie.

Kiedy po jakimś czasie wyszedł na świat, żeby podjąć zwiedzanie, doznał dziwnego, nie znanego dotąd uczucia — miał wrażenie, że jest obserwowany.

Bzdura, powiedział sobie.

Po kilku minutach jednak przekonał się, że to wcale nie bzdura. Obrysowana niebem bardzo czarna koza stała na rumowisku i przechyliwszy łeb przypatrywała mu się z uwagą.

Klasnął w ręce, przypuszczając, że umknie, lecz nie poruszyła się ani nawet nie zamęczała. A może należałoby powiedzieć: „zabeczała”... Jaki właściwie odgłos wydają kozy? Ruszył przed siebie; kiedy chwilę później odwrócił głowę, nie zobaczył już kozy.

Chata, którą zajął, była jedną z kilku podobnych do siebie kamiennych budowli wzniesionych na krawędzi urwiska. Głęboko w dole zasłany wielkimi głazami skali-

sty jar rozszerzał się w stronę schroniska młodzieżowego, budynku przypominającego szopę, odległego o mniej więcej pół mili.

Jeszcze dalej skrzył się roztopiony ołów Morza Martwego.

Nie dostrzegł w schronisku żadnych oznak życia. Nie opodał rozpoczynała swą wspinaczkę na szczyt Masady lina kolejki. Pusty wagonik odpoczywał na dole. Motorniczy wrócił do domu, znajdującego się zapewne w Dimonie albo w Aradzie.

Harry był uwięziony w płonącej pomarańczowo ciszy zakłócanej tylko świstem wiatru. Sam na sam z Masadą.

Wędrował dalej. Kamienne budowle, które zrazu uznał za podobne, w rzeczywistości znacznie się różniły. Jedne, długie i niskie, pełniły kiedyś przypuszczalnie rolę spichlerzy. W innych były niewielkie otwarte paleniska w kącie lub pod ścianą, w jeszcze innych — schody prowadzące w dół do pozbawionych obecnie wody rytualnych łaźni. Na szczęście nie był zdany na owe mykwy, zauważył bowiem dwa zupełnie współczesne budynki z kamienia oznakowane groteskową w tym miejscu tabliczką z dwoma zerami — wszedł do tego, który przeznaczono dla mężczyzn, odkręcił kran, umył ręce, zwilżył twarz i głowę.

Na północnym krańcu niewielkiego płaskowyżu znajdowały się ruiny pałacu z widocznymi tu i ówdzie mozaikowymi posadzkami o prostych geometrycznych wzorach. Zszedł po schodach na środkowy taras i zrozumiał natychmiast, dlaczego Herod kazał go zbudować: było to jedyne na całej Masadzie miejsce osłonięte od słońca i przenikliwego wiatru.

Stał w chłodnej ciszy zafundowanej mu przez dawno zmarłego króla, omiatając spojrzeniem wielomilową połąć brzegu i pustyni. Żaden nieprzyjaciel nie mógł tu marzyć o skrytym podejściu.

Dostrzegł również ruiny trzech... nie, czterech rzymskich obozów. Wokół Masady zbudowano ich w sumie osiem; były połączone również widocznym z pozycji obserwacyjnej Harry'ego kamiennym murem długości kilku mil.

Siedemdziesiąt lat po śmierci króla Heroda rzymski garnizon w Masadzie został nagłym wypadem unicestwiony przez niewielką grupę żydowskich bojowników. Cztery lata po zdobyciu fortecy masadyjscy Żydzi byli ostatnimi obrońcami niepodległości przed potęgą Rzymu, toteż rzymski gubernator, Flawiusz Silwa, ruszył na Masadę, wiodąc ze sobą cały Dziesiąty Legion, wielotysięczne wojska posiłkowe i

ogromną rzeszę robotników. Otoczył górę obozami i murem, odcinając w ten sposób obrońcom wszelkie drogi ucieczki.

Mimo wszystko jednak piętnaście tysięcy oblegających potrzebowało aż trzech krwawych lat, aby pokonać Żydów z Masady, których liczba, wraz z kobietami i dziećmi, nie sięgała nawet tysiąca. Kiedy wreszcie Rzymianie ukończyli rampę, uniemożliwiając dalszą obronę, Żydzi woleli popełnić zbiorowe samobójstwo, aniżeli zostać ich niewolnikami.

Teraz obozy były puste i martwe; z tej odległości Harry nie miał szans dostrzec jakichkolwiek oznak aktywności ich jedynych mieszkańców — owadów, gadów i małych zwierząt. Czuł się nieswojo, kiedy z chłodnego tarasu Heroda wracał na gorący szczyt Masady.

Słońce zdążyło zająć, nim dotarł do chaty, którą zaczynał postrzegać jako swoją. Zmierzch przyniósł nieco chłodniejszy wiatr. Małe banany, które były zielone jeszcze rano, kiedy kupowała je Tamar, teraz zżółkły i pokryły się plamkami. Obdarł jednego ze skóry, skosztował i przekonał się, że jest słodki.

Wróciła koza.

Plątała się w pobliżu chaty i ku uciechu Harry'ego pożarła z ochotą skórkę, którą jej rzucił. A potem pierdnęła donośnie, i to akurat w chwili kiedy po raz drugi ugryzał banana.

— Won stąd, ty świni! — wrzasnął.

Koza w odpowiedzi położyła się na brzuchu, Harry zaś wybuchnął śmiechem, ponieważ poczucie humoru wzięło w nim górę nad wrażliwością zmysłów. Perystaltyka jelit kozy wciąż dawała o sobie znać, lecz — uświadomił sobie po chwili — tak już z kozami jest, a człowiek głodny nie powinien grymasić na zachowanie współbiesiadników. Poczęstował więc pitą smrodliwego zwierzaka.

Wiatr gnał przed sobą miniaturowe piaskowe demony.

Kamienie wokół Harry'ego stopniowo przemieniały się w czarne żeliwo.

*

Żywot tej przemiany nie był długi. Zza horyzontu wypełził leniwie zupełnie niewiarygodny księżyc, kąpiąc otoczenie w świetle niemal równie silnym jak dzienne, łagodząc i zmiękczając kamienne powierzchnie. Harry otworzył butelkę i pociągnął

potężny łyk izraelskiej brandy, która tak mu posmakowała, że pociągnął jeszcze raz, ledwie tylko odzyskał oddech. Rozmigotane Morze Martwe wydawało się tak gęste, że można by po nim chodzić. Na jego przeciwległym brzegu, w Jordanii, poruszały się dwie iskierki — reflektory samochodu. Harry zastanawiał się, jakim człowiekiem jest Arab siedzący za kierownicą dalekiego wozu.

Zabrał butelkę do chaty, położył się na kocu i popijał dalej, aż twarda podłoga zmiękła trochę i pocięła. Usiadł, ściągnął przez głowę koszulkę, kopnięciem zrzucił mokasyny, zdjął szorty i bokserki, a potem nagi ułożył się do snu.

Obudził go własny kaszel. Miał wyschnięte gardło, był rozpalony bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Gdy wyszedł na dwór, przekonał się, że kontury księżycy rozmywa cienka chmura pyłu niesionego ze wschodu przez słaby wiatr. Ten kurz wciskał się wszędzie. Harry wziął koszulkę, poszedł do toalety, zmoczył trykot pod kranem i zawinął na głowie. Bawełna zaczynała wysychać, kiedy wrócił do chaty.

— Harry!

— Tu jestem. — Nałożył szorty.

Tamar zanosila się kaszlem. Zaprowadził ją do chaty, kazał napić się brandy; dygotała, spełniając polecenie, ale kaszel ustał.

— Co to jest?

— Nazywa się szaraw. Wyż baryczny z Egiptu.

— Dlaczego, do diabła, nie zostałeś na dole?

— Bałam się, że zaczniesz schodzić po nocy. Niedaleko stąd pewien amerykański duchowny zabłądził i umarł.

Ujął dłońmi jej twarz, pocałował. Ich języki spotkały się ze sobą. Kiedyś czytał gazetę, w której dorastający czytelnik pytał: „Czy pocałunek z języczkiem to grzech śmiertelny?”, redaktor zaś, człowiek w średnim wieku, odpowiadał: „Nie, to nie jest grzech śmiertelny, lecz jednoznaczne zaproszenie do miłości fizycznej”.

Kiedy pocałowali się po raz drugi, język Harry'ego wyjaśniał zarówno sensowność pytania, jak i odpowiedzi. Tamar nie protestowała, gdy uwalniał ją z całej garderoby prócz bluzki.

— Jakże się nazywał ten amerykański duchowny? — wymruczała sennie. — Chyba był biskupem.

A cóż to ma za znaczenie? pomyślał, pozwalając swoim spodnikom zsunąć się na koc. Rozpiął jej bluzkę, musnął policzkiem najpierw jedną pierś, potem drugą. Jej sutki były miękkie, dopóki nie zaczął wodzić po nich językiem; nie spodziewał się, że pomiędzy jego wargami urosną tak bardzo.

Oboje oddychali z trudem, w równym stopniu z powodu szarawu i podniecenia. Otaczał ich suchy kurz, jedyna wilgoć przytała się w gęstwie włosów łonowych Tamar; podskoczyła, gdy dotknął źródła owej wilgoci. Wziął ją w ramiona, położył, a pieszcząc pośladki, odkrył niewiarygodną myszkę.

— Zostaw — powiedziała.

Ich usta ogarnęła gorączka. Pieścił ją, aż ugięła kolana, uniósł je tak, że dotknęły jego ramion. Wszedł, cofnął się, pchnął, znalazł rytm przypominający bicie serca jakiegoś olbrzyma, przyspieszył... Każdemu ruchowi towarzyszył dźwięk podobny do cmoknięcia. Jej ramiona zacisnęły się na jego głowie, miękkie wrażliwe usta dotknęły szyi. Dotrzymywała mu kroku; ze zbytnią łatwością, pomyślał jakimś zakamarkiem mózgu.

— Tak, teraz — szepnęła.

Pragnął, by trwało to w nieskończoność, usiłował myśleć o innych sprawach... podatkach, brylancie dla aktora... oblegających płaskowyż Rzymianach... Wstrzymywał oddech, gdy Boże, za wcześnie, za wcześnie! ona jęknęła, on zaś runął na łeb, na szyję z wierzchołka góry.

Zdyszani, rozpaczliwie wsysali się w siebie ustami. Potem jej dłoń uniosła się, musnęła jego powieki, nos, nozdrza, wewnętrzne strony warg, język.

— Biskup Pike — powiedziała Tamar.

Gdy się obudził, był sam, a jego zegarek wskazywał wpół do piątej. Na zewnątrz panował nieznośny upał, lecz powietrze nabrało przejrzystości. Szaraw minął. W dole, nad pustynną równiną, kurz przepływał jak mgła.

W toalecie solidnie wyszorował się gąbką, co mu trochę pomogło. Wracając, spojrzął przez mur w pobliżu rzymskiej rampy i przed chatą dojrzał Tamar. Błada poświata z brutalnym realizmem rysowała jej uda, nieproporcjonalnie masywne nawet u

kobiety tak długonogiej. Myła włosy nad garnkiem ustawionym na skale. Z powodu ciemności nie widział szczegółów. Następnym razem wolałby obserwować jej usta, smukłe zakrzywienie nosa, uśmiech pojawiający się w oczach i znikający z nich.

Zawierania powietrza nad Masadą były osobliwe — dosłyszał plusk wody, kiedy Tamar opróżniała garnek, a potem brzęknięcie, gdy odstawiała go na skałę.

Zaczynało wschodzić słońce.

W chacie wyjął z torby kamień, przyłożył go do oka i przez zmatowione okno granatu spojrzął na wyzierający zza horyzontu blask. Przypominał... co właściwie przypominał?

Ciepłe oko dobrotliwego Boga.

Z popielnika iskiereczka mruga, pomyślał. Tylko na takie zakłęcie potrafił się zdobyć w tej chwili, zakłęcie to jednak przyniosło mu osobliwe uspokojenie, gdy na powrót układał się do snu.

Rozdział 13

ENGEDI

Kiedy staszczył swoje manele rzymską rampą, nie było ani Tamar, ani samochodu, na nie zaryglowanych drzwiach chaty znalazł jednak notatkę: „Wracam wkrótce. Sok w lodówce. T.”

Lodówka — najstarsza zapewne, jaką widział w życiu — nosiła markę Amkor i była odpowiedzią izraelskiej myśli technicznej na osiągnięcia General Electric. Nalał sobie szklankę soku pomarańczowego i popijając go, uważnie przyglądał się rzeczom Tamar. Na plecaku leżał czysty stanik; reszta wysuszonego prania spoczywała starannie złożona na parapecie okiennym, stosik zaś wieńczyła para białych zrolowanych skarpetek i bawełniane majteczki. Obok łóżka poniewierała się na podłodze zaczytana arabska książka. Zawartość tuby z pastą do zębów została przemyślnie wyciśnięta do ostatniej kropli.

Znów ją podglądał.

Nie mając do roboty nic lepszego, wyjął z torby fotokopie Miedzianego Zwoju i ułożywszy się na łóżku, zaczął je studiować. Tyle razy analizował ten tekst i wciąż tkwił w martwym punkcie.

Ucieszył się, gdy usłyszał warkot silnika. Tamar — z włosami splecionymi w ciasny kok, taki sam jak podczas ich pierwszego spotkania — była zgrzana, lecz radosna. Podobała mu się w tej wersji. Nosiła szorty i starą wojskową koszulę, której związane w węzeł poły wyglądały pod jej biustem jak zaciśnięta pięść.

— *Erew tow*. Śpioch z ciebie.

— Szalom. Gdzie byłaś?

— W Aradzie. Żeby skorzystać z telefonu. Twojemu przyjacielowi monsignorowi dopisało większe szczęście niż nam.

— Czyżby? — poderwał się.

— Tak. Zeszłego wieczoru spotkał się z kimś w Betlejem.

— Z Mehdim?

Wzruszyła ramionami.

— To był tęgawy facet w średnim wieku. O dwudziestej czterdzieści pięć spotkali się przed kościołem Narodzenia Pańskiego i rozmawiali mniej więcej pół godziny. Potem monsignore wszedł do świątyni, zapalił trzy świece i modlił się przez jakąś godzinę. Wreszcie złapał szerut i wrócił do Jerozolimy.

— A Mehdi?

— Granatowy mercedes, który zabrał go z Betlejem, należy, jeśli wierzyć tablicom rejestracyjnym, do spółki importowej z Gazy. Ale niemal na pewno tablice są fałszywe. Wóz skierował się na południe. Był śledzony przez kilkanaście kilometrów, aż do Elatu, gdzie przekroczył granicę jordańską.

Doszli do zgodnego wniosku, że jeśli Mehdi poszuka z nim kontaktu, to rzecz nastąpi na Masadzie, nie zaś w chacie u podnóża płaskowyżu, po śniadaniu więc złożonym z sera, pity i kawy tak mocnej, że niemal nie nadawała się do picia, Harry ponownie ruszył w górę rampy. Mimo skwaru na płaskowyżu byli już turyści, na górę wjeżdżała kolejka linowa, w dole zaś parkowały na poboczu drogi dwa autobusy. Dołączył do grupy spoconych chicagowskich Żydów, którzy siedząc w cieniu starożytnego spichlerza słuchali opowieści swego rabina o zelotach. Rabin pokręcił kilka ważnych faktów, lecz najwyraźniej zauważył to tylko Harry. Wreszcie opowieść dobiegła końca, ludzie z Illinois ustawili się w ordynku na peronie kolejki linowej i chwilę później ulecieli z życia Harry'ego Hopemana. Następnym kursem wagonik dowiózł na górę grupę z Reading w stanie Pensylwania. Rabin z Pensylwanii był młodszy i lepiej przygotowany niż jego kolega z Chicago, prawil jednak tak drętwo i uczenie, że większą część jego oracji Harry wolał przeczekać w toalecie. Jusuf Mehdi wciąż się nie pojawiał.

To było bardzo długie popołudnie.

Gdy wreszcie zszedł do chaty, Tamar przygotowała kolację: sałatkę i felfel; smakołyk był tak pieprzny, że zjadł go zaledwie tyle, aby nie urazić Tamar, i w rezultacie musiał później oszukać głód resztką bananów. Tamar zrobiła zdumioną minę, kiedy dołał do kawy skondensowanego mleka.

W chacie panowała klaustrofobiczna atmosfera, o zmierzchu więc usiedli na kocu przed domen, a Tamar akompaniując sobie na gitarze, zaczęła śpiewać po arabsku.

Śpiewała gorzej, niż grała, w jej głosie było jednak coś, co poruszało Harry'ego. Leżał obok niej i pozwolił, by ogarnęło go rozmarzenie.

— O czym to było? — zapytał, kiedy skończyła śpiewać.

— Młoda dziewczyna ma wyjść za mąż. W przeddzień ślubu rozmyśla z niepokojem, jaki jest jej przyszły mąż. Stary? Młody? Pijak? Czy będzie ją bił?

Jego uśmiech sprawił, że raptownie pokręciła głową.

— Ty nic nie rozumiesz — powiedziała.

— Co tu jest do rozumienia?

— Kultura. Dziewczęta prehandlowywane przyszłym mężom, kiedy są jeszcze zbyt młode. Rodzące dzieci, kiedy ich ciała nie są jeszcze na to gotowe. Stare kobiety, kiedy osiągają mój wiek.

Zorientował się, że mówi bardzo poważnie.

— Jak tego uniknęłaś? — spytał.

— Ledwo mi się udało. Nauczyciel przekonał ojca, że warto mnie posłać do liceum. Ojciec uległ, liczył, że będę mogła zostać sprzedawczynią w sklepie, ale rozłościł się, gdy zdałam egzamin na studia. Żaden mężczyzna, oświadczył, nie poślubi kobiety zbyt wykształconej.

Wyciągnął rękę i musnął jej twarz.

— Przez trzy lata nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktów — dodała. — To było bardzo bolesne dla nas obojga.

Biedna Tamar.

— Ach, ci ojcowie... — powiedział, myśląc z wyrzutami sumienia o Jeffie. — Kiedy byłem chłopcem, ojciec co roku wysyłał mnie na obóz letni, tak samo jak teraz ja wysyłam swojego syna. — Nie miała pojęcia o instytucji obozów, musiał jej to wyjaśnić. — Chciał, abym się podciągnął w pisanym hebrajskim, codziennie więc musiałem wysyłać mu list. Nie odpowiadał na listy, ale codziennie dostawałem z powrotem jeden ze swoich wcześniejszych, w których poprawiał wszystkie błędy gramatyczne i ortograficzne.

— Biedny Harry!...

Wziął gitarę i posługując się tymi kilkoma akordami, których kiedyś nauczył się na bandžo, wykonał utrzymaną w duchu lat dwudziestych wersję piosenki „Laseczkę wartą milion baksów trafiłem raz w lumpeksie”. Nagrodziła jego popis oklaskami, lecz musiał wyjaśnić, co znaczą „baksy” i „lumpeks”. Potem poprosił, żeby nauczyła go arabskiej piosenki.

— Później. — Zabrała mu gitarę i ostrożnie odłożyła na bok. — Słodki jesteś — powiedziała po chwili.

Rozwiązał jej włosy; załaskotały go, kiedy się nad nim pochylała, zasypując gradem szybkich wilgotnych pocałunków.

— Niech ci to tylko sprawia przyjemność — wyszeptała. — Nie przejmuj się gramatyką i ortografią. Wcale nie musi być idealnie.

Oczywiście było idealnie.

Nazajutrz powietrze doskwierało jak gorączka i Harry pomyślał z niepokojem, że wraca szaraw. Tamar jednak pokręciła głową.

— To tylko upalny dzień — stwierdziła.

— Mehdi nie przyjedzie w takim skwarze.

— Może jesteś w błędzie. Kto wie, czy nie postanowi zjawić się właśnie dzisiaj? — odparła z zadumą.

— Niech go diabli wezmą.

Czuł lekkie zawroty głowy, wyszedł więc z chaty, wsiadł do samochodu i włączył klimatyzację. Kiedy jednak opuścił auto, było jeszcze gorzej. Po powrocie do chaty oznajmił Tamar, że jedzie ochłodzić się w Morzu Martwym.

Z dezaprobatą skrzywiła usta.

— Oszukasz się. Sól przeniknie w każdy otwór twojego ciała, każde zadrapanie będzie piekło. — Uśmiechnęła się widząc jego rozczarowanie. — Dobra, Harry, zabiorę cię w lepsze miejsce.

Zawiozła go dziesięć mil na północ, do zielonej enklawy w Engedi, gdzie powietrze pod wysokimi palmami wydawało się chłodniejsze. Doszli ścieżką do miejsca, gdzie rozmigotany wodospad spływał do zacienionej sadzawki.

— Woda z deszczowych rejonów kraju spływa tu pod ziemią — wyjaśniła. — Teraz wodospad jest maleńki, ale zimą to prawdziwa Niagara.

Harry ledwie słuchał tych udzielanych przeproszającym tonem wyjaśnień; potrzebował paru sekund, by wyswobodzić się z ubrania i wskoczyć do sadzawki, której woda — co go zaszokowało ;— okazała się bardzo ciepła.

— Gorące źródła — rzekła Tamar ze śmiechem, starannie układając swoje rzeczy na brzegu.

Pomiędzy ich nogami śmigwały malutkie rybki. Harry położył się na piaszczystym dnie i pozwolił, by woda policzkowała go łagodnie. Tamar miała ze sobą mydło; najpierw umyła pod wodospadem swoje włosy, potem Harry'ego. Było to cudowne miejsce na uprawianie miłości, uchyliła jednak głowę, kiedy próbował ją pocałować.

— Niedaleko jest kibuc — wyjaśniła. — I zielona szkoła Towarzystwa Ochrony Przyrody. W każdej chwili może się ktoś zjawić.

— Jesteś realistką aż do przesady — powiedział z uśmiechem.

W ciepłym powietrzu ich ciała wyschły błyskawicznie. Nakładając ubranie, Harry czuł się znacznie lepiej.

— A ty nie jesteś realistą? — Zapinała bluzkę i patrzyła nań badawczo. — Harry, ty chyba tego nie zepsujesz? Przez swój brak realizmu? Przez poważne zaangażowanie?

Kompletnie go zaskoczyła. Poważne zaangażowanie w ogóle nie przychodziło mu do głowy.

— Bo nie chcę odczuwać czegoś takiego wobec kogokolwiek — dodała. — Nigdy więcej.

— Będziemy przyjaciółmi, którzy lubią wzajemnie coś sobie dawać — odparł. — Czy to realistyczny opis?

— Bardzo realistyczny.

— No więc nie przejmuj się żadnymi zobowiązaniami.

— Ani gramatyką i ortografią.

Przysunęła się, szybko go pocałowała i w tej samej chwili pojawiło się trzech mężczyzn ze szpadlami, za nimi zaś czwarty, pchający taczkę z sadzonkami palm. Wymienili przyjazne „szalom”, a Tamar niewinnie uśmiechnęła się do Harry'ego.

Kiedy wracali do samochodu, podziwiał piękne palmy daktylowe.

— Nazywają się tak samo jak ty — stwierdził.

— Tak, *tamar*, palma. Dawno, dawno temu zwano to miejsce Chazazon-Tamar, „gdzie przycina się palmy”. Łatwo je zapamiętałam podczas lekcji geografii i zawsze myślałam o nim jako o miejscu, gdzie strzygą mi włosy.

Nie miał najmniejszej chęci opuszczać oazy i w rozedrganym od upału powietrzu wracał do Masady powoli jak żółw. Miał nadzieję, że Mehdi nie zjawił się podczas ich nieobecności... Ten facet szybko stawał się pojęciem abstrakcyjnym; Harry nie był już wcale pewien, czy Jusuf Mehdi w ogóle istnieje.

Zaopatrzeni w owoce, pitę i dzbanek lemoniady powędrowali razem na płaskowyż, gdzie w cieniu Herodowego tarasu Tamar zajęła się sporządzaniem jakiegoś sprawozdania dla muzeum, Harry zaś, w przekonaniu, że powinien być widoczny, znalazł dla siebie zacienione stanowisko w pobliżu peronu kolejki linowej. I po raz nie wiedzieć który zagłębił się w fotokopiach Miedzianego Zwoju.

Był mniej więcej w połowie, gdy napotkał akapit, który poraził go jak grom. Przeczytał ów akapit po raz drugi, a potem trzeci. Wreszcie pognał na taras Heroda.

— Możesz mi przetłumaczyć te wyrazy? — poprosił Tamar.

Uważnie wpatrzyła się odbitkę.

— Wydaje mi się, że napisano tu *haja karut*.

— Nie *haja kor et*?

— Możliwe. Skoro opuszcza się samogłoski, wybór należy do ciebie.

— Właśnie. — Harry zapomniał nagle o dokuczliwym upale. — Otóż ja widziałem tu *haja koret*, czasownik w stronie czynnej, i ten akapit... — postukał palcem w papier — ...nie miał dla mnie żadnego sensu. Jeśli jednak w miejsce *haja koret* wstawimy *haja karut*, czasownik w stronie biernej, a oprócz tego dodamy przecinek, uzyskamy następujący tekst: „W miejscu gdzie przycinane są drzewa, obok kadzi do wy-

ciskania soku z winogron u podnóża mniejszego z dwóch wzgórz od strony wschodniej, strażnik ze złota zakopany na głębokości dwudziestu trzech łokci".

Tamar podniosła głowę znad fotokopii.

— Miejsce gdzie przycinane są drzewa...

Skinął głową, celowo usiłując zachować opanowanie.

— Chazazon-Tamar. Miejsce gdzie przycina się palmy — powiedział.

Kiedy opadły z nich pierwsze emocje, wszczęli spór. Harry pragnął natychmiast wrócić do Jerozolimy, aby poinformować Davida Leslaua, że ustalił położenie następnej genizy, Tamar jednak zaproponowała.

— Musimy czekać tu na Mehdiego — oświadczyła stanowczo.

— A jeśli się nie zjawi?

— A jeśli się zjawi? Po dwóch tysiącach lat parę dni nie będzie miało dla genizy żadnego znaczenia.

— W ciągu tych paru dni ktoś inny może rozszyfrować tekst.

Spojrzała nań z wyższością.

— Ty nic nie rozumiesz — rozżalił się.

— Chyba jednak zaczynam rozumieć — odparła.

Tego wieczora odzywali się do siebie tylko w ostateczności.

Tamar otworzyła konserwy z tłustą baraniną i zaparzyła kolejną porcję piekielnej kawy. Nie skomentował tego ani słowem, lecz reakcję miał wypisaną na twarzy.

— Jutro ty możesz zająć się pichcieniem — powiedziała z pozorną uległością.

Tej nocy spała twarzą do ściany, jak rozgniewana żona, on zaś balansował na skraju łóżka, unikając kontaktu z jej pośladkami, które budziły w nim szczery zachwyty. Pochrapywanie Tamar brzmiało nieprzyjemnie. Mówił sobie, że jej obawy, iż mógłby zaangażować się w ten związek, są zupełnie absurdalne.

Rankiem wyruszył na płaskowyż bardzo wcześnie i w umownym chłodzie jednej z kamiennych chat znów przejrzał fotokopie zwoju. Każda z zagadek miała swój mały klucz — taki jak starożytna nazwa jakiegoś punktu czy miejscowości.

Dysponował zbyt skromną wiedzą.

Leslau miał jej znacznie więcej, ale i tak był bezsilny.

Otwarcie stawił czoło świadomości, że w gruncie rzeczy wcale nie chce Leslauowi pomóc. Po prostu zawistnym okiem patrzył na pracę, której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie miał szans przejąć.

Dostrzegł, że z krętej ścieżki wyłania się muskularny krępy mężczyzna ubrany w brązowe spodnie i rozpiętą pod szyją białą koszulę z krótkimi rękawami. Miał smagłą cerę i starannie przystrzyżony arabski wąsik pod nosem. Rozglądając się na boki, jak rasowy turysta krążył po płaskowyżu, lecz przez cały czas zbliżał się do Harry'ego.

Kiedy do niego dotarł, przystanął i skinął głową.

— Szalom — powiedział Harry.

— Cześć. — Mężczyzna dotknął dłonią wnętrza drzwiowej.

— Piękne są te ściany, nie? Proste i szczelne. W tamtych czasach ludzie wiedzieli, co robią.

— Niezniszczalne.

Mężczyzna rozglądał się dokoła.

— Mam się tu z kimś spotkać — oznajmił.

A więc!... Harry westchnął.

— Ja też.

Tamten się uśmiechnął.

— Spryciarz z pana, że czeka pan w cieniu.

— Jestem Hopeman.

— Słucham?

— Harry Hopeman. Z Nowego Jorku.

— A!... — Ostrożnie uściśnął wyciągniętą rękę Harry'ego.

— Lew Friedman. Z Cincinnati.

Harry poczuł się jak idiota, ale idiota wściekły.

— Ha, tam jest Emily! — wykrzyknął Friedman, machając ręką do jasnowłosej dziewczyny. — Objechała płaskowyż, żeby wchodzić z łatwiejszej strony.

— Rozsądnie. Miłej zabawy.

Znów samotny, usiadł po turecku na przynoszącej ulgę glinianej polepie. I chociaż podejrzewał, że jego szanse rozwiązania zagadki kolejnego akapitu są mniej więcej takie same jak dowiercenia się tyłkiem do podstawy Masady, brnął przez tekst zwoju, eksperymentując z synonimami i zmieniając interpunkcję; czekał i czekał, aż pojawi się człowiek o nazwisku Mehdi, żeby zabrać go tam, gdzie zdoła być może kupić Diament Kaaby albo zostanie ukrzyżowany za swe grzechy.

Jedna po drugiej pojawiły się trzy wycieczki, dowieszone pod Masadę autobusami. Tylko jeden chłopiec zapytał go, czy handluje jakimiś pamiątkami. Większość zwiedzających zaglądała do chaty i natychmiast wycofywała się, jakby był mało interesującym zwierzęciem w zoo.

Wczesnym popołudniem frekwencja zmalowała niemal do zera i w pewnym momencie kolejka linowa wypuła tylko jednego człowieka. Był przysadzistym facetem z takim wyrazem szczęścia na udreżonej poza tym twarzy, że powód jego przybycia na Masadę natychmiast stał się dla Harry'ego oczywisty: pragnął móc po wieczne czasy powtarzać chłopakom ze swojej synagogi, iż nałożył tefilin w najstarszej bóżnicy świata. Jego czarna kipa była przekrzywiona równie zawadiacko jak muszkieterski kapelusz, kurczowo ścisnął w garści pękatą aksamitną torbę z wyhaftowaną srebrem Gwiazdą Dawida, pojemną torbę podobną do tej, jaką nosił ojciec Harry'ego. Można było z niemalym prawdopodobieństwem założyć, iż oprócz siduru, szala modlitewnego i paczki prezerwatyw torba zawiera zapas gumy do żucia, pomarańczę lub jabłko i może jeszcze miętowego dropsa. Gdy się przybliżył, Harry obdarował go ciepłym uśmiechem.

— Jest tam — powiedział.

— Co?

— Synagoga.

Mężczyzna postawił torbę na ziemi, po czym wyciągnął pulchną wymanikiowaną dłoń.

— Nazywam się Mehdi, panie Hopeman — powiedział.

Przy akompaniamencie westchnień i pomruków siadł na podłodze i uśmiechnął się smętnie.

— Pan nie ma problemów z nadwagą. Pan nie potrafi tego zrozumieć.

Harry jak zahipnotyzowany pokręcił głową.

— Ma pan diament? — zapytał.

— Przy sobie? Nie.

— Kiedy będę go mógł obejrzeć?

Mehdi uciekł spojrzeniem w bok.

— Są pewne trudności. — Harry czekał. — Musimy uzgodnić minimum.

— Wysokość minimalnej oferty? — spytał zaszokowany Harry.

— Tak. Dwa miliony trzysta tysięcy dolarów.

Harry odmownie pokręcił głową.

— Miał pan czas, żeby określić minimalną cenę, zanim wyleciałem z Nowego Jorku.

Mehdi przytakiwał, przeproszał, mamrotał, że to nie jego wina.

— Proszę pana, w ciągu dwudziestu minionych lat pozbył się pan co najmniej czterech klejnotów. Wciąż ma pan sporo kamieni, które bez wątpienia po jednym zamierza sprzedawać w przyszłości.

Mehdi zamrugął oczyma.

— Wygląda na to, że sporo pan o mnie wie.

— Istotnie. — Harry pochylił się w stronę Egipcjanina. — Solennie panu przyrzekam, że jeśli zostanę potraktowany nieuczciwie, zrobię co w mojej mocy, aby utrudnić panu sprzedaż klejnotów w całym zachodnim świecie.

— Ja także wiem, kim pan jest, panie Hopeman. Znam pańską pozycję w branży jubilerskiej. Ale nie lubię gróźb.

— Ja panu nie grożę — odparł Harry. — W sali konferencyjnej każdej giełdy diamentowej jest długi stół, przy którym czasem spotyka się szczególna grupa sędziów. Otóż jeśli sędziowie ci potwierdzą zasadność zażalenia wniesionego na taką

czy inną osobę, człowiek ów nie będzie mógł przeprowadzić żadnej transakcji z żadnym z renomowanych handlarzy diamentów na świecie. Co oczywiście nie znaczy, iż utraci szansę pozbycia się kamieni mniej oficjalnymi kanałami, w takim przypadku jednak może najwyżej liczyć na uzyskanie ceny stanowiącej drobny procent rynkowej. Ściągnął mnie pan z drugiego końca świata, skazał na trudy i niewygody, obiecując w zamian możliwość zbadania klejnotu i złożenia oferty. Oczekuję, że to właśnie mi pan zagwarantuje. — Wyjął z neseseru czerwony granat i położył go przed Mehdim. — Bezwartościowy.

— Z pewnością jest pan w błędzie — obruszył się Medhi.

— Przypisał mu pan wartość historyczną. Dysponuje pan dowodami? Jaką dokumentacją?

Mehdi zaprzeczył.

— Zawsze figurował w rejestrze jako kamień z ery biblijnej.

Harry mruknął.

— Nie do końca bezwartościowy. Mogę zaproponować panu sto osiemdziesiąt dolarów za ten granat.

— Ależ należy do pana — odrzekł Mehdi. — To upominek. Otóż widzi pan, ufam panu. I również z pańskiej strony liczę na zaufanie.

— Zaufanie? — Intuicja, która w równym stopniu mogła okazać się błogosławieństwem i przekleństwem, coraz silniej dochodziła do głosu w duszy Harry'ego. — Trzyma mnie pan w rezerwie. Nikt nie zapłaci takich pieniędzy, sądzę więc, iż prowadzi już pan negocjacje z innym nabywcą, a część ceny ma charakter polityczny.

— Cóż za wyobraźnia! Wyciąga pan zbyt daleko idące wnioski, panie Hopeman.

— Być może.

— Proszę wybaczyć, że stałem się mimowolnym sprawcą pańskich niewygód. Szczerze proszę. Proszę również, aby dla uniknięcia dalszych udał się pan do hotelu, gdzie skontaktuję się z panem w ciągu dwóch dni. Przrzekam uroczyście.

— Nie, nie. Mam dość wyczekiwania w najosobliwszych miejscach. Niech pan do mnie napisze. Na adres biura American Express w Jerozolimie.

Mehdi skinął głową.

— Pozostanę w Izraelu jeszcze osiem dni. Ma pan zatem do dyspozycji tydzień plus jeden dzień na dojście listu. Jeśli nie odezwie się pan do końca tego okresu, wróć do Nowego Jorku i złożę skargę. — Poszukał wzrokiem oczu Mehdiego. — Polityka zniszczyła pana już raz, panie Mehdi. I może zniszczyć ponownie.

Mehdi podniósł się z trudem. Harry nie był pewien, czy w jego oczach dostrzega podziw czy wzdargę.

— Szalom, panie Hopeman.

— Salam alejkum, panie Mehdi.

Uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy kolejka linowa spłynęła z płaskowyzu, Harry pozbierał swoje rzeczy i zszedł rampą. Słyszając, jak wchodzi do chaty, Tamar poderwała głowę.

— No i?

Opowiedział wszystko.

— Sądzisz, że mamy problemy?

— Sądzę, że dogadał się z Arabami. — Harry rozejrzał się po nędznym wnętrzu i westchnął. Przynajmniej się stąd wyrwie. I z tej sytuacji.

— Cóż mogą mu dać takiego, czego my nie możemy?

Harry wrzucał już do torby swoje brudy.

— Honor — odparł.

Na wysokości przedmieść Jerozolimy zapytał, czy chce z nim jechać do hotelu.

— Nie, wolę do siebie — odparła i udzieliła mu wskazówek. Samochód przystanął przed byle jakim domem na ulicy pełnej byle jakich domów.

— Chcesz, żebym zaniósł ci rzeczy?

— Mam tylko małą torbę, a gitara nie waży wiele.

— Dobra. Wkrótce zadzwonię.

Uśmiechnęła się bez gniewu.

— Do widzenia, Harry.

Biuro Davida Leslawa było zamknięte, nikt nie odbierał telefonu.

W zwykłych okolicznościach Harry był krytycznym i wybrednym gościem hotelowym, ale teraz pokój wydał mu się niewiarygodnie przestronny i czysty. Solidnie wymoczył się pod prysznicem, a potem, po głębokim namyśle nad menu, zadzwonił do służby hotelowej i zamówił kurczaka w potrawce, sałatkę z pieczarek i butelkę szampana. Po posiłku miękki materac i biała pościel dostarczyły mu wrażeń wręcz zmysłowych.

Ale nie zasnął.

Słyszał windę, głos w korytarzu, pomruk klimatyzacji, ciche popiskiwanie silnika elektrycznego gdzieś w głębi budynku. Sam na Masadzie nie był samotny. W Jerozolimie nagle poczuł się rozbitkiem.

Wstał z łóżka, wyjął notesy ojca i zaczął czytać, co Alfred Hopeman czterdzieści lat wcześniej w Berlinie napisał o Diamencie Inkwizycji.

„Rodzaj kamienia: diament. Średnica: 4,34 centymetra. Waga: 202,94 karata. Kolor: kanarkowożółty. Gęstość: 3,52. Twardość: 10. Współczynnik załamania światła: 2,43. Pokrój: ośmiościan heksagonalny. Ten diament został uformowany przez bliźniaczy przerost dwóch dużych hemiedrycznych kryształów.

Uwagi: to klejnot dobrej jakości, ale zawdzięcza swą olbrzymią wartość niezwykle dużemu rozmiarowi i przeszłości.

Nieoszlifowane diamenty ośmiościenne posiadają bez wyjątku trójkątne zbruzdzenia. Na tym diamencie nie ma takich zbruzdzeń. 72 fasety są cudownie gładkie. Ma doskonale proporcje koletu do rondysty i rondysty do tafla. Ma ogień, ani ogień jednak, ani kanarkowy kolor nie są w pełni podkreślone przez szlif typu briolette, a więc kształt gruszkowaty z fasetami na całym obwodzie. A jednak ten kamień zachwyca, będąc przykładem najlepszej roboty wczesnego okresu. Został pięćset lat temu oszlifowany przez prawdziwego mistrza."

Rozdział 14

KAMIEŃ DLA OJCA ŚWIĘTEGO

Za sprawą dziecka, które dojrzewało w brzuchu jego żony jak melon, Anna poruszała się majestatycznie i znacznie wolniej niż kiedyś, a przecież trudno byłoby znaleźć w całej Gandawie podłogi wyszorowane do takiej białości jak w ich domu. Ich syn Izaak był dobrze odżywiony i ciepło ubrany, pod kuchnią lub na ruszcie kominka zawsze płonął ogień.

— Czy nie mogłabyś chwilę odpocząć? — zapytał Vidal zrzędlawie.

— Nic mi nie będzie — odparła, wychodząc z pracowni na dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych.

Westchnął. Leżący przed nim na stole maleńki biały diament pokrywały kreślone atramentem znaki, które ciągle zmieniał w miarę czynionych na tabliczce obliczeń. Nie był człowiekiem bystrego umysłu, zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż inni. Nie był również, dzięki niech będą Najwyższemu, człkiem mdłego umysłu, nie miał jednak takiej inteligencji, jaka pozwoliła jego bratu Manassesowi zostać rabinem i uczonym mężem, ani też takiej, jaka zdradziła ich zmarłemu wujowi Lodewyckowi, niechaj spoczywa w pokoju, sekrety szlifowania diamentów, które w tych ciężkich czasach okazały się zbawienne dla całej rodziny. Julius miał pewne i zręczne dłonie, lecz musiał po wielekroć powtarzać wszystkie obliczenia.

Wróciła Anna i oznajmiła:

— To mnich.

— Benedyktyn z opactwa?

— Dominikanin — odparła z niepokojem w głosie. — Powiada, że przybył z Hiszpanii.

Prawo bywania w jego pracowni miała tylko Anna, przeszedł więc do pokoju od frontu, gdzie gość czekał nań przy kominku.

— Życzę dobrego dnia — powiedział. — Jestem Julius Vidal.

Mnich, który przedstawił się jako brat Diego, wręczył mu podarek, dwa bukłaki hiszpańskiego wina. Vidal przyzwyczaił się już był do jasnobrązowych habitów tutejszych mnichów, ale czarna szata przybysza sprawiła, że bolesna przeszłość poraziła go jak grom.

— Odbyłem długą podróż, aby się z wami zobaczyć, aż z klasztoru w Segowii. Przeor nasz, ojciec Tomasz, pragnie zatrudnić was do obróbki pewnego diamentu.

Julius zmarszczył czoło.

— Może diamentu stanowiącego własność hrabiego de Costy?

— Diament ów został złożony w darze naszej Świętej Matce Kościołowi.

— Przez kogo?

Brat Diego wydał wargi.

— Przez Estebana de Costę, hrabiego Leónu. Będzie podarkiem dla naszego Ojca Świętego z Rzymu.

Vidal skinął głową, zupełnie pewien, iż ojczulek wie, że dwakroć był wzywany przez de Costę do Hiszpanii i dwakroć odmówił.

— Wasz przeor czyni mi zbyt wielki zaszczyt.

— Skądże. Wszak oszlifowaliście już kamień noszony przez trzech papieży.

Vidal obronnym gestem wyciągnął rękę.

— Byłem młokosem, wciąż uczącym się arkanów mego zawodu. Kreśliłem tam, gdzie mój kuzyn nakazywał mi kreślić, szlifowałem tam, gdzie polecał mi szlifować mój wuj. Aby obrobić taki kamień, jaki opisywali mi posłańcy hrabiego de Costy, trzeba kunsztu van Berąuema.

— Lodewyck van Berąuem umarł.

— Żyje wszelako jego syn Robert, mój kuzyn i mistrz.

— W Londynie, jak dobrze wiecie, oddając usługi jubilerskie Henrykowi VII. Anglicy zniewolili Niderlandy, wykorzystują wasze produkty i rzemieślników jak swoją własność

— stwierdził z przekąsem mnich.

— Proszę poczekać, aż zakończy pracę dla króla Henryka

— poradził Vidal.

— Nie ma czasu. Papież Aleksander, który urodził się w Walencji, jest stary i schorowany. Dar musi zostać wręczony, póki na papieskim tronie zasiada Hiszpan. — Brat Diego pokręcił głową. — Czyż nie korci was, by stąd wyjechać, señor? Pocho-
dzicie z naszego pięknego Toledo, nieprawdaż?

— Teraz jestem stąd. — Vidal zdjął ze ściany oprawiony w ramki pergamin i przytrzymał go przed oczyma mnicha, aby ten mógł zapoznać się z jego treścią. Sy-
gnowany przez Filipa Austriackiego, gwarantował opiekę władców Burgundii i rodu Habsburgów Juliusowi Vidalowi, jego rodzinie, majątkowi i dziedzicom.

Dokument najwyraźniej wywarł na mnichu silne wrażenie.

— Czyż ojciec wasz, Luis Vidal, nie był toledańskim garbarzem?

— Mój ojciec nie żyje. Handlował skórami i zatrudniał tuzin garbarzy.

„Którzy wytwarzali skóry, jakich Hiszpanie nie widzieli na oczy, odkąd przepę-
dzili Żydów" — miał ochotę dodać.

— Jego zaś ojcem był Izaak Vidal, kupiec blawatny z Toledo?

Julius nic nie odrzekł. Narastała w nim czujność.

— Którego ojcem był niejaki Izaak ben Jaakoba Vitallo, naczelny rabin Genui?

Mierzyli się wzrokiem. Vidal poczuł mrowienie skóry.

Duchowny nie dawał za wygraną.

— Czy to prawda, że waszym pradziadem był Izaak Vitallo, naczelny rabin Ge-
nui?

— I co z tego?

— Znacie pełne nazwisko mego przeora z Segowii? — spytał, a Vidal wzruszył
ramionami. — To brat Tomasz de Torquemada.

— Wielki Inkwizytor?

— Ten sam. Który kazał wam rzec, iż don Jose Paternoy de Mariana przetrzy-
mywany jest w więzieniu w Leonie.

Vidal pokręcił głową.

— Nic wam nie mówi to nazwisko?

— A co powinno mówić?

— To były wykładowca botaniki i filozofii na uniwersytecie w Salamance.

— No i? — burknął Vidal. Miał już dość tego klechy.

— Prawnuk niejakiego Izaaka ben Jaakoby Vitalla, naczelnego rabina Genui.

Vidal parsknął śmiechem.

— Wasza inkwizycja musi się postarać o świadka lepszego niż ja — oświadczył.

— Nigdy nie słyszałem o tym... pociotku. Ale gdybym go znał, niczego byście się ode mnie nie dowiedzieli.

Brat Diego uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie przybyłem w poszukiwaniu świadectw. Jest dość dowodów.

— Na co?

— To konwertyta, który jako chrześcijanin dopuścił się odstępstw od wiary.

— Judaizant? — zapytał sucho Vidal.

Mnich przytaknął.

— Za pierwszym razem został pozbawiony godności profesorskiej i skazany na noszenie szaty pokutnej przez półtora roku. To jego druga przewina, bez wątpienia więc zostanie z niej oczyszczony przez ogień autodafe.

Vidal zachowywał opanowanie z najwyższym trudem.

— I odbyliście tak długą podróż, aby oznajmić mi, że spalicie jeszcze jednego Żyda?

— My nie palimy Żydów. Palimy chrześcijan, którzy wydają na siebie wyrok żydowskim zachowaniem. Upoważniono mnie, aby wam powiedzieć... — starannie wybierał każde słowo — ...że jeśli oszlifujecie kamień dla papieża, zostanie okazana szczególna łaska.

— Bądźcie przekłęci! — wybuchł Vidal. — To nie mój krewny!

Wyraz twarzy mnicha świadczył, że Diego nie lubi, gdy Żyd przemawia doń w taki sposób.

— Don Jose Paternoy de Mariana jest synem brata Antona Montora de Mariana, który przed nawróceniem na wiarę chrześcijańską i późniejszym wyświęceniem był rabim Feli- zem Vitallem z Kastylii. Brat Anton był synem Abrahama Vitalla, kupca bławatnego z Aragonii, który z kolei był synem Izaaka ben Jaakoby Vitalla, naczelnego rabina Genui.

— Nie pojedę!

Zakonnik wzruszył ramionami. Dobył z mieszka pergamin i położył go na stole.

— W każdym razie polecono mi wręczyć wam ten oto podpisany przez samego brata Tomasza glejt, który gwarantuje wam nietykalność podczas pobytu w Hiszpanii. Mam też poczekać, póki nie przemyślicie propozycji. Wrócę tu, senor.

Kiedy odszedł, Vidal usiadł przed kominkiem, przypominając sobie, co odpowiedział śmiertelnie już chory Lodewyck van Berąuem, gdy ktoś zapytał go o zdrowie: „Dopóki Żyd czuje i oddycha, jest jeszcze nadzieja”.

Wyniósł na dwór dwa otrzymane od mnicha bukłaki z winem i oba opróżnił. Hiszpański trunek wyglądał na śniegu jak krew.

Zza domu ukazała się Anna.

Westchnął. Gdy ją przytulił, jego przyszłość wymierzyła mu kopniaka w lędźwie.

— Muszę pojechać do Antwerpii, żeby porozmawiać z Manassesem — wyszeptał we włosy żony.

— Rzecz oczywista, to wykluczone — oświadczył jego brat.

Vidala ogarnęła ulga. Skinął głową.

— Szkoda tylko, że nie możemy pomóc jakoś temu de Marianie.

— A cóż moglibyśmy zrobić? — zapytał z goryczą Vidal. — Bez wątplenia zresztą przeklęty dominikanin łże. Gdyby de Mariana był naprawdę naszym krewnym, coś byśmy o nim wiedzieli.

— Nie przypominasz go sobie zatem? — spytał cicho Manasses.

— A ty?

— Jego ojca. Pamiętam, jak nasz ojciec przeklinał pewnego razu krewnego, rabinę, który został księdzem po rzezi w 1467 roku, kiedy tak wielu przeszło na chrześcijaństwo, aby przeżyć.

Milcząc siedzieli w maleńkiej synagodze.

Weszła stara kobieta z oskubanym kurczakiem w czerwonym koszyku. Pokazała Manassesowi śledzionę, wyczekując z niepokojem jego decyzji, czy ptak jest koszerne czy też nie.

Julius przyglądał się tej scenie z niechęcią. To on był starszym bratem. To on powinien pamiętać rzeczy niedostępne pamięci Manassesowi. Ich odwrócone role uświadamiały mu z mocą większą niż zwykle, jak jest umysłowo ospały.

Po chwili rozradowana staruszka wykuszykała ze świątyni.

Manasses usiadł z westchnieniem.

— W Hiszpanii zostalibyśmy spaleni za to, że zastanawiamy się, czy ptak jest dość czysty, aby można go spożyć.

— Nie żylibyśmy dziś, gdyby nie pomoc krewnego. Jeśli tamten człowiek jest naszej krwi...

Popatrzyli na siebie, a potem Manasses zrobił coś, czego nie czynił od czasów, kiedy byli dziećmi: ujął i przytrzymał dłoń brata. Julius stwierdził ze zgrozą, iż rabin Antwerpii jest śmiertelnie przerażony.

— A jeśli chodzi o Annę i mojego Izaakela...

— Zamieszkają tu, z nami.

Julius poklepał dłoń brata.

Śnieg, który grubym kożuchem zasłał poryte koleinami drogi, pozwolił mu przewieźć Annę do Antwerpii saniami, a więc najwygodniej, jak to było możliwe. Siła się na beztroskę, w chwili rozstania najpierw przytuliła się mocno, potem odepchnęła od niego, a wreszcie w takim pośpiechu, na jaki pozwalało jej obrzmiałe ciało, wypadła z izby. Wiedział, że napawa ją lękiem myśl o rodzeniu dziecka pod nieobecność ojca.

Z taką właśnie przygnębiającą świadomością oddalał się od domu Manassesowi. Dosiadał silnego wałacha; zawsze trzymał dobrego wierzchowca, ponieważ był nie

tylko szlifierzem diamentów, ale też mohelem i często podróżował po kraju, aby świadczyć darmową usługę obrzezania każdej żydowskiej rodzinie, w której narodził się syn.

Oprócz instrumentów swojej podstawowej profesji miał w sakwach również noże, już wcześniej uzgodnił bowiem, że na noc zatrzyma się w Aalst, w domu handlarza serów, którego żona siedem dni wcześniej wydała na świat syna. Nazajutrz rano podniósł dorodne tłuste niemowlę z krzesła przeznaczonego podczas każdej ceremonii obrzezania dla proroka Eliasza i umieścił je na czas trwania zabiegu w objęciach dziadka. Kolana starszego mężczyzny drżały, kiedy Julius obsuwał napletek z maleńkiego członka.

— Spokojnie! — mruknął, a gdy jego nóż dopełnił Przymierza Abrahama, dziecko wrzasnęło z bólu. Vidal umoczył palec w kubku, pozwolił małemu possać wino i wyrecytował błogosławieństwo, po zmarłym dziadku nadając chłopcu imię Ruben.

Krewni łkali i pokrzykiwali: „Mazeł tow!” Julius był podniesiony na duchu. Z racji dwóch jego powołań nazywano go Der Schneider, Krojczy, Manasses zaś utrzymywał, iż bardziej uważa podczas obrzezania niżli szlifowania najcenniejszych diamentów. Dlaczego zresztą miałyby być inaczej? Matki tych dzieci, pomyślał, owijając członek kawałkiem czystego lnu, nie powinny wątpić ani przez chwilę, które klejnoty Der Schneider uważa za najcenniejsze.

Do portu w Ostendzie dotarł wczesnym popołudniem i bez trudu odnalazł „Lizbonę”, niechlujną portugalską galerę z łacińskim ozaglowaniem. Przejęty trwogą patrzył, jak marynarze o wyglądzie piratów wnoszą na pokład ładunek, do San Sebastian jednak nie wypływał żaden inny statek, droga lądowa zaś, wiodąca przez dziesiątki małych wojowniczych baronii, po prostu nie wchodziła w grę.

Jeszcze bardziej podupadł na duchu, gdy po zaokrętowaniu stwierdził, iż brat Diego, którego kompanii miał nadzieję uniknąć, wyrusza w rejs tym samym statkiem. Byli jeszcze trzej inni pasażerowie, hiszpańscy szlachcice; pijani w sztok, albo szukali zaczepki, albo wywrzaskiwali sprośności pod adresem żeglarzy.

Przywiązał wodze wałacha do pachołka, sam zaś, przedkładając towarzystwo końskie nad ludzkie, usiadł obok na snopku siana. „Lizbona” odbiła z odpływem, a lodowate bryzgi wód Morza Północnego rychło dowiodły, że o spaniu na pokładzie nie ma mowy. Vidal walczył z chłodem, póki mógł, potem otulił wierzchowca sianem i poszedł do kabiny na rufie, gdzie znacznie wcześniej skryli się inni. Kiedy otworzył

drzwi, od smrodu aż go zatkało. Unikając jak ognia bliskości szlachciców, legł obok mnicha, który szpetnie zaklął. Julius obrócił się twarzą do ściany i zapadł w sen.

Podczas podróży morskich na ogół nie miał kłopotów, wymioty innych jednak szybko przyprawiły go o mdłości. Przez trzy następne dni, kiedy statek pokonywał ołowiane fale Kanału, wszyscy podróżni przedstawiali się żałośnie. Na posiłki podawano im soloną rybę i spleśniały chleb; Vidalowi przypadło do smaku cierpkie czerwone wino z Portugalii, ale gdy spostrzegł, że po jego wypiciu szlachcice mają jeszcze silniejsze torsje, ograniczył się do splukiwania skibek chleba małymi łydkami wody o smaku dziegciu.

Kiedy minęli wyspy na Kanale, wiatr ucichł, przynosząc pasażerom ulgę, wioślarzom zaś udrękę. Pochylili grzbiety i jęli popychać statek jedynie siłą swych mięśni.

Brat Diego wyjawiał szlachcicom, iż Julius jest Żydem, zaczęli zatem rozprawiać gromko o tym, że są starymi chrześcijanami i że nic nie jest równie ważne jak *limpieza de sangre*, czystość krwi. Wprawdzie sami cuchnęli niczym wieprze, ilekroć wszakże w kabinie pojawiał się Julius, zatykali dłońmi nosy, aby dowieść, jak bardzo brzydzi ich *foetor Judaicus*, „żydowski smród”. Jeden z nich powtarzał w nieskończoność historyjkę o Żydzie, który skradł hostie z kościoła. Łotr zaniósł łup do synagogi, gdzie położył hostię na ołtarzu i dźgnął ją ostrym nożem — i wtedy z opłatka pociekła krew! Strwożony złodziej wrzucił pozostałe hostie do pieca, aby usunąć dowody zbrodni, lecz kiedy z komina popłynęła ku niebiosom zjawiskowa dziecięca postać, wyznał swą winę władzom. Najpierw szarpano go rozżarzonymi cęgami, potem zaś spalono.

Yidal usiłował ich ignorować.

Niektórzy członkowie załogi mieli monety z dominiów hiszpańskich, dokonał zatem wymiany, wskutek czego *maravedis* i *dineros* zajęły w jego sakwach miejsce miedzianych *denarów*.

Czwartej nocy powrócił wiatr. Pragnąc po smrodzie panującym w kabinie zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, Julius wyszedł na pokład i ujrzał, jak jeden z Hiszpanów — gawędziarz — wyciąga z siana jego sakwy.

Pomyślał o swym nie narodzonym dziecku.

Hiszpan dobył miecza. Jego lewa dłoń prowokacyjnie wysunęła się za okrężnicę, ściskając sakwę z bezcennymi instrumentami.

— Rzuć ją do morza — powiedział bezgranicznie zrozpaczony Vidal — a potem wytłumacz swój postępek Torquemadzie.

Minął go brat Diego, który wyrzucił z siebie kilka hiszpańskich słów. Spopielwały na twarzy i nagle zupełnie trzeźwy szlachcic odłożył sakwę.

Od tej pory sytuacja uległa poprawie. Szlachcice przestali kwitować wrzaskami jego modły — unikali go raczej. Dominikanin powtarzał mu po wielekroć, że niechybnie zabiliby go i cisnęli za burtę, gdyby nie on, dobry i niezawodny przyjaciel, którego tedy warto nagrodzić słówkiem pochwały w bliskości właściwych uszu. Był znacznie gorszy niż choroba morską[^]

Wiatr dopisywał nadal, dziewiątego dnia dotarli więc na zachodni skraj ogromnej Zatoki Biskajskiej i w potokach ulewnego deszczu zawinęli do San Sebastian.

Brat Diego wypadł na moment z kabiny, by oznajmić Juliusowi, że galera zatrzyma się również w Gijón.

— Zostańcie na pokładzie — powiedział. — Stamtąd jest znacznie bliżej do Leónu.

Vidal nic nie odrzekł, lecz już chwilę później sprowadził wałacha na ląd po trapie. Koń zniósł rejs nad podziw dobrze. Kiedy stały ląd przestał kołysać się pod stopami, Vidal wskoczył na siodło, wdychając powietrze znacznie cieplejsze i bardziej aromatyczne niż w chłodnej Gandawie.

Od wieśniaka o kwaśnej twarzy i złym spojrzeniu kupił dwie cebule, a dotarwszy do niewielkiego lasu sosnowego zsiadł z konia i usadowił się wsparty plecami o drzewo. Widział łąkę, na której pasło się bydło, dalej łan zboża i gaj oliwny.

Bardzo by pragnął pokazać to wszystko synowi. Patrz, Izaak, oto kraj, w którym urodził się twój ojciec. Wygnano go stąd, ale przecież to nie jest wina kraju. Czyż nie jest piękny? Czyż te hiszpańskie cebule nie są doskonałe?

Nie smakowały mu tak jak ongiś, potrzebowały bowiem do towarzystwa czegoś w tej chwili nieosiągalnego: oderwanego od gorącego jeszcze bochna kęsa chleba wypieku jego matki.

Nazywano go wtedy Julio.

To się zmieniło po przyjeździe do Niderlandów. Ojciec — pozbawiony kapitału, który musiał zostawić — daremnie usiłował pracować jako prosty szewc czy ręką-

wicznik. Cechy tolerowały Żydów jako nabywców, w żadnym razie jednak jako członków. Po śmierci ojca odpowiedzialność za dwóch przybyłych z zagranicy siostrzeńców wziął na siebie brat matki. „Zapomnij o Juliu, musisz zostać Juliusem” — oświadczył stanowczo wuj. Na poparcie podał własny przykład: opuścił Włochy jako Luigi, studiował w Paryżu matematykę jako Louis, w końcu zaś, przekonawszy się, iż Żyd nie może liczyć na godności akademickie, przybył do Brugii i został Lodewykiem, szlifierzem diamentów.

Vidal westchnął. Napił się wody ze strumyka, po czym znów dosiadł konia. Deszcz przestał padać i pokazało się słońce. W Victorii zdołał kupić chleb od trzech pielgrzymów zmierzających do sanktuarium świętego Jakuba z Composteli. Być może jego odmienność wzbudziła w nich podejrzenia, wkrótce potem bowiem zatrzymała go straż inkwizycji. Okazał list żelazny od Torquemady i z wyrazami szacunku został puszczony wolno.

W ciągu następnych czterech godzin jeszcze dwa razy musiał legitymować się zbrojnym swoim dokumentem; trzeci raz, już w Leonie, zatrzymali go żołnierze de Costy i galopem powiedli do miasta. Czuł się dziwnie, będąc jednym z rozpędzonych jeźdźców, przyjemnie oszałamiał go umykający do tyłu świat obrazów i dźwięków. Lecz jednocześnie wszystko co żywe pierzchało na boki, aby nie trafić pod nieuważne okrutne kopyta.

*

Miał być traktowany jak gość. Przydzielono mu wielką komnatę zaopatrzoną w strawę i wino. Zdążył zapomnieć, że istnieje coś takiego jak woda różana, Flamandowie bowiem używają tylko mydła. Anna zbierała na nie popiół spod kuchni.

Wieczorem został wezwany przed oblicze hrabiego, potężnego niechlujnego męża z przyklepionym do ust uśmiechem samozadowolenia.

Vidal wiedział sporo o de Coście od uciekinierów, którzy zamieszkali w Antwerpii: od lat zaświadczał, iż zamożni konwertyci są maskującymi się judaizantami, wskutek czego ich dobytek nieodmiennie konfiskowano, a de Costa mógł tanio nabywać wielkie majątki. Królowa Izabela okazywała szczególną wdzięczność wszystkim tym, którzy dostarczali zajęcia inkwizycji, jedynie bowiem ci ludzie płacili bez szemrania nakładane przez nią niebosiężne podatki. De Costa otrzymał tytuł hrabiowski w roku 1492, roku masowego wygnania Żydów z Hiszpanii.

Kilka lat wcześniej zdobył ogromny żółty diament i wielkie dobra ziemskie należące uprzednio do spalonego na stosie konwertyty nazwiskiem Benvenisto del Melamud. Ów „nowy chrześcijanin” — budowniczy statków na tyle nierozsądny, by zostać zbyt poważnym wierzycielem Korony za okręty dostarczone flocie królewskiej — nabył diament od rodziny uczestnika jednej z krucjat, który wszedł w posiadanie klejnotu podczas łupienia meczetu w Akce. I wówczas Melamud popełnił ostateczny błąd, ponieważ zamiast obdarować diamentem Ich Katolickie Wysokości bądź też Kościół, zatrzymał go dla siebie.

Podobny egoizm był dla de Costy dowodem nieuleczalnej żydowskości Melamuda, który — anonimowo oskarżony o mnóstwo najrozmaitszych występków — rychło spłonął na stosie w imię oczyszczenia z grzechów jego chrześcijańskiej duszy. Para królewska, uwolniona od ciężącego na niej gigantycznego długu, przychylnie odniosła się do faktu, iż dobra straconego nieszczęśnika zostały po cichu przejęte przez ich lojalnego i pobożnego poddanego de Costę.

Hrabia oprowadził Vidala po majestatycznym kamiennym dworzyszczu, Julius zaś nie pytał o poprzedniego właściciela.

W paradnej komnacie znajdowały się pamiątki z krucjat, które de Costa gromadził z pasją prawdziwego kolekcjonera: miecze saraceńskie, mauretańskie i chrześcijańskie, tarcze i zbroje wielu narodów, mnogość postrzępionych chorągwi bojowych.

— A to mój ulubiony eksponat — oświadczył de Costa, pokazując ciężkie siodło bojowe, z którego tybinek dyndało coś, co Julius wziął zrazu za wysuszone ludzkie palce, dopóki nie zorientował się, że owe „palce” są obrzezane.

— Mahometańskie fajfusy — potwierdził de Costa z szerokim uśmiechem.

— Skąd wiecie, panie, że wszystkie należały do muzułmanów? — zapytał słabym głosem Julius.

Hrabia był przez chwilę stropiony, jak gdyby taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy, a potem ryknął śmiechem i tego plasnął Juliusa w plecy, nagradzając go za przedni dowcip.

Nazajutrz zaprowadzono go do budynku w centrum Leónu, do jednego z niesławnych tajnych więzień inkwizycji. Ten wyglądał z ulicy jak imponująca rezydencja. W środku roiło się od żołnierzy i dominikanów.

Mnich pełniący rolę alkada, zarządcy więzienia, uważnie przestudiował przepustkę Juliusa.

— Tak, jest tu więzień de Mariana — potwierdził.

Labiryntem korytarzy powiódł Juliusa do drzwi, za którymi ktoś kaszłał. Gdy się otwarły, Vidal ujrzał małą, dość czystą izbę, w której cuchnął tylko kubeł na odchody. Na podłodze leżały przybory do pisania, wąziutki kawałek mydła i brzytwa, a obok stołka na trzech nogach stała miednica do mycia. Na pryczy leżał wychudły siwowłosy mężczyzna; obudzony zgrzytem klucza obracającego się w zamku, usiadł i spojrzał na przybysza. Miał starannie ogoloną bladą twarz i wodniste niebieskie oczy.

— Przybyłem tu, żeby wam pomóc — powiedział Vidal.

Więzień nic nie odrzekł.

— Jestem Julius Vidal, szlifierz diamentów z Gandawy w Niderlandach. Powiedziano mi, że jesteście spokrewnieni.

Mężczyzna odchrząknął.

— Nie mam żadnych krewnych.

— Dziadkiem mojego ojca był Izaak ben Jaakoba Vitallo.

— Nie znam żadnych krewnych.

— To nie fortel. Potrzebuję moich umiejętności i sądzę, że zdołam was ocalić.

— Nie jestem skazany, a zatem nie trzeba mnie ratować.

— Przybyłem tu, aby ocalić wasze ciało. O duszę musicie zadbać sami.

Więzień popatrzył nań przeciągle.

Julius usiadł na stołku.

— Czy wiecie coś o swoich przodkach, o rodzinie Vitallo?

— Wywodzę się z konwertytów. To rzecz powszechnie znana, czemuż miałbym zaprzeczać? Mój ojciec umarł jako dobry kapłan w Chrystusie, a jedyne swe dziecko oddałem Kościołowi.

— Syna?

— Córkę. Moja Juana jest siostrą miłosierdzia.

Vidal pokiwał głową.

— Osobliwe, że losy krewnych mogą potoczyć się tak odmiennie. Mój brat jest rabinem. Urodziliśmy się w Toledo, gdzie wybito tysiące Żydów, winiąc ich za „czarną śmierć”. Po stu pięćdziesięciu latach wciąż się boimy.

— W dzieciństwie nigdy nie czułem trwogi — odparł de Mariana tonem człowieka, który usiłuje czegoś dowieść. — Toledo zostało ponoć założone przez Żydów. Wiedzieliście o tym?

— Tak.

— Uważam, że to żydowskie łgarstwo — stwierdził przebiegle de Mariana.

— Nazwa pochodzi od hebrajskiego Eltolad, co znaczy: pokolenie. Piękne miasto. Dom mego ojca stał w pobliżu synagogi.

— Teraz jest tam kościół. Znam Toledo dobrze.

— Być może myślicie o kościele Santa Maria Blanca w dawnej synagodze nad Tagiem — odrzekł Vidal. — Była kościołem już w czasach, kiedyśmy tam mieszkali.

— Nowszą także zmieniono w kościół. Byłem na odprawianej w nim mszy świętej.

— Czy żydowski cmentarz jeszcze istnieje? — De Mariana wzruszył ramionami, Julius zaś ciągnął: — W lecie, kiedy ojciec był w synagodze, bawiliśmy się z bratem na grobach. Doskonaliłem, pamiętam, czytanie po hebrajsku na epitafium piętnastoletniego chłopca. Nazywał się Aszer ben Turkel, zmarł w 1349 roku. Brzmiało tak:

Ten kamień jest pomnikiem, aby dowiedziały się przyszłe pokolenia, iż spoczywa pod nim piękny nierozwinięty kwiat, ukochane dziecię. Wielkiej wiedzy, czytelnik Biblii, student Miszny i Gemary.

Nauczył się od ojca tego, czego jego ojciec nauczył się od swoich nauczycieli: nakazów Boga i Jego praw.

— Panie, miej mnie w swojej opiece. Zaczynam wam wierzyć. Jakim cudem dotarł tu Żyd i nadal żyje?

— Możesz dać mi wiarę, kuzynie. — Vidal poklepał dłoń więźnia i stwierdził, że jest rozpalona. — Jesteś chory, masz gorączkę — powiedział z niepokojem.

— To z panującej tu wilgoci. Nie ma ognia, czasem więc odzienie wilgotnieje. Minie. Już tak bywało.

— Nie, nie, musi zająć się tobą medyk.

Vidal podszedł do kraty w drzwiach, przywołał okrzykiem zarządcę i oświadczył, że więzień jest chory i potrzebuje leczenia. Ku jego bezmiernej uldze mnich skinął głową.

— Lepiej odejdę już, aby mogli się tobą zająć — powiedział do de Mariany.

— Ale wróć. Wróć, nawet jeśli jesteś oszustem — odparł de Mariana.

Przed budynkiem starcy wygrzewali się na słońcu, dzieci z wrzaskiem goniły szczekającego psa. Opodal znajdowało się niewielkie, lecz przyjemne targowisko. Julius był głodny, przystanął więc obok straganu, w którym niewiasta sprzedawała duszoną fasolę.

— Jest w niej wieprzowina? — zapytał.

Popatrzyła nań pogardliwie.

— Spodziewacie się mięsa za taką cenę?

Uśmiechnął się i kupił porcję fasoli. Nieomal zapomniał, jak smakuje. Jadł z apetytem, przykucnąwszy pod ścianą z obwieszczzeniami. Za kilka dni miało się odbyć uroczyste autodafe. Edykt Wiary zwracał się do każdego uczciwego mieszkańca, by powiadamiał Trybunał Inkwizycji, „jeśli wie lub słyszał o kimkolwiek, kto przestrzega szabatu zgodnie z prawem Mojżeszowym, przywdziewa tedy czyste szaty, kładzie na stole czysty obrus, na łożu zaś czystą pościel, jak też nie pali świec od piątkowego wieczoru; oczyszcza mięso przeznaczone do spożycia wykrwawiając je w wodzie; podcina gardła bydłom i ptakom przeznaczonym na mięso, wypowiadając przy tym pewne słowa i przysypując krew ziemią; jada mięso w czasie Wielkiego Postu bądź w inne dni, kiedy zakazuje tego Kościół Święty; wstrzymuje się od wszelkiego jadła, chodząc owego dnia boso; zanosí żydowskie modły, wieczorem prosi swoich o wybaczenie i jest proszony wzajem, będąc rodzicem kładzie dłonie na głowie dziecka nie przeżegnawszy się przedtem znakiem Krzyża bądź przemawiając innymi słowy aniżeli «Bądź błogosławione przez Boga i przeze mnie»; jeśli błogosławi stół na sposób żydowski; jeśli recytuje psalmy pomijając Gloria Patri; jeśli jakaś kobieta przez czterdzieści dni po porodzie nie wchodzi do kościoła; jeśli kto dokonuje obrzezania swych dzieci i nadaje im żydowskie imiona; jeśli na łożu śmierci odwraca się ku ścia-

nie, by umrzeć, a gdy już umarł, obmywany jest gorącą wodą, włosy zaś na wszystkich częściach ciała są golone..."

Kiedy skończył jeść, zaczął rozglądać się za bronią. Nigdy nie nosił miecza i nie potrafiłby się nim posługiwać, ale z krótszą klingą Der Schneider na pewno nie będzie mieć problemów. Kupił krótki sztylet z toledańskiej stali i przytroczył go do pasa. W kramie garbarza znalazł dobrze wyprawioną owczą skórę; kiedy wrócił z nią do więzienia, okazało się, że medyk już był i zdążył wyjść, upuściwszy de Marianie krwi. Stary człowiek leżał słabszy niż przedtem, ledwie zdolny mówić.

Vidal otulił go futrem i wyszedł, by stawić czoło diamentowi.

De Costa z uśmiechem położył go na stole.

— Jest wyjątkowy — zdołał wydusić z siebie Vidal. Kamień był wielokrotnie większy niż jakikolwiek inny, któremu usiłował nadać szlif.

— He to potrwa?

— Pracuję wolno. — A ponieważ de Costa popatrzył nań podejrzliwie, dodał: — To robota zbyt ważna, aby ryzykować pośpiech. Wymaga największej precyzji, na planowanie zaś potrzeba czasu.

— Musisz zatem zacząć natychmiast — oświadczył hrabia. Z tonu jego głosu wynikało, że zamierza się przyglądać.

— Podczas pracy muszę być sam.

De Costa nie usiłował ukryć niesmaku.

— Czy potrzebujesz jakichś specjalnych materiałów?

— Mam wszystko — odparł Julius.

Kiedy jednak został sam, stracił pewność siebie.

Kamień tkwił przed nim jak drogocenne jajo. Znienawidził go od pierwszego spojrzenia. Poza tym nie miał najmniejszego pojęcia, jak się do niego zabrać.

Nazajutrz de Mariana wydawał się nieco silniejszy niż po upuszczeniu krwi, a widok Juliusa wyraźnie go uradował. Miał wypieki, nieustannie kaszlał i zaczynał odpluwać szarą flegmę.

Vidal postanowił emanować optymizmem.

— Szybko wydobrzejesz, kiedy tylko zabiorę cię do Gandawy, gdzie Żyd może przynajmniej spokojnie oddychać.

Prześwidrowało go spojrzenie niebieskich oczu.

— Jestem chrześcijaninem.

— Mimo tego... wszystkiego?

— Pomyśl, przez co musiał przejść Chrystus.

Vidal patrzył nań z rosnącym zdumieniem.

— A zatem, mój uczony chrześcijaninie, jakaż była natura twego judaizowania?

De Mariana poprosił Juliusa o podanie papierów zaścielających podłogę.

— Krew mego życia — oświadczył. — „Przewodnik po wszelkiej znanej florze”.

— Pokazał Vidalowi, iż każda stronica zawiera rysunek rośliny, nazwę łacińską i potoczne, wykaz odmian, a także opis użyteczności dla człowieka.

— Przygotowywałem paragraf dotyczący roślin w czasach biblijnych. Przekłady są kiepskie, aby zatem opierać się na pewnikach, nabyłem zwój.

— Torę?

— Tak, i uczyniłem to otwarcie. Wszystkie moje przekłady są dziełem kapłana-hebraisty. Przez pewien czas nie było żadnych problemów... Ale posiadałem sporą wiedzę na temat leczniczych właściwości ziół, ilekroć więc któryś z moich kolegów czy studentów poczuł się źle, byłem proszony o remedium. Nie będąc lekarzem, zacząłem funkcjonować jako lekarz. Pewnego dnia w obecności moich studentów botaniki odwiedzający nas biskup wystąpił z uwagą, iż jest to profesja zdominowana przez Żydów. Jestem surowym nauczycielem, może zbyt bezkompromisowym...

— Zostałeś oskarżony przez któregoś ze studentów?

— Zostałem aresztowany, kuzynie. Mój duchowny tłumacz zmarł, ja zaś byłem nowym chrześcijaninem posiadającym zwój. Trzymano mnie w więzieniu, żądając, bym się przyznał, bo tylko w ten sposób uniknę piekła. Do czego jednak miałbym się przyznawać? Wreszcie zmusili mnie, abym patrzył, jak torturują innych. Mają trzy ulubione metody. *Garrucha* polega na tym, że przywiązanego za nadgarstki więźnia ze znacznym ciężarem u stóp podciąga się powoli na bloczku, a potem raptownie upuszcza na ziemię, co często powoduje wypadanie ze stawów kości rąk i nóg. Przy

toca do gardła skrępowanej ofiary wprowadza się najgłębiej jak można lnianą szmatę, która następnie jest obficie zwilżana wodą z dzbana. Kiedy przyszła moja kolej, zastosowali *potro*: nagiego przywiązali mnie do rusztu linami owiniętymi wokół członków i korpusu, stopniowo zacieśniając więzy. — Roześmiał się niewesoło. — Sądziłem, że będę nieugiętym męczennikiem dla mojego Chrystusa, ale człowiecze... dwa obroty korby i wyznałem im wszystko, co pragnęli usłyszeć.

W celi na długą chwilę zapadła cisza.

— Jak cię ukarano?

— Zostałem usunięty z uczelni, miałem przez sześć piątek samobiczować się w miejscach publicznych sznurem konopnym, straciłem prawo zajmowania jakichkolwiek urzędów, wykonywania zawodu bankiera czy kupca, a nawet stawania przed sądem jako świadek. Oznajmiono mi, że jeśli powtórzę swoje błędy, trafię na stos, poza tym przez rok i sześć miesięcy nakazano nosić sanbenito, szatę pokutną. Obciążono mnie wszystkimi kosztami pobytu w więzieniu, moja żona więc musiała spieniężyć niewielkie gospodarstwo, aby spłacić to, cośmy byli winni inkwizycji.

Vidal odchrząknął.

— Twoja żona żyje?

— Przypuszczam, że zmarła. Była stara i schorowana, ja zaś przysporzyłem jej cierpienie. Kiedy odbyłem karę, zgodnie z literą prawa noszony przeze mnie strój pokutny został po wieczne czasy wystawiony na pokaz w moim kościele parafialnym, gdzie zawisł obok sanbenitos innych judaizantów. Jej hańba... — westchnął. — Były też inne katastrofy, większe i mniejsze. Mój przewodnik nie był jeszcze ukończony, kiedy trafił do Indeksu Ksiąg Zakazanych.

— A więc go nie skończyłeś? — zapytał Vidal.

— Skończyłem. Mając do dyspozycji przekłady, nie potrzebowałem już skonfiskowanego zwoju. Powróciłem do pracy. Sądziłem, że zdołam swe dzieło opublikować za granicą. A nawet w Hiszpanii, kiedy minie to szaleństwo.

— Opublikujesz je w Gandawie, kuzynie.

De Mariana pokręcił głową.

— Nie wypuszczą mnie.

— Obiecali.

— Ze mnie uwolnią?

— Ze zostanie okazana szczególna łaska.

— Ależ ty nic nie rozumiesz! W ich pojęciu szczególna łaska to szybkie uduszenie ofiary przed podpaleniem stosu. Są przekonani, że ogień jest absolutnie niezbędny, aby oczyścić mą duszę, czyniąc ją godną wstąpienia do raju. Nie byłoby tak źle, gdyby nie wierzyli naprawdę w to, co robią.

Vidal zaczynał odczuwać mdłości.

— Nie rozumiem jednego. Jeśli pracowałeś w domu, potajemnie, to w jaki sposób trafiłeś tu po raz wtóry?

De Mariana, tocząc obłąkanym spojrzeniem, dźwignął się na pryczy.

— To nie moja Juana mnie oskarżyła! — wrzasnął. — To nie moja córka!

W całym swym życiu Vidal widział zaledwie trzy prawdziwie duże klejnoty. Pierwszym był diament nieregularnego kształtu, własność Karola Śmiałego, księcia Burgundii, oszlifowany przez Lodewycka, zanim jeszcze Vidal został jego czeladnikiem. Kiedy kilka lat później przywieziono go do oczyszczenia, Julius zachwyił się symetrycznymi fasetami całkowicie pokrywającymi przód i tył klejnotu.

— Jak zdołaliście go oszlifować, wuju? — zapytał.

— Ostrożnie i z uwagą — odparł Lodewyck.

Vidal był już uczniem od kilku lat, kiedy wuj obrobił drugi wielki kamień dla księcia, kolejny niezwykły diament, cienki i podługowaty. Ważył czternaście karatów. Van Berquem oszlifował go i obsadził w złotym pierścieniu, który książę podarował papieżowi Sykstusowi. Przy tej pracy pozwolono Juliusowi wykonać kilka szlifów.

Siedem lat później, gdy z Burgundii przybył kolejny okazały kamień, czeladnik był prawie rzemieślnikiem uprawnionym do większego współdziałania w obróbce. Zręcznie oszlifowali dziwaczny niekształtny diament, nadając mu formę stożka, która najlepiej wydobywała naturalne piękno kryształu. Pod uważnym nadzorem Lodewycka Vidal i jego kuzyn Robert sporządzili dokładny plan i wykonali wszystkie fasety. Oprawa zaś — pierścień w kształcie dwóch splecionych rąk — była wyłącznym dzie-

łem Juliusa. Pierścień ów Burgundia podarowała na dowód swej lojalności królowi Francji Ludwikowi XI.

Lodewyck i Robert, nagrodzeni sławą i pięcioma tysiącami dukatów, dostatecznie mocno podkreślili zasługi Juliusa, by zagwarantować mu burgundzką protekcję.

Teraz sam i bezbronny siedział całymi godzinami, analizując żółty diament w taki sam sposób, jak wspólnie z wujem i kuzynem analizował znacznie mniejszy stożkowaty.

Zgodnie z naukami Lodewycka, otworzył w chropawej powłoce punkty obserwacyjne. Przez okna płynęło sporo światła, nie było go jednak dość, Julius zatem podświetlił kamień tuzinem gęsto zbitych świec i trzymał go w ich blasku tak długo, aż zaczęła dygotać mu ręka.

Miał wrażenie, że śni, doświadczając roziskrzonego świata, w którym eksplodują niezliczone ogniki, złote piękno jednak kończyło się w skazie tak wydatnej, że jęknął na jej widok. Żółta przejrzystość najpierw bieląca, by u podstawy diamentu przemienić się w szpetną ciemność. Skaza była poważna i kłopotliwa, lecz Julius odpowiadał tylko za zewnętrzną postać klejnotu, nadanie mu kształtu i faset. Aby uzyskać formę pełną wdzięku, musiał usunąć boczne występy. Zbadał ziarno w taki sposób, jak snycerz bada słoje drewna, następnie oznaczył atramentem miejsca, w których możliwe było odłupywanie.

Jakże łatwo było zniszczyć ten kamień!

Kiedy zjawili się żołnierze, aby na noc zabrać diament, był pokryty mnogością czarnych punktów i kresek. Vidal odwrócił głowę, aby nie dostrzegli wyrazu jego oczu.

— Jest z nim gorzej — oznajmił strażnik.

Vidal wszedł do celi i stwierdził z rozpaczą, że de Mariana ma puste spojrzenie, a jego usta i nos pokrywają niezliczone ropiejące ranki. Obmył rozpaloną twarz i poprosił, by wezwać medyka.

De Mariana mógł mówić z największym trudem.

— Część mego manuskryptu. Ukryta... Przyniesiesz?

— Oczywiście. Gdzie jest?

— W szopie. W ogrodzie mojego domu. Narysuję ci plan.

Ale jego palce były zbyt słabe, by poprowadzić gęsie pióro.

— Daj spokój. Musisz mi tylko wyjaśnić, jak tam trafić.

Vidal notował wskazówki, zadając od czasu do czasu dodatkowe pytania.

— W zielonej skrzynce. Pod donicami od strony północnej.

W płucach więźnia charczała flegma.

— Znajdę, bez obaw. — Zawahał się jednak, świadom, że wypełnienie misji zajmie mu kilka godzin. — Nie jestem pewien, czy powinienem cię zostawiać.

— Idź już, proszę — powiedział de Mariana.

Nigdy nie smagał ani nie bódł ostrogą swojego konia, teraz wszakże doznawał takiej pokusy, ale w końcu przekłusował większość długiej drogi. Przejeżdżając przez lasy kilkakrotnie wstrzymywał wałacha i czekał w ukryciu, lecz nie zauważył, aby go śledzono.

W wiosce de Mariany dojrzał przez otwarte drzwi kościoła rząd sanbenitos, które niczym wyprane koszule bez rękawów wisiały na drewnianych kołkach. Zastanawiał się, która z owych szat pokutnych należała do de Mariany.

Rozmiar posiadłości kuzyna uświadomił mu, że de Mariana był zamożnym człowiekiem, teraz jednak majątność najwyraźniej popadała w ruinę — chłopci nie uprawiali ziemi, na łąkach nie pasło się bydło. Wielki dom w stylu mauretańskim stał z dala od drogi i miał pozasłaniane okna. Trudno było orzec, czy ktoś w nim mieszka.

Szopa w ogrodzie wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał kuzyn — był to długi niski budynek pełen narzędzi ogrodniczych i materiałów. Na stole straszyły szkielety uschniętych roślin, wygodne krzesło było ustawione tak, że siedząc na nim miało się widok na zachód, gdzie po horyzont rozciągały się gaje i łąki. Zapewne przyjemnie było siadywać na owym krześle podziwiając zachód słońca nad własną ziemią.

Znalazł papiery po krótkim poszukiwaniu. Skrzynka nie była zamknięta, Vidal więc mógł stwierdzić, że pierwsze karty manuskryptu są poświęcone rozmaitym odmianom ostów. Nie obudziły w nim zainteresowania.

Podjechał do domu i zastukał kołatką. Po chwili ukazał się służący.

— Czy jest señora de Mariana? — zapytał Julius.

— Pragniecie widzieć doñę Marię?

— Tak. Powiedzcie jej, że przyjechał Julius Vidal — odparł rad, że żona de Mariany żyje.

Powoli, z trudem nadeszła stara kobieta o subtelnych rysach i smukłym nosie.

— Señora, jestem krewnym waszego męża.

— Mój mąż nie ma krewnych.

— Señora, mamy wspólnych przodków, Vitallów z Genui.

Drzwi zamknęły się mu przed nosem. W domu zapadła cisza.

Vidal dosiadł konia i odjechał.

Narastał w nim straszny gniew, kiedy jednak dotarł do więzienia w Leonie, zaczął z niepokojem myśleć o innych sprawach, po raz pierwszy bowiem nie uhonorowano jego przepustki i nie wpuszczono go do środka. Czekał przed drzwiami, aż strażnik wezwie zarządcę.

— Już go tu nie ma — oznajmił mnich. — Umarł.

— Umarł? — Vidal tępo zagapił się na dominikanina.

— Tak. W trakcie upuszczania krwi. — Mnich zbierał się do odejścia.

— Chwileczkę, a gdzie jego rzeczy? Papiery, pisma?

— Nic nie ma. Wszystko zostało spalone — odparł zarządca.

Czekający przed więzieniem żołnierze de Costy odprowadzili Juliusa do domu. Teraz gdy jego krewny-zakładnik nie żył, Vidal stawał się więźniem raczej niżli gościem.

Pozostawiony sam na sam z kamieniem, otworzył sakwy i wyłożył na stół przybory. Kiedy jednak ponownie przejrzał swe obliczenia, jęknął, ubolewając, że to jego, nie zaś Manassesa wuj wybrał na swego ucznia. Wolałby zostać rabinem.

Mając do czynienia z większą powierzchnią niż kiedykolwiek dotąd, zrozpaczony podzielił w wyobraźni diament na mniejsze fragmenty, te zaś przyozdobił wyima-

ginowanymi fasetami jak małe kamienie, lecz w taki sposób, by całość tworzyła jednolitą kompozycję.

A jeśli zabraknie jej ognia?

Lodewyck, ty sukinsynu, pomyślał. Powiedz, co mam zrobić!

Ale Lodewyck już nigdy nie udzielił mu żadnej odpowiedzi. W końcu Julius zmiękczył żywicę, solidnie umocował nią kamień na końcu drewnianego uchwyty, uchwyt zaś osadził w imadle. Wtedy wykonał w diamencie płyciutkie bruzdy wszędzie tam, gdzie — jak uznał — należy użyć dłuta. Nie sięgał jednak po drewniany młotek, aby przystąpić do dzieła, bo jego palce nie chciały słuchać poleceń umysłu.

Z dworu dotarł do niego jakiś zgiełk. Wyjrzał przez okno i zobaczył spieszący gdzieś tłum.

— Dokąd idą ci ludzie? — zapytał żołnierza strzegącego drzwi.

— Oglądać autodafe. — Młody wojak z nadzieją popatrzył na Vidala. — To ciekawe widowisko, señor, nie mielibyście ochoty na nie zerknąć?

— Nie — odparł Julius.

Wrócił do kamienia.

Nie był pewien, czy zmienił zdanie dlatego, że uznał, iż powinien być świadkiem zła, czy też dlatego, że zakipiał w nim jakiś jad równie śmiertelny jak trucizna przepełniająca dusze tych, którymi gardził. Tak czy inaczej ponownie otworzył drzwi.

— Pójdziemy popatrzeć — powiedział do strażnika.

Procesja uformowała się przed katedrą, na jej czele zaś ruszyli cywile zbrojni w muszkiety i piki.

— Handlarze opalem — wyjaśnił żołnierz. — Mają ten zaszczyt, ponieważ dostarczają drewna do palenia przestępców.

Był radośnie podniecony, nie liczył, że trafi mu się taka gratka.

Esteban de Costa, hrabia Leónu, wiódł szlachetnie urodzonych i dzierżył sztandar inkwizycji. Dalej z białym krzyżem podążali dominikanie, za nimi zaś może dwudziestu bosonogich więźniów w żółtych szatach pokutnych ozdobionych z przodu i z tyłu czerwonymi krzyżami. Poprzedzali trójkę skazańców, dwóch mężczyzn i kobietę

w białych sanbenitos, na których wymalowano diabły i płomień. Rozczochrana blisko czterdziestoletnia kobieta patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem i szła z największym trudem. Młodzieniec ledwie wkraczający w lata męskie miał w ustach coś, co przypominało wędzidło. Trzeci więzień szepcząc coś bezgłośnie szedł z zamkniętymi oczyma.

— Dlaczego zakneblowali tego chłopaka?

— To zatwardziały grzesznik, senor, obawiali się, że skala bluźnierstwem akt wiary.

Procesję zamykali odziani w biel i czerń strażnicy inkwizycji, niosąc owinięty czarną krepą zielony krzyż. Za nimi sunął tłum.

Na rynku wzniesiono platformę i stosy. Dominikanie weszli na platformę i bezwzględnie przystąpili do odprawiania mszy. Ludzie napływali na rynek przez cały czas jej trwania — jedni przyłączali się do modłów, inni na targowisku kupowali jałdo i napoje.

Po nabożeństwie odczytano nazwiska przestępców pomniejszego kalibru: wyczytani unosili nie zapalone świece, publicznie potwierdzając swą winę.

Trójkę skazańców wprowadzono na stos i podczas gdy inkwizytor wyliczał ich zbrodnie, przywiązano do słupów. Teresa i Gil de Lanuza, matka i syn, nawróceni heretycy, którzy popadli w dawne błędy, byli oskarżeni o to, że spiskowali, aby doprowadzić do obrzezania dziecka. Kobieta przyznała się do winy, jej syn natomiast nie. Trzecim zbrodniarzem był Bernardo Ferrer skazany za sodomie.

Przez tłum przepłynął szmer, gdy stojący za Teresą kat sprawnie i szybko udusił garotą kobietę, której twarz rozciągnęła się i zaraz znieruchomiła w śmierci. Trzej dominikanie z zapalonymi pochodniami zeszli z platformy i wspięli się na rusztowanie, gdzie wypiętrzone stosy. Kolejno podchodzili do Gila de Lanuzy, mówili coś z przejęciem, potem przybliżali płomień pochodni do jego twarzy.

— Usiłują go nawrócić — szepnął żołnierz. — Pokazują mu, czym jest ogień.

Vidal dostrzegł drzenie przebiegające po ciele heretyka. Kapłan wyjął knebel z ust skazańca, młokos wyrzucił coś z siebie bez tchu. Duchowny odwrócił się i uniósł ramię, aby uciszyć tłum.

— Co rzekłeś, synu? — zapytał.

— Nawracam się na wiarę prawdziwą.

Widzów ogarnęło radosne poruszenie. Dziecko trzymane w ramionach przez stojącą obok Vidala kobietę zanosło się płaczem.

— Chwała Bogu na wysokościach — wychrypiał żołnierz.

Dominikanie uklękli.

— Mój synu — zapytał kapłan — na jaką prawdziwą wiarę się nawracasz i w jakiej umrzesz?

— Ojczy, umrę wierząc w Jezusa Chrystusa.

Dominikanie powstali i kolejno uściskali młodzieńca.

— Jesteś naszym bratem! — wykrzyknął ksiądz. — Naszym bratem ukochanym!

Oczy chłopca były okrągłe z podniecenia, usta mu drżały. Kat udusił go w okamgnieniu.

Handlarze opału zaczęli znosić wiązki chrustu, drewna i węgla drzewnego, zręcznie układając to wszystko wokół postaci przy słupach i pod rusztowaniem.

Szybko uporali się z robotą.

Wszyscy wpatrywali się w jedyne z pozostałych przy życiu skazańców. Zaciśnięte powieki oddzielały Bernarda Ferrera od rzeczywistości.

— Nie dostanie szansy, by wyrazić skruchę? — zapytał Vidal.

Żołnierz zerknął przelotnie na kobietę z dzieckiem.

— Popęłnił zbrodnię, której się nie wybaczają, seńor.

Na znak inkwizytora do rusztowania przystąpił kat z zapaloną pochodnią. Stos zajął się natychmiast, zatrzeszczało płonące drewno.

Vidal zapragnął umknąć, ale blokowała mu drogę gęstwa ludzkich ciał. Patrzył więc na żywego skazańca.

Ferrer zwisał w linach, jak gdyby usiłował wyjść na spotkanie ognia.

Buchnął dym. W gorącym powietrzu trzy sylwetki zdawały się migotać i tańczyć.

Płomienie przecisnęły się przez podłogę rusztowania, jęły pożerać chrust spiętrzony wokół ludzi, język ognia wystrzelił spomiędzy gałęzi i liznął rąbek szaty. Ferrer coś krzyczał, ale głos tonął w zgiełku.

Jego włosy wybuchły płomienną aureolą.

Przepaliły się więzy, runął. Potem pod jego ciałem zapadła się podłoga i zniknął w fontannie iskier.

Tak niewiele potrzeba, aby spalić człowieka?

Vidal kończył odmawiać modlitwę za zmarłych. Obok niego kobieta tuliła dziecko. Żołnierz przeżegnał się, a tłum zaczął topnieć.

Rzecz osobliwa, do diamentu wrócił bez trwogi — być może dlatego, że był świadkiem najstraszniejszego z ludzkich postępków.

Ujął dłuto i młotek, dwa razy mocno uderzył. Szpetne występy były zbyt cienkie, aby dało się je równo odłupać, wygładzenie jednak nie nastroczało trudności. Istotne, że uzyskał to, czego pragnął: formę okrąglejszą i wdzięczniejszą, formę otwierającą możliwości.

Wyjął z sakwy rozłożoną na części małą szlifierkę z napędem nożnym, zmontował ją uważnie. Miał w fiolce pył diamentowy, zmiatany i zbierany skrzętnie po każdym szlifowaniu. Wytrząsnął nieco owego pyłu do miseczki, dodał oliwy z oliwek, wymieszał na gęstą pastę, którą w końcu posmarował miedzianą tarczę szlifierską.

Podszedł do drzwi.

— Potrzebuję świec — powiedział. — Tylu, ile zdołacie znaleźć.

Rozmiescił je w całym pokoju. Nie zapewniały światła niezbędnego do ostatecznej obróbki, wystarczały jednak na wstępną — trasowanie faset.

Puścił szlifierkę w ruch i po raz pierwszy przytknął kamień do wirującej tarczy. Po kilku minutach zastosowany przezeń nacisk sprawił, że diamentowa pasta wprasowała się w miękką miedź tarczy, tworząc skuteczny pilnik.

To był cały sekret odkrytej przez Lodewycka metody, która obecnie stanowiła pilnie strzeżony rodzinny skarb: diament można ciąć tylko innym diamentem.

Przez całą noc pochylony nad stołem Vidal szlifował i szlifował.

Do świtu zdołał wyznaczyć wszystkie główne fasety, aby jednak przystąpić do precyzyjniejszego szlifowania, potrzebował słońca. Czekał na nie z niecierpliwością. Gdy wreszcie weszło, zaczął zmućnie wykańczać większe fasety, a także na obrzeżu diamentu formować mniejsze, tak aby uzyskać wzór zwany przez Lodewycka briolette.

Kamień zmienił się w szarą metaliczną bryłkę.

W południe do drzwi zastukał z posiłkiem sługa, ale Vidal go odprawił. Pracował systematycznie, widząc już w myślach, co należy zrobić. O zmierzchu przerwał, dobre światło było bowiem niezbędne dla powodzenia ostatecznej obróbki. Posłał po strawę i wodę do mycia, zanim mu je wszakże przyniesiono, padł w ubraniu na łożo i zasnął jak zabity. Obudziło go dopiero światło dnia.

Rankiem ktoś próbował otworzyć zamek, a potem załomotał do drzwi.

— Odejdź — rozkazał Vidal.

— To ja. Chcę zobaczyć diament.

— Jeszcze nie jest gotów.

— Natychmiast otwieraj drzwi.

— Proszę o wybaczenie, wielmożny panie. Jest za wcześnie.

— Ty Żydzie, ty gnojku, zaraz je wyłamie. Zostaniesz...

— Panie, przecież w ten sposób nie ocalicie papieskiego klejnotu. Muszę pracować w spokoju — powiedział Vidal, zdając sobie sprawę, że tylko sukces pozwoli mu ujść z życiem.

Rozwścieczony de Costa odszedł.

Nadal istniały wielkie niebezpieczeństwa. Kamień należało szlifować wzdłuż stref wzrostu — tak samo jak drewno hebluje się wzdłuż słoików — aby nie uszkodzić powierzchni diamentu z jednej strony, tarczy szlifierskiej natomiast z drugiej. Wystarczyłaby chwila nieuwagi. Poza tym od czasu do czasu musiał przerywać pracę, aby schłodzić kamień i tarczę, wywołane bowiem przez tarcie przegrzanie diamentu doprowadzało niekiedy do powstawania w kamieniu czegoś, co Lodewyck nazywał „znakami ogniowymi”.

Niemniej jednak kamień nabierał kształtu, stopniowo metaliczna szarość powierzchni przemieniała się w żółtą przejrzystość. Klejnot jaśniał.

Rankiem czwartego dnia Julius wykończył ostatnią fasetę. Z innej fiolki wysypał najdrobniejszy popiół kostny i aż do wieczora ręcznie polerował diament.

Gdy skończył, długo się w niego wpatrywał. Odmówił błogosławieństwo gomel, modlitwę dziękczynną. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, iż Lodewyck wybrał właściwego siostrzeńca. Manasses nigdy by nie podołał takiej robocie.

Zebrał do ostatniej drobiny pył diamentowy, zdemontował szlifierkę, wykapał się i przywdział szaty podróżne. Kiedy spakował sakwy, odryglował drzwi.

De Costa przez dwa dni zapijał się na ponuro. Teraz nagle ujrzał przed sobą Żyda z klejnotem w dłoni.

Wziął kamień, z trudem skupił na nim spojrzenie i wreszcie ryknął radosnym śmiechem.

— Czego żądasz? Dziewicy? Najzręczniejszej dziwki w całej Hiszpanii?

Nawet pijany i podniecony pamiętał, żeby omijać kwestię zapłaty.

— Szczęśliwy jestem, że mogłem się przysłużyć. Teraz wrócę do domu, panie.

— Najpierw musimy to uczcić.

Służba przyniosła flaszki, de Costa położył diament w blasku świec i jął go oglądać ze wszystkich stron.

— Wiele ci zawdzięczam, Żydzie — oświadczył, a potem ciągnął gorączkowo: — Nie zawsze byłem szlachcicem. Jeszcze teraz nie brak takich, co mają mnie za kundla, ale wnet będę dubeltowym szlachcicem, przynajmniej kawalerem maltańskim. Hiszpański papież mianował świeckich kardynałów za mniejsze zasługi.

Vidal siedział, odczuwając coraz większy niepokój. Jakże łatwo de Costa mógł uśmiercić kogoś, z kim rozmawiał tak swobodnie!

Był już spity prawie do nieprzytomności. Vidal nalał mu wina.

— Za pozwoleniem, wielmożny panie, pozwolę sobie wznieść toast za wasze zdrowie i pomyślność.

Musiał nalewać jeszcze wiele razy, hrabia bowiem zdumiewająco długo trwał na tym samym poziomie upojenia. Wreszcie jednak zsunął się z krzesła.

Vidal wstał i popatrzył nań z odrazą.

— Świnia — mruknął.

Mówił sobie, że jest głupcem — mógł przecież umknąć. Czy warto było ryzykować życiem?

Spojrzał na klejnot skąpany w blasku świec. W każdej z aksamitnie żółtych faset będących jego dziełem zdawał się płonąć człowiek.

Wyjął sztylet i pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną. Hrabia drgnął tylko raz. Jęknął i znieruchomiał. Szlachcic czy nie, miał zupełnie normalną krew.

*

Żołnierz znalazł go nazajutrz rano i znieruchomiał jak słup soli. Zrazu pomyślał, że jego pana zaatakował drapieżny zwierz. Potem wrzasnął.

Esteban de Costa poruszył się i przeciągnął po wargach suchym językiem

Przypomniał sobie diament i z niepokojem spojrzał na stół. Klejnot leżał obok wypalonych świec. Sięgnął po niego, a wtedy całe jego ciało rozdarł na strzępy ból, jakiego nie zaznał nigdy w życiu. Opuścił wzrok i wrzasnął jeszcze donośniej niż strażnik. Było jednak lepiej, niż zdawało się świadczyć zakrwawione krocze: nie został wykastrowany, tylko obrzezany.

Dopiero później, otrząsnąwszy się z szoku, znalazł notatkę: „Jeszcze jeden do twojego siodła. Julio Vidal.”

Vidal jechał ostro przez całą noc i spory kęs przedpołudnia, kierując się do Ferrol. Był przekonany, iż ewentualny pościg wyruszy w stronę najbliższych portów — Bilbao i Gijón.

Gdyby nie znalazł statku, zamierzał ukryć się w górach.

Znalazł jednak dwumasztową barkę gildii tkackiej, która wyruszała z hiszpańską wełną do Flandrii, gdzie z przędzy powstanie sukno. Opłacił przejazd, a potem z pokładu spozierał w stronę traktu, którym mogła przygalopować pogoń.

Statek podniósł kotwicę i wyszedł w morze, lecz dopiero gdy ląd zniknął z pola widzenia, Vidal, nagle wyprany z sił, osunął się na pokład.

Spoglądał na żagiel, nabrzmiały jak brzuch Anny.

Który teraz jest już płaski.

Leżąc wsparty o belę tłustej wełny patrzył, jak wydęte żagle niosą go ku nowo narodzonemu dziecku.

Część trzecia
Poszukiwanie

Rozdział 15

MEA SZEARIM

Kobieta, która odebrała telefon w biurze Leslawa, oświadczyła, że profesora nie ma.

— Muszę z nim porozmawiać. Nazywam się Harry Hopeman.

— Harry jaki?

— Hopeman.

— Ach, tak... — Najwyraźniej nazwisko nic jej nie mówiło.

— Czy jest osiągalny pod innym numerem?

— Nie ma w domu telefonu.

— Pracuje w domu? Proszę podać mi adres, z łaski swojej.

Nastąpiła pauza.

— Zapewniam panią, uzna sprawę za ważną.

— Ulica Chewra Tehilim — odparła z wahaniem. — Numer dwadzieścia osiem.

— Dziękuję. W jakiej to części miasta?

— W Mea Szearim — powiedziała.

Przeszło sto lat wcześniej grupa litewskich i polskich chasydów zrejterowała z jerozolimskiej dzielnicy żydowskiej i poza granicami Starego Miasta wzniosła otoczony murem kwartał mieszkalny liczący jakoby dokładnie sto ludzkich sadyb. I stąd właśnie wzięła się jego nazwa — „sto bram”, Mea Szearim. Do dziś większość dawnego muru zniknęła, a przeludniona przez pokolenia mieszkańców, dla których kontrola urodzin jest grzechem śmiertelnym, enklawa Mea Szearim zmieniła się w rojny slums, wylała poza pierwotne granice i obrosła podobnymi kwartałami ortodoksów.

Poszukując Chewra Tehilim, ulicy Towarzystwa Psalmowego, Harry na każdym kroku dostrzegał świadectwa czujności religijnej. Zawieszony na ścianie wielki plakat obwieszczał po hebrajsku, angielsku i w jidysz:

ŻYDOWSKA CÓRO!

TORA ZOBOWIĄZUJE CIĘ DO NOSZENIA SKROMNYCH UBIO-
RÓW. NIE TOLERUJEMY

NA NASZYCH ULICACH NIESKROMNIE ODZIANYCH PRZE-
CHODNIÓW.

Komitet Przestrzegania Skromności

Wielojęzyczny afisz na innym domu atakował rząd izraelski za to, że pozwala, aby ludzkie ciała, stworzone przecież przez Najwyższego, były bezczeszczone przez autopsje i sekcje zwłok.

Nie było natomiast nazw ulic, które wyglądały identycznie: rzędy koślawych kamiennych domów ze sklepami na parterze i mieszkaniami na górze. Harry rozglądał się bezradnie. Dwaj chłopcy z powiewającymi podczas biegu pejsami bawili się w berka. Młoda kobieta z naręczem prania odwróciła głowę na jego widok. W cieniu pobliskiego domu siedział starzec w czarnym kaftanie i lisiurze. Udzielił Harry'emu właściwych wskazówek, ale okazało się już niebawem, że domy przy Chewra Tehilim nie są ponumerowane.

Harry wszedł do sklepu z dewocjonaliami; zrazu zamierzał tylko zasięgnąć języka, lecz zachwycony pięknie haftowanymi jarmułkami, przeglądał je przez jakiś czas, po czym kupił kilka na bar micwę Jeffa. Właściciel powiedział mu, że numer dwadzieścia osiem to sąsiedni dom.

— A kogo pan tam szuka? — zapytał.

— Profesora Leslaua.

Sklepikarz dziwnie nań popatrzył.

— Trzecie piętro. Mieszkanie po lewej.

Schody w domu pod numerem dwudziestym ósmym były wąskie i ciemne. W pobliżu ktoś gotował rybę. Drzwi nie miały dzwonek, dotarłszy więc na trzeci po-

dest, Harry zapukał, ale odpowiedzią była cisza. Zapukał więc po raz drugi i wtedy zza drzwi kobiecy głos zapytał:

— Kto tam?

— Muszę się zobaczyć z profesorem Leslauem.

Chwilę później w otwartych drzwiach ukazał się Leslau.

— Hopeman? Jak mnie tu znalazłeś?

Harry odparł, że informacji udzielił mu sklepikarz.

— Wskazał ci to mieszkanie? — Leslau zacisnął zęby. — Wredny sukinsyn.

Za jego plecami Harry dostrzegł kobietę, może po czterdziestce. Miała chustę na głowie, a obszerny szlafrok nie pozwalał domyślić się, jak jest zbudowana.

— Pani Silitsky. Pan Hopeman — dokonał prezentacji Leslau.

Kobieta zachowywała śmiertelną powagę. Nie nosiła makijażu, miała ptasią kanciastą twarz i ostry nos.

— Zechce pan wejść — powiedziała.

— Zabiorę go do siebie — pośpiesznie rzucił Leslau.

— Jak sobie życzysz.

— Ale zobaczymy się później, Rachelo?

Skinęła głową.

— Miłego dnia, panie Hopeman.

— Miłego dnia, pani Silitsky.

Zszedł za Leslauem piętro niżej, profesor otworzył drzwi po prawej stronie klatki.

— Nie rozumiem... Dlaczego celowo posłał mnie do niewłaściwego mieszkania?

— To skomplikowana sprawa. — Leslau lekceważąco machnął ręką. — Czym ci mogę służyć?

W miarę relacji Harry'ego cynizm ulatniał się z przymglonych oczu naukowca, ustępując miejsca najpierw lekkiemu zainteresowaniu, a potem mimowolnemu entuzjazmowi.

— „Strażnik ze złota”. Jakie skojarzenie nasuwa ci się, kiedy słyszysz słowo „strażnik”?

— Złote cherubiny strzegące Przybytku.

— Kojarzysz cholernie prawidłowo — powiedział cicho Leslau. — Przejdźmy się do Engedi.

Musieli minąć pięć przecznic, żeby dojść do volkswagena.

— Dlaczego nie parkujesz bliżej? — zapytał Harry.

— Kiedyś parkowałem. Ale przecinali mi opony.

Minął ich właściciel sklepu, w którym Harry kupił jar-
mułki. Leslau nic nie powiedział, lecz sklepikarz odwrócił się i wypluł z siebie epitet. Harry wyraźnie usłyszał: alfons.

Przez Engedi przejechali wolniutko najpierw w jedną, potem w drugą stronę, szukając pary wzgórz, które odpowiadałyby opisowi ze zwoju. Później skręcili z szosy głównej w boczną, wiodącą przez kibuc aż za zieloną szkołę.

— Starożytne miasto powinno być bliżej wody — zauważył Leslau — a zatem należy szukać wzgórz na wschód od źródeł.

Były dwa wzgórza na północnym zachodzie. I cały szereg wzgórz na północnym wschodzie — ciągnęły się ku łańcuchowi niewysokich gór formacją tak nieregularną, że Harry wyraził, obawę, czy zdołają te dwa właściwe wyłowić wśród pozostałych. Leslau jednak pokręcił głową i wyciągnął rękę.

— Są tam — oświadczył.

Wyszli z samochodu i pieszo pokonali dystans może jednej trzeciej mili, dzielący ich od podstawy mniejszego wzgórza. To większe wypiętrzało się z ziemi mniej więcej sto czterdzieści stóp niżej. Teren był dziewiczy i mało charakterystyczny.

— Mogą tu być — uznał Leslau. — Gdyby tylko odnaleźć jednego cherubina! Natychmiast zacząłbym szukać drugiego, bo gdzieś pomiędzy nimi ukryto aron hakodesz, arkę.

Oszołomieni perspektywami, zapomnieli o lunchu i dopiero w drodze powrotnej do Jerozolimy Harry uświadomił sobie, że jest głodny. Zjedli w małej arabskiej knajpce; początkowo, pogrążeni we własnych myślach i marzeniach, rozmawiali niewiele, przy kawie jednak Harry spojrzał na Leslaua z ciekawością.

— Dlaczego profesor seminarium reformowanego zamieszkał w Mea Szearim? — spytał.

Leslau skrzywił się.

— W pierwszej chwili uznałem to za natchniony pomysł. Chciałem wchłonąć w siebie całe to bogactwo, aby później przekazać je moim studentom.

— Nie będzie w pełni zrozumiałe dla młodych ludzi urodzonych w Ameryce.

Leslau przytaknął.

— Religia jest w Mea Szearim przekazywana z pokolenia na pokolenie niczym dziedzictwo rodowe, zawsze w takiej samej postaci. Przecież ci ludzie nawet ubierają się dokładnie tak jak ich europejscy przodkowie. Ich modlitwy zawsze brzmią tak samo, nie zmieniają się nawet akcenty. I nie zmienia się ani na jotę ich okropny kodeks moralny.

— Dlatego ta dzielnica jest tak schludna i czarująca — stwierdził pobłaźliwie Harry. — Mają prawo żyć na swoją modłę.

— Ale w Mea Szearim wszyscy muszą żyć na ich modłę.

— Nie istnieje ludzkie czy boskie prawo, które zabrania powiedzieć religijnemu Żydowi, żeby szedł do piekła. Judaizm żyje dzięki szczególnej osmozie, jaka zachodzi pomiędzy ortodoksją a wolnomyślicielami.

— Mam romans z panią Silitsky.

— I co z tego? To twoja sprawa, Davidzie.

— To sprawa Mea Szearim. — Archeolog pobladł. — Ona jest aguną, kobietą związaną.

— Aguną? — Mężatką, której mąż zniknął, ale nie został uznany za zmarłego. Harry czuł się tak, jakby wchłaniała go fabuła powieści w odcinkach drukowanej na łamach „Jewish Daily Forward”.

— Jej mąż Paseach odszedł dwa lata temu. Rachela nie potrafi ustalić miejsca jego pobytu, w myśl prawa talmudycznego nie może zatem przez siedem lat rozwieść się z nim i ponownie wyjść za mąż.

— Zatrudnij adwokata, poskarż się władzom tak, jakbyś zrobił w Cleveland.

— W Izraelu rozwodu nie udzielają władze świeckie. Duchowi przywódcy uznali Rachelę za persona non grata. Skreślili ją, zanim mnie poznała.

— Jakąż popełniła zbrodnię?

— Nad Mea Szearim sprawują władzę sekty w rodzaju Neturej Karta, Strażników Miasta. Wierzą, iż Bóg stworzy prawdziwe państwo żydowskie dopiero po zesłaniu na ziemię Mesjasza. Izrael będący ludzkim dziełem jest dla nich tworem fałszywym i sztucznym. Nie płacą więc podatków i nie posyłają dzieci do szkół państwowych. A także nie głosują.

— Kiedy w roku 1973 rząd Goldy Meir znalazł się w poważnych opałach i pani premier zwróciła się do społeczeństwa o wotum zaufania, Rachela po raz pierwszy w życiu oddała głos — ciągnął. — Wywołało to nieustające ostre kłótnie z Paseachem. Zaczęła kupować gazety i czytać je pod nieobecność męża. Przejęta bólem, wbrew swojej woli zaczęła myśleć w kategoriach nowych i zatrważających. — Leslau pozwolił sobie na lekki uśmiech. — Ale w zasadzie Paseach odszedł z powodu jej czulentu. Otóż Rachela mistrzowsko przyrządza czulent na tradycyjny sposób. Ponieważ w czasie szabatu nie wolno rozpalać ani gasić ognia, w piątek po południu wkłada mięso i warzywa do garnka, który następnie stawia na kocherze, pozwalając potrawie dochodzić na wolnym ogniu przez piątkową noc i całą sobotę. W ten sposób na koniec szabatu cudowny posiłek jest gotowy. Pewnego piątkowego wieczoru, gdy szła do łóżka, złamał się taboret, na którym stał kocher, cały czulent poszedł na zmarnowanie, co gorsza jednak, płonący denaturat spłynął na wykładzinę, opryskał ściany i zasłony. Kiedy Paseach wybiegł z sypialni, Rachela usiłowała stłumić ogień.

— I co z tego?

— Jak już mówiłem, podczas szabatu nie można gasić ognia. — Leslau wzruszył ramionami. — Nazajutrz przyszedł ich rebe. Zapytał Rachelę, czy jej życie było w

niebezpieczeństwie. Nie wiedziała. W takim razie, uznał, popełniła straszliwy grzech. Nie koniec na tym: poinformowano go, iż kupowała żywność w sklepach poza dzielnicą. On, rabin, osobiście uznawał sklepy w Mea Szearim jako gładkoszer, nieskazitelnie czyste, skoro jednak nabywała produkty gdzie indziej, w miejscach, których nie zbadał, nie może ręczyć, iż żona Paseacha Silitsky'ego nigdy nie podała mu w jego własnym domu trefnego pokarmu. Tego popołudnia Paseach wrócił do domu wcześniej, spakował kilka co wartościowszych rzeczy i wyszedł. Nie widziała go nigdy więcej. Popatrzyli po sobie.

— Nie miałem pojęcia, że takie historie jeszcze się zdarzają — stwierdził Harry.

Leslau odsunął krzesło od stołu.

— Zdarzają się w schludnym i czarującym Mea Szearim.

— Zapraszam cię do udziału w pracach wykopaliskowych

— powiedział z zakłopotaniem Leslau, zatrzymując wóz przed hotelem.

Harry odmownie pokręcił głową, usiłując nie odczuć niechęci na widok ulgi, jaka przepełniła oczy archeologa. Wiedział, że w ten sposób Leslau wyraża swoją wdzięczność. Był tym zażenowany.

— Szalom, Davidzie. Będziemy w kontakcie.

Zjadł samotnie kolację w restauracji hotelowej. Kiedy poszedł na górę, pokój nie wydawał mu się już luksusową przystanią. Legł na łóżku, rozmyślając o tęgim, dobiegającym pięćdziesiątki Davidzie i jego ortodoksyjnej pani Silitsky. Nieprawdopodobnych w swych rolach Romea i Julii. A przecież ich romans obruszył w nim lawinę uczuć, które go zaskoczyły — nigdy dotąd, w całym swoim życiu, nie czuł się tak samotny.

Powodowany impulsem, zadzwonił do żony. Nie zastał jej; w Nowym Jorku był ranek, być może Della wybrała się na zakupy. A może jest z jakimś facetem w mieszkaniu, którego nigdy nie widział? Analizował tę myśl w taki sposób, jak obmacuje się koniuszkiem języka bolący ząb. Czułby się lepiej, gdyby dokuczał mu tylko ból fizyczny.

Po chwili przejrzał jerozolimską książkę telefoniczną i odszukał numer Tamar Strauss.

W jej głosie dało się słyszeć zaskoczenie.

— Mogę cię odwiedzić? — zapytał.

— Jestem zajęta, przygotowuję materiały, bo jutro wracam do pracy.

— Ale przecież twój urlop jeszcze się nie skończył.

— Nie jestem ci chwilowo potrzebna, dlaczego więc miałabym marnować urlop?

— Wybierz się ze mną w podróż. Pokaż mi Izrael.

— Och... — Zawahała się. — Chyba nie mam na to ochoty.

— „Chyba” oznacza, że nie jesteś stuprocentowo pewna. Pozwól mi wpaść, porozmawiamy.

Zgodziła się niemal obojętnie.

Obudził się w środku nocy stwierdzając, że ich ciała przylegają do siebie jak dwie łyżeczki. Zmusił się do powrotu na ziemię w ten sposób, że wsunął rękę pod Tamar i ujął dłonią ciężką pierś.

Poruszyła się.

— O co chodzi? — wyszeptała sennie i znów znieruchomiała.

— Zrobisz coś dla mnie?

Roześmiał się, gdy zaczęła robić.

— Nie w tym rzecz. Chcę, żebyś poprosiła swoich o odnalezienie faceta nazwiskiem Paseach Silitsky.

Raptownie usiadła na łóżku.

— Czy to nie mogło poczekać do rana?

— Po prostu nagle o tym pomyślałem.

— Mój Boże...

Wstał i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, leżała po swojej stronie łóżka, wydając ciche odgłosy, które nie miały wiele wspólnego z pochrapywaniem.

Uznał jej materac za wyjątkowo przyjemny. Potrzebował zaledwie sekund, aby zasnąć.

Rozdział 16

WYCIECZKA AUTOBUSOWA

Miał na myśli jakiś przyjemny kurort, najchętniej z piękną plażą, Tamar jednak spakowała się do plecaka, kiedy zaś pojechali do hotelu, poleciła mu zabrać podobne rzeczy, jak nosił w Masadzie.

— Dokąd jedziemy? — zapytał z niepokojem.

— Nie chcesz, żeby to była niespodzianka?

— Ale koniec z biwakowaniem.

— To nie będzie biwakowanie... ściśle rzecz biorąc.

Zatrzymali się przy sklepie z owocami, gdzie Tamar kupiła

olbrzymią plastikową torbę pomarańcz zwanych w Ameryce jafami, w Izraelu zaś waszyngtonami, po czym pojechali do Tel Awiwu i przed nędznym hotelikiem, z którego okien rozpościerał się jednak widok na Morze Śródziemne, dołączyli do czekającej na chodniku grupki.

Harry odczuwał coraz większy niepokój.

— Nie pojedę na żadną wycieczkę — oznajmił Tamar szeptem.

Uśmiechnęła się.

W grupie oprócz kilku osób w średnim wieku było pół tuzina studentów. Harry zwrócił uwagę na obfitość piersiówek.

— Czy przynajmniej jedziemy na północ, w chłodniejsze strony?

Stojący w pobliżu mężczyzna usłyszał to pytanie, powiedział coś po hebrajsku do swojej towarzyszki, ta zaś zmierzyła Harry'ego spojrzeniem z góry na dół i uśmiechnęła się szeroko.

Kiedy zza rogu wyłonił się i przystanął przed nimi stary autobus pomalowany niegdyś na niebiesko, sąsiad Harry'ego wymamrotał:

— Tylko posłuchajcie silnika. Wredny i humorzasty jak dybuk.

Okna pojazdu były zmatowiałe i brudne, karoseria piętrzyła się pod niebo na czterech baloniastych kołach, największych, jakie Harry widział w życiu.

— Ile czasu będziemy musieli spędzić w tym rzęchu? — zapytał Tamar.

— Wsiadaj i nie gadaj — odparła.

We wnętrzu królowało smrodliwe gorące powietrze. Harry, który od dzieciństwa cierpiał w autobusach na chorobę lokomocyjną, stoczył z szybko bój zwycięski wprawdzie, ale opłacony zdartą z kostek skórą.

Jakiś facet zebrał pieniądze, oznajmił, że jest Owedem Przewodnikiem i przedstawił Awiego Kierowcę, który zatrzasnął drzwi jak szczęki pułapki. Rozległy się wymuszone wiwaty, kiedy autobus westchnął, szarpnął się i ruszył. Tamar wyjęła książkę o sztuce etruskiej i zaczęła ją czytać. Harry poczuł się oszukany. Zamiast na wymarzonej eskapadzie do rajów znalazł się — przynajmniej jeśli chodzi o jego stosunki z tą kobietą — w punkcie wyjścia: oko w oko z niewygodami, a także z sytuacją, na którą praktycznie nie miał wpływu.

— Dokąd, do cholery, jedziemy? — zapytał ze złością.

Tamar przewróciła kartkę.

— Na Synaj — odparła.

Krajobrazy przepływające za szybami mogłyby być rodem z Florydy, Kansas i Kalifornii — w takiej właśnie kolejności. Przystanęli obok obozu wojskowego, aby zabrać kapitana i trzech szeregowych z uzi — zbrojną straż, jak wyjaśniła Tamar, niezbędną podczas wyprawy w rejony, gdzie władze nie są w stanie zagwarantować bezpieczeństwa. Harry zapadł w drzemkę, a kiedy otworzył oczy, w miejsce pól uprawnych ujrzał skalisto-piaszczystą równinę.

— Synaj? — zapytał Tamar.

Pokręciła głową.

— Negew.

Minęli kłusującego na wielbłądzie mężczyznę w czarnych szatach, który zaszczycił ich tylko przelotnym spojrzeniem, chociaż amerykańscy studenci pozdrawiali go wrzaskliwie i wypstrykiwali przez półprzezroczyste okna mile kliszy. Pół godzi-

ny później dotarli do oazy, gdzie beduińska rodzina prowadziła coś na kształt pustynnego zajazdu: na lunch podano im po łokciu tłustej pieprzonej kiełbasy oraz niemal gorący napój pomarańczowy, który zostawiał w ustach silny chemiczny posmak. Studenci donośnie i jednoznacznie wyrazili dezaprobatę. Harry, świadom, że zachowuje się jak skretyniały Amerykanin, pokornie żuł i przełykał.

Chłopiec z oazy zapytał, czy mógłby się z nimi zabrać do najbliższej wioski. Kiedy wsiadł do autobusu, Tamar odbyła z nim pogawędkę po arabsku.

— Nazwa się Muammad Jusif — zameldowała później Harry'emu. — Ma czternaście lat. W przyszłym roku ożeni się i spłodzi mnóstwo dzieci.

— Przecież sam jest dzieciakiem.

— Jego wybranka będzie zapewne liczyła jedenaście albo dwanaście. Tak to właśnie wygląda, nawet wśród Żydów... przynajmniej tam, gdzie się urodziłam.

— Pamiętasz Jemen?

— Niezbyt wyraziście. Mieszkaliśmy w Sanie, to takie miasto. Żydom nie było tam łatwo. Dochodziło do pogromów i wtedy, obawiając się wyjść na ulice, siedzieliśmy w swoich klitkach, dopóki mieliśmy co jeść. Tuż za rogiem był minaret i każdego ranka, z dokładnością budzika, muezin zrywał mnie na nogi tym swoim „*Allaaaa Akbari...*”

Jadący w przedniej części autobusu beduiński chłopak uśmiechnął się niepewnie na dźwięk znajomych słów i coś wykrzyknął.

— Ma ochotę zapalić — wyjaśniła Tamar.

Żołnierz stojący obok młodego Araba wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów, chłopak zaś wyjął z kieszeni chromowany pistolet i wycelował. Nacisnął spust, a wtedy z lufy wystrzelił płomień.

— Jezu Chryste — sapnął Harry.

Żołnierze ryknęli śmiechem. Chłopiec naciskał spust raz za razem, przypalając papierosy żołnierzom z eskorty. Kiedy chwilę później dotarli do wnioski, powiedział: „Salam alaj- kum” i wysiadł.

Po południu jazda zaczęła dawać się wszystkim we znaki. Studenci, obsunąwszy się w fotelach, wymyślali światowe firmy, które mogły liczyć na sukces w Izraelu —

Kokosh an El, Kreizler Cars, Leib Rerich Publishers Ltd — Harry zaś, ku swemu własnemu zaskoczeniu, dorzucił:

— El Pol Moshe Passover Slivovitz, najlepsza koszerna śliwowica świata.

Dziewczyna siedząca na wysokości Tamar popatrzyła nań z uznaniem.

— Niezłe. Chciałbyś zostać akwizytorem?

— Jestem zajęty, podróżuję z tą panią. Ma na imię Tamar, a ja jestem Harry.

— Jestem Ruthie, to Szimon, Izraelczyk. Twoja żona?

— Moja kobieta. Twój mąż?

Uśmiechnęła się od ucha do ucha, z godnością przyjmując prztyczek.

— Powiedzmy, przelotna miłostka — odparła, całując towarzysza gdzieś w okolicę skroni.

Autobus sunął przez szereg skalistych wąwozów, których zbocza rzucały coraz dłuższe cienie, a gdy z nich wreszcie wychynał, byli już w Elacie. Morze Czerwone skrywał mrok, słyszeli jednak szum fal, kiedy objeżdżali półksiężycowy basen portowy, by — minawszy rozświetlony nowoczesny hotel — zatrzymać się przed maleńkim nadmorskim motelikiem, w którym zgodnie z programem wycieczki mieli opłacony nocleg.

Na kolację dostali krupnik i sznycel; jedli bez przyjemności, zbyt zmęczeni, aby uskarżać się na poziom kuchni. Ich pokoje okazały się mikroskopijnymi wilgotnymi celkami, a łóżka były zasłane poplamioną tłustą pościelą.

— Chodźmy — powiedział Harry.

— Dokąd?

— Do tego dużego hotelu, który minęliśmy po drodze. Wrócimy tu przed odjazdem autobusu.

— Nie chcę iść do innego hotelu.

— Szlag by trafił!... — powiedział z rozdrażnieniem. Usiadł na łóżku i spiorunował Tamar wzrokiem. — Powiedzmy, że godzę się na ten kretyński autobus i gówniane żarcie, ale dlaczego nie mam prawa przespać się dziś w przyzwoitym łóżku?

Odwróciła się i wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

Najpierw szczerze sądził, że przeprowadzi się sam, chwilę później wyszedł jednak bez swoich rzeczy. Plaża rozciągała się tuż za szosą. Znalazł Tamar siedzącą na piasku z kolanami podciągniętymi pod brodę, usiadł obok niej. Morze było rozfalowane, patrzyli ponad falami przyboju na światła hotelu po drugiej stronie zatoki.

— Co to za historia z tym hotelem, Tamar? — zapytał.

— Jest sympatyczny. Spędziłam w nim trzy dni swojego miesiąca miodowego.

Po chwili wrócił do recepcji, gdzie za hojny napiwek załatwił dwa czyste koce i butelkę białego wina. Kocę rozłożył na piasku obok Tamar, otworzył butelkę — wino nie było złe. Zza chmur wychynał księżyc, a jego blask wyłowił z mroku pianę fal z sykiem zalewających plażę.

— Chcesz, żebym coś zrobiła? — wyszeptała po chwili Tamar w jego ramię.

Pokręcił głową.

— A ty? — zapytał.

Pocałowała go w rękę.

— Po prostu ze mną bądź.

Położyli się na kocu i objęli.

— Mógłbym cię pokochać — powiedział w pewnym momencie.

Te słowa, wypowiedziane bez udziału woli, przejęły go trwogą. Nic nie odrzekła; może już spała.

Sianie na plaży okazało się nie takie złe — gorzej było w Masadzie — o świcie jednak Harry był trochę zesztywniały. Zjedli przyzwoite śniadanie, jakie proponuje nawet najnędzniejsza izraelska knajpka — oliwki, pomidory w plastrach, jajka plus herbata — potem wsiedli do autobusu i szeroką gładką szosą pojechali na południe. Po paru godzinach urządzono im postój w Szarm el-Szejch, żeby mogli rozprostować nogi i skorzystać z latryn; dostali też od wojska lunch — sałatkę. Młodzi żołnierze zachowywali się uprzejmie i przyjaźnie, ale jak na gust Harry'ego, zbyt wiele gotowej do użycia broni było w tym miejscu na widoku. Westchnął z ulgą, gdy władze zaaprobowały ich trasę i autobus wytoczył się z obozu. Zaraz za nim ujrzeli mnóstwo poniewierających się na ziemi białych kości — było to miejsce, gdzie wielbłądy prze-

rwały drut kolczasty i weszły na pole minowe. Owed Przewodnik rozdał pastylki solne i uprzedził, by nie szafowali zawartością manierek. Młodzi Amerykanie zaczęli wyśpiewywać piosenki o śniegu, zimie i kominkach, w końcu przeszli do kolęd, informując rozedrganą od żaru pustynię, że narodził się Chrystus Zbawiciel.

Starsza Izraelitka, siedząca samotnie w przedniej części autobusu, odwróciła głowę i popatrzyła na nich z dezaprobatą.

— Chciałabym zobaczyć prawdziwy śnieg — odezwała się Tamar.

— Nigdy nie widziałaś?

— Dwa razy. Ale jeśli w Jerozolimie kiedykolwiek pada...

— wzruszyła ramionami. — Tyle co kot napłakał, no i topnieje w okamgnieniu. Chciałabym zobaczyć taki głęboki i... sam rozumiesz.

Nieczęsto ogarniała go fala takiej nostalgii, jakiej doświadczył w tej chwili.

— Na pewno by ci się spodobał. Jestem pewien. — Obserwował, jak zatapia kształtny kciuk w skórce pomarańczy.

— Myślałam, że ci młodzi ludzie to Żydzi — powiedziała.

— Sądzę, że tak jest.

Starannie układała skórki na podolku.

— To dlaczego śpiewają o Jezusie?

— Ta okolica jest nieprzyjazna. Może szukają oparcia w czymś swojskim.

— Chrześcijańskie pieśni to coś swojskiego? — Rozłamała pomarańczę i podała Harry'emu połowę.

— Oczywiście. Mmm... ale dobra. — Była mniejsza niż te, jakie jadał w Nowym Jorku, lecz zdecydowanie słodsza; może dojrzewała na drzewie, nie w skrzynce. — Większość dzieci uczy się kolęd w szkole. Ameryka to chrześcijański kraj.

Skinęła głową.

— Kiedy jesteś poruszony, mówisz „Jezu Chryste!”, zdajesz sobie z tego sprawę?

Uśmiechnął się.

— Pewnie. Może jeszcze jedną pomarańczę?

Tym razem obieranie zwała na niego.

— Mój ojciec też o Bogu mówi ciągle „Allah”. I widziałam kilka razy, jak przesądni Żydzi z Zachodu odstukują w niemalowane drewno.

— Co z tego?

— To chrześcijański zabobon. Chrześcijanie pierwszych wieków dotykali drewna prosząc Boga o błogosławieństwo, bo krzyż Chrystusa był drewniany.

Nieudolnie rozdzielił drugą pomarańczę, całe dłonie zalewając lepkiem sokiem, którego nie miał czym wytrzeć.

— Nie wybieramy ani obyczajów, ani języka — stwierdził. — My je dziedziczymy.

— Macie takie jedno powiedzonko, którego nie trawię — powiedziała Tamar. — Pieprz się.

Harry ostrożnie gryzł pomarańczę. Studenci przestali śpiewać.

— W tej części świata mamy oczywiście wyrażenia określające uprawianie miłości, ani jednak w arabskim, ani w hebrajskim nie ma powiedzenia, które mówiłoby komuś, kto nas rozzłościł: „Nienawidzę cię, idź się pokochać”. To przecież powinno być dobre życzenie, nie przekleństwo. „Niechaj spłynie na ciebie Boża łaska i pozwoli ci uprawiać miłość.” W najszcześniejszych momentach życia chciałabym móc wykrzyknąć: „Pieprzcie się wszyscy! Pieprz się, świecie!”

Harry obawiał się, że studenci będą wiwatować w nieskończoność.

Mniej więcej godzinę po tym, jak zaczął dostawać mdłości od widoku ciągnącej się mila za milą pięknej plaży, autobus zatrzymał się obok willi, a Owed Przewodnik oznajmił, iż przez dwie godziny mogą porozkoszować się kąpielą. Parter willi był zamknięty na siedem spustów, lecz w suterenie mieli do dyspozycji dwie szatnie i łazienkę z bieżącą wodą. Harry dobiegł do plaży przed Tamar, a kiedy zanurkował, za jednym zamachem opuściła go irytacja, znużenie i uczucie lepkości. Rad, że może przeciągnąć mięśnie, wypłynął dość daleko w morze, potem odwrócił się i utrzymując głowę nad powierzchnią lekkimi ruchami nóg, popatrzył z żabiej perspektywy na willę, kanciastą, białą, krytą dachówką. Gdyby nie zbrojna straż, wpisywałaby się bezkolizyjnie w pejzaż Florydy. Nie imponowała ani rozmiarem, ani architekturą, ktokolwiek jednak był jej właścicielem, panował nad bezmiarem pustyni i morza. Dwaj

izraelscy żołnierze stojący na kamiennym dziedzińcu krzyczeli coś i gestami przywoływali Harry'ego do brzegu, zachowując się jak ratownicy na widok nastolatka, który wypłynął poza czerwone boje.

Wracał powoli, delektując się wilgocią i odnotowując na własny użytek, jak kontrastowo prezentują się i zachowują uczestnicy wycieczki. Studenci — młode jędrne ciała w skąpych slipach i kostiumach bikini — chlapali się jak dzieci. Izraelska matrona w wypłowiałym obszernym szlafroku i korkowym kasku rozanielona przykucnęła po szyję w wodzie dokładnie w taki sam sposób jak staruszki na Coney Island. Tamar w jednoczęściowym czarnym kostiumie wyciągnęła się na wznak w płytkiej wodzie, pozwalając, by omywały ją fale.

Położył się obok, opierając głowę o jej smukłe brązowe udo. Prażyło słońce, spieniały się falki.

— Ta wycieczka zaczyna nabierać sensu — mruknął.

— Ale jeszcze nie nabrała?

— Nie nabrała.

Podszedł do nich Owed Przewodnik, włochaty jak niedźwiedź, i wszystko zepsuł.

— Dobrze jest, nie? — zapytał.

— Bardzo dobrze. Do kogo należy ten dom?

— Niegdyś należał do Faruka. Kiedy uciekł, zabrał go ich rząd, a potem, podczas wojny sześciodniowej, myśmy go zabrali. Rzadko jest wykorzystywany, właściwie tylko przez wycieczki.

Harry spojrział na willę spod zmrużonych powiek; gdziekolwiek się ruszył, krok w krok podążał za nim egipski władca. Ciekawe, zastanawiał się, czy Faruk przywiózł tu kiedykolwiek Diament Inkwizycji.

— Po co te straże? Grozi nam napaść?

Owed uśmiechnął się wyrozumiale.

— Wypatrują rekinów, w wodzie ich pełno. Przecież to Morze Czerwone.

Harry postanowił odpuścić sobie dalsze pływanie.

Studenci zbierali muszle, wśród których trafiały się całkiem ładne, ale zdobycz dnia przypadła matronie, która nie ruszając się z miejsca odebrała falom piękny kawałek koralowca rozmiaru grejpfruta. Jediną pamiątką Harry'ego była opalenizna. Podniecił się, kiedy Tamar miękkimi delikatnymi palcami rozsmarowywała na jego ramionach jakąś tłustą ciecz. Zapach tego specyfiku jeszcze długo walczył o lepsze z aromatem pomarańczy. Awi Kierowca skręcił z szosy w kamienistą drogę boczną i autobusem zaczęło trząść; zmęczony, zgrzany, a do tego srodze przypalony Harry dziwił się, jakim cudem jeszcze żyje.

— Co to jest? — zapytał dokładnie w tym samym momencie, gdy Owed Przewodnik zaczął wyjaśniać, że imponujący budynek, do którego prowadziła droga, to monastyr Świętej Katarzyny. Przypominał raczej fortecę lub więzienie. Siedząc w autobusie, spozierali na klasztor zdecydowanie zbyt długo.

— Dlaczego nie wchodzimy?

— Prowadzi tam tylko jedna brama, zamknięta codziennie od południa do pierwszej i od trzeciej trzydzieści do szóstej trzydzieści, bo wtedy mnisi się modlą — wyjaśnił Owed.

— Taki zwyczaj panuje tu od wieluset lat.

O osiemnastej trzydzieści dwie anonimowe brązowe ramię otworzyło furtę tak wąską, że mogli przez nią przejść tylko rzędem. Owed zaprowadził ich na dziedzińiec, a później powiódł schodami na górę, żeby pokazać, iż poza tą, którą się dostali, istnieje tylko jedna droga do i z klasztoru: zwieszająca się z murów drabinka sznurowa. Jak widmo przemknął obok mnich w brązowym kapturze, nie dając po sobie poznać, że ich zauważył.

— Czy obowiązują ich śluby milczenia? — zapytała Tamar. Owed pokręcił głową.

— Nie, ale tylko nieliczni mówią po hebrajsku czy angielsku. Są wprawdzie przyzwyczajeni do nieczęstych wizyt turystów, widzą w nich jednak tylko zło konieczne.

Potem poinformował, iż klasztor został wzniesiony w piątym wieku przez Justyniana u podnóża góry zwanej przez Arabów Dżabal Musa, w miejscu gdzie wedle tradycji Bóg objawił się Mojżeszowi w gorejącym krzaku. Biblioteka klasztorna za-

wiera dziesięć tysięcy tomów, w tym wiele starożytnych manuskryptów, a między nimi słynny *Codex Sinaiticus*.

— Co to jest? — zapytał ktoś stojący na obrzeżu grupki.

Owed zrobił zakłopotaną minę.

— Ma jakiś związek z Nowym Testamentem. Chyba komentarz.

— Nie — wtrącił Harry. — To Stary Testament zapisany po grecku.

— Dlaczego przepisali Stary Testament? — zapytała Tamar.

Harry'emu nie przyszedł do głowy żaden bezbolesny sposób wykręcenia się od odpowiedzi, chociaż więc czuł na sobie niechętne spojrzenie Oweda, wyjaśnił:

— Nie istniał wtedy Nowy Testament w dzisiejszej postaci. Pierwsi chrześcijanie pragnęli, by ich liturgia różniła się od żydowskiej, zamiast więc korzystać ze zwojów, składali arkusze papirusu lub welinu, a potem zszywali ich grzbiety. Kodeksy dały początek współczesnym książkom.

Owed rzucił mu jeszcze mroczniejsze spojrzenie niż przedtem i podjął wykład:

— Oryginalny *Codex Sinaiticus* został zabrany ze Świętej Katarzyny w roku 1844 i umieszczony w Sankt Petersburgu w Ermitażu, w muzeum carskim. Odkupiony w 1933 przez grupę Anglików od rządu sowieckiego, trafił do muzeum w Londynie.

— Czy możemy obejrzyć przechowywaną tu kopię? — zapytał Harry.

— To niemożliwe — odrzekł z satysfakcją przewodnik i poprowadził ich na dół, do niewielkiego pomieszczenia przypominającego składzik narzędzi, tyle że na półkach nie spoczywały tu narzędzia, lecz ludzkie kości: rzędy czaszek na jednych, na innych starannie posegregowane kości udowe, goleniowe, żebra, kręgosłupy, drobne kości dłoni i stóp.

Dziewczyna o imieniu Ruthie poderwała dłoń do ust i wybiegła, pociągając za sobą kilkoro innych.

— Jedyne złożony szkielet należy do świętego Stefana — ciągnął przewodnik. — Cała reszta to szczątki mnichów zmarłych tu w ciągu piętnastu minionych stuleci. Kiedy mnich od Świętej Katarzyny umiera, zakopuje się go w ziemi aż do czasu, gdy

ciało ulegnie rozkładowi. Wówczas kości zostają wykopane i ułożone tutaj, obok kości wszystkich poprzedników.

Tamar ujęła Harry'ego za rękę i wyszli z kostnicy. Na dziedzińcu Awi Kierowca usiłował sprzedać bladym jak chusty młodym Amerykanom kolację złożoną z krakersów i resztek tłustej kielbasy. Poinformował, że noc spędzą w dormitoriach, z których jedno będzie przeznaczone dla mężczyzn, drugie dla kobiet.

— Taka obowiązuje tu zasada — dodał. — Zresztą pośpiemy tylko kilka godzin, bo o wschodzie słońca musimy już być na szczycie góry.

Harry i Tamar poszli z torbą pomarańcz na dach. Zapadł głęboki mrok — rozdęty pełny księżyc z Masady zamienił się w ledwo widoczny srebrny wiórek. Pierwszy raz, prześladowani jeszcze widokiem kości, kochali się z desperacką rozpaczą. Za drugim było lepiej, każde z nich brało pod uwagę przyjemność partnera. Harry miał jednak gonitwę myśli, i to myśli, które wolałby od siebie odepchnąć. Mimo wysiłków Tamar Bóg nie położył mu ręki na ramieniu mówiąc: „Pieprz się, Harry Hopemanie”.

But w zebra pozwolił Harry'emu ustalić ponad wszelką wątpliwość, że przewodnika zatrudnił ktoś, kto nienawidzi turystów jak zarazy.

— Wstawaj. Jeśli chcesz z nami obejrzeć wschód słońca, musisz się pospieszyć.

Tamar obudziła się, ledwie musnął jej twarz. Półprzytomni, na oślep zawiązali sznurowadła i po omacku zbiegli ze schodów.

Pozostali turyści czekali już na dziedzińcu.

— Kto ma latarkę? — zapytał Owed.

Nikt się nie zgłosił.

— Trudno. Czyli mamy tylko dwie. Ja z jedną pójdę przodem, a Awi z drugą na końcu. Ruszamy.

Jak senne ćmy podążali za światłem po terenie, gdzie pomiędzy wielkimi kamieniami rozciągały się usypiska mniejszych. W końcu Harry skręcił kostkę.

— Rany boskie — warknął na Oweda. — Zwolnij, ludzie odstają.

— Jesteśmy prawie przy schodach. Zaraz będzie łatwiej — odparł przewodnik.

W zboczu góry jeden na drugim osadzono kamienne bloki. Owed powiedział, że trzeba było kilku pokoleń mnichów, by wykończyć dwa szlaki na dolnej części zbocza — 1700 stopni wejścia i 3400 stopni zejścia. To były schody z koszmarne go snu kardiologa, szli po nich w nieskończoność.

Harry miał wytrzymałość biegacza, kondycja Tamar jednak przedstawiała się gorzej. Doszli do wspólnego wniosku, że nie będą się spieszyć i niech diabli wezmą wschód słońca.

Przewodnik wysforował się daleko, studenci gnali jak kozice, minęli ich również inni — w tym niewyraźna sylwetka z latarką. Harry pomyślał z obawą, iż Awi postanowił nie zwracać uwagi na maruderów.

Do końca schodów dotarli jeszcze w ciemnościach. Górna część szlaku była szersza, poza tym niebo zaczynało jaśnieć, odkąd więc widzieli drogę, rozwijali lepsze tempo. W dodatku Harry uświadomił sobie, że mimo składanych wcześniej deklaracji chce zobaczyć wschód słońca z najwyżej położonego punktu. Przez ostatnią milę po-
nagłał Tamar i praktycznie ciągnął za sobą.

Wierzchołek góry okazał się otoczonym innymi szczytami kamiennym płaskowyzem o powierzchni mniej więcej pół akra. Harry wiedział, że są to stare zerodowane góry; teraz, patrząc na szeregi smaganych wiatrami poszczerbionych garbów, dostrzegł ich przejmujące trwogą piękno. Nietrudno było wyobrazić sobie, że zamieszkuje pomiędzy nimi Bóg.

Tamar pocałowała go w policzek.

— Dziękuję, że zmusiłeś mnie do wejścia.

Policzkowani przez wiatr, dołączyli do pozostałych.

Wszyscy milczeli, zaczynało wschodzić słońce. Jego blask był cudowny, bladł jednak wobec urody krajobrazu.

Harry uświadomił sobie, jak są nieliczni, i zapytał:

— Gdzie reszta?

— Tylko myśmy doszli — odrzekł Szimon.

Harry podszedł do Oweda.

— Lepiej wracaj na dół — powiedział. — Pogubiłeś turystów.

— Część zawsze zawraca — odparł nonszalancko Owed. — Spokojnie, znajdują drogę do monasteru.

Harry spiorunował go wzrokiem.

— Chyba powinniśmy wracać. Sukinsyn narobi nam kłopotów — rzekł po hebrajsku Awi Kierowca.

— Postąpicie rozsądnie — stwierdził, również po hebrajsku, Harry.

Obaj mężczyźni zaczęli wolno schodzić.

— Ja też pójdę — powiedział Harry do Tamar, lecz kiedy ruszył, podążyła za nim.

Kilkaset jardów niżej napotkali przewodnika i kierowcę pomagających starszemu małżeństwu wdrapać się na szczyt.

— Mówią, że są ostatni — oznajmił Awi. — Wszyscy pozostali wrócili do klasztoru.

— Na wszelki wypadek zejść trochę niżej — odparł Harry.

Był już niemal pewien, że nie znajdą nikogo, gdy Tamar szarpnęła go za ramię.

— Tam... nie, jeszcze dalej. Widzisz?

Na skale siedziała izraelska matrona. Spiesznie ruszyli w jej stronę, ale w pewnym momencie Tamar zatrzymała się raptownie i powiedziała do Harry'ego:

— To dumna staruszka. Sądzę, że powinno jej pomóc tylko jedno z nas.

Kiwnął głową.

— Poczekaj.

Kiedy dotarł do starszej pani, przekonał się, że jest bardzo blada.

— Wszystko w porządku, *chawera*? — zapytał.

Popatrzyła nań groźnie i wstała z trudem.

— Urządziłam sobie krótki postój przed ostatnim odcinkiem — oświadczyła.

— Jasne. Pozwoli pani, że pójdziemy razem?

Po dwóch krokach zwisała mu z ramienia całym ciężarem; w pobliżu szczytu sapłała jak wyczerpane zwierzę juczne.

Wtedy go odepchnęła. Było widać, jak zbiera siły. Dziarsko pomaszerowała w stronę grupki skupionej na płaskowyżu, nie podziękowawszy Harry'emu jednym słowem.

Po powrocie do klasztoru Tamar runęła w żeńskim dormitorium na pryczę, którą wzgardziła minionej nocy. Harry nie był senny.

Jakiś mnich grabił dziedziniec, a ponieważ nie było tam żadnych liści, kamyków czy śmieci, kreślił na ziemi równoległe faliste linie, takie same, jakie zdobią piasek japońskiego ogrodu.

— Mówi ojciec po angielsku? — zapytał Harry.

— Odrobinę.

— Czy byłoby możliwe, abym obejrzał bibliotekę?

— Tak się składa, że jestem bibliotekarzem. Ojciec Haralambos. — Jego angielski był bezbłędny.

— Haralambos. „Rozpromieniony z radości”. Jestem Harry Hopeman, ojczu.

— Zna pan grecki?

— *Poli oligon*, tyle co nic.

Mnich odstawił grabie i poprowadził Harry'ego do ciężkich drzwi, jednych z wielu zupełnie identycznych, a gdy otworzył je, ukazały się długie szeregi woluminów na tle białych otynkowanych ścian.

— Mógłbym zobaczyć *Codex Sinaiticus*?

Ojciec Haralambos wyjął i położył na stole ciężki tom. Harry otworzył go z pietyzmem — wyglądał tak samo jak londyński oryginał: uncjalne greckie litery wypisane na Welinie brązowym atramentem. Pierwszy wiersz brzmiał identycznie jak w Starym Testamencie opublikowanym właśnie przez Żydowskie Towarzystwo Wydawnicze: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię...”

Podniósł głowę i przekonał się, że mnich spogląda nań z zadumą.

— Jesteś tu dawno, ojczu? — zapytał.

— Bardzo dawno.

Haralambos miał wąską twarz wypraną z wszelkich doczesnych żądz. Harry odniósł wrażenie, iż dostrzega moc w lśniących piwnych oczach, potem jednak zorientował się, że to głęboki spokój ducha. Zastanawiał się, czy taki spokój wewnętrzny również stałby się jego udziałem, gdyby nie porzucił jesziwy.

— Czy tęsknisz za światem zewnętrznym? — zapytał impulsywnie.

— Tej pokusy nie doświadczam — odparł mnich z uśmiechem. — Nie podoba mi się to, co napływa do nas z zewnątrz.

— Na przykład?

— Dziś rano znaleźliśmy na dachu... hm... przybory służące do kontroli urodzeń. Jacyż ludzie zachowują się w taki sposób... w takim miejscu?

— Ludzie, którzy nie uznają takich czynów za grzeszne, ojcie — odparł Harry, opuszczając spojrzenie na *Codex*.

— Tak właśnie, jak sędzę, zachowywali się Rzymianie tuż przed upadkiem ich cywilizacji. I moi Grecy, i pańscy Hebrajczycy. Dostrzega pan pokrewieństwa?

— Usiłuję nie dostrzegać — powiedział Harry.

Kiedy czekał przed klasztornymi murami, żeby wsiąść do autobusu, stara kobieta bez słowa wcisnęła mu w dłoń wyłowiony z Morza Czerwonego kawałek koralu. Zaczął protestować, ale wtedy Tamar położyła mu dłoń na ramieniu.

— Musisz przyjąć — powiedziała.

W drodze powrotnej siedzieli w milczeniu, otępiali po trudach porannej wyprawy. Wiatr od morza nie przyniósł ulgi, wręcz przeciwnie — przez otwarte okna wcisnął do autobusu tumany piasku. Dopiero późnym popołudniem Awi zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby zatankować paliwo; kiedy wszyscy zniknęli w toaletach, Harry skorzystał z telefonu.

Nie było wiadomości od Mehdiego. Urzędnik z American Express poinformował go, że do pana Hopemana nie przyszła żadna korespondencja.

Natychmiast po przyjeździe do Teł Awiwu uciekli ze swojego więzienia: niebieskiego autobusu na kretyńskich balonowych oponach.

— Nigdy nie byłam tak skonana — wyznała Tamar w taksówce, która wiozła ich do Jerozolimy.

— Ja też.

— Moja wina.

— I tu wyjątkowo masz słuszość.

Długo pokładali się ze śmiechu.

W hotelu doświadczył takiego samego zachwycenia luksusem jak po powrocie z Masady, a bodaj czy nie jeszcze większego.

Wzięli długi, bezgranicznie długi prysznic, szorując się nawzajem. Tamar zrobiła wielkie oczy, kiedy zareagował na jej zabiegi. Pospieszył z zapewnieniem, że o ile ciało jest chętne, o tyle duch — mdły. Do kolacji nałożyła szlafrok. Harry odnotował z satysfakcją, że kelner z room-service nie może oderwać od niej oczu.

Byli zbyt senni, żeby dojeść deser.

Obudził się sporo przed świtem, rozmyślając o rozmaitych sprawach. Potem uświadomił sobie z niejakim zakłopotaniem, że do jego nozdrzy dochodzi nieprzyjemny smrodek. Ustalił, że z jego torby podróźnej. Mikroskopijni mieszkańcy koralowca, który otrzymał od starszej pani, wywierali swoją zemstę. Położył koral na okapie okiennym — tam będzie dokuczał tylko ptakom.

Tamar leżała naga, ze skołtunionym prześcieradłem pomiędzy nogami. Nagle postanowił, co zrobi z czerwonym granatem, podszedł więc do komody i wyłowił kamień spod koszul.

Wypoleruje go. Da prostą oprawę. Zawiesi na złotym łańcuszku.

Właśnie tu.

— Daj mi spokój — powiedziała po hebrajsku.

Machnęła ręką i granat, położony przez Harry'ego pomiędzy jej piersiami, stoczył się na podłogę.

Harry opadł na fotel i patrzył, jak coraz jaśniejsze światło igra z jej ciałem. Ten widok poruszył go bardziej niż wschód słońca na górze Synaj.

Rozdział 17

MŁODY RABIN

Nałożył dres i sportowe buty, potem spakował swoje brudy do torby z adresem Delii. Tamar jeszcze spała, kiedy wychodził z pokoju. Po wyjściu z poczty zagadnął młokosa, który przed urzędem sprzedawał precle:

— *Chawer*, znasz jakieś miejsce, gdzie szlifują drogie kamienie? No wiesz, na biżuterię.

— Jest coś takiego w Starym Mieście. W pobliżu Bramy Jafskiej.

— *Toda raba* — podziękował.

Ruszył biegiem. Jogging w Jerozolimie był zupełnie inny niż w Westchester — tu biegi po chodnikach, musiał lawirować wśród księży, starych Żydów, dzieciaków, omijać przeszkody, na przykład tłustego Araba pchającego taczkę pełną kamieni. Ulice pokonywał w żółtym tempie, nawet gdy chroniły go światła; zdołał się przekonać, że jerozolimscy kierowcy stanowią straszliwe zagrożenie.

Mimo wczesnej pory panował upał, Harry więc był już cudownie spocony, kiedy wreszcie znalazł sklep. Jego właściciel wykładał akurat tace z pierścionkami i bransoletami.

— Urwał się pan z olimpiady, żeby kupić mój towar?

— Sprzeda mi pan trochę proszku karborundowego?

— Na co panu proszek karborundowy?

— Poleruję kamienie, takie mam hobby.

— Hobby! Przynieś pan kamień, wypoleruję za grosze.

— Sam chcę to zrobić.

— Nie używam proszku, tylko pasty karborundowej.

— Tym lepiej, jeśli ma pan trochę na zbyciu. I potrzebny mi kwas octowy.

— Mam tylko szczawiowy.

— Może być. Sproszkowany tlenek glinu do wykończenia?

— Posłuchaj pan, to jest towar na wagę złota. Nie mam wiele, muszę zaopatrywać się w Teł Awiwie, a poza tym nie handluję materiałami jubilerskimi, tylko biżuterią.

— Niewiele mi potrzeba. Zapłacę, ile pan zechce.

Właściciel sklepu wzruszył ramionami i przyniósł towar.

Potem nakreślił na kartce kilka cyfr i wynik swych obliczeń pokazał Harry'emu.

— Doskonale, jestem naprawdę wdzięczny — powiedział Harry, płacąc w dolarach. — Pierwszy zarobek dnia.

Mężczyzna wzgardliwie wsunął szufladę kasy.

— To ma być zarobek? — zapytał z bezgranicznym zdziwieniem.

Tamar jeszcze spała, kiedy wrócił do hotelu, tak przynajmniej sądził.

Upuścił na granat kilka kropel kwasu, a kiedy ten zrobił swoje, zaczął mocno polerować kamień pastą karborundową nałożoną na szmatkę.

— Co robisz?

— Poleruję.

Wstała i nałożyła jego szlafrok, po czym ze swoimi ciuchami i szczoteczką do zębów znikła w łazience. Pracowicie polerował, dopóki słyszał szum prysznica.

— Zatrzymaj sobie ten szlafrok — powiedział, kiedy wyszła. — Wyglądasz w nim znacznie lepiej niż ja.

Zmarszczyła czoło.

— Przestań się wygłupiać. — Odwiesiła szlafrok do szafy. — Czy to naprawdę może być kamień biblijny?

— Bez dowodów nie ma żadnego znaczenia.

— A gdyby był... jakie mógłby mieć zastosowanie?

— Mógł być częścią skarbu świątynnego albo należeć do któregoś z królów. Jedyny kamień opisany w Biblii, który można z nim porównywać, to szmaragd z pektorału.

— Ale przecież to nie jest szmaragd.

Zachichotał.

— Zgoda, tylko że klasyfikacje z tamtych czasów na ogół mocno odbiegają od dzisiejszych. Klejnot plemienia Lewiego prawdopodobnie wyglądał prawie tak samo.

— Och, jakże chciałabym wierzyć, że to klejnot Lewich! Moja rodzina to Lewici.

— Moja też.

— Naprawdę? — Usiadła obok Harry'ego. Pachniała jego mydłem. — Czy to nie zdumiewające? Popatrz, jak ciemna jest moja skóra w porównaniu z twoją.

— Owszem.

— Mówimy innymi językami, mamy odmienne obyczaje, a przecież wygląda na to, że nasze rodziny wyrosły z tego samego pnia.

Wstał i opłukał kamień wodą z kranu, kwas pozwolił usunąć wierzchnią warstwę zabrudzeń.

— Zrobię ci broszkę — powiedział, podnosząc granat.

Siedziała zupełnie nieruchomo.

— Harry, nie chcę twojego szlafroka. Ani broszki.

— Ale ja chcę ci dawać prezenty.

— Ale ja nie chcę od ciebie niczego.

Wiedział, co chce mu powiedzieć. Musnął jej włosy.

— Czasem chcesz.

Oblała się rumieńcem.

— To co innego. — Ścisnęła jego ramię długimi brązowymi palcami. — Nie chodzi tu o ciebie. Już nigdy nie chcę do tego stopnia otworzyć się przed kimkolwiek. Nie mogę ryzykować cierpienia.

Nadszedł czas, żeby się wycofać. Zaczynał ją rozumieć, zestrzając się z jej bólem.

— Więc nie mogę ci nawet postawić śniadania?

— Ależ możesz, jak najbardziej — odparła z widoczną ulgą.

— Wybacz, że obudziłem cię tak wcześnie.

— Już nie spałam. Dzwoniłam do Zeewa. Znaleźli faceta, o którym mi mówiłeś, Silitsky'ego.

— Ha! Paseacha Silitsky'ego!? Gdzie się podziewa?

— W Kiriat Szemonie.

— Chyba muszę powiedzieć o tym Davidowi Leslauowi.

— Błagam, Harry — powiedział Leslau nerwowo. — Musisz to dla mnie zrobić.

Siedzieli na leżakach w nędznym namiocie ustawionym u podnóża niższego z dwóch pagórków w Engedi. Harry słyszał, jak kopacze pracują, pokrywając podstawę wzniesienia szachownicą wykopów. Stanowisko go rozczarowało: roboty ziemne przypominały układanie rur kanalizacyjnych. Leslau poinformował go, że jak dotąd nie natrafili na nic interesującego z archeologicznego punktu widzenia.

— Powinieneś osobiście pojechać do Kiriat Szemony. W końcu to ty chcesz poślubić panią Silitsky.

— Iw tym rzecz. Jej mąż właśnie dlatego powita mnie z niechęcią. Wszystko, co powiem władzom, będzie podejrzone, ponieważ nie jestem osobą trzecią. — Wyrwał kartkę z notesu i coś na niej napisał. — To numer zielonej szkoły Towarzystwa Ochrony Przyrody. Będę do złapania przez całe popołudnie.

Czekał z niepokojem.

Harry westchnął i wyciągnął rękę po karteluszek.

— Nigdy ci tego nie zapomnę — powiedział Leslau.

Kiedy samochód znalazł się w pobliżu doliny Hule, zza północno-zachodniego horyzontu poczęła się wysuwać nierzeczywista sylweta góry Hermon. Dzięki temu,

że droga biegła prosto, Harry mógł orientować się na pokryty śniegiem szczyt, potężniejący na tle gauguinowskiego nieba.

Kiriat Szemona okazała się małą rolniczą osadą, złożoną zarówno z nowych bloków, jak i starych nędznych domeczków. Zatrzymał mężczyznę przechodzącego przez ulicę.

— *Slicha* — rzekł. — Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę rabina?

— Aszkenazyjskiego czy sefardyjskiego?

— Aszkenazyjskiego.

— To rabi Goldenberg. Minie pan dwie ulice i skreśli w lewo. Trzeci dom od końca po prawej stronie.

Dom był niewielki, pokryty złuszczającą się zieloną farbą. Drzwi otworzył Harry'emu rosły młody mężczyzna z lśniąco ciemnorudą brodą.

— Rabi Goldenberg? Nazywam się Harry Hopeman.

Dłoń Harry'ego utonęła w łapie rabina.

— Proszę wejść, proszę. Amerykanin?

— Z Nowego Jorku. A pan?

— Uzyskałem smicbę w jesziwie we Flatbush.

Harry skinął głową.

— Studiowałem krótko w jesziwie w Brownsville.

— Toż to jesziwa rabina Icchaka Netschera! Kiedy to było?

— Wiele lat temu. Wytrzymałem zaledwie kilka miesięcy.

— Ach, odpadł pan. I gdzie wylądował?

— Na Columbia University.

Rabin uśmiechnął się szeroko.

— Większa uczelnia, ale nie tak wyżyłowany poziom. — Wskazał Harry'emu krzesło. — Cóż pana przywiodło do Kiriat Szemony?

— Szukam sprawiedliwości.

— A wziął pan ze sobą latarkę?

— Mówię serio. Ktoś, czyje losy nie są mi obojętne, jest aguną.

Uśmiech znikł.

— Do jakiego stopnia nieobojętne?

— Nie w tym rzecz. Jej losy są bardziej niż nieobojętne jednemu z moich przyjaciół.

— Rozumiem. — Palce rabina zaczęły penetrować gęstwą brody. — Czy jej mąż był żołnierzem zaginionym na polu walki?

— Nie, po prostu uciekł.

Rabin westchnął.

— Nie będzie rozwodu, jeśli nie wyrazi na niego zgody. To jedna z nielicznych ułomności naszego cudownego kanonu starożytnych praw. Nic nie mogę zrobić, chyba że go pan odnajdzie.

— Sądzymy, że przebywa w Kiriat Szemonie. Nazywa się Paseach Silitsky.

— Silitsky? — Rabin podniósł głos. — Chana-Lea!

W drzwiach ukazała się młoda kobieta karmiąca niemowlę mlekiem z butelki. Mimo upału miała na głowie chustę i nie podniosła wzroku na Harry'ego.

— Znasz kogoś, kto się nazywa Paseach Silitsky? — zapytał rabin w jidysz.

— Tutaj, Herszel?

— Tak, tutaj.

Wzruszyła ramionami.

— Peretz z magistratu będzie na pewno wiedział.

— Tak, Peretz będzie wiedział. Bądź tak dobra, zadzwoń do niego.

Skinęła głową i wyszła.

— Peretz zna wszystkich — wyjaśnił rabin, podchodząc do biblioteczki. — A tymczasem zobaczymy, co na cymes tego rodzaju ma do powiedzenia Majmonides.

— Doskonale, lubię tego faceta. Robił w mojej branży.

Rabin prześwidrował go wzrokiem.

— Lekarz, prawnik, filozof?

— Diamenty.

— Ach, diamenty... Hopeman i Syn? Piąta Aleja?

Harry przytaknął.

— Więc tak... — wrócił do poszukiwań w biblioteczce. — Tu jest „Księga kobiet”.

Usiadł i zaczął kartkować tom, nucąc pod nosem.

Nie była to melodia hebrajska, Harry rozpoznał ją dopiero po dłuższej chwili. „Hard Day's Night”.

Kilka minut później wróciła żona rabina.

— Peretz powiada, że jest księgowym w mleczarni.

Rabin Goldenberg pokiwał głową.

— Ach, księgowym w mleczarni. A zatem złożmy mu wizytę — powiedział.

Biuro w mleczarni było małe i ciasne. Przy jednym z biurek kobieta wpisywała coś do wielkiej księgi rachunkowej, przy drugim szczupły mężczyzna o pospolitym wyglądzie porządkował stos formularzy. Miał pełną brodę blond, a jarmułka nie była w stanie ukryć zaczątków łysiny. Sprawiał wrażenie młodszego niż pani Silitsky; Harry zastanawiał się, czy nie należy złożyć tego na karb ortodoksyjnego, postarzącego ubioru Racheli.

— Pan Paseach Silitsky? — zapytał w jidysz rabin Goldenberg.

Mężczyzna skinął głową. Wszedł robotnik z hali i położył na jego biurku następny stos formularzy; kiedy drzwi pozostawały otwarte, biuro wypełniał zgielek czyniony przez urządzenia do odwirowywania śmietany.

— Jestem rabi Goldenberg, a to pan Hopeman.

— Jak się pan miewa? — zapytał Silitsky.

— Dopisuje mi zdrowie, dzięki Najświętszemu.

— Błogosławione niech będzie imię Jego. Rabin zerknął na kobietę przy sąsiednim biurku.

— Czy moglibyśmy porozmawiać na zewnątrz? Chodzi o sprawę osobistą.

Silitsky, mimo nagłego wyrazu czujności na twarzy, wstał i przytaknął, a potem w ślad za rabinem i Harrym wyszedł z biura.

Dopiero w pewnej odległości od budynku rabin zagaił:

— Chodzi o pańską żonę.

Silitsky bez najmniejszego zaskoczenia pokiwał głową.

— Ten człowiek utrzymuje, że uczynił ją pan aguną. Silitsky popatrzył na Harry'ego. Dochodzili do ławki stojącej w cieniu sosny.

— Siądźmy — zasugerował Harry. Przypadło mu newralgiczne i kłopotliwe miejsce w środku.

— To okropne uczynić kobietę aguną — podjął rabin. — Grzeszne.

— To pan jest tym amerykańskim profesorem?

Harry uświadomił sobie, że Silitsky bierze go za Davida Leslaua.

— Ależ nie, nie. Jego znajomym. Silitsky wzruszył ramionami.

— Ja też mam znajomych. Opowiadają mi to i owo. Rabin Goldenberg owijał brodę wokół palca.

— Kiedy ją pan porzucił?

— Dwa lata temu. Mniej więcej.

— Posyła jej pan pieniądze? Silitsky zaprzeczył.

— A zatem — cicho zapytał rabin — z czego się utrzymuje?

Silitsky milczał.

— Jak mi się zdaje, pracuje w piekarni — wtrącił Harry.

Goldenberg westchnął.

— Mędrcy uczą, że mężczyzna powinien dbać o żonę bardziej niż o samego siebie.

— Wyśmiewano mnie, bo nie miałem na nią żadnego wpływu — wycedził Silitsky. — Mędracy ucząją również, że żona powinna szanować męża, on zaś powinien budzić w niej trwogę. Czyż nie tak?

— Ach, jest pan zatem uczony w prawie? — zapytał rabin.

Silitsky tylko wzruszył ramionami.

— A więc powinien pan wiedzieć, że prawo żydowskie obliguje mężczyznę do zagwarantowania żonie dziesięciu rzeczy. Siedem zaleceń to dzieło skrybów, Tora jednak... Tora! powiada, iż mąż winien zapewnić żonie strawę, przyodziewek i życie płciowe. — Wychylił się zza Harry'ego. — Pragnie pan wrócić do jej łoża jako mąż?

Silitsky zaprzeczył.

— No to niech pan ją uwolni — powiedział rabin.

Silitsky wpatrywał się w czubki swoich butów.

— Jestem skłonny.

— Nie jest pan przypadkiem kohenem?

— Tak, jestem kohenem.

— Wie pan zatem, że kiedy kohen wyrzeka się żony, już nigdy nie będzie mógł poślubić jej ponownie?

— Oczywiście, zdaję sobie sprawę.

Rabin skinął głową.

— Najbliższa sesja sądu rabinicznego odbędzie się we czwartek po południu. Stawi się pan o czternastej przed bejt din, aby dać żonie rozwód?

— Tak.

— Już raz pan uciekł. Czy więc tym razem zachowa się pan jak człowiek i nie umknie?

Silitsky popatrzył nań przeciągle.

— Nie planowałem zostawić ją na tak długo. Z początku byłem wściekły, a potem... — Po raz kolejny wzruszył ramionami.

— Sąd rabiniczny zbierze się w mojej synagodze — oznajmił rabin. — Wie pan, gdzie jest?

— Tak, chociaż uczęszczam do synagogi rabiego Hellera.

— Ale w czwartek przyjdzie pan do mojej, prawda? — zapytał z uśmiechem rabin Goldenberg.

— Tak, będę w pańskiej szufl, rebe.

Silitsky wstał, ogarnięty widoczną ulgą. Uścisnął dłonie im obu.

Harry odprowadzał go wzrokiem.

— I to wszystko? — zapytał. Zwilgotniały mu dłonie.

— Gdzie tam! Wyraził zgodę, ale nadal pozostaje problem rozwodu.

— Czy zostanie udzielony?

— Z całą pewnością.

— Jego rabin w Mea Szearim...

Palce rabina Goldenberga z irytacją drapały ryżą brodę.

— Panie Hopeman, czy my mamy papieża? Jego rabin to rabin jak ja i wszyscy inni rabini. Jego żona otrzyma get, dokument rozwodowy, wystawiony przez w pełni legalny bejt din, a więc dziewięćdziesiąt jeden dni później będzie mogła ponownie wyjść za mąż.

Zmierzali w stronę samochodu.

— Chce pan usłyszeć coś zupełnie zwariowanego, rebe?

— zagadnął Harry. — Otóż człowiek, którego reprezentuję, przyjaciel pani Silitsky... jeszcze kilka tygodni temu nie znałem go osobiście.

— Dzięki temu pańskie przedsięwzięcie jest większą miłą, istotniejszym dobrym uczynkiem.

Przejeżdżali przez ciche ulice, które jednak w zapamiętanych przez Harry'ego migawkach telewizyjnych wyglądały zupełnie inaczej.

— To miejsce, gdzie terroryści wymordowali tyle dzieci... jest gdzieś w pobliżu?

— Niedaleko — odparł Goldenberg. — Ale nic tam nie ma do oglądania. Otwory po kulach zostały zaszpachlowane, elewację pomalowano. Jest bardzo ważne, aby umarli nie pociągali nas za sobą.

— Zgadzam się — potwierdził ochoczo Harry. — Jak pan sądzi, rebe, czy to możliwe, żeby jedna osoba pomogła drugiej zerwać więź tego rodzaju?

— Kolejna miewa? — zapytał rabin z uśmiechem.

— Nie, uczynek z całkowicie egoistycznych pobudek.

— Sądzę, że z podobnym zadaniem każdy z nas musi uporać się o własnych siłach.

Stanęli przed skromnym zielonym domkiem.

— Czy myśli pan o powrocie do Nowego Jorku, rebe?

— Jestem tu u siebie, panie Hopeman — odrzekł rabin. Wsiadł z auta i uściśnął Harry'emu rękę. — Bądź pan zdrow, panie Hopeman.

— Bywaj w zdrowiu, reb Goldenberg.

Kilka przecznic dalej znalazł urząd pocztowy, w nim zaś budkę telefoniczną, z jaką nigdy nie miał do czynienia: musiał kupić żetony w okienku sprzedającym znaczki, a potem wrzucać je tak długo, aż uzyska połączenie. Zapewne wsunął w szczelinę nieodpowiednią liczbę żetonów, bo sygnału jak nie było, tak nie było. Poprosił o pomoc.

W końcu doczekał się, a rzucone po hebrajsku słowa: „Telefon do pana profesora” wyjaśniły Harry'emu sytuację.

— Halo, David? — Z trudem powstrzymywał się, żeby nie krzyczeć. — *Mazel tow!*

Do biura American Express w Jerozolimie dotarł późnym popołudniem. Jakaś kobieta zamykała akurat przeszklone drzwi.

— No nie... chyba nie zamykacie?

— Właśnie zamknęliśmy, nie możemy pracować na okrągło.

— Oczekuję listu.

— I co z tego? Proszę przyjść jutro.

— Błagam, nazywam się Hopeman, czy nie mogłaby pani sprawdzić? To strasznie ważne.

Westchnęła.

— Przypominam sobie nazwisko, jest do pana list. — Odrygłowała drzwi, podała Harry'emu kopertę, nie przyjęła napiwku. — Niech mi pan tylko pozwoli wrócić do domu i ugotować kolację, dobrze?

— Dobrze.

Rozpieczętował kopertę natychmiast, na chodniku. List informował, że nazajutrz o dwudziestej szary samochód zabierze go spod wiatraka w Jemin Mosze. Dopadł telefonu w pobliskiej restauracji i zadzwonił do Tamar.

— Dostałem list — oznajmił.

— Kiedy spotkanie?

— Jutro wieczorem.

— Doskonale.

— Też tak myślę. Spędzisz ze mną noc?

— Chętnie.

— A może spakowałabyś trochę ciuchów i została na dłużej?

Milczała.

— Będę musiał wyjechać, kiedy tylko sfinalizuję interes, Tamar. Mam do dyspozycji zaledwie kilka dni.

— W porządku. Przyjedź za pół godziny — odparła.

Wieczorem leżał na łóżku i patrzył, jak w ogromnym skupieniu maluje paznokcie u stóp bezbarwnym lakierem. Już na początku zwrócił uwagę, że bardzo dba o swoją powierzchowność.

Opowiedział jej o zaspachlowanych dziurach w Kiriat Szemonie, o tym, co usłyszał od młodego rabina na temat utrzymywania więzi ze zmarłymi.

Przestała lakierować paznokcie.

— No i?...

— To już wszystko.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie zdołałam zerwać więzi z Joelem? Pożegnałam go już dawno temu. A w ogóle to cię nie powinno obchodzić.

Patrzył na nią bez słowa.

— Dobry Boże, przecież przed chwilą skończyliśmy się kochać — powiedziała.

— Było ci dobrze?

— No jasne — odparła triumfalnym tonem.

— Nie dopuszczasz jednak do siebie żadnych innych doznań. W łóżku było nas troje.

Cisnęła w niego buteleczką lakieru, która odbiła się od policzka Harry'ego i uderzyła w ścianę. Potem rzuciła się nań z pazurami, ale objął ją mocno, przewrócił i unieruchomił.

Wstrząsał nią nieopanowany płacz.

— Puść mnie, sukinsynu — zawodziła.

Obawiał się jednak, że jeśli usłucha, Tamar albo wydrapie mu oczy, albo wyjdzie. Policzek zaczynał go boleć.

— Nie rozumiesz, że ja cię nie chcę? — wołała.

— Nie w tym rzecz. Pozwól sobie na uczucia. I wtedy, jeśli uznasz za stosowne, poślij mnie do wszystkich diabłów.

— Wariat jesteś. Wcale mnie nie znasz. Dlaczego mi to robisz?

— Sądzę, że od jego śmierci było w twoim życiu wielu mężczyzn. Zbyt wielu, przypuszczam, jak na kogoś takiego jak ty.

— Nienawidzę cię! Pieprz się! — wrzasnęła.

Witamy w naszym kręgu kulturowym, pomyślał ze smutkiem. Jej zaciśnięte powieki były wilgotne. Ucałował je. Kiedy odwróciła głowę, doświadczył nagłych wątpliwości. To niemożliwe, że nie podziela uczuć, które jego rozstrajają. Nie poruszał

się, nic nie robił, trzymał ją tylko za rękę. Nie usiłował jej pieścić, brać, mówić do niej. Koncentrował się na własnych doznaniach, próbował przekazać je Tamar. Co jednak — doszedł do wniosku, leżąc obok jej zeszywniałego ciała — jest w pewnym sensie próbą gwałtu. Bo jakże nazwać inaczej wysiłek zmierzający do tego, by wszelkimi dostępnymi środkami — duszą, wolą, sferą ponadzmysłową — wcisnąć w kogoś najgłębiej jak można swoje uczucia?

Rozdział 18

SZARY SAMOCHÓD

Ledwie ją puścił, ubrała się spiesznie i wyszła bez słowa. Bezsennie przeleżał całą noc, toteż rano miał koszmarne samopoczucie. Był to idiotyczny sposób przygotowywania się do ważnych negocjacji.

Wyszedł z hotelu i biegał aż do kompletnego wyczerpania, przypłacając jogging po Jerozolimie — gdzie każdy kawałek gruntu był utwardzony płytami betonowymi lub kamiennymi — bólem odbitych pięt. Po powrocie wziął długą kąpiel, potem zamówił jajka na miękko i tosty, w końcu poszedł do łóżka, zamawiając budzenie na szesnastą.

Wysiłek się opłacił — zbudził go dopiero telefon z recepcji. Ogolił się starannie i ostrożnie, na policzku miał bowiem szpetnego purpurowego siniaka.

O wpół do szóstej ktoś zapukał do drzwi. Kiedy je otworzył, ujrzał Tamar.

— Wejdz — powiedział.

Siadła na krześle i z torby wyjęła książkę.

— Cieszę się, że wróciłaś.

— Obiecałam ci towarzyszyć.

— Nie musisz.

— Nie tobie obiecałam.

Skinął głową.

Oboje pograżyli się w lekturze, w końcu jednak Harry spytał:

— Jadłaś już kolację?

— Nie jestem głodna.

On też nie był.

— Mimo to uważam, że nieglupio byłoby coś przetrącić.

— Dziękuję, nie mam ochoty.

Poszedł do restauracji samotnie i jak palacz, który wie, że musi dorzucić do pieca trochę węgla, zmusił się do zjedzenia kanapki z kurczakiem.

Potem wrócił na górę i czytał dalej. W pokoju nadal unosił się lekki zapach seksu, ale poza tym mogło się zdawać, że siedzą oboje w bibliotece publicznej.

Zaledwie kilka kroków dzieliło hotel od Jemin Mosze, kwartału nazwanego tak na cześć sir Mosesa Montefiore, założyciela Nowej Jerozolimy. Wiatrak wyglądał tak, jakby został przeniesiony tu z Holandii. Podczas zaciętych walk poprzedzających powstanie państwa izraelskiego był wykorzystywany jako stanowisko snajperskie i w końcu Brytyjczycy odstrzelili całą jego górną część w ramach akcji żartobliwie określonej przez Żydów mianem „Operacji Don Kichot”. Niezwykły w dookolnym pejzażu już wcześniej płaskodachy wiatrak wyglądał teraz wręcz dziwacznie. Wznosił się na otwartym placu otoczonym przez trzy ulice.

— Nie sprecyzował, na której mamy czekać — powiedział z obawą Harry.

Stali na ulicy Hebronu, mijały ich auta, zapadający zmierzch utrudniał rozpoznawanie kolorów.

Zmierzał w ich stronę peugeot.

— Chyba jest niebieski — powiedziała Tamar.

Był szary, ale pojechał dalej. Tak samo jak kilka następnych. Parę minut po ósmej z ciemności wyłonił się niczym zjawa jeszcze jeden samochód. Harry rozpoznał go od razu, lecz nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zatrzymał się przy krawężniku; na przednich fotelach siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich, niższy, wyskoczył i zapytał:

— Mister Hopeman?

— Tak.

Mężczyzna popatrzył na Tamar.

— Powiedziano nam, że będzie pan sam.

— Wszystko w porządku, ona pojedzie ze mną.

— Tak jest — odparł bez przekonania mężczyzna, otwierając tylne drzwi.

Tonację wnętrza, uznał Harry, można było określić mianem perłowej. Puścił przodem Tamar, potem sam usadowił się na kanapie pokrytej chyba lekko podbarwioną jelenią skórą.

Drzwi zatrzasnęły się donośnie i wóz ruszył, pchany bezgłośnie siłą, o której Harry tyle się nasłuchiwał. Mieli w zasięgu ręki obudowaną lodówkę, nie zawierającą wszakże wina ani mocniejszych napitków, lecz tylko wodę gazowaną. Być może Mehdi był praktykującym muzułmaninem. Dostępne w wielkiej obfitości sery i owoce sprawiły, że Harry pożałował, iż wmusił w siebie suchą kanapkę z kurczakiem.

Wziął do ręki tubę komunikacyjną i zobaczył, że mężczyzna obok szofera tężeje w czujnej postawie. Nie wyglądali na Arabów.

— Jak się pan nazywa? — spytał Harry.

— Jak się nazywam? Tresca, sir.

— Tresca? Czy to greckie nazwisko?

Mężczyzna obrócił głowę i popatrzył nań przeciągle.

— Niewykluczone, że żydowskie — powiedział, rozweselony tak samo jak jego towarzysz.

Harry też się uśmiechnął.

— Tresca, czy się mylę czy też ten samochód to duesen-berg model SJ?

Tresca błysnął białymi zębami.

— Nie myli się pan, sir.

Zrazu Harry tylko przypuszczał, że kierują się na południe, potem jednak zyskał zupełną pewność. Rozpoznawał mijane miejsca: tą drogą jechał na stanowisko archeologiczne Leslaa, tędy przejeżdżali autobusem wycieczkowym...

— Piękny wóz — zauważyła Tamar.

Mruknął. Samochód wytrącił go z równowagi. Jego właściciel dokonał czegoś, czego on nie był w stanie dokonać. Jego opinia na temat Mehdiego wywróciła się do góry nogami.

Minęli Engedi w odległości kilku mil i szosa, wijąca się dotąd jak wąż, pomknęła prosto jak strzała przebijająca czarną pustynię, a od czasu do czasu również małe wioski: niskie fasady, kleksy żółtego światła, jakichś ludzi, bez wyjątku Arabów.

Dwukrotnie minęli ciężarówki armii izraelskiej, raz — dzi- pa. Mężczyźni na przednich siedzeniach nie zareagowali na ich widok. Harry był pewien, że dokumenty mają w doskonałym porządku.

Przed kolejną wioską kierowca zahamował gwałtownie, nie tracąc jednak panowania nad samochodem, Tresca zaś otworzył skrytkę i wyjął z niej coś, w czym Harry rozpoznał lśniący grubolufy pistolet.

Jednotonowa półciężarówka stała ukosem do pobocza, resztę szerokości drogi blokował rozwrzeszczany tłum. Tresca wysiadł, a po chwili wsunął się z powrotem na swoje miejsce.

— Ciężarówka przejechała kozę. Kierowca i pasterz sprzecniają się o cenę.

Szofer nacisnął klakson, tłum się rozstąpił i piękny samochód minął zakrwawione ścierwo kozy.

Harry wyjrzał przez tylną szybę na oddalającą się wioskę — nikt ich nie śledził.

Im dłużej jechali, tym stawało się goręcej; po niespełna dwóch godzinach przepocone ubranie oklejało skórę Harry'ego jak kombinezon płetwonurka. Tamar spała w kącie auta

— uważnie zbadał wzrokiem jej twarz i stwierdził, że przypląciła minioną noc workami pod oczyma.

Ledwie w oddali zniknęły światła Elatu, szofer zwolnił i skręcił w jakąś wyboistą drogę. Duesenberg podskoczył kilka razy, szarpnął się w przód i stanął pomiędzy wydmami.

Tresca ponownie sięgnął do skrytki i serce Harry'ego załomotało jak oszalałe; wyjął jednak tylko śrubokręt i tablicę rejestracyjną pokrytą filigranem arabskich liter. Wysiadł z wo-,- zu, zmienił tablice, wsiadł i wytarł twarz chusteczką, a potem schował do skrytki niebieskie tablice terytoriów okupowanych przez Izrael.

— Witamy w Jordanii, mister Hopeman — powiedział.

Po dwudziestu minutach jazdy kiepskimi drogami dotarli do domu Mehdiego. Salon, na szczęście, miał klimatyzację, chociaż wedle norm zachodnich umeblowany był nad wyraz skromnie, a ozdobę pokrytych tkaninami ścian stanowiły miotły i miedziane tace. Na niskim stoliku stała misa owoców, obok zaś na węglowym palniku grzał się długoszyi czajnik z wodą. Mehdi, który czekał na nich mimo późnej pory, nie wydawał się zaskoczony widokiem Tamar. Promieniejąc, poczęstował ich czarną gorzką kawą i dopiero gdy po raz trzeci napełnił filiżanki, przyjął do wiadomości, że mają już dość.

— Czy wypocznie pan... hmm... przed oględzinami kamienia?

Pokaż mi go zaraz, pragnął zażądać Harry, ale odparł tylko:

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Zresztą potrzebuję światła dziennego.

— Ależ wiem.

Mehdi klasnął w ręce, a Tresca zaprowadził Harry'ego i Tamar na tyły domu, do skrzydła, w którym nie było klimatyzacji. Dostali sąsiadujące ze sobą pokoje.

Tamar powiedziała „dobranoc” i zamknęła drzwi.

Do łazienki wchodziło się z korytarza; nie było ciepłej wody, ale zimna miała temperaturę pokojową. Harry nie zachowywał się jak kulturalny gość i zużył jej zbyt wiele — pojął to dopiero wtedy, kiedy wycierając się ręcznikiem patrzył przez okno na światła statku płynącego po Morzu Czerwonym.

Materac miał już swoje lata i wgniecenie w środku. Harry legł na nim, nagi i spocyny, rozmyślając o żółtym diamencie. Niemal zasypiał, gdy uświadomił sobie, że ktoś otwiera drzwi.

Potem podchodzi do łóżka i kładzie się obok niego.

— Tak się cieszę, Tamar — wyszeptał.

Ogarnęła go fala szczęścia, kiedy delikatna dłoń musnęła jego nogę.

Zderzyli się nosami. Poczuł ciężki aromat, jego ręce odnalazły szczuplutkie ramiona i piersi jak maleńkie owoce.

Na oślep znalazł włącznik lampy.

Miała najwyżej dwanaście lat. Gościnność wedle norm Mehdiego, pomyślał półprzytomnie. Wstał z łóżka i otworzył drzwi. Dziewczynka leżała sztywno, wpatrując się weń piwnymi oczyma, które mu kogoś przypominały.

— *Sajjid?* — szepnęła.

— Uciekaj.

Zmrużyła powieki, wykrzywiła twarz i wybuchła dziecinnym płaczem. Widział, że boi się wstać; podszedł do niej i za rękę wyprowadził ją na korytarz. Żywiąc nadzieję, że nie zostanie ukarana i nie utraci zapłaty, zamknął drzwi i rzucił się na łóżko.

Po chwili wstał i zapukał cicho do drzwi łączących jego sypialnię z sąsiednią.

Tamar uchylila je odrobinę.

— O co chodzi?

— Wszystko w porządku?

— Oczywiście. To arabski dom, a dopóki w nim gościmy, nasz gospodarz odda życie, aby nas ochronić.

Drzwi zamknęły się i Harry wrócił do łóżka. Wtedy znów się uchylily.

— Dzięki, że się o mnie martwisz — powiedziała Tamar.

Odparł, że cała przyjemność po jego stronie.

Rankiem obudziło go rytmiczne zawodzenie dochodzące — jak ustalił po chwili — z radioodbiornika rozkręconego na pełny regulator. Panował nieznośny skwar, sopranowy głos zawodził w nieskończoność, to podnosząc się, to opadając. Harry zwalczył w sobie pokusę, by natychmiast poprosić Mehdiego o pokazanie kamienia; zamiast tego nałożył szorty i buty sportowe. Tresca, w białej bawełnianej marynarce, nakrywał w jadalni do stołu.

— Pomyślałem, że wyjdę na plażę. Czy to dozwolone? — zapytał Harry.

— Bez dwóch zdań. — Tresca odstawił tacę ze szklankami i wyszedł za Harrym.

Z dala od brzegu na błękitnej wodzie kotwiczyła łódź rybacka, ale poza tym w zasięgu wzroku nie było innych śladów życia. Harry dobrnął do strefy ubitego piasku, potem puścił się biegiem. Tresca w swym kelnerskim stroju deptał mu po piętach.

— Teraz zawrócimy — oznajmił, kiedy pokonali mniej więcej pół mili.

Harry zaczął sparrować z cieniem, igrając przez moment z myślą, czyby nie przetrzucić się na Treskę. Facet nie miał nawet przyspieszonego oddechu i Harry doszedł do wniosku, że gdyby tylko chciał, spuściłby mu niezłe manto. Odwrócił się zatem posłusznie i pobiegł w stronę domu.

Pół godziny później zaserwowano smakowite tropikalne śniadanie: krojone warzywa i jogurt, chumus, tefinę, chleb, ser i herbatę.

— Jedzcie w imię Boże — powiedział Mehdi.

— *Bismillahi* — odparła Tamar. Jej napięcie przejawiało się w większej niż zwykle skłonności do rozmowy. Kiedy Tresca w świeżej białej marynarce wyszedł, żeby przynieść jej więcej kawy, zauważyła: — Idealny służący.

— Hę? Tak, oczywiście.

— Ale to nie Egipcjanin.

— Albańczyk — powiedział Mehdi. — Mam albańskich przodków. Tak samo zresztą jak Faruk.

— Kiedy zostali Egipcjanami? — spytała Tamar.

— Na początku dziewiętnastego wieku. Mamelucy powstali w Egipcie przeciwko imperium ottomańskiemu, a Turcy posłali przeciwko nim doborowe oddziały albańskie pod dowództwem Muhammada Alego. Ali stłumił rebelię, potem jednak odwrócił się od Turków i ogłosił władcą Egiptu.

— Pochodzi pan od któregoś z jego ludzi?

— Mój pradziadek był piechurzem w armii Alego. W trakcie kampanii wojska Alego najechały nubijski sułtanat Sennar i Kordofan, zbudowały Chartum i zajęły Syrię, kiedy zaś Ali Pasza był już starcem, pokonały Turków, od których przyjmowały niegdyś rozkazy. Pasierbem i dziedzicem Alego był Ibrahim, ojciec Ismaila, dziad Ahmeda Fuada i pradziad Faruka.

Wydawało się, że Tamar zamierza zadać następne pytanie, Harry ją jednak uprzedził:

— Chyba chciałbym skorzystać z dobrego światła — powiedział nonszalancko.

Mehdi skinął głową.

— Przepraszam państwa na moment.

W nerwowej ciszy czekali na jego powrót. Wrócił z małym puzderkiem z drewna oliwnego, wyjął z niego brązową skarpetę, a kiedy ją wytrząsnął — po stole potoczył się jeden z największych diamentów, jakie Harry widział w życiu.

Nawet w kiepskim świetle jadalni jarzył się na tle maselniczki. Harry go ujął, próbując zapanować nad drżeniem dłoni.

— Muszę mieć stół przysunięty do okna w północnej części domu — powiedział.

Mehdi przytaknął.

— A zatem musi to być moja sypialnia — powiedział przepraszającym tonem.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

— Ależ skąd. Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia?

— Gdyby tak mógł pan wyłączyć radio... — odparł Harry.

Żałował, iż nie poprosił również o posłanie łóżka. Światło z północy padało przez okno na zmiętą pościel i purpurową damską koszulę nocną. Ale przynajmniej był sam.

Zatonął w fotelu i wpatrzył się w diament, który niewolił go i hipnotyzował. Zdecydowanie historyk brał w Harrym górę nad specem od kamieni szlachetnych, historykiem zaś mogły wstrząsnąć do głębi stulecia i wydarzenia, których świadkiem był klejnot.

Po chwili podszedł do okna i zobaczył Treskę, który siedząc w cieniu, obierał ogórki. Drugi służący, mężczyzna o imieniu Bardil, stał za niskim murkiem otaczającym dach jednego ze skrzydeł domu. Kiedy Harry otworzył okno, Tresca nadal uważnie obierał ogórki, dłoń Bardila jednak zniknęła za murkiem.

Harry był usatysfakcjonowany; czuł się lepiej, mając tak czujną ochronę.

Wyjął z torby plik bardzo białych papierów, szmatkę irchową i małą szarą koperkę zawierającą półkaratowy kanarkowy diamencik najwyższej cenionego koloru. Przetarł obydwie kamienie irchą, następnie zaś ułożył na białym papierze tak, by soczyste światło odbiło się od jego powierzchni i wniknęło do wnętrza klejnotów.

Odcień mniejszego brylantu był idealny. Z torby Harry wyjął buteleczkę cieczy przygotowanej jeszcze w Nowym Jorku. Miała gęstość dokładnie taką samą jak półkaratowy kanarek. Przelał nieco roztworu do szklanego naczynia, potem zanurzył w nim mały diament. Kamień zniknął, płyn bowiem i kamień miały taki sam współczynnik załamania światła, jego promienie zatem nie załamywały się, lecz w prostej linii przebijały zarówno substancję stałą, jak i ciecz.

Umieszczony w niej Diament Inkwizycji nie zniknął bez reszty: dało się dostrzec w jego wnętrzu mikroskopijne bąbelki i lekkie zmętnienie, skaza jednak stałaby się widoczna jak latarnia rozświetlająca bezksiężycową noc. Nie ulegało wątpliwości, że ten diament jest bez skazy.

„Powinienem ci być powiedzieć”, usłyszał Harry głos ojca.

— Cholera, tato! — Harry pozwolił sobie na gniew pod adresem człowieka, którego opłakiwał. — Co powinieneś być mi powiedzieć?

Wyjął z płynu i osuszył oba diamenty, przygotował instrumenty, żeby dokonać pomiarów. Diament Inkwizycji przetaczał się w jego dłoni jak masywny orzech gorejący rozproszonym światłem.

Dotknął gruszkowatego kształtu.

Stworzył go jeden z jego przodków!

W podstawie kamienia były wycięte z niezwykłą precyzją maleńkie bruzdy. Wycięte, powiedział sobie Harry, przez innego z jego przodków, człowieka, który osadził klejnot w Tiarze Grzegorza.

Rozdział 19

ODLEWNIA ARMAT

Podczas każdej wizyty w Pałacu Dożów Izaak Hadas Vitallo podawał swoje pełne nazwisko i za każdym razem był anonsowany jako żydowski jubiler z Treviso. Zapachy tego miejsca — stęchlizna wilgotnych murów i odór ciał niedoskonale zamaskowany przesadną mocą pachnideł i aurą potęgi — opływały go jak przemożna, przyprawiająca o mdłości fala.

Doża wysłuchał go z ciepłym uśmiechem i zimnym spojrzeniem.

— Wykorzystujesz naszą dobroć — powiedział tonem łagodnej przygany. — Dzięki naszej miłości nie musisz nosić żółtego kapelusza, twoja rodzina nie jest zamknięta w Ghetcie, lecz mieszka, jak przyzwoitym chrześcijanom przystało, w pięknym domu. Ale to dla ciebie za mało, nieustannie nachodzisz nas w sprawie jakichś zmarłych Żydów.

— Kondukty pogrzebowe są stale napadane pomiędzy Ghettem a naszym cmentarzem w Lido, wasza miłość — zaprotestował Izaak. — Nie możemy nawet chować naszych zmarłych pod osłoną mroku, wedle prawa bowiem bramy Ghetta zamykają się o zmierzchu i nie mogą być otwierane, zanim z kampanilii na placu San Marco nie rozlegną się poranne dzwony. Potrzebujemy ochrony waszych żołnierzy, wielmożny panie.

— Nic prostsze — odparł doża. — Zwracajcie się do mnie, ilekroć umrze ktoś z waszych.

— Nie chcielibyśmy zbyt często niepokoić waszej miłości — powiedział Izaak, zdając sobie sprawę równie dobrze jak doża, iż każda taka interwencja wiązałaby się z wysokim kubanem. — Czy nie lepiej byłoby wydać rozkaz, by każdy żydowski pogrzeb odbywał się pod osłoną wojska, wasza miłość?

— Hmmm. — Doża popatrzył nań przeciągle. — Słyszałem, iż pierścień z cyrkonem chroni przed zarazą i gorączką. Słyszałeś o tym, jubilerze?

Izaak z trudem powstrzymał westchnienie ulgi.

— Słyszałem. I wiem, gdzie można zdobyć piękny cyrkon. Oprawię go, panie, w pierścień dla was.

— Jeśli taka twa wola — odrzekł doża obojętnie. — Tak czy inaczej, okazać się może, że nie będziesz musiał zawracać sobie głowy pogrzebami w Lido, bo ważność *condotte* wyczerpuje się z końcem roku.

— Wasza miłość?... — *Condotte* była kartą praw Żydów weneckich, a zarazem zezwoleniem na życie w republice. Od kilku stuleci wielokrotnie ją potwierdzano, zwykle po demonstrowanym przez władze wahaniu i przeważającej szale pokaźnej łapówce. — Zapewne nie będzie większych problemów z jej przedłużeniem?

— Kościół kanonizował Szymona z Trydentu.

Izaak tępo zagapił się na dostojnika.

— Przy grobie działały się cuda, niemi, ślepi i sparaliżowani odzyskiwali zdrowie, życie wracało do martwych ciał. Dziecię jest obecnie świętym Szymonem.

Przeszło sto lat temu zapiekłe antysemitki kaznodzieja wygłosił w Trydencie, przy granicy niemieckiej na północ od Wenecji, wielkopostną homilię, w której oznajmił swym wieśniaczym słuchaczom, iż Żydzi praktykują mordy rytualne, a następnie ostrzegł, by w czasie poprzedzającym święto Paschy szczególnie uważali na swe dziatki.

W Wielki Czwartek zniknęło dwudziestoośmiomiesięczne dziecko imieniem Szymon. Przeszukano domy, bez rezultatu jednak; dopiero w poniedziałek po Wielkiejnocy jacyś srodze przerażeni Żydzi znaleźli unoszone falami rzeki maleńkie zwłoki. Wiele osób, mężczyzn, kobiety i dzieci, poddano torturom tak skutecznym, że sporo z nich wyrzeszczało przyznanie, iż chłopca zabito po to, aby jego krew wykorzystać podczas obchodów Paschy. Przywódcy społeczności żydowskiej zostali zawleczeni przed miejscowy kościół, ochrzczeni i zarżnięci, fala terroru zaś zalała Europę. Jeszcze pięć lat po incydencie w Portobuffole, wiosce sąsiadującej z miejscowością Izaaka, oskarżono o mord rytualny i spalono na stosie trzech Żydów.

— Musisz zrozumieć Senat — powiedział tonem perswazji doża. — Nawet bez tej kanonizacji dla wielu pobożnych ludzi widok Żyda jest zniewagą.

Krocząc przez *Fondamenta delia Pescaria*, stary targ rybny rozciągnięty wzdłuż *Rio Cannaregio*, Izaak spoglądał na pokrzywione dachy otoczonego murami kwartału. Nie posiadał się ze zdumienia, że ludzie wychodzą ze skóry, aby nadal wieść ży-

wot więźniów na tej malarycznej wysepce otoczonej zewsząd przez kanały. Kiedyś była bagnistą siedzibą *ghetto nuovo*, nowej odlewni armat, która już na zawsze dała jej miano. Gdy postanowiono osadzić tam Żydów, właściciele wysepki — nie-Żydzi, którym rychło odebrano to prawo — wzniesli gęstwą rozchwierutanych budowli, żądając za ich wynajem czynszów o jedną trzecią wyższych niż w dzielnicach zamieszkiwanych przez chrześcijan. Kwartał rychło okazał się za mały, zawłaszczył więc tereny *ghetto vecchio*, starej odlewni, potem wszakże pozostała mu tylko jedna droga: piąć się w górę. Przyrastała więc drewniana kondygnacja za kondygnacją, aż na całej wyspie wypiętrzyły się pod niebo łątwo palne stosy kołysane każdym silniejszym podmuchem zimowego wiatru. Na wąskich krętych uliczkach i w jeszcze węższych zaułkach było najwyżej pół tuzina studzien zaopatrujących w wodę pitną tysiąc dwustu mieszkańców.

Izaak podszedł do niewielkiego mostku przy wejściu do Ghetta i skinął głową odźwiernemu. Odźwiernych było w sumie czterech, bez wyjątku chrześcijan; mieli za zadanie pilnować, by żaden mieszkaniec Ghetta nie wyszedł nocą na zewnątrz, by każdy nosił żółty kapelusz, żydowski znak hańby, by Żydzi nie zadawali się z chrześcijańskimi kobietami i by pożyczali pieniądze najwyżej na zaakceptowany przez władze procent.

Dotarł do synagogi i siadł w sieni, czekając, aż szamasz wypełni jego zlecenie. Gdy w szul pojawili się i zajęli miejsca przywódcy społeczności, Izaak poczuł na sobie niechętnie spojrzenia kilku z nich: tylko jemu i osobistemu lekarzowi doży wolno było mieszkać poza Ghettem. Ale miał czyste sumienie — mimo swych przywilejów zawsze pracował dla dobra współziomków. Pochylił się teraz i powiedział:

— Mamy poważne kłopoty.

W drodze powrotnej do Treviso wierzchowiec kłusował z figlarnym ożywieniem, jak gdyby wyczuwał przepelniające jego pana poczucie ulgi. Miasto Izaak ominął z przyzwyczajenia: jego grunta rozciągały się dość daleko za Treviso, kiepskie kamieniste grunta stanowiące część sięgającej podnóża Alp Niziny Weneckiej. Deszcze przenikały bez trudu przez warstwę kredowej gleby i spływały do morza, tak że latem rodzina Izaaka musiała bez przerwy je nawadniać. Dzierżawili ziemię od doży, przekonanego, iż nie da się na niej niczego uprawiać.

Eliasz był w winnicy — orał. Obrabiali ziemię przez całą łagodną zimę, usiłując ją zmusić, by zachowała chociaż krztynę wilgoci. Wiosną krzewy winorośli wypuszczały zielone macki, czerpiąc mineralną strawę z cienkiej warstwy gleby pełnej pan-

cerzy pradawnych skorupiaków, kości zwierzęcych, szczątków rzymskich metali i chitynowych pancerzyków niezliczonych pokoleń owadów. I jakimś cudem z nadzieją jesieni dojrzewały ciężkie kiście ogromnych winogron, przyprószone drobniutkim granatowym pyłem, brzemienne słodkim aromatycznym sokiem. Jedyłą krwią, pomyślał z przygnębieniem Izaak, jakiej pragnęli czy potrzebowali do świętowania Paschy.

Eliasz pomachał ręką na widok ojca, potem zatrzymał woły. Nie był skłonny do śmiechu, z tym większą przykrością więc Izaak zdmuchnął radość z jego twarzy zimnym wiatrem złych nowin.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparł Eliasz ku jego bezgranicznemu zaskoczeniu. — Chcę jechać tam, gdzie będziemy mogli mieć ziemię na własność.

— Nie ma takiego miejsca. Tu jest nam lepiej niż gdziekolwiek indziej. Tu jestem jubilerem doży.

— Masz jakieś pieniądze?

— Do czego zmierzasz?

— Musi być jakieś państwo, jakiś kraj...

— Nie ma. A gdyby nawet było? Co z innymi? Co z ludźmi z Ghetta? Większość ma niewiele lub nic.

Chłopiec jednak nie dawał za wygraną.

— Moglibyśmy się udać na wschód.

— Byłem tam. Życie pod Turkami to w tej chwili piekło.

— Dalej na wschód.

Izaak zmarszczył czoło. Eliasz marzył od dziecka o tym, aby podążyć szlakiem Marca Pola, lecz przecież był teraz prawie mężczyzną.

— Bracia Polo dotarli do Katalaju trzysta lat temu, nie wczoraj — mruknął. — Europejczycy, obojętne: żydzi czy chrześcijanie, nie żyją tam długo. Będziesz musiał poprzestać na tym, co mamy. — Zmienił temat. — Właśnie, czy mamy może cyrkon?

Eliasz odwrócił wzrok.

— Nie wiem.

— Masz obowiązek wiedzieć — powiedział surowo Izaak. — Grzebanie się w ziemi to rozrywka, przyjemność, klejnoty zaś są naszym zawodem. Potrzebuję cyrkonu dla doży. Sprawdź, czy go mamy, i powiadom mnie bezzwłocznie.

Jadąc do domu przed zaprzęgiem wołów, żałował swych ostrych słów. Jakżeby pragnął przytulić chłopca, wyznać mu ojcowską miłość... Życie Eliasza nie było łatwe, wkrótce bowiem po jego narodzinach Izaak wypuścił się w pierwszą długą wyprawę po diamenty. Przemierzył cały Lewant, był w Konstantynopolu, Damaszku, Kairze, Jerozolimie — kupił klejnoty niezwyklej urody, klejnoty, które pozwoliły mu wymknąć się z więzienia Odlewni Armat, lecz zarazem sprawiły, iż pozostawał z dala od domu przez cztery długie lata. Kiedy wreszcie wrócił, jego dziewczęca żona była dorosłą nieznajomą kobietą, a synek przez wiele tygodni zanosił się krzykiem na widok ojca. Potem odbył jeszcze dwie wyprawy, żadna wszakże nie trwała dłużej niż półtora roku. Przyszli na świat następni synowie i córki: Fioretta, Falcone, Meszulam, Leone i najmłodsza Haja-Rachela — różniący się wiekiem tak nieznacznie, że chociaż brakowało im ojca, mieli siebie wzajem. Jedynym, który chował się samotnie, był pierworodny Eliasz. Miał tylko swoje woły, jałową wydzierżawioną ziemię i niemądre marzenia.

Czy naprawdę niemądre?

W środku nocy Izaak z całą wyrazistością uświadomił sobie, że niezależnie od jego opinii na temat pomysłów syna, Żydów skazywano na wygnanie.

Cicho wstał z łóżka, by nie obudzić śpiącej żony. Noc była bezksiężycowa. I dobrze, w przeciwnym razie nie podjąłby ryzyka, że ktokolwiek zobaczy, jak Żyd z Treviso kopie w pobliżu chlewu. Woreczek z koziego pęcherza był tam, gdzie go ukrył. Zawierał wielki żółty kamień kupiony podczas trzeciej wyprawy, skumulowane oszczędności kilku pokoleń jubilerów noszących nazwisko Vitallo. Fortunę skromniejszą niż dobytek osób prawdziwie zamożnych nawet wśród Żydów, a przecież reprezentującą bogactwo ponad wyobrażenia wszystkich jego bliźnich i przodków. Nabył kamień tanio, w kraju bowiem i czasie, gdy obowiązujące ceny nie miały się nijak do rzeczywistej jego wartości, mimo to owa niska cena pochłonęła całe jego zasoby finansowe. Teraz mógł wszakże, gdyby zaszła potrzeba, umknąć z całym swoim majątkiem... Mógł również, za sprawą jednej pospolitej kradzieży, zostać żebrakiem. Nic dziwnego zatem, że od czasu do czasu sprawdzał swój skarb.

Czy diament kupi im bezpieczne życie, jeśli będą musieli opuścić Wenecję?

Po wygnaniu z Hiszpanii osiemset tysięcy Żydów nie miało się gdzie podziac. Niektórzy dotarli na wybrzeża Afryki, gdzie Arabowie gwałcili kobiety i w poszukiwaniu ukrytych kosztowności wypruwali flaki mężczyznom. Inni trafili do Portugalii, gdzie za cenę całego dobytku i przymusowego chrztu zyskali prawo do istnienia. Tysiące trafiły do niewoli, tysiące popełniły samobójstwo. W geneueńskim porcie nie pozwolono przycumować kilku flotyllom wiozącym umierających z głodu wygnańców. Żydzi, zarówno bogaci, jak i biedni, marli niczym muchy, a ich rozkładające się zwłoki dały początek zarazie, która pozbawiła życia dwadzieścia tysięcy Genueńczyków.

Izaak zadygotał. Na powrót umieścił diament w sakiewce, zakopał go i zatarł wszelkie ślady.

Wielu modliło się zapamiętane. Inni pościli, jak gdyby swoim wyrzeczeniem pragnęli zaszantażować Boga. Doświadczenia Izaaka podpowiadały mu, że nie ma sensu wysłuchiwać pokutników, którzy oplakują swój nędzny los. Spotkał się z kilkoma opanowanymi mężczyznami, świadomymi niebezpieczeństw.

— Sądysz, że tym razem mówią poważnie? — zapytał rabin Rafael Nahmia.

Izaak przytaknął.

— Podzielam twoje zdanie — rzekł Judasz ben Dawid, osobisty lekarz doży.

— Mówili takie rzeczy już przedtem — zauważył rabin.

— Nigdy jednak po kanonizacji Szymona z Trydentu — odparł Izaak. — Nigdy w ich roku pańskim 1588.

Największe nadzieje wiązali z bankami.

Żydzi mieszkali w miastach-państwach od czasów rzymskich, kiedy to nie poddawano ich jeszcze żadnym restrykcjom. Uprawiali ziemię, byli robotnikami, kupcami i rzemieślnikami. Kiedy jednak miasta-państwa przeobraziły się w wielkie ośrodki, chrześcijanie zaczęli zwalczać konkurencję przedsiębiorczych niewiernych, cechy zaś przybrały kształt stowarzyszeń o na poły religijnym charakterze. Stopniowo Żydzi byli eliminowani, zmuszani do wykonywania zawodów tak brudnych i poniżających, że nikt inny nie chciał się nimi parać, bądź tak ulotnych i wyspecjalizowanych — jak chociażby medycyna i jubilerstwo — że nikt inny nie mógł ich zastąpić.

A działo się to w czasach, gdy Kościół katolicki uświadomił sobie, jak bolesnym problemem jest lichwa tocząca jego łono. Zabroniona przez Kościół, lecz praktykowana przez duchowieństwo, szlachtę i kupców, rozwinęła się na niewyobrażalną skalę, odsetki zaś były niebosiężne, dochodziły do sześćdziesięciu procent. Wieśniacy pożyczali po kiepskich zbiorach, mieszczenie w razie choroby lub konieczności sfinansowania wesela. Kościół, potępiając pożyczanie dla zysku, skłonny był jednak akceptować zarabianie na kredytach, zdawał sobie bowiem sprawę, jak ważne są owe kredyty dla przetrwania najbiedniejszych.

Większość Żydów, którym w owych czasach zabroniono uczestniczenia w głównych nurtach wymiany handlowej, kontentowała się pozycją właścicieli lombardów czy śmieciarzy. Kościół zachęcił kilka żydowskich rodów o dobrych tradycjach kupieckich, by zajęły się bankierstwem, ponieważ taki układ miał same plusy: chrześcijańscy lichwiarze nie spłoną w piekle, nad żydowskimi zaś — których swobody były minimalne — łatwo będzie zapanować. Miasta zgarniały znaczny podatek od beneficjentów przywileju, Kościół zaś mógł liczyć na niemałą gratyfikację, ilekroć dochodziło do kolejnego potwierdzenia condotte.

Zrazu ustalone na cztery od sta, oprocentowanie pożyczek podniesiono do dziesięciu przy poręczeniu majątkowym, do dwunastu zaś bez niego, kiedy tylko stało się jasne, że uwzględniając wszelkie koszty jawne i ukryte, banki nie zdołają się utrzymać. Zresztą nawet owe dwanaście procent było w kategoriach gospodarki weneckiej oprocentowaniem uczciwym. Niemniej wszyscy klienci rychło zapomnieli o dawniejszych sześćdziesięciu procentach, jednocząc się w nienawiści wobec żydowskich lichwiarzy, i wspólnym wysiłkiem zdołali doprowadzić do tego, iż zmniejszono oprocentowanie do pięciu od sta. Coś, co ongiś przedstawiono wybranym rodom jako przywilej, stało się brzemieniem nie do zniesienia, skoro wszakże trzy weneckie banki sprawiały, że tolerowano obecność Żydów w mieście, społeczność Ghetta traktowała wspieranie owych banków jako szczególny obowiązek podatkowy i corocznie zbierała pięćdziesiąt tysięcy dukatów, aby pokryć ukryte odsetki obrastające trzydukatowe pożyczki dla chrześcijańskich biedaków.

— Czy są skłonni obyć się bez banków? — zapytał rabin.

— Ich nienawiść wobec nas jest większa niż umiłowanie naszych pożyczek — odparł Izaak.

Opodal modlitewna gorączka sięgnęła nowych diapazonów.

— Potrzebujemy cudu — oświadczył z goryczą rabin. — Cudu równego tym, do jakich doszło przy grobie świętego Szymona z Trydentu.

Nazajutrz Izaaka wezwano do Pałacu Dożów.

— Potrzebujemy twojej usługi, Vitallo — powiedział doża.

— Wasza miłość?...

— W zbiorach Watykanu znajduje się żółty diament. Ogromny, prawdziwie wielki. Zwany Okiem Aleksandra od papieża Aleksandra VI, ojca Borgiów.

Izaak skinął głową.

— Jeden z największych. Znam go, rzecz jasna. Został oszlifowany przez mojego przodka.

— Watykan życzy sobie, żeby dla papieża Grzegorza sporządzono tiarę, w której zostanie osadzony ów klejnot. Kunszt mojego jubilera jest powszechnie znany — stwierdził doża z dumą — dlatego poproszono mnie, abym tobie przydzielił tę pracę.

— To niezwykle zaszczyt, wasza miłość, nie posiadam się jednak z rozpaczy...

— Dlaczego?

— Żydom nakazano się wynieść.

— Ależ ty możesz zostać i wykonać pracę.

— Nie mogę.

— Zostaniesz. Rozkazuję ci, byś został.

— Pozostając, wasza miłość, skazałbym siebie i moją rodzinę na los umarłych pomiędzy żywymi. — Zwarł się z dożą spojrzeniem. — Inne postaci śmierci są dla nas błahostką.

Doża podszedł do okna i z zadumą popatrzył na morze.

Mijały chwile. Izaak czekał, wiedząc, że nie został odprawiony. Patrzył na jedwabną czapkę doży i dalej, na niezliczone świetlne punkty roztańczone na powierzchni morza. Ile kryje się tam karatów? Jakimże niedoścignionym mistrzem w szlifowaniu faset jest Bóg! Jakże nieudolnie może jego kunszt naśladować człowiek!...

Doża odwrócił się wreszcie.

— Być może zdołam pomóc twoim Żydom. Nie brak w Senacie takich, co żałują zamknięcia banków. Na innych może zdołam wywrzeć wpływ.

— Wasza miłość, nasza wdzięczność...

Dostojnik uniósł rękę.

— Zrozum mnie właściwie, Vitallo. Twoja wdzięczność obchodzi mnie tyle co świńskie szczyny, liczę natomiast na wdzięczność Watykanu za to, że zapewniłem odpowiedniego wykonawcę — rzekł i odprawił Izaaka nonszalanckim gestem.

Izaak pospieszył do Ghetta. Wprost do synagogi, gdzie odnalazł rabina Nahmię.

— Mamy nasz cud — oznajmił triumfalnie.

W poszukiwaniu złotnika Izaak zawędrował aż do Neapolu. Salomon da Lodi był niezwykle utalentowanym Żydem, który praktykował u Benvenuto Celliniego w ostatnich latach życia mistrza. Cellini wybrał go pomny własnego czeladnikowania u Graziadia, również Żyda, i sądzono powszechnie, iż jego właśnie postanowił uczynić spadkobiercą swego kunsztu. Neapolitańczyk okazał się ospałym pijaczną znajdującym na pamięć wypryski na ciele każdej dziwki w promieniu kilku dzielnic, niemniej współpraca z nim układała się Izaakowi gładko i po niedługim czasie zaprojektowali tiarę podobną do tej, jaką nosili żydowscy arcykapłani. Speszyła ich ilość złota niezbędna do realizacji, lecz kiedy nadszedł czas, otrzymali wszelkie materiały bez szemrania. Pragnąc zmniejszyć ciężar nakrycia głowy — z litego kruszcu mogłoby okazać się zbyt masywne — da Lodi wykonał je ze złotej ciągnionej przędzy. Rezultat jego zabiegów, kompozycja nad wyraz subtelna i bogata, zaparł Izaakowi dech w piersiach. Myślał w trwożnym zachwycie, jak niezbadane są ścieżki Boga, skoro jego — Izaaka — strach, ambicję doży i szpetotę Salomona da Lodi zdołał spleść w tak niewiarygodne piękno.

Tiara zyskała najwyższe uznanie doży, który umieścił ją pod strażą i nakazał Izaakowi oprawić kamień w pałacu.

— Mogę to zrobić tylko we własnej pracowni, wasza miłość — rzekł stanowczo Izaak.

— W takim razie twoja pracownia i dom zostaną przeniesione do Ghetta — oświadczył doża.

— Nie potrafię mieszkać w Ghetcie, panie.

— Nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa twojemu domowi w Treviso — odparł doża.

Izaak sądził, że przesadza, wyczuwał jednak przemoc w powietrzu. Z nadejściem Wielkiejnocy ludność ogarnęło ożywienie. Miejscowi kapłani grozili śmiercią tym, którzy zamordowali Chrystusa. Noszono medaliki i szkaplerze z wizerunkiem niewiasty z Trydentu, oplakując jego śmierć tak, jakby nie nastąpiła sto lat temu, lecz za ledwie wczoraj. Żydzi, którzy zapuszczali się poza Ghetto, ściągali na siebie mroczne spojrzenia. Powszechnie głoszono postulat, że powinno się ich nawracać, tak jak w innych miastach-państwach.

Doża wydał obwieszczenie:

„Zostały podjęte środki, aby niechrześcijanie nie skalali powagi największego święta chrześcijańskiego. Bramy Ghetta będą zamknięte, zaryglowane i strzeżone od zachodu słońca w Wielki Czwartek do południa Wielkiej Soboty. W owym czasie wszystkie wychodzące na zewnątrz okna Ghetta mają być zasłonięte, a żaden Żyd, pod groźbą najsroższych kar, nie będzie przez nie wyglądał w czas Wielkiego Tygodnia.”

W budynkach gospodarczych Izaaka zakwaterowali się żołnierze, budząc jego niechęć swoją nieustanną obecnością. Na tydzień przed ich przybyciem wykopał sakkiewkę z diamentem, obawiał się bowiem, że natrafią na nią poszukując rosówek, przynęty do połowu pstrągów w pobliskim strumieniu.

Dzień po tym, jak dostarczono mu tiarę i klejnot zwany Okiem Aleksandra, wezwał do swojej pracowni Eliasza i zamknął drzwi. Wyjął obydwie klejnoty, ułożył je na stole i z uśmiechem popatrzył synowi w oczy.

— Dwa? — powiedział z niedowierzaniem Eliasz.

— Ten jest mój. Pewnego dnia będzie należeć do ciebie, twoich braci i sióstr.

— Ileż ziemi można by za niego kupić! — westchnął Eliasz, dotykając drogiej bryłki. — Są niemal identycznego rozmiaru.

— Ale jeden jest cenniejszy. Który?

Od małości wbijał chłopcu do głowy wiedzę gemmologiczną na równi z Gemarą. Eliasz usiadł teraz na podłodze obok ojca, przyłożył lupę do oka.

— Tamten — powiedział po chwili z bezbrzeżnym rozczarowaniem. — Gdyby nie ciemna skaza w podstawie, byłby idealny. Nigdy nie pokazywałeś mi doskonałego.

— Wiele się nauczyłeś, ale musisz się nauczyć jeszcze więcej. Wszystkiego, co mogę ci przekazać.

Eliasz nic nie odrzekł.

— Od dziś — podjął Izaak łagodnie — mniej czasu będziesz poświęcał uprawie ziemi, a więcej studiowaniu kamieni szlachetnych. Na uprawę roli nie pozostanie ci wiele.

Młodzian zaskoczył Izaaka, kładąc mu dłoń na kolanie.

— Ale ja chcę uprawiać ziemię.

Izaak musnął jego zmierzwioną grzywę.

— Musisz się pierwszej nauczyć korzystać z grzebienia

— powiedział głaszcząc włosy syna. — Oni... oni mają mrowie takich, co uprawiają rolę, ale mało kto zna się na klejnotach. Ta wiedza jest naszą jedyną siłą, naszą jedyną obroną. — Podniósł za brodę twarz Eliasza, pokazując mu watykański diament.

— Został oszlifowany przez naszego krewnego, mistrza Juliusa Vidala.

— Gdzie mieszka?

— Umarł już dawno temu. Trzy pokolenia przed moim przyjściem na świat. — Opowiedział synowi, jak Vidal umknął z Gandawy, kiedy sięgnęły tam macki inkwizycji, jak poszukał schronienia w weneckim Ghetcie. — Nauczył sztuki szlifowania kamieni twojego prapradziada.

— Która z gałęzi naszego rodu pochodzi od niego?

Izaak pokręcił głową.

— Żadna. W mieście zapanowała zaraza i z niepojętych przyczyn tylko Ghetto zostało oszczędzone. Ale zawistnicy zaczęli ciskać przez mur kłęby szmat zarażonych chorobą i w zatłoczonym kwartale umarły setki ludzi, w tym Vidal, jego żona i dzieci.

— Łajdaki!

Otoczył ramieniem syna, w tej chwili szerszego już w barach niż on. Wilgoć na policzku wręcz go zaszokowała.

— Dlaczego nie dadzą nam spokoju? — wykrzyknął Eliasz.

— Dlatego, że coś sobie wmówili. Tak samo jak w kwestii śmierci Jezusa.

— Ależ ja go nie zabiłem!

— Wiem. Ja też nie — rzekł Izaak ochryple.

Tego roku piętnasty dzień miesiąca nisan wypadł wcześniej wedle chrześcijańskiego kalendarza i Pesach o cały miesiąc poprzedził Wielkanoc. W przeddzień święta gospodarstwo było nieskazitelnie czyste, pesachowe naczynia i sztucce zastąpiły te, których używano na co dzień, na kuchennym stole, w oczekiwaniu na zachód słońca i seder, spoczywał przykryty lnianą szmatką przaśny chleb z piekarni w Ghetcie. Z piekarników płynął aromat charośetu i drobiu przyprawionego ziołami. Przez cały dzień Żydzi przychodzili z beczułkami i flaszkami po doskonałe pesachowe wino wyciśnięte przez Vitallów z winogron minionej jesieni.

Była środa popielcowa; strażnicy na zmianę udawali się do kościoła po błogosławieństwo, Izaak i Eliasz zaś, przy wtórze bzyczenia pierwszych tego roku much, opracowywali szczegóły oprawy. Obsadzenie diamentu w tiarze nie miało być proste, Izaak jednak pracował systematycznie i ostrożnie.

Znudzony Eliasz wiercił się i wyglądał przez okno na zielieniejące wzgórze.

— Jeśli winorośl nie zostanie rychło przycięta, może być za późno — powiedział.

— Idź — warknął Izaak.

Chłopak pozostał na tyle długo, by chwycić ostry jak brzytwa zakrzywiony nóż do przycinania krzewów, po czym pobiegł w stronę winnicy.

Po chwili Izaak westchnął i odłożył węgiel. Dzień był zbyt piękny, żeby siedzieć pod dachem: słońce mocno grzało, a wietrzyk przynosił zapach morza. Poszedł na niewielki wzgórek za budynkami, skąd lubił oglądać swoje królestwo. Na podwórku młodsze dzieci pomagały matce handlować winem, strażnicy kosztowali napitek, żona Izaaka zaś nie spuszczała ich z oka, najstarsza bowiem z córek, Fioretta, okazywała już pierwsze oznaki dojrzewania.

Wysoko na niebie przepływały obłoki, cały świat budził się do życia. Izaak przysiadł na lekko wilgotnej ziemi i patrzył, jak jego syn przycina winorośl na dalekim zboczu.

Zza grzbietu wzgórza wypadli dwaj mali chłopcy, kierując się wprost ku winnicy, za nimi gnał starzec. Dlaczego ich ścigał i dlaczego, skoro do sianokosów było jeszcze kilka miesięcy, miał w rękach kosę?

Izaak wyraźnie widział chłopców, dostrzegał nawet smugi popiołu na ich czołach. Podbiegli do Eliasza, zaczęli okładać go pięściami, ale łatwo się obronił i czekał na starca.

Zza wzgórza napływali ludzie w różnym wieku.

— Nie! — wykrzyknął Izaak.

Na podwórku Fioretta upuściła butelkę z winem. Żołnierze chwycili za broń.

Izaak ruszył biegiem.

Widział, jak starzec dopada Eliasza. Błysnęło ostrze kosy, jaśniejsze niż słońce nad morzem. Eliasz nie usiłował bronić się nożem. Kiedy kosa błysnęła ponownie, była rubinowa, była najokropniejszą fasetą, jaką można sobie wyobrazić.

Pochowali Eliasza na cmentarzu w Lido trzeciego dnia święta Pesach. Doża zapewnił strażników, a kilka dni później osobiście zjawił się w gospodarstwie Izaaka.

— Tylko nie mów, że nie zostałeś ostrzeżony, Vitallo.

Izaak patrzył nań bez słowa.

— Niemniej, oczywiście, to przykre wydarzenie... Ten, który zranił cię w ramię, któremu dostało się od strażników... otóż ten człowiek umarł.

Izaak pokiwał głową.

Doża wzruszył ramionami.

— Stary wieśniak. — Sprawiał wrażenie zakłopotanego; przyzwyczajony do widoku popiołu na chrześcijańskich głowach, najwyraźniej popiół na głowie żydowskiej traktował jako przejaw barbarzyństwa. — Czy to opóźni sprawę?

— O trzydzieści dni, wasza miłość.

— Musi to trwać tak długo?

— Musi, wasza miłość.

— Chcę zatem, aby robota została wykonana zaraz po upływie owych trzydziestu dni, rozumiesz?

Ledwie doża wyszedł, Izaak usiadł na podłodze i zaczął się modlić.

Rana w barku była bolesna, ale nie uniemożliwiała posługiwania się ręką. Rankiem trzydziestego dnia Izaak zdjął pożyczone odzienie, przystrzygł brodę, zamknął drzwi pracowni i położył tiarę na stole. Potem długo siedział z ręką wspartą o puste krzesło i spozierał przez okno na wzgórze.

Wreszcie wydobył diament i obsadził go w tiarze papieża Grzegorza.

Dwa dni później Vitallowie opuścili dom. Nie mogli zabrać całego dobytku zgromadzonego przez lata życia w Treviso. Przejechali wozem obok winnicy, w której pracowali już chłopci doży.

Nowy kapelusz był najpiękniejszym, jaki udało się Izaakowi zdobyć. Miał — być może złudne — wrażenie, że kiedy koń, wóz, jego żona, Fioretta, Falcone, Meszulam, Leone, mała Haja-Rachela i on pokonywali most i bramę wiodącą do Ghetta, rozplynęli się nagle w powietrzu, a odźwierny widział jedynie żółtą barwę owego kapelusza.

Część czwarta

Odnalezienie

Rozdział 20

GEMATRIA

— Dwa miliony trzysta? — Irytacja w głosie Saula Netschera była doskonale słyszalna mimo fatalnej jakości połączenia.

— Nasz przyjaciel prawdopodobnie wcale nie sprzeda, nawet gdybyśmy mogli zapłacić taką cenę. Przypuszczam, że pragnie osiągnąć coś jeszcze: może ułaskawienie od władz egipskich, może stanowisko w tamtejszym rządzie.

— Wiesz o tym czy się domyślasz?

— Na jego miejscu tak właśnie bym sobie kombinował.

— Ale on nie jest tobą, Harry. Nie dawaj za wygraną. Zaproponuj mu wszystko w granicach rozsądku. Na przykład stanowisko burmistrza Nowego Jorku.

Harry się uśmiechnął.

— Chyba nie zechce. Jest bardzo inteligentnym człowiekiem — odparł. — Masz tam gdzieś mojego syna?

Oddalony o sześć tysięcy mil Netscher westchnął.

— Nie rozłączaj się.

— Cześć, tato.

— Jeff, jak się miewasz, chłopie?

— Praca jest zdecydowanie lepsza niż obóz.

— Jak cię traktuje Saul?

— Dobrze. — W głosie Jeffa dała się wychwycić powściągliwość. — Ale miałeś rację.

— Kiedy mówiłem, że cię zaharuje na śmierć?

— Taa...

Obaj parsknęli śmiechem.

— Cóż, wygląda na to, że wszystko w porządku. Tylko pamiętaj: diamenty przemysłowe i klejnoty to dwie zupełnie różne działki.

— Kiedy wrócisz?

Zawahał się.

— Niedługo. — Tamar nie spuszczała zeń oka. — Pozdrów ode mnie mamę, synu.

— Dobra, tato. Cześć.

— I zachowuj się grzecznie, Jeff.

Harry i Tamar spoglądali na siebie. W Nowym Jorku dochodziła jedenasta, tu nie było jeszcze nawet czwartej nad ranem. Przywieziono ich do Jerozolimy w ciemnościach, sennych i przygnębionych.

— Kiedy z nim rozmawiałeś, zmieniła ci się twarz. I pocie-
plął głos.

Mruknął; ta diagnoza wprawiała go w zakłopotanie.

— Sądziś, że zdołałbyś odnaleźć dom Mehdiego? — zagadnęła.

Prześwidrował ją wrokiem.

— Dlaczego pytasz?

— Tak sobie.

— Nawet gdyby twoi kumple zdołali zwinąć kamień, nie pomógłbym im. Nie jestem paserem.

— Wypad na Entebe nie był wyprawą łupieżczą, chodziło o ocalenie Żydów. Po prostu przyszło mi na myśl, że choćbym chciała, nie potrafię odnaleźć tego domu.

— Ja też nie. — Przynajmniej z drogi. Mógłby odnaleźć go z plaży, ale już wtedy, gdy zezwolono mu na jogging, zrozumiał, iż Mehdi opuści willę natychmiast po ich wyjeździe.

— Rozmawiałam z tą arabską dziewczyną, kiedy cię nie było.

— Ooo...

— Powiedziała, że ją przepędziłeś.

— Ile ma lat?

— Piętnaście.

— Nie wygląda na tyle.

Tamar przybliżyła się do niego.

— Jesteś miłym człowiekiem.

— Bo nie pieprzę dzieci?

— Bo jesteś miłym człowiekiem.

— Dziękuję — odparł. Sprawiała mu przyjemność.

— Niedługo wrócisz do Stanów.

— Za kilka dni. Kiedy zyskam pewność, że z transakcji nici.

Ujęła w dłonie jego twarz.

— A ja przestanę pracować dla Zeewa. Bądźmy dla siebie dobrzy, Harry Hope-manie, i kiedy przyjdzie czas twojego wyjazdu, pożegnajmy się jak para dobrych przyjaciół.

Popatrzył na nią z namysłem.

— Tak — powiedział.

Pocałowała go, on zaś rozebrał i zaniósł do łóżka swoją dobrą przyjaciółkę.

Nazajutrz, ubrana w szorty i starą bluzę, poszła z nim pobiegać. Bluza miała odprute rękawy, na plecach zaś hebrajski napis, który Harry przetłumaczył z wielką uciechą: „Ministerstwo Wychowania Fizycznego”. Nie powiedziała mu, skąd ma tę bluzę. Dopisywała jej kondycja, biegła lekko i z radością, błyskając w częstych uśmiechach białymi zębami. Harry z największym trudem koncentrował się na biegu, bo Tamar przyciągała jego spojrzenie jak magnes. Poruszało się w niej wszystko — rozwiane czarne włosy, ciężkie piersi, które przy każdym kroku podnosiły się i opadały jak fale, długie nogi wybijające rytm na chodnikach. Lawirowali w tłumie, mijali popiskujące dzieciaki, obruszonych starych Żydów, pełnych niedowierzania Arabów,

rozbawionych sklepikarzy, wytrzeszczające oczy uliczne prostytutki, a wreszcie dzieciątki najrozmaitszych duchownych, którzy nie znali nawet zwykłych kobiet, a co dopiero mówić o kimś tak fantastycznym jak Tamar Strauss.

W końcu natrafili na malutki park i runęli na ziemię w cieniu wysokich kaktusów.

Tamar wytarła przedramieniem pot z twarzy.

— Posłuchaj — zaczęła. — Sama zaproponowałam wczoraj, żeby było sympatycznie i żebyśmy się nie kłócili, ale coś ci jednak muszę powiedzieć.

Harry wyciągnął się na trawie i zamknął oczy.

— Yhm?...

— Nie jestem dziwką.

Otworzył oczy.

— A kto mówi, że jesteś?

— Ty powiedziałaś tej nocy, kiedy tak się na ciebie rozzłościłam.

— Ależ jesteś w błędzie.

Oparła podbródek na dłoni.

— Ale w jednym miałaś słusność: odkąd straciłam męża, nie dopuszczałam do siebie... bałam się uczuć. Chyba muszę temu stawić czoło. I w końcu coś z tym zrobić.

— Cieszę się.

— Tyle że jestem dwudziestosześcioletnią wdową, czy spodziewasz się więc, że będę żyć jak dziewczica?

— Boże broń.

— Mówię serio. Każdy Amerykanin ma obsesję na punkcie seksu, a zarazem pragnie w skrytości ducha, żeby jego wybranka była dziewczicą.

Obronnym gestem podniósł rękę.

— Powiedziałem tylko...

— Powiedziałaś, że prawdopodobnie w moim życiu było zbyt wielu mężczyzn. W twoich ustach to mogło znaczyć tylko jedno.

— Cholera, wszyscy stajemy się automatami do uprawiania miłości. W naszej namiętności nie ma już namiętności, a miłość zupełnie nie wchodzi w grę. Tylko mnóstwo mechanicznego spółkowania.

— Chyba masz rację — odparła z opanowaniem. — Ale... — piwne oczy wbiły się w jego oczy — ...skąd wiesz, że w moim życiu było więcej mężczyzn niż w twoim kobiet?

Patrzył na nią w milczeniu.

— Przemyśl to sobie — powiedziała.

Rozstali się, bo Tamar poszła do domu po jakieś swoje rzeczy. Kiedy Harry wrócił do hotelu, czekały nań wiadomości: dwukrotnie dzwonił David Leslau, nie zostawił numeru, lecz miał zadzwonić jeszcze raz. Z Rzymu telefonował monsignore Peter Harrington.

Harry oddzwonił natychmiast, kiedy jednak uzyskał połączenie z Muzeum Watykańskim, poinformowano go, że monsignora Harringtona nie będzie przez całe popołudnie.

Wyjął granat i polerował go przez prawie dwie godziny; kamień zaczynał lśnić jak wielka kropla ciemnej krwi. Telefon zadzwonił akurat w chwili, gdy Harry rozważał, czy podarować Tamar granat nie oprawiony czy też osadzony w broszce.

Telefonował Leslau.

— Jakie wieści, Davidzie?

— Dobre i złe.

— Odnalazłeś genizę?

— To właśnie złe wieści.

— Cholera... A dobre?

— Rachela dostała get, jest rozwódką. Weźmiemy ślub, kiedy tylko rozwód się uprawomocni, a więc za jakieś trzy miesiące.

— Niech mnie diabli, jeśli to nie naprawdę dobre wieści. Mazel tow.

— Dzięki. Zjesz z nami kolację? Musimy to uczcić.

— Przeprowadzę ze sobą kobietę — powiedział Harry.

Ortodoksyjność Racheli Silitsky przetrwała próbę jej problemów osobistych: poszli do koszernej restauracji, gdzie na szynkwasio, za którym przygotowywano potrawy, stały słoje żółtych niedojrzałych jaj.

Rychło cała czwórka gawędziła ze sobą jak starzy przyjaciele.

Leslau przyjął wieści o nieudanej transakcji diamentowej z filozoficznym spokojem.

— Wykopaliska też zakończyły się fiaskiem — powiedział. — Nie znaleźliśmy nawet śladu tego, czego szukamy.

— A może tam po prostu niczego nie ma? — zasugerowała Rachel.

Leslau przykrył jej dłoń swoją.

— Jest, najdroższa, nieomal to czuję. Ukryte dawno temu, tak dobrze ukryte przez tych szczerwanych mamzerów, że po prostu nie potrafimy tego znaleźć.

— Może przegapiamy coś w zwoju — rzekł Harry. — Jakiś klucz otwierający wszystkie zagadki. Tyle tam liczb: miar, zestawień obiektów. Czy można wykluczyć, że bawili się gematrią?

— Cóż to takiego? — spytała Tamar.

— Starożytna metoda żydowskiej kryptografii — wyjaśnił Harry. — Każda litera alfabetu otrzymuje wartość numeryczną: alef to jeden, bet dwa, gimel trzy i tak dalej. Większym wartościom odpowiadają kombinacje liter. Mędracy wymyślili gematrię, aby dokonywać mistycznych interpretacji tekstów biblijnych i za jej pomocą robili naprawdę zdumiewająco złożone rzeczy. W jesziwie nieustannie przeprowadzaliśmy proste ćwiczenia. Weźmy na przykład twoje imię — powiedział do Tamar. — Wartość numeryczna jego liter wynosi 640. Moglibyśmy teraz sięgnąć do sześćset czterdziestego wersetu Biblii, żeby sprawdzić, czy niesie dla ciebie jakieś szczególne przesłanie.

Wyraz jej twarzy wszystkich rozbawił.

— Podam ci lepszy przykład. Otóż Księga Rodzaju ma dokładnie 1534 wersety, co zapamiętywaliśmy w jesziwie dzięki zdaniu Ach lad, ponieważ wartość nume-

ryczna liter tego zdania wynosi 1534. Albo weźmy hebrajskie słowo herajon, ciąża. Jego wartość numeryczna to 270. Ciąża trwa dziewięć miesięcy, a miesiąc astronomiczny to trzydzieści dni, prawda? A zatem trzydzieści razy dziewięć daje nam herajon, ciążę.

— W Miedzianym Zwoju nie ma żadnej gematrii — burknął Leslau. — Zaczęto ją wykorzystywać dopiero w czasach kabalistów, setki lat po tym, jak ukryto skarby świątynne.

— Czasem aby ujawnić fałszerstwo sztuki, przeprowadza się aż nadto skomplikowane testy — zauważyła Tamar. — Czy przypadkiem nie postępujecie w taki właśnie sposób? Czy odpowiedź nie może być zupełnie prosta?

— To byli mądrzy, wyjątkowo sprytni ludzie — stwierdził Harry. — Spójrzcie tylko, jak przemyślnie ukryli skarby w dolinie Akor: żółty diament płytko, na przynętę, obiekty sakralne zaś znacznie głębiej. Może tym razem wskazówki należy czytać na odwrót. Wedle zwoju geniza jest u podnóża mniejszego z dwóch pagórków, co jednak, jeśli znajduje się pod większym?

— I tam próbowaliśmy kopać. Bez rezultatu — powiedział Leslau. — Czasem wychodzę ze swego namiotu na pustynię i mówię do tych facetów, którzy ukryli skarby: „O co wam, do cholery, chodzi? Wiem, żeście się postarali, ale po co te zmyłki? Nie chcecie, żebyśmy odnaleźli te przedmioty?”

Nikt się nie uśmiechnął.

— Czy to uroczystość zaręczynowa — zapytał Harry — czy pogrzeb?

Oblicze Leslaura rozjaśniło się nagle.

— To uroczystość zaręczynowa, bez dwóch zdań.

Pocałował Rachelę w policzek.

Harry odsunął krzesło.

— No to weselmy się.

Telefon dzwonił, kiedy Harry przekręcał klucz w drzwiach, umilkł jednak, zanim zdołał je otworzyć.

Obydwoje jak na komendę zrzucili buty.

— Ach — westchnęła Tamar.

Poszli do klubu nocnego. Fala retro dotarła do Izraela pod postacią mody na stare klezmerskie kawałki; wyśpiewywali je chóralnie, przeplatając piosenkami żołnierskimi, choć Harry sądził, że ich nie pamięta.

— Balanga po byku.

— Po byku — zgodziła się Tamar. — Ta para to uroczy ludzie.

— Mieli szczęście, że się odnaleźli.

— Tak.

Patrzył, jak siada przed lustrem i zaczyna czesać włosy.

— Pragnę cię.

Stłumiła ziewnięcie.

— W porządku — odparła potulnie.

Stanął za nią i popatrzył w odbicie jej oczu.

— Nieustannie.

— Za dużo wypijeś, Harry.

— Nie.

— Przestań. Dzięki temu jutro rano żadne z nas nie będzie zakłopotane.

— Czy pragnęłaś kiedyś czegoś w takim stopniu, że nie wyobrażałaś sobie, aby mogło ci zostać odebrane?

— Tak — powiedziała.

Musnął jej szyję.

— Mnie jednak nie pragniesz w taki sposób.

Pokręciła głową.

— Ale... — wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. — Ale myślałam, że kiedy odepdziesz, w moim życiu będzie o wiele mniej radości. Sprawiliś... że ożyłam.

— Więc dlaczego miałbym od ciebie odchodzić?

— Jakże mogłoby nam wyjść? Tobie i mnie? Jallah! Jesteśmy z różnych światów.

Zadzwonił telefon.

— Harry? — usłyszał głos Petera Harringtona.

Nie chciał przerywać tej rozmowy, żeby gadać z Peterem Harringtonem, lecz Tamar posłała mu buziaka i poszła pod prysznic.

— Witaj, Peter.

— Wciąż tam jesteś, a to oznacza, że mnie pokonałeś, prawda?

— Cholera, nie. To po prostu oznacza, że ty zmarnowałeś mniej czasu niż ja.

— Głupia sprawa, Harry... ależ ze mnie hipokryta, co? Słyszysz, jak skrzętnie usiłuję eliminować ze swego głosu radosne tony?

Harry się uśmiechnął.

— Przestań się mitygować. Nawet duchowni nie są wolni od ludzkich słabostek. Definitywnie wypadłeś z gry?

— W gruncie rzeczy nigdy w nią nie wszedłem.

— Otóż, Peter, odnoszę wrażenie, że ja też nie.

— To nadal skradziony towar, Harry.

— Został skradziony w czasach inkwizycji — odparł Harry z gniewem, mając dość dyskusji.

Peter najwyraźniej też miał dość.

— Skoro nawet ty nie dałeś rady go kupić, to mogę przestać wyrzucać sobie, że nawaliłem. Przyjedź do Rzymu, Harry, oprowadzę cię po nowych restauracjach.

— Spróbuję przyjechać niedługo. Wciąż jestem na czarnej liście kardynała Pesentiego?

— Uspokoił się trochę, ale nadal okazuje zainteresowanie rozwojem wydarzeń w Izraelu.

— Poinformuj jego eminencję, że nie dzieje się nic. Sprawa wygląda parszywie. Przedzwonię, kiedy będę wiedział na pewno.

Peter się zawahał.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Harry.

Było to jak telefoniczne podanie ręki.

— *Ciao*, mój zacny duchowny przyjacielu.

Odłożył słuchawkę, wziął hotelową Biblię i zaczął ją kartkować, odnotowując liczbę wersetów w każdym rozdziale Księgi Rodzaju.

Sześćset czterdziestym okazał się czterdziesty ósmy werset rozdziału dwudziestego czwartego. Bezbrzeżnie Harry'ego rozczarował: „A potem padłem na kolana i oddałem pokłon Panu; i dziękowałem Panu, Bogu pana mego Abrahama, że poprowadził mnie drogą właściwą, abym wziął bratanicę pana mego za żonę dla jego syna”.

Cóż to mogło mieć wspólnego z Tamar?

Werset 650 byłby znacznie bardziej obiecujący: „Zawołali zatem Rebekę i spytali: «Czy chcesz iść z tym człowiekiem?») A ona odpowiedziała: «Chcę iść».”

Ale werset 650 nie był 640, toteż Harry odłożył Biblię z uczuciem, że został oszukany.

Tamar wyszła z łazienki, wycierając się ręcznikiem. Była mokra i śliska, jej usta smakowały zimną wodą i amerykańską pastą do zębów.

— Mogłoby nam wyjść? — zapytała. Jej ciemne jemeńskie oczy płonęły.

Musiał być równie uczciwy jak ona.

— Nie wiem — odrzekł. Wziął ręcznik i zaczął ją wycierać.

— Jednego jestem pewna. — Otoczyła go ramionami. — Harry nie zrobi niczego, co by mnie skrzywdziło.

Rozdział 21

ROSZ HAJIN

Budził się jak dziecko, które w pierwszym momencie nie uświadamia sobie przyczyny swojego doskonałego samopoczucia i dopiero po chwili pojmuje, że przecież wczoraj skończył się rok szkolny.

Zachowywali się naturalnie. Z pozoru wszystko było tak samo jak każdego innego ranka, który spędzali razem.

Czytając przy porannej kawie „Jerusalem Post”, Harry zwrócił uwagę na artykuł, w którym cytowano krytyczną opinię ministra Kagana o korupcji panoszącej się w Mifleget Ha-A woda, Partii Pracy.

— Ten polityk nosi takie samo nazwisko jak twój przyjaciel Zeew.

Tamar zerknęła do gazety.

— To jego ojciec.

— Członek gabinetu? Ma szansę zostać premierem?

— Żadnej. Ma zbyt wielu politycznych wrogów. Jest jednym ze starych przywódców bloku Likud. — Posmarowała masłem grzankę. — Ale Zeew, jak sądzę, ma.

Harry uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Przecież to tylko zawodowy oficer.

— Już wspiął się na najniższy szczebel drabiny. Jego poprzednik na tym stanowisku jest teraz ministrem spraw wewnętrznych. Kiedy Zeew trafi do rządu, otworzą się przed nim wszelkie możliwości. A jego ojciec ma nie tylko wrogów, lecz również możliwych przyjaciół. Rzecz nie jest wcale wykluczona.

Ani jedno, ani drugie słowem nie nawiązało do rozmowy z poprzedniego dnia.

Pojechali wynajętym fordem do Bet Gamal, gdzie Tamar znalazła salezjański klasztor, w którym mnisi produkowali i sprzedawali wino. Krocząc przez winnice pośród trudzących się na słońcu braciszków, Harry zadawał sobie pytanie, jakież to ogniwo jego wrażliwej żydowskiej duszy delektuje się surowym pejzażem klasztornego życia.

Młody amerykański ojczonek dał im do degustacji dwa rodzaje wina, czerwone i białe; okazały się wytrawne i bardzo dobre. Mnich, pochodzący ze Spokane, miał w sobie dużo luzu i poczucia humoru, ze swadą gawędził z Harrym o amerykańskiej polityce. Oprócz wina mnisi wytwarzali twarde ser, podobny do miinstera, tylko bardziej żółty. Harry kupił cztery butelki wina, gomólkę sera tak wielką, że Tamar jęknęła z rozpaczą, następnie zaś spytał zakonnika:

— Co w takim miejscu robi tak sympatyczny młody demokratą jak ojciec?

— Przybyłem tu w poszukiwaniu czegoś.

— I znalazł ojciec?

— Chyba tak — odparł mnich.

— Szczęściarz z ojca! Jak się tu żyje?

— Dobrze, wyjąwszy zimy. Wszyscy mają wtedy katar i zaczerwienione gardła. Byłem już bliski wywieszenia hasła: „Trąb, jeśli kochasz Jezusa”.

— Dlaczego ojciec zrezygnował?

— Nie zna pan naszego przeora. Nie jestem szaleńcem, tylko zwykłym fanatykiem religijnym.

Harry zanosił się śmiechem przez całą drogę powrotną do samochodu.

— Dokąd pojedziemy? — zapytał w końcu. — Masz ochotę machnąć się na wzgórze galilejskie?

— Harry, nie sądzę, żebyśmy mieli jakąkolwiek szansę — oświadczyła niewzruszonym głosem.

Zrozumiał.

— Ale zeszłej nocy pozwoliłaś sobie uwierzyć, że jednak możemy ją mieć.

— Chyba zabiorę cię do Rosz Hajin.

— Co to takiego?

— Miejsce, gdzie mieszka moja rodzina.

— Możemy dać im w prezencie wino i ser — zasugerował, kiedy ruszyli.

— Nie, rodzice jedzą tylko koszerne produkty. Jeśli chcesz, możemy stanąć na lunch w Petach Tikwa i kupić dla nich kawałek koszerne sera.

— I butlę czegoś dobrego dla twojego ojca. Co lubi pić?

— Arak. Ale mój ojciec jest alkoholikiem.

W Rosz Hajin pilotowała go przez nieutwardzone ulice oflankowane nędznymi domami.

— Podczas drugiej wojny światowej był tu brytyjski obóz wojskowy — wyjaśniła. — Potem maawera, obóz przejściowy dla imigrantów z Jemenu. Kilka lat przed naszym przyjazdem władze zmieniły tymczasowy obóz w stałe miasto.

Harry zwolnił. Mała, może czteroletnia dziewczynka siedziała na środku ulicy, przesiewając palcami piasek.

— Zatrzymaj się — poprosiła Tamar. Wsiadła z samochodu. — Habiba, jak się miewasz, najdroższa? — zapytała po hebrajsku. — Byłaś grzeczna, moja ulubiona siostrzeniczko?

Dziewczynka miała katar. To Harry'emu nie przeszkadzało, ale po jej policzku sunęła ku lewemu oku mucha. Tamar wyjęła z torby chusteczkę higieniczną, utarła małej nos, a przy okazji spłoszyła muchę.

— Ja też wsiadywałam na tej ulicy. Pewnie wyglądałam tak samo jak ona.

— A zatem, Habibo — oświadczył Harry — wyrośnie z ciebie kobieta jak się patrzy. Superlaska.

Dziecko uśmiechnęło się niepewnie; pojmowało, że Harry mówi do niego, lecz nie rozumiało po angielsku. Wróciła mucha — a może zresztą jej koleżanka, która wyleciała z pobliskiego wiadra na pomyje.

Tamar wzięła dziewczynkę za rękę i razem zaprowadziły Harry'ego do kamiennego domu z blaszanym dachem, otoczonego ogródkiem, w którym rosły papryki i

zioła. Gruba niewiasta rozwieszająca pranie na sznurku upuściła trzymaną w rękach sztukę odzieży i przywitała ich radośnie.

Tamar oznajmiła, że to jej *uma*, po arabsku matka. Harry'emu spodobało się i słowo, i kobieta. Wprowadziła ich do domu, podała miodowe ciasteczka z prosa i słodką kawę o nazwie *kiszr*, parzoną z łupin zamiast z ziaren. Trzymając wijącą się Habibę na kolanach, wycierała jej twarz i równocześnie w tempie karabinu maszynowego rozmawiała z Tamar po hebrajsku. Nie patrzyła na Harry'ego, zorientował się jednak, że rzuca mu krótkie szacujące spojrzenia, kiedy wydawało jej się, że tego nie widzi.

— Ma pani śliczną wnuczkę — powiedział.

Podziękowała mu z zakłopotaniem.

— To dziecko mojej najmłodszej córki, Jaffy. Opiekuję się nią, kiedy Jaffa jedzie do pracy w Petach Tikwa. — Przeniosła wzrok na Tamar. — Zostaniesz na kolację i zobaczysz się z ojcem?

Tamar skinęła głową.

— A przedtem weźmiemy Habibę na spacer, żeby nie przeszkadzała ci w pracy.

Jej matka rozpromieniła się.

— Niechaj twe usta będą wycalowane.

Tamar zabrała Harry'ego nad pobliską rzekę Jarkon, gdzie siedząc na brzegu patrzyli, jak Habiba ciska kamyki do mętnej zielonej wody. Rzeka nie zaimponowała Harry'emu, Tamar jednak była najwyraźniej z niej dumna.

— To druga co do wielkości rzeka w Izraelu — wyjaśniła z powagą. — Jest teraz mocno zanieczyszczona ściekami z Tel Awiwu. W dodatku zabierają jej tyle wody, że biedna starowina nie ma siły spływać do morza. Często siadywałam nad nią, obserwowałam bawiące się rodzeństwo i rozmyślałam, dokąd ta rzeka płynie, jakie pola nawadnia, kto pije jej wodę.

— Byłaś szczęśliwa jako dziecko?

Przypatrywała się Habibie.

— Tak. Nie wiedziałam wtedy, że gdzie indziej kobiety żyją inaczej.

— Twoja matka wygląda na zadowoloną.

— To tylko taka poza. Po narodzinach siostry usunięto jej macicę i teraz powszechnie uważa się ją za nieszczęśliwą, bo ma tylko troje dzieci.

Habiba zanadto zbliżyła się do wody i Tamar krzyknęła ostrzegawczo.

— Kiedyśmy tu przybyli — podjęła — miasto liczyło niespełna sześć tysięcy mieszkańców, potem z Jemenu imigrowali już tylko nieliczni, coraz więcej natomiast kobiet i mężczyzn wyjeżdżało, jak na przykład ja. Mimo to żyje tu blisko trzyście tysięcy ludzi, bo każda rodzina ma liczne potomstwo.

— Twoja siostra tu mieszka?

Skinęła głową.

— Ona i jej mąż Szalom mieszkają ulicę dalej niż rodzice. Pracują w tej samej wytwórni swetrów.

— A twój brat?

— Ibrahim mieszka w Dimonie. Jest kierowcą ciężarówki w kopalni fosforu.
— Zawahała się. — Słyszałeś o ruchu Czarnych Panter?

Przytaknął.

— Ibrahim jest Czarną Panterą i prawdopodobnie najmniej szczęśliwym członkiem naszej rodziny.

— A twój ojciec?

— Aba? — Uśmiechnęła się i dotknęła ciepłym palcem jego policzka. — Sam się przekonasz.

Ojciec Tamar wyglądał jak jemeński Gunga Din: drobny, żyłasty, z twardymi zawężeniami mięśni pod z natury ciemną, a od przebywania na słońcu jeszcze ciemniejszą skórą.

— Jestem Jusuf Hazani. Witaj w moim domu w imię Boże — powiedział, sondując Harry'ego spojrzeniem i ściskając jego wyciągniętą rękę w taki sposób, jak gdyby pokrywała ją jakaś egzotyczna zachodnia trucizna. Zapytał o coś Tamar, szybko wyrzucając z siebie arabskie słowa. Harry rozpoznał tylko jedno: nasrani, chrześcijanin.

— Nie, jest Żydem — odparła po hebrajsku poirytowana Tamar. — Ze Stanów Zjednoczonych.

Odwrócił się w stronę Harry'ego.

— A więc pan też jest Żydem?

— Tak.

— To dlaczego pan tu nie mieszka?

— Bo mieszkam tam.

Zniesmaczony Hazani pokiwał głową i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Czekali cierpliwie, kiedy się ochlapował wodą i przedmuchiwał nos.

Pojawienie się Jaffy i Szaloma rozładowało atmosferę: Jaffa pisnęła z taką samą radością jak wcześniej jej matka, a kiedy ścisnęła Tamar, Harry zorientował się, że jej jędrne, choć trochę przysadziste ciało rozpiera brzuch cztero- czy pięciomiesięcznej ciąży. Poza tym miała paznokcie pomalowane lakierem w dwóch kolorach — czerwonym i srebrnym — oraz męża o nerwowym uśmiechu.

Wyłonił się Hazani i błogosławiąc chleb, dał sygnał do rozpoczęcia posiłku, smacznego posiłku. Harry podejrzewał, że jedzą z kilkudniowym wyprzedzeniem szabatowego kurczaka: duszony w sosie był dobry, ale — rzecz do przewidzenia — jak na gust Harry'ego trochę zbyt pieprzny. Poza tym podano pitę, sałatkę z dojrzałych czerwonych pomidorów, zieloną sałatę, a wreszcie coś, do czego miał wielką słabość — awokado pokrojone w spore kęsy. Kiedy wyraził uznanie dla całej tej zeleniny, Hazani pokiwał głową.

— To z kibucu Einat, gdzie pracuję. Biorę tyle, ile możemy zjeść. Tu, w Rosz Hajin, musimy tylko uprawiać paprykę i zioła, bo tego się w kibucu nie hoduje.

— Co pan robi w kibucu?

— Wszystko, co trzeba zrobić.

— Panuje opinia, że nasz aba to najlepszy rolnik w całym Izraelu — wtrąciła Jaffa.

— Nie wiedziałem, że kibuce zatrudniają pracowników najemnych.

— Kiedyś nie zatrudniały — odrzekł Hazani — dzisiaj jednak, kiedy zgłasza się coraz mniej młodych, muszą zatrudniać i płacić. — Uniósł w górę pięści. — Jooo! Uprawiam ziemię w Erec Israel!

— Musi pan czerpać z tego przyjemność.

Hazani uśmiechnął się zgryźliwie.

— Wszyscy tu jesteśmy Żydami. Arabowie chcieliby nas wybić, kiedy jednak zaatakują, Żyd będzie walczyć ramię w ramię z Żydem. W Temanie, kiedy ganiłi po ulicach i mordowali Żydów, siedzieliśmy głodni za okratowanymi drzwiami mieszkań i dygotaliśmy ze strachu. Tego nie można zapomnieć.

— Mój ojciec miał podobne wspomnienia.

Hazani uczynił pauzę.

— Z jakiego kraju? — zapytał po chwili.

— Z Niemiec.

— Jooo. Następny jekes. — Wymienili z córką zimne spojrzenia. Potem Hazani znów popatrzył na Harry'ego. — Poleciał do Ameryki?

— Nie, popłynął statkiem.

— Ha, my podróżowaliśmy morzem z Hudajdy do Adenu. Pamiętasz, matka?

Przytaknęła z uśmiechem.

— Opuściliśmy Sanę z karawaną wielbłądów wiozącą kawę do Hudajdy. My z żoną szliśmy pieszo, niosąc naszego syna Ibrahima, który był wtedy niemowlęciem. Ta — pokazał Jaffę — jeszcze się nie urodziła. A Tamar sadzaliśmy na wielbłądzie, na wierzchu worka z ziarnami kawy, które wygniatały jej dołki w pupce.

Członkowie rodziny uśmiechnęli się, słysząc zapewne po raz kolejny rytualną opowieść. Harry był jednak szczerze zainteresowany.

— Jak długo szliście?

— Tylko jeden dzień. Popadliśmy w tarapaty. Już za pierwszym razem, kiedy zatrzymali się na modły, zauważyli, że my nie rozkładamy dywaników i nie klękamy. Poszeptywali coś między sobą, doszedłem więc do wniosku, że zamierzają nas zabić i obrabować. Gdyśmy dotarli do miasta, kupiłem całe naręczce kat i poganiacze wiel-

błądów nazuli się aż do zupełnego ogłupienia. Potem trafiła się ciężarówka, której szofer za riała podrzucił nas do Hudajdy.

— I to był już koniec problemów?

Hazani uśmiechnął się wyrozumiale.

— Gdzie tam! Ale przynajmniej nie byliśmy już sami, bo wyglądało na to, że każdy Żyd z Temanu wylądował w Hudajdzie. Agencja Żydowska oznajmiła, że jeśli dotrzemy do Adenu na własną rękę, dostarczy nas później do Erec. No więc zrzuciliśmy się w kilka rodzin i wynajęliśmy człowieka z *dhof*, aby przewiózł nas wzdłuż wybrzeży Morza Czerwonego.

— Aj... — powiedziała uma. — Tyle ludzi, taka mała łódź. Wymiotowaliśmy wszyscy. Widzieliśmy rekiny. Po pięćdziesięciu trzech godzinach skończył się nam kleik z prosa. Kobiety, które miały jeszcze mleko w piersiach, dawały ssać obcym dzieciom, do ostatniej kropli. A jakeśmy w końcu dotarli do Adenu? *Ja fakri fakra*, ojoj, co to były za czasy.

Hazani pochleptywał kawę.

— Ludzie z Agencji Żydowskiej zawieźli nas ciężarówką na wielkie pole. Był tam srebrny potwór o ptasim kształcie! Kto słyszał o czymś takim? Otworzyli dziurę w boku i kazali nam wchodzić. Powiedzieli, że dostarczy nas do Erec Israel. W powietrzu! Omal nie poumieraliśmy ze strachu.

— Ale wsiedliście do niego w końcu? — zapytał rozbawiony Harry.

— Zwariował pan? Nikt nie bał się tak bardzo jak ja. Ludzie z Agencji popędzali nas, żebyśmy wsiadali. Powtarzali, że Egipt nie przepuści Żydów przez Kanał Sueski, jeśli więc nie pozwolimy, by ta rzecz nas zaniósła, nigdy nie dotrzemy do Izraela. Był z nami powszechnie znany mori... tak my, z Temanu, nazywamy rabina. I wtedy jeden mężczyzna... prosty człowiek, handlarz kóz, nie wiem, jak potoczyły się jego dalsze losy... otóż ten mężczyzna powiedział: „Klnę się na wszystko, że żadne bajeczki dla małych dzieci nie zatrzymają mnie przed dotarciem do Erec Israel. Na żywą Torę, wkroczę do tej latającej rzeczy, czyż bowiem nie jest napisane, że Wszechmocny rzekł Mojżeszowi: «Wyście widzieli, co uczyniłem Egipcjowi, jak niosłem was na skrzydłach orlich i przywiodłem was do Mnie?»" A potem ów handlarz kóz wziął swoją zapłakaną żonę i dzieci i wsiadł. „Tak jest napisane", wyszeptał mori i on również wsiadł, a za nim my wszyscy pchaliśmy się na wypródki z obawy, że nas zo-

stawia. Ludzie z Agencji przypięli nas do foteli i wszyscy zostaliśmy uwięzieni. Rozległ się taki ryk, jaki zapewne wydałby z siebie Bezimienny, gdyby postanowił ryknąć. Wielkie trzewia latającej rzeczy zadygotały i naprężyły się, jakby teraz, kiedyśmy już zostali połknięci, trawiły nas, żeby wydalić w końcu na pole pod postacią szajsu. Rzecz poruszyła się. Pognała. Wystrzeliła w powietrze!

— Cóż więcej mogę powiedzieć? — ciągnął Hazani. — Po godzinie patrzyliśmy na Hudajdę, z której żegluga zajęła nam dwa dni z okładem. Rychło wśród trzasków i szumów głos donośny jak głos anioła oznajmił nam, że oto przelatujemy nad głuszą, przez którą przeszło trzy tysiące lat temu przedzierali się nasi przodkowie. Nimeśmy zdążyli przełknąć ślinę, na skrzydłach orła zostaliśmy dowiezieni do Erec Israel.

Twarze wokół stołu wyrażały zadowolenie.

Harry popatrzył na Tamar.

— Jakim cudownym sposobem dotarłaś do Izraela?

Hazani pochylił się nad stołem.

— Pozwól coś sobie powiedzieć, Amerykaninie. Cudowny jest każdy sposób, w jaki człowiek wraca do Izraela.

Kiedy kobiety sprzątały ze stołu, Hazani zapalił fajkę wodną; proponował również Harry'emu, lecz ten odmówił, zastanawiając się przy tym, czy nie zachował się jak grubianin. Ku jego bezmiernej uldze jednak odmówił także Szalom.

— Czym się pan zajmuje? — zapytał gospodarz.

— Sprzedaję klejnoty.

— Ach, kupiec. W sklepie?

— Czasem — odparł z rozbawieniem Harry.

— W Temanie wyrabiałem biżuterię, to tradycyjny zawód w mojej rodzinie.

— Dlaczego nie robi pan tego teraz?

Hazani skrzywił się.

— Kiedyśmy tu przyjechali, Agencja Żydowska załatwiła mi pracę w Tel Awiwie. W wytwórni produkującej miedziane ozdoby. W firmie przeważają kobiety obsługujące małe maszynki, które jedna za drugą wypluwają kopie temariskiej biżuterii.

Oświadczyłem szefowi, że mogę te rzeczy robić ręcznie, a on zapytał, czemu miałby mi płacić za powolną robotę, skoro amerykańscy turyści nawet za tandetę dają niezły grosz. „Bo moje wyroby są piękne”, odparłem, ale mnie wyśmiał. — Hazani wzruszył ramionami. — Nie lubię maszyn, a poza tym trzeba było daleko dojeżdżać. Z radością przyjąłem pracę w pobliskim kibucu. Dowozi mnie do roboty, a potem odstawia do domu kibucowy pikap.

— Ma pan jakieś swoje wyroby?

— Tak, wiem, gdzie je znaleźć — zaoferował się Szalom. Wrócił po chwili z miedzianą szpilą i złotym klipsem.

Harry uważnie je obejrzał.

— Piękne — stwierdził.

— Ludzie nie potrafią się poznać.

— Nie wszyscy. Są tacy, którzy chętnie zapłacą za doskonałe rzemiosło. Może mógłbym znaleźć dla pana takich nabywców. — Za plecami ojca Tamar gorączkowo kręciła głową. — Dam znać, jeśli znajdę kogoś takiego.

Hazani sarkastycznie pokiwał głową.

— Mógłbym naprawdę mu pomóc. Czemu mnie powstrzymywałaś? — zapytał później Tamar, kiedy siedzieli już w samochodzie.

— Zostaw go w spokoju, proszę. Pogodził się ze swym życiem, jest zdrow, pracuje na powietrzu, a jeśli zacznie zarabiać więcej, wszystko wyda na arak.

— Byłby szczęśliwszy robiąc to, co lubi najbardziej.

— Unieszczęśliwia go coś więcej niż praca. Mam w tym swój udział.

— W jaki sposób?

— Zwykł wykrzykiwać: „Tora dla kobiet to szaleństwo!” Zabronił mi wyjeżdżać z Rosz Hajin. Kiedyś to zamknęłoby sprawę, słowo ojca było rozkazem. Ale sprzeciwiłam się i poszłam na studia. Nie odzywał się do mnie przez dwa lata.

— A co teraz? Dobry Boże, kustoszka w muzeum! Musi nie posiadać się z dumy.

Uśmiechnęła się lekko.

— Posiada się, i to nad wyraz skutecznie. Kiedy byłam na drugim roku, doznał na krótko przyływu nadziei, bo chciał mnie poślubić bratanek jednego z jego starych przyjaciół. Chłopak miał własną taksówkę, był świetną partią. Przynosił mi do akademika prezenty: owoce kaktusa, pomarańcze, słodkie bułeczki... Zawsze coś na ząb. Ale spławiłam go. Ożenił się z córką rabina, a ja myślałam, że ojca trafi apopleksja. Joela znienawidził od pierwszego spojrzenia, bo Joel nie pochodził z Jemenu.

— To wyłącznie jego problem — uznał Harry. — Nie masz obowiązku ulegać jego uprzedzeniom. — Czuł się bezradny. Pragnął ją pocieszyć. — Poza tym ma dwoje innych dzieci.

— Zawiedliśmy go wszyscy. Widział Jaffę, która brała ślub nosząc już w brzuchu Habibę. W dawniejszych czasach byłaby to katastrofa, niewysłowiona hańba. Teraz cała historia poszła już w zapomnienie. A jego jedyny syn? Ibrahim podczas szabatu nosi transparenty na manifestacjach, zamiast iść do synagogi. — Pokręciła głową. — Nie rozumie, co się stało z jego życiem.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Byli na przemysłowym przedmieściu Teł Awiwu, stali obok niechlujnej fabryki.

— Dlaczego mnie tam zawiozłaś? — spytał.

— Chciałam, byś przekonał się, że jestem kimś więcej niż tylko kustoszką w dziale zakupów.

— Widzę, kim jesteś. — Popatrzył przez okno na fabrykę. Ładne wybrał miejsce... Było tu równie romantycznie jak w przemysłowej części New Jersey. — Coś może z tego wyjść.

— A twoja żona?

— Nie zachwyci się — odparł obojętnie. — Ale nie będzie też zaskoczona.

— Jestem już gotowa, by ponownie wyjść za mąż, Harry.

— Wiem.

— Tak. I boję się. Chcę, żebyś obiecał, iż każde z nas będzie miało prawo zmienić zdanie. Jeśli do tego dojdzie, to drugie pogodzi się z decyzją bez szemrania. Nie znoszę scen.

— Boże, Tamar... w porządku, obiecuję.

— I jeszcze jedno. Mój mąż nigdy nie będzie musiał się o mnie martwić. Wiesz, ani przez chwilę.

— To samo mogę powiedzieć o kobiecie, która zostanie moją żoną.

Uśmiechnęła się.

— Niechaj twoje usta zostaną wycalowane — powtórzyła słowa swej matki.

— To cholernie dobry pomysł — odrzekł.

Rozdział 22

GOLAN

Tej nocy leżąc obok Tamar, wsłuchany w jej płytki oddech, rozmyślał o swoim synu i innych sprawach.

Będzie musiał znaleźć dom, bo przecież nie może jej zabrać do kolonialnej holenderskiej rezydencji w Westchester. To był dom Delii. Chociaż teraz on w nim mieszkał, nie Della, właśnie ona wybierała meble, zasłony, zastawę. Nawet służbę.

Coś mniejszego byłoby w sam raz.

Albo mogliby podróżować.

Bezsenny, przewracał się z boku na bok. Na ciemnym suficie widział, jak w dżonce płyną po Żółtej Rzece, jak maszerują po Wielkim Murze Chińskim, jak odkrywają osobliwą i starożytną kulturę, w jednakowym stopniu obcą każdemu z nich.

— Miałabyś ochotę pojechać do Chin? — zapytał Tamar nazajutrz rano.

— Oczywiście. — Miała ciężkie mroczne spojrzenie, lecz jego źródłem nie była namiętność. Ona też kiepsko spała.

— Mówię serio. Zabiorę cię tam, jeśli ty zabierzesz mnie dzisiaj w jakieś chłodne miejsce.

Pojechali na północ, ale upał towarzyszył im przez długi czas. Wzgórza Golan okazały się piękne, choć monotennie brązowe; minęli dwa obozy wojskowe; od czasu do czasu spotykali jakieś pojazdy, też na ogół wojskowe.

Temperatura zaczęła spadać dopiero wtedy, kiedy znaleźli się na wyżej położonym terenie. W połowie Golan urządzili postój przy pagórkowatej łące i zjedli lunch przygotowany przez Tamar. Ciszę zakłócały tylko ptaki i trudno było sobie wyobrazić, że to miejsce znało czegokolwiek prócz sielankowego spokoju, zanim jednak dojedli kanapki, usłyszeli strzał.

— Ponoć ta droga jest zupełnie bezpieczna — powiedziała z obawą Tamar, ale nie dała sygnału do ewakuacji, Harry więc również nie wpadł w panikę. Siedząc na trawie, kończyli posiłek.

Niebawem w polu ich widzenia ukazał się mężczyzna uzbrojony w śrutówkę. Jego koszulę przecinały na krzyż dwa pasy z przytroczonymi kuropatkami, na trzecim, opinającym biodra, wisiały mniejsze ptaki, wśród których Harry rozpoznał drozdy i skowronki.

— Druz — wyjaśniła Tamar i po arabsku zapytała myśliwego, czy miałby ochotę się napić. Odmówił uprzejmie i odmaszerował.

Chwilę później usłyszeli następny strzał.

— Nie podoba mi się, że zabijają te ptaki — stwierdziła.

— Mnie też nie.

— Wiesz, co to takiego przepiórka?

— Tak — odparł z uśmiechem. — My też mamy przepiórki.

— W sierpniu każdego roku ogromne stada przepiórek przylatują z Europy na Synaj. Zawsze tak było, opisuje to Biblia. Muszą pokonać Morze Śródziemne, a to wielki dystans dla ptaków tak małych, kiedy więc w końcu docierają do brzegu, są zupełnie wyczerpane. W okolicach Al-Arisz Arabowie masowo wyłapują je w sieci, na własny użytek i na handel. Nieszczęsne ptaki tyle sił włożyły w pokonanie morza, że teraz nie są w stanie umknąć przed człowiekiem.

— Pewnego dnia zabraknie ptaków, na które można by polować.

— Taki los spotkał już kilka gatunków. Synaj roił się kiedyś od kozic, teraz prawie ich nie ma, tak samo jak antylop i gazeli, zostały wytrzebione przez myśliwych. Na Negewie jednak, gdzie zwierzynę chroni prawo izraelskie, stada rosą i rosą.

— Skąd tyle wiesz o tych sprawach?

— Zeew poluje — odparła ze spokojem. Ciężyło na nim przekleństwo — zawsze pociągały go uczciwe kobiety.

Daleko przed nimi, jak biała plama na niebie, zamajaczyła góra Hermon; potężniała i potężniała, aż znaleźli się dostatecznie blisko, by dostrzec, iż masyw składa się z wielu szczytów, z których tylko jeden pokryty jest bielą.

— Jedźmy pod ten zaśnieżony — zaproponował Harry.

— To niemożliwe, jest w Syrii — odparła.

U podnóża góry, pomiędzy wioskami druzów i alawitów rozciągały się pola warzywne i sady; minęli je, by dotrzeć do położonego wyżej na zboczu moszawu Newe Atiw.

— W zimie ludzie przyjeżdżają tu na narty — poinformowała Tamar.

W sierpniu byli prawie sami w restauracji, gdzie popijając kawę, spojerali na zasłany kamieniami stok góry. Było ciepło, lecz napływający przez otwarte okno wiatryk kęsał chłodem.

— Zatrzymajmy się tu na noc — rzucił Harry.

— W porządku.

Od tego samego mężczyzny, który podawał im kawę, a teraz, siedząc przy jednym ze stolików, naprawiał wiązania do nart, Harry wynajął pokój, ale oświadczył, że obejrzy go później, bo najpierw chce się przejść.

— Dokąd? — zapytała Tamar na dworze.

— Na górę — odrzekł. — Chcę znaleźć śnieg.

— Przecież jest lato w pełni.

— Izraelczycy nie znają się na śniegu. Jeśli człowiek pomyśli „śnieg”, śnieg będzie wcześniej czy później.

Szli pod wyciągiem, po oczyszczonym z kamieni stoku zjazdowym; kiedy znaleźli się poza jego górną granicą, marsz był znacznie trudniejszy.

Im byli wyżej, tym mocniej smagał ich wiatr. Nie rosły tu żadne drzewa i tylko rzadkie wśród nagich skał kieszenie ziemi dawały życie jakiejś trawie czy kwiatkowi — reszta była nagim szkieletem góry odartej przez wichry z cielesnej powłoki. Po jakimś czasie natrafili na dobrą drogę, ruszyli żwawiej, ale niemal natychmiast z rykiem dopadł ich dżip wiozący dwóch żołnierzy.

— *Lean atem holchem?* — zapytał ten na miejscu pasażera.

— Dokąd idziecie?

— Na szczyt — odparł Harry.

— To zabronione, proszę pana. To zamknięty rejon wojskowy. Cywilom wstęp wzbroniony.

— Jest tam śnieg?

— Tylko w głębokich kotlinkach, do których nie dociera słońce.

— Znajdziemy taką kotlinkę tam, gdzie wolno nam chodzić?

— Idźcie w tamtą stronę.

— *Toda.*

Żołnierze popatrzyli po sobie, uśmiechając się szeroko, a potem odprowadzali spojrzeniami Tamar i jej zwariowanego amerykańskiego towarzysza.

— Dlaczego nie pozwolili nam iść w stronę szczytu? — zapytał Harry.

— Zapewne jest tam baza wywiadu elektronicznego, ale chodziło im również o nasze bezpieczeństwo. Na tej górze są oddziały libijskie i syryjskie, a w odległości zaledwie kilku mil chrześcijanie walczą z muzułmanami.

W kotlinie nie znaleźli śniegu, lecz na jej wilgotnym dnie rósł samotny niebieski mak. Harry zszedł po stromym zboczu i zerwał kwiat dla Tamar.

Ledwie na niego spojrziała.

— Nie wyjadę z Izraela — oświadczyła.

Kiedy zaczęli schodzić do Newe Atiw, Harry powiedział:

— Sądzę, że Ameryka przypadłaby ci do gustu.

— Wiesz, jak nazywamy Izraelczyków, którzy wyjeżdżają z kraju? *Jerdim*. To słowo oznacza kogoś, kto doświadcza degradacji duchowej. I właśnie czymś takim byłby dla mnie wyjazd.

— Nie musimy od razu osiadać w Nowym Jorku. Moglibyśmy pojeździć trochę po świecie i dać sobie czas na ułożenie planów. Moglibyśmy na przykład, jak wspomniałem rano, wybrać się do Chin.

— Wspomniałeś? — popatrzyła nań przeciągle, kompletnie zbita z pantałyku.

Opowiedział jej o pekińskim Muzeum Pałacowym, o kolekcji klejnotów cesarskich.

— Pomyśl, mogłabyś studiować sztukę chińską i opublikować coś na jej temat.

Pokręciła głową.

— W ogóle mnie nie znasz, ja niczego nie chcę publikować. Byliśmy jak dwójka dzieciaków zakochanych po raz pierwszy w życiu, nie zadaliśmy sobie trudu, aby rozważyć, czy wspólne życie wchodzi w grę.

Chociaż przegrywał, podjął rozpaczliwą próbę odniesienia zwycięstwa.

— Naprawdę mnie kochasz?

Milczała. Znów zerwał się wiatr i zaczął trzepotać ich ubraniami. Harry otoczył Tamar ramieniem.

— Tak, kocham cię — odpowiedziała drżącym głosem, tuląc się do niego. — Kocham cię, Harry.

Wychwycił w owym drżącym głosie nuty bezgranicznej radości i czegoś na kształt zaskoczenia.

Skoro mieli zabroniony wstęp na górę, zjechali do wioski Majdał Szams i zatrzymali się przy gospodarstwie stanowiącym własność najpiękniejszego starca, jakiego Harry widział w życiu: w czerwonym fezie na głowie, siwowłosego, niebieskookiego druza o prostym nosie, rzeźbionych rysach i sumiastym wąsie.

W jego sadzie rosły dwa rodzaje jabłoni, winorośl i pistacje. Jabłka — czerwone i żółte — były odmiany nie znanej Harry'emu, lecz okrągłejsze i delikatniejsze niż te, jakie miał u siebie w Westchester. Skosztował jedno i stwierdził, że jest dobre; było jeszcze za wcześnie na jabłka wyśmienite.

— Jak się nazywają te? — zapytał.

— *Hmer* — odparł gospodarz.

— A tamte?

— *Sfer*.

Na widok jego miny Tamar wyjaśniła:

— *Hmer* to znaczy czerwone, a *sfer*...

— Żółte?

— Tak.

Do ogrodowej szopki przybito blaszany krążek z wymalowanym, jakby ręką Modiglianiego, jabłkiem niezwyklej urody: było podługowate, maślanożółte, z purpurowym rumieńcem.

— *Turkijji* — wyjaśnił rolnik, po czym poprowadził ich w głąb sadu, gdzie rosły brzemienne owocem jabłonie odmiany tureckiej. Jabłka, chociaż jeszcze niedojrzałe, miały już charakterystyczny kształt i były, o czym przekonał się Harry zerwawszy jedno, twarde jak zielona porcelana. Kupił kosz jabłek *hmer* i *sfer* oraz ogromną kiść winogron — białych, bo tylko takie uprawiał druz.

Po powrocie do Newe Atiw przekonali się, że ich pokój jest przestronny, lecz urządzony po spartańsku, a ściany i podłoga wciąż roztaczają lekki zapach świeżego drewna. Harry położył na parapecie zielone tureckie jabłko i granat Lewitów, a potem, zadowolony z kompozycji, legł obok Tamar na łóżku, żeby podelektować się spokojem.

— Mógłbyś tu zamieszkać? — spytała.

— Nie wiem.

Uniosła smukłą stopę, a on wsunął pod spód swoją.

— Co robisz?

— Daję ci oparcie.

— Jestem wystarczająco samodzielna.

Odsunęła stopę, lecz jego stopa ruszyła w ślad.

— To mi sprawia przyjemność — powiedział, łaskocząc ją z lekka w podbicie.
— Moglibyśmy sześć miesięcy mieszkać tu, a sześć w Stanach.

— Byłoby to bardzo kosztowne. Nie wiesz, co robić z pieniędzmi?

— Nie wiem. Masz coś przeciwko temu?

— Skądże. Lubiłabym szastać forszą. Tylko że...

— Słucham?

— Zawsze kupujesz wszystkiego za dużo — odparła figlarnie. — Za dużo wina, sera, winogron, jabłek...

— Jabłek nigdy za wiele. — Wstał z łóżka, przyniósł kosz owoców, rozsunął nogi Tamar i zaczął wokół całej jej sylwetki układać na przemian jabłka czerwone i żółte.

Na koniec ugarniował czarną strzechę włosów kiścią winogron.

— Mają kształt twoich piersi i pupy — powiedział. — Szkoda, że nie mamy gruszek, są najbardziej erotyczne. Istnieje w hebrajskim słowo na określenie kogoś, kto ma obsesję na punkcie gruszek?

Kiedy w drapieżnym pocałunku napełniła jego usta swoim śmiechem, Harry w ostatniej chwili zdołał ocalić winogrona.

Potem z pełnym zaangażowaniem wzięli się do roboty: dotykała go delikatnie, jak gdyby poszukując urazów, mięśnie jej ud tężały, sutki zaczęły przypominać szczyty góry Hermon, oczy przemieniły się w najwęższe ze szczelin.

— Ahszaw, teraz — szepnęła, Harry jednak puścił mimo uszu to hebrajskie słowo albo go nie zrozumiał i dalej robił swoje.

Ukąsiła go, dotkliwie.

— Niech wejdzie miły mój do swego ogrodu.

Nieźle, zdołała pomyśleć z uznaniem jakaś cząstka duszy Harry'ego, gra miłosna w stylu biblijnym.

— Wdrapię się na drzewo palmowe — odparł, patrząc w jej rozplomienione oczy.

Na moment zastygli nieruchomo, a potem z łóżka zaczęły spadać jabłka, po jednym, czasem po dwa. Bum. Bum. Bum bum. Bum. I toczyły się po podłodze, układając w abstrakcyjny wzór.

Później karmili się nawzajem winogronami, Harry zjadł czerwone jabłko, Tamar żółte. Aromat jej i owoców dołączył do zapachu świeżej sośniny.

— Muszę zostać tu, w tym kraju — oznajmiła.

— Bo bez ciebie Izrael upadnie?

— Można to i tak ująć.

— Zechciej wyjaśnić dokładniej, bo chyba zaczynam tracić poczucie humoru.

— Izrael może się stać podobny do przepiórek, które siadają na plaży w Al-Arisz. Wyczerpany i bezbronny.

— Z tego, co widziałem, wynika jasno, że Izrael wcale nie jest bezbronny — stwierdził sucho.

— Kiepskie warunki życia mogą doprowadzić do tego, czego nie zdołały dokonać kule, Harry. Więcej ludzi ucieka stąd, niż przybywa.

Ściemniało się; Harry zapalił lampkę nocną, a Tamar wstała i zaciągnęła zasłonę w oknie. Potem nałożyła szlafrok i wróciła do łóżka. Harry spociał się podczas seksu, teraz jednak było mu zimno, rozchylił więc szlafrok i przywarł do Tamar, ale zabrakło tkaniny, by mógł się okryć całkowicie.

W szyi Tamar wyczuł lekkie pulsowanie, którego nie było wcześniej.

— Zamieszkał tu ze mną — powiedziała. Popatrzyli na siebie. — Nie podejmuj decyzji pochopnie, życie w Izraelu bywa ciężkie — dodała ostrożnie. — Jeśli tu zamieszkaż, niektórzy ludzie w Ameryce nazwą cię agresorem i ciemiężycielem.

— Gównu mnie to będzie obchodzić.

— To ciężkie brzemie. Cały świat wiedział, że pierwsi osadnicy byli bohaterami, oni więc też mieli taką świadomość. To im dodawało odwagi, by walczyć. Nawet starcom i dzieciom. Ojciec Zeewa przybył tu jako dwunastolatek i zaraz poszedł do walki.

— Dlaczego nieustannie wspominasz Zeewa?

— Bzdura.

— Zrób mi przysługę, dobra? Nie chcę rozmawiać o Zeewie Kaganie, jego ojcu, zamiłowaniach, nadziejach czy ambicjach politycznych.

— Zrób mi przysługę, dobra? Idź do diabła! Albo wracaj do Nowego Jorku.

Zamknęła oczy. Leżeli w milczeniu.

Grzała go z przodu, lecz na plecach miał gęsią skórkę.

— Idę wziąć prysznic — powiedział w końcu. Okazało się jednak, że z obu krańców leci jednakowo zimna woda. Dygocąc w jej strugach, Harry czuł, jak wycieka zeń resztką dobrego samopoczucia.

Kiedy wrócił do pokoju, Tamar na czworakach zbierała z podłogi jabłko.

— Zostaw je — powiedział.

— To przecież jedzenie.

Dołączył do niej.

— Przecież się nie zmarnują — zauważył. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że Tamar płacze. — Tamar...

Podniosła głowę.

— Dlaczego musiałeś ze mną zacząć? — zapytała z goryczą.

Tej nocy obudził się z uczuciem miłości tak konwulsyjnie przemożnym, aż ogarnęło go zdumienie. Było inne niż to, jakim darzył Tamar; dawno temu przyznał się przed sobą, że ją kocha.

Izrael.

Właściwie czemu nie?

Był jeszcze młody, mógł wziąć w tym wszystkim udział.

Z sufitu, jak z ciemnej kalki technicznej, odczytywał ewentualny kształt swojego życia. Mógłby na nie zarobić pracą na giełdzie kamieni szlachetnych w Ramat Gan. Mogliby kupić kawałek ziemi gdzieś w tych stronach — ziemi z widokiem na górę Hermon, ziemi, na której udają się tureckie jabłka.

Puls na jej szyi toczył walkę z jego wargami, Tamar poruszyła się lekko.

— Śpij, śpij — wyszeptał po hebrajsku.

Rozdział 23

STUDNIA W GHAJAR

Rankiem obudziły ich dobiegające z Libanu odgłosy strzelaniny, dość wcześnie więc opuścili Newe Atiw i pojechali do położonej u podnóża wioski Ghajar, gdzie zjedli śniadanie w kafejce na otwartym powietrzu, mając w polu widzenia bodaj czy nie całą miejscową społeczność. Ten i ów zerkał na nich ciekawie, większość oczu była jednak skierowana na wiejską studnię, do której na linie spuszczonego mężczyznę.

Właściciel knajpki wyjaśnił im, że jego zadaniem jest oczyszczenie dna z warstwy mułu tak, aby podczas przyszłorocznych wiosennych opadów w studni mogło się zebrać więcej wody. Byli przy kawie, kiedy z wyciąganych na górę wiader popłynęła mętna woda zamiast blocka, rozpromienieni gapie zaś poczęli z aprobatą kiwać głowami.

— To alawici, bardzo mili ludzie — wyjaśniła Tamar.

— Muzułmanie?

— Odłam. Czczą Alego, zięcia Mahometa.

— Dlaczego przyglądasz się temu wszystkiemu z taką uwagą? — zapytał.

— Pomyślisz, że zgłupiałam...

— Naucz się okazywać mi krztynę zaufania.

Uśmiechnęła się.

— No dobrze. Popatrz na to dziecko.

Obok studni mały chłopczyk wznosił kopczyki z gliny dokładnie w miejscu, gdzie opróżniano wiadro, i popiskiwał z uciechy, ilekroć woda rozmywała jego budowlę.

— Załóżmy, że dawno, dawno temu mniejsze z dwóch wzgórz na stanowisku archeologicznym Davida Leslaua zostało rozmyte przez wodę.

— Ale są tam nadal dwa wzgórza, nie zaś jedno — przypomniał Harry.

— W tych stronach roi się od formacji zwanych tel, kopców powstałych przez nawarstwianie się odpadków cywilizacyjnych pozostawianych przez kolejne pokolenia ludzi zasiedlających to samo miejsce. Stanowisko Davida leży na wschód od źródeł i jest to naturalna lokalizacja takiej osady. Może wzgórek, o którym wspomina zwój, został zmyty, a David kopie u podnóża powstałego później i w nieco innym miejscu? — Płonął jej wzrok. — Jak myślisz?

— Myślę, że wcale nie zgłupiałaś. Ale...

Z westchnieniem dołała kawy do filiżanek. Tymczasem wyciągnięto ze studni człowieka, który ją oczyszczał, umorusanego błotem młodzieńca, najwyraźniej szczerze uradowanego, że wraca na świat.

— Zawieziesz mnie do Engedi, prawda? — zapytała.

— Chcę porozmawiać z Davidem Leslauem.

— Nie.

— Jeśli mnie zawieziesz, sprawię później, że będziesz bardzo szczęśliwy — obiecała figlarnie. — Dam ci, czego dusza zapragnie. Melony. Granaty. Dwie odmiany cytryn.

— Ten izraelski humor... tylko boki zrywać.

— Och, Harry.

— Nie mogę. Mój amatorski zapał już kosztował Davida mnóstwo czasu i pieniędzy. Poza tym i tak sprawisz, że będę bardzo szczęśliwy, bo będziesz mi się musiała zrewanżować za to samo.

Wziął ją za rękę, lecz wyrwała się.

— Alawici nie lubią, gdy się dotyka kobiety w miejscach publicznych.

— Szkoda.

— Zawieziesz mnie do Engedi. — Uśmiechała się do niego, tryskając w poranym słońcu urodą i zdrowiem.

— Zrobisz to, bo mnie kochasz.

Obóz przybrał szcztątkową formę: był w nim jeszcze namiot Leslaua, zniknęły jednak dwa pozostałe. Archeolog wyjaśnił, że dwóch ludzi i większość sprzętu wysłał już ciężarówką do Jerozolimy; trzech inni — angielski student ostatniego roku i dwaj arabscy kopacze — zasypywali rowy powstałe u podnóża wzgórka podczas prac wykopaliskowych.

— Trzeba pozostawić teren w takim stanie, w jakim się go zastało, nie? — powiedział Leslau.

— Davidzie... — zaczęła Tamar.

Słuchał jej wyjaśnień, pykając z fajki.

— To nie jest ta górka, mogę dać gwarancję — rzekł spoglądając na mniejsze ze wzniesień. — Dlaczego jednak mielibyśmy zakładać, że chodzi o tel?

— To chyba nietrudno sprawdzić?

— Cholernie trudno, moja droga. Choć muszę zarazem przyznać, że obecne fiasko osłabia mój entuzjazm do karkołomnych teorii. — Westchnął. — Do diabła, zróbmy z siebie idiotów jeszcze raz.

Ruszyli jego śladem po kamienistym gruncie. Harry pocił się i był wściekły na siebie, że uległ Tamar. Zrównał krok z Leslauem i mruknął:

— Wybacz, Davidzie.

— Nie ma sprawy, rozumiem.

Harry'emu zaczynało kręcić się w głowie.

— Gonimy za chimerami — powiedział.

— Co?

— Jak idioci gonimy za chimerami.

— Aaa... — mruknął z roztargnieniem Leslau. Zaczął podnosić kamienie, badać je, odrzucać, podnosić następne.

Potem dziwnie spojrzał na Tamar.

— Chodźmy — burknął Harry.

— Harry? — powiedział Leslau.

— Co?

— *Schweig.*

Przeszli za nim jeszcze sto stóp.

— Wiecie, w czym stoimy? — zapytał Leslau.

— Nie — odrzekł Harry, starając się, aby jego głos nie zabrzmiał swarliwie.

— W korycie wadi — powiedziała Tamar.

— Tak, w korycie wadi. — Na powrót podprowadził ich do miejsca, gdzie badał kamienie. — Widzisz? — spytał Harry'ego.

Harry usiłował coś zobaczyć, lecz wyglądały tak samo jak wszystkie inne zaścieniające pustynię.

— Dawno temu okresowo płynęła tu rzeka. — Leslau podniósł i zademonstrował im jeden kamień.

— Widzę tylko kawałek wapienia — stwierdził Harry.

— Jeden z miliardów wapiennych kawałków na tej pustyni. Cóż może ci powiedzieć akurat ten?

— W istocie zupełnie sporo — odparł archeolog. — Większość wapienia w tych górach powstała mniej więcej sto trzydzieści milionów lat temu, w dolnej kredzie. Jest twardy jak sto diabłów, bardzo wytrzymały. Ten natomiast, i może to stwierdzić nawet laik, jest stosunkowo miękki. Powstał przypuszczalnie około pięćdziesięciu pięciu milionów lat temu, w eocenie, a może nieco wcześniej, w górnej kredzie, co zresztą nie ma żadnego znaczenia. Ma natomiast znaczenie to, że wiosenne wody uderzając stulecie po stuleciu w wapienną skałę rozbijały ją bez większego trudu. Dowody, pozostawione przez rzekę, macie jak na dłoni.

Harry mrugnięciem strząsnął z powiek krople potu.

— Twierdzisz, na rany boskie, że ona ma rację?

Leslau zerknął na Tamar.

— Nie.

— No to co chcesz powiedzieć, do cholery?

— Jedyne to, że dawno temu były tu istotnie trzy wzgórza, nie zaś dwa, a to oznaczałoby, że od początku popełnialiśmy błąd. Niemniej... — głęboko zaczerpnął powietrza — może się okazać, że ten mniejszy wzgórek to tel.

— Uchwycił dłonie Tamar. — A jeśli to tel, masz w stu procentach słuszność. Absolutną. Ja zaś jestem bliżej celu niż kiedykolwiek dotąd.

Czekali w namiocie, którego wnętrze, po bezlitosnym ataku słońca na dworze, wydawało się z początku chłodne jak mroczna jaskinia.

— Wybacz — powiedział Harry.

Pocałowała go.

— Jakim cudem, obserwując dzieciaka, który taplał się w błocku, wpadłaś...

— Takie rzeczy zdarzają się w mojej pracy. Czasem nie ja docieram do prawdy, lecz prawda dociera do mnie. — Zawahała się. — A zresztą nie możemy jeszcze być pewni, czy miałam rację, prawda?

— Prawda.

Leslau uważnie zbadał powierzchnię mniejszego wzgórza, po czym odwoławszy dwóch Arabów i studenta od zasypywania rowów, polecił im kopać w trzech różnych miejscach na północnym stoku, zawsze jednak w pobliżu niewielkiego zagłębienia. Wyjaśnił, że wgłębienia takie mogą świadczyć, iż gdzieś pod powierzchnią ziemia osiadła obok jakiegoś przedmiotu czy konstrukcji.

— Jak długo to potrwa? — zapytała Tamar.

Leslau wzruszył ramionami.

— Może kilka godzin, może kilka dni. Tel to kolejne warstwy szczątków pozostawianych przez ludzi. Domy obracają się w ruinę, ale gruz pozostaje, pokrywany później pyłem przez wiatr i humusem przez gnijącą roślinność. Następne pokolenia osadników tworzą następne warstwy odpadów i tak to trwa. Warstwy różnią się grubością. Jeżeli ten wzgórek to tel, a ostatnie ludzkie ślady pokrywa stosunkowo cienka powłoka ziemi, możemy dotrzeć do celu dość szybko. Jeśli natomiast powłoka jest gruba... cóż, może to potrwać bardzo długo.

Harry i Tamar postanowili zostać do wieczora.

Tamar potrafiła się wyłączyć i zająć lekturą. Spięty Harry tarł wściekle wypolerowany już granat, wydobywając z niego coraz to nowe bogactwa czerwonych lśnień. Czasem zamieniał z Leslauem kilka słów, ale w gruncie rzeczy żaden z nich nie miał nastroju na rozmowę. Siedzieli na składanych krzeselkach obok zawieszzonego na maszcie namiotu brezentowego pojemnika z wodą niczym posępni nowoangielscy pionierzy przy brzuchatym piecyku. Od czasu do czasu wpadał któryś ze spoconych kopaczy, żeby napić się i odpocząć. Student i jeden z Arabów byli młodzi, Leslau jednak oświadczył, że najlepszym robotnikiem jest drugi Arab, mężczyzna w średnim wieku.

Kiedy ten właśnie człowiek przyszedł do namiotu na odpoczynek, Harry zaproponował:

— Zostań, popracuję za ciebie.

— Nie — ostrym tonem zaproponował Leslau. — Są przyzwyczajeni do tej roboty, a ty nie.

Harry też pomyślał, że to wcale nie musi być najlepszy pomysł, lecz zanim sformułował ten wniosek, zdążył wypaść z namiotu i ruszyć w stronę wzgórza. Arab wyszedł na dwór, usiadł w cieniu i szeroko się uśmiechnął.

Na początku nie było źle, rychło jednak Harry zrozumiał, że wiele nie zwojuje. Oskarda i szpadla nie używał od lat. Ważny jest rytm, przypomniał sobie. Pomaga w pracy. Oskard unosił się i opadał.

Po pierwsze, miał delikatne dłonie. Ponieważ regularnie biegał, tchu mu nie brakło, z mięśniami za to było gorzej, ponieważ biegi hartują zupełnie inne mięśnie niż rycie w ziemi.

Ale największy problem stanowiło słońce. Ilekroć podnosił głowę, dostrzegał świat przypłaszczony i wyblakły, jak kiepski obraz na ekranie staroświeckiego czarno-białego telewizora.

W końcu na zboczach pojawił się Leslau i oznajmił stanowczo:

— Skończ te kretyńskie wygłupy.

W namiocie Harry padł na wystrzępiony dywanik modlitewny, schnąc w tempie równie błyskawicznym, jak się przedtem pocił; miał wrażenie, że zanurzono go w so-

li, na wnętrzach obu jego dłoni wykwiwały odciski rozmiaru przeciętych na pół winogron.

Tamar przypatrywała mu się uważnie, wszelako nie z troską, lecz z analityczną zadumą, która wytrącała go z równowagi.

Odsyłając zapasy, Leslau pozostawił jednak parę puszek z kurczakiem; zjedli go teraz, przegryzając jabłkami, które w tym upale zdążyły się stać kaszowate.

Poruszenie na wzgórzu obudziło w nich nadzieję, niestety, okazało się, że to tylko student wyklóca się z Arabami, którzy oświadczyli, iż po posiłku nie wrócą do pracy, jeśli najpierw nie napiją się kawy. W końcu postawili na swoim i starszy robotnik zaczął parzyć kawę w cudownie powgniatanym czajniczku, tak starym, że przez warstwę przetartego plateru tu i ówdzie wyzierała miedź.

Harry zapytał mężczyznę, czyby go nie sprzedał, Tamar zaś dorzuciła coś po arabsku.

— Co mu powiedziałaś? — spytał Harry.

— Że czajnik jest dużo wart i żeby nie sprzedawał go za grosze.

Robotnik zapytał po arabsku, czy Harry da mu tyle, aby mógł kupić sobie nowy dom.

— Chcę tylko kupić czajnik, a to wcale nie oznacza, że zamierzam poślubić jego siostrę — ironicznie rzucił Harry.

Arab najwyraźniej zrozumiał, bo z miejsca wygłosił replikę.

— Tak czajnik, powiada, jak i siostra to w swoim czasie własność jego ojca. Nie pozbędzie się ani jednego, ani drugiego.

Kawa była dobra, a za sprawą odpowiedzi — jeszcze lepsza. Gdy po przerwie na posiłek podjęto pracę, Harry uświadomił sobie, że jest już późne popołudnie.

— Muszę wracać do Jerozolimy — powiedział, patrząc z zakłopotaniem na Leslaua. Coś dobrego, co niepewnie rodziło się między nimi dwoma, zostało zniszczone, kiedy poszedł na wzgórze.

Leslau wyciągnął spod pryczy butelkę szkockiej.

— Strzemiennego? — zapytał.

Tamar pokręciła głową.

— A ja chętnie — rzekł Harry.

— Jesteś pewien, że doszedłeś już do siebie po pobycie na słońcu? — zapytała Tamar. — Bo jeśli nie, to trudno o gorszy pomysł.

— Świetnie się czuję.

Napili się z plastikowych kubeczków. Harry czuł się świetnie, alkohol jednak omal go nie zamroczył, może z powodu upału. To dlatego, przebiegło mu przez myśl, piją tu tak mało whisky... no i trzeba pamiętać o cenie.

Leslau ponownie napełnił kubeczki.

— Idę się odpryskać — zakomunikował Harry.

— Pójdę z tobą — powiedział Leslau.

Cienie były coraz dłuższe.

— Musiałeś spróbować tej czarnej roboty? — zapytał Leslau z zaczepnością człowieka lekko podpitego. — Musiałeś włożyć z buciorami w tak przecież wąziutkie kompetencje tego człowieka? To jakaś choroba czy co?

— Żadna tam choroba — odparł Harry.

Minęli jeszcze parę wzniesień, a potem stanęli ramię w ramię, śląc w dal strumienie uryny.

Harry uważnie strząsnął ostatnie krople.

— Po prostu czasem nic nie mogę poradzić na to, że zachowuję się jak dupek.

Popatrzyli na siebie, Leslau wyszczerzył zęby.

— Sądzę, że nie jesteś jeszcze beznadziejnym przypadkiem.

Wrócili do namiotu w dawnej komitywie.

Na zboczach znów się coś działo. Wszyscy trzej robotnicy klęczeli przy wykopie młodszego Araba.

— O co chodzi? — zawołał Leslau, a potem z depczącymi sobie po piętach Harrym i Tamar ruszył pospiesznie na wzgórek.

Nikt nie odpowiedział. Teraz obaj Arabowie stali w dołku, z zapalem wymachując szpadlami.

Wykop miał niewiele ponad sześć stóp głębokości, ale dopóki nie wylazł z niego młodszy Arab, Harry nie bardzo widział, co się dzieje na dnie. Starszy Arab ostrożnie pracował oskardem i rychło dostrzegli pierwsze kamienie, obrobione na kształt regularnych brukowców; najpierw wyłonił się górny rząd, potem drugi, część trzeciego. Leżały równe i mocne, w takim ordynku, w jakim kiedyś ustawiły je ludzkie ręce.

Był to mur.

Wrócili we trójkę na pustynię.

— Pomyślcie tylko — powiedział z podnieceniem Leslau. — Koniec końców możemy znaleźć ich dziedzictwo. Wyobrażacie sobie? Oto w obliczu najazdu wrogiej armii zabierają ze świątyni to co najcenniejsze: ten żółty diament, który pragniesz zobaczyć, Harry, święte przedmioty... Ukrywają je w ziemi, zapisują na miedzianej blasze, gdzie je ukryli...

— A dwa i pół tysiąca lat później ty odnajdujesz ten zwój — dodała Tamar.

— Sądzisz, że wiele skrytek splądrowano, Davidzie? — zapytał Harry.

— Większość obiektów ciągle jest w ziemi. Wiem to, czuję w kościach. Zarazem jednak mam pewność, że część skrytek znajduje się na terytoriach okupowanych, jeśli więc świat zwariuje do końca i pewnego dnia powstanie państwo palestyńskie, nie będę dalej mógł tam szukać naszego dziedzictwa. Oto dlaczego muszę kopać jak szalony właśnie teraz, kiedy dzięki Tamar nagle znaleźliśmy drogę do genizy.

Wyciągnął rękę, pokazując rozsiane na pustyni wapienne skałki.

— Woda zawsze płynęła w tym samym kierunku, więc idąc w górę dawnej rzeki, możemy wytropić miejsce, gdzie niegdyś było wzgórze. Kiedy tego dokonamy, położymy dobrą siatkę archeologiczną i zaczniemy wykopaliska z prawdziwego zdarzenia. Gdzieś tam, dwadzieścia trzy łokcie albo trochę więcej pod ziemią, jest część tego, czego szukam. — Uciekł spojrzeniem w stronę purpurowych wzgórz i potrząsnął kufakiem. — *Hehrt, alte momserim!* Posłuchajcie, stare gnojki! — wrzasnął. — Znajdę je w końcu! — Ponownie pogroził pięścią... Komu?

— Davidzie... — powiedziała cicho Tamar. Zamrugał oczyma, obrócił się i wszedł do namiotu. Kiedy Harry poprosił go nieco później, by pozwolił mu obejrzeć oryginał Miedzianego Zwoju, wydał się stropiony.

— To w tej chwili niekonieczne. Pozwól nam pokopać w tym miejscu.

Harry pokręcił głową.

— Tu nie chodzi o twoją pracę, lecz o diament. Chciałbym przestudiować akapit opisujący genizę, w której został ukryty. Na mojej fotokopii fragmenty tekstu były nieczytelne.

Leslau wzruszył ramionami.

— John — ryknął do studenta. — Pojedziesz z tymi ludźmi do Jerozolimy i dopilnujesz, żeby dostali to, czego potrzebują. A tamtym powiedz, że chcę tu mieć z powrotem ciężarówkę na jutro rano.

Rozdział 24

TYBERIADA

Miedziany Zwój został wyczyszczony i wypolerowany, inskrypcje zaś, chociaż z pewnością nie tak wyraziste jak wtedy, kiedy je wykonywano, dawały się odczytać bez trudu. Stali we dwójkę nad zwojem w niechlujnym małym gabinecie Leslaua, mając wrażenie, iż znajdują się w świątyni, i Tamar odczytała na głos pierwszy akapit: „Oto słowa Barucha, syna Neriasza ben Masjasza z rodu kapłanów w Anatot w ziemi Beniamina, któremu przykazanie, by ukryć skarby Pana, zostało wydane za pośrednictwem Jeremiasza, syna kapłana Chalkiasza w dniach Sedecjasza syna Jozjasza, króla Judei, w dziewiątym roku jego władania.”

Kiedy odnaleźli akapit dotyczący genizy w dolinie Akor, Harry stwierdził, że nieczytelny na jego fotokopii opis diamentu jest zupełnie wyraźny.

Opisano zaś diament słowem *hinnaga*.

— *Hinnaga*... To znaczy „rzecz ze skazą” — powiedziała Tamar.

— Wiem. — Z wysiłkiem zaczerpnął powietrza, nie chcąc przyjąć do wiadomości czegoś całkiem oczywistego. — Czy możemy jeszcze mieć jakiegokolwiek wątpliwości?

— Nie, Harry — odparła. — Jest tu wyraźnie mowa o diamencie z poważną skazą.

— Mój Boże — westchnął z rozpaczą. — To j a gonię za chimerą! Diament oferowany na sprzedaż przez Mehdiego nie ma istotnych skaz, co oznacza, że nie jest kamieniem opisanym na zwoju, kamieniem z jerozolimskiej świątyni!

*

W hotelu czekał na niego list; rozpoznał zamaszysty, lecz precyzyjny charakter pisma — efekt wysiłków pedagogicznych europejskiego nauczyciela czy guwernera? — jeszcze zanim rozerwał kopertę.

„Drogi Panie Hopeman,

czy mógłbym prosić o jeszcze jedno spotkanie?

Jestem w najwyższym stopniu świadom, iż to Pan stosował się zawsze do moich zaleceń i Pan znosił związane z tym niewygody. Zapewniam jednak solennie, było to konieczne, obiecując zarazem, że podczas naszej przyszłej długofalowej współpracy — którą, mam nadzieję, podejmiemy ku obopólnemu zadowoleniu — to ja będę stroną dyspozycyjną.

Proszę zatem być w środę o czternastej na dworcu autobusowym w Elacie.

Pozostaję z najwyższym dla Pana szacunkiem. Jusuf Mehdi."

— Oczywiście nie pójdziesz? — powiedziała Tamar.

— Chyba jednak powinienem.

— Skoro klejnot Mehdiego nie jest Diamentem Inkwizycji, to nie jest też kamieniem, którego zakup ci zlecono. Po cóż więc zawracać sobie głowę?

— To niezmiernie wartościowy żółty diament, a ja handluję diamentami. Rozumiesz?

Przytaknęła.

— Ale... głowa do góry, dobrze? — powiedziała miękko.

Jej pocałunek nie wydał mu się dostatecznie solidną podstawą do obudzenia w sobie szampańskiego nastroju.

— Nie sądzę, żebym dostał nawet ten klejnot. Moim zdaniem Mehdi ma innego nabywcę.

— Więc dlaczego chce się z tobą spotkać?

Uczucie rezygnacji obudziło w Harrym mocno zaakcentowane sformułowanie „przyszła długofalowa współpraca".

— Podczas tego spotkania nie będziemy negocjować ceny żółtego diamentu. Chodzi o to, abyśmy mogli się rozstać w kordialnej atmosferze, co pozwoli nam robić interesy jutro czy w przyszłym roku.

Ponownie przeczytał list w nadziei, że znajdzie podstawy, aby zweryfikować swoje pierwsze wnioski, i tym razem jednak jego reakcja była taka sama.

— A więc muszę poczekać jeszcze pięć dni — stwierdził.

— Zostańmy w Jerozolimie — zaproponowała.

Czuł, że przegrał, a przegranej nigdy nie potrafił znieść z godnością. Obserwowanie piątkowego popołudnia w Jerozolimie nieco podniosło go na duchu, przypominało bowiem uczestnictwo w bożonarodzeniowych przygotowaniach Ameryki, zgiełku, ożywieniu, zakupach czynionych w ostatniej chwili. Biura i sklepy zamykano tego dnia wcześniej, aby pracownicy mogli dotrzeć do domów przed zachodem słońca, na ulicach było rojno od ludzi spieszących gdzieś z butelkami wina i kwiatami na stół. Był pod wrażeniem tego, jak starożytne miasto najpierw niewiarygodnie przyspieszyło, po czym raptownie znieruchomiało, jak z ulic znikwały autobusy i samochody osobowe. Dosłownie wszyscy uczestniczyli w szabatowych wieczerzach z rodziną lub przyjaciółmi: niewierzący czyniąc zadość sympatycznej tradycji, ortodoksi przygotowując się do pójścia do synagogi, aby powitać królową Szabat.

Nazajutrz wszystko było pozamykane, ale żydowska Jerozolima hurmą wyległa na ulice — spacerowali kochankowie, rodziny z gromadkami dzieci w różnym wieku, starszankowie majestatycznie sunący w słońcu. Harry i Tamar poszli do Starego Miasta, gdzie arabskie sklepy obsługiwały klientelę w głównej mierze żydowską, tak samo jak w piątki, muzułmański dzień modlitwy, żydowskie sklepy obsługiwały Arabów.

Zawędrowali do starożytnej dzielnicy żydowskiej. Kamienne domy i synagogi, zniszczone przez Arabów podczas wojny o niepodległość, zrekonstruowano z niezwykłym pietyzmem. Harry odniósł wrażenie, iż został przeniesiony do jakiegoś innego czasu i miejsca, dużo przyjemniejszego niż zarażona plagą wysokościowców Nowa Jerozolima.

Długo milczał.

— Gdybyśmy tak kupili jeden z tych pięknych kamiennych domów... — mruknął wreszcie bardziej do siebie niż do Tamar.

— Na mieszkanie? Trzeba by mieć ogromną rodzinę albo... albo poszukać czegoś mniejszego.

— Nie, nie na mieszkanie.

Stał na środku ulicy i studiował zrekonstruowane domy.

— To musiałyby być wspaniałe budynki. Albo zabytek, który przetrwał wszelkie koleje losu, albo doskonała replika, coś w rodzaju tych tutaj. Wnętrza urządzone z prostotą w stylu bliskowschodnim. Drobne akcenty luksusu tylko po to, żeby złagodzić surowość wystroju. I żadnych szyldów... Niech cały świat sam znajdzie drogę do firmy Alfred Hopeman i Syn w Jerozolimie... To by mogło być coś naprawdę ekstra.

Pomagała mu uporać się z druzgocącym rozczarowaniem, że klejnot Mehdiego nie jest Diamentem Inkwizycji; powrócili wspomnieniem do jej triumfu w Engedi; kochali się, jedli zbyt wiele daktyli i snuli plany dotyczące najwspanialszej firmy jubilerskiej na świecie. Poniedziałek wszakże Tamar powitała z rozdrażnieniem.

— Będę miała okres — oznajmiła po południu. — Chyba powinnam wrócić do siebie, Harry.

Ochoczo uznał wyjaśnienie za jedyny powód jej nastroju.

— Nie, zostań ze mną — odparł, gładząc jej włosy i całując w czoło. — Będę się tobą zajmował, poprawiał ci humor. Pojedźmy do Tyberiady i zostańmy do jutra. Pojemy ryb, będzie wspaniale. Będziesz mogła pobrodzić sobie w Jeziorze Galilejskim.

Popatrzyła nań z rozbawieniem.

— Ależ umiem pływać.

— Tym lepiej.

— Wiesz, co szczególnie podoba mi się w naszym związku?

— Co?

— Jest tak relaksujący — odparła.

Nad Jeziorem Galilejskim nie brakło nowoczesnych ośrodków, wybrali wszakże jeden ze starszych luksusowych hoteli. Przyjechali do niego dopiero po zmroku; w świetle latarni na tamie Harry dostrzegł z okna, że jakieś owady mają różkę, a wzdłuż całego brzegu jeziora oczkują ryby.

Tej nocy Tamar miała obolałe piersi i nękały ją skurcze, toteż Harry, mając w pamięci, iż Della przed miesiączką zawsze traciła zainteresowanie dla seksu, nastawił się na abstynencję.

Tamar jednak zaskoczyła go swą gotowością.

— Chcę tego — powiedziała.

Zasnął z ręką na jej brzuchu, chłodzony lekko wilgotną bryzą znad jeziora wdzierającą się przez otwarte okno do ich pokoju.

Rankiem dostrzegł kamienne mola, które jak długie szare palce dźgały jezioro, za nimi zaś pyrkający pękaty kuterek rodem z ilustrowanej książki dla dzieci.

Słońce poprawiło Tamar samopoczucie. Skakali do wody z mola, zbudowanego — jeśli wierzyć recepcjoniście — jeszcze przez Rzymian. Dzień był przyjemny, nie za gorący, z lekkim zachmurzeniem. W hotelu mieszkało niewielu gości, przeważnie Izraelczyków sądząc z wyglądu. W brzuchatym starszym panu sunącym dostojną żabką Tamar rozpoznała słynnego generała. Po południu pojawiło się małżeństwo z parą wspaniałych chartów rosyjskich. Właścicielka czempionów, niska szczupła kobieta z miniaturowym biustem i maleńką jędrną pupeczką, musiała kiedyś być baleriną — co stwierdzili zgodnie na podstawie jej muskularnych łydek.

— Są bogaci — zauważyła Tamar. — Ty pewnie spędzasz wiele czasu w towarzystwie bogaczy.

— To żadna kara. Są interesujący.

— Biedacy są znacznie bardziej interesujący — zareplikowała z uśmiechem. — Dlatego Izrael jest tak ciekawym krajem.

Do kolacji usadzono ich przy jednym stole z generałem, właścicielami chartów i jeszcze jedną parą, która dowiodła swym przykładem, że nie zawsze szewc bez butów chodzi, prowadząc bowiem agencję turystyczną, cały dzień spędziła na zwiedzaniu. Oboje z uporem godnym lepszej sprawy zanudzali Harry'ego opowieściami o grobowcu zmarłego śmiercią męczeńską rabiego Meira.

Jedli rybę, która z wyglądu przypominała okonia, a smakowała jak pstrąg — rybę świętego Piotra z Jeziora Galilejskiego.

General łaskawie udzielił informacji, że gatunek ów przetrzymuje swój narybek w pyskach.

— Sprytne — mruknęła Tamar, której skurcze doskwierały coraz bardziej.

Właściciele agencji turystycznej czuli się w drogim tyberiadzkim hotelu jak w domu; właściciele chartów wyglądali na ludzi, którzy czuliby się jak w domu nawet w Monako. Kobieta była uciekiniarką ze Związku Sowieckiego, była solistką leninogradzkiego baletu Kirowa. Imigrując do Izraela, spodziewała się brutalnej walki o byt i szoku kulturowego, zamiast tego jednak znalazła bogactwo w osobie producenta odbiorników telewizyjnych. Naturalną koleją rzeczy rozmowa zeszła na tematykę telewizyjną; podkreślono, że w każdy niedzielny wieczór cały Izrael zasiada przed aparatami, żeby obejrzeć kolejny odcinek serialu „Wszystko w rodzinie”.

— Jakim cudem możecie to zrozumieć? — zapytał z rozbawieniem Harry.

— Ależ rozumiemy doskonale. Rzecz jest o niepokojach sympatycznego bigota, który martwi się, że jego córka poślubiła kogoś, kogo on określa mianem Polaczka. Takie niepokoje są udziałem sympatycznych bigotów jak Izrael długi i szeroki. Jacyś Aszkenazyjczycy, żeby dać choć jeden przykład, martwią się, że ich córki wychodzą za Żydów z Maroka.

— Przemysłowiec zerknął na ciemnoskórą Tamar. — Chociaż Marokańczycy to wspaniali ludzie — dodał.

— Jemeńczycy również — powiedziała spokojnie.

Przemysłowiec uniósł kieliszek z winem.

— Koniec końców nasze praprawnuki stworzą jeden żydowski amalgamat — rzekła kobieta z Rosji.

— Nie, nie będziecie tacy sami jak reszta Żydów — zaproponował Harry.

Skierowały się nań wszystkie spojrzenia.

— Sądzi pan, że staniemy się podobni do muzułmanów?

— przesadnie uprzejmym tonem zapytał właściciel biura turystycznego. — A może do chrześcijan?

Harry pokręcił głową.

— Już teraz jesteście Izraelczykami, a więc różnicie się od pozostałych Żydów. — Dokończył swoją rybę.

— Proszę łaskawie wyjaśnić, czym się różnimy — zainteresował się generał.

— Jesteście zwycięzcami i aby istnieć, musicie zwyciężać nadal. Reszta Żydów wiecie się w prostej linii od bezmiernej rzeszy przegranych. Nasze fundamentalne emocje odziedziczyliśmy po ludziach, którzy wstrzymywali oddech, kiedy do drzwi łomotały władze, dlatego chętnie rozwijali w sobie umiłowanie sprawiedliwości społecznej.

— Mamy te same korzenie i te same fundamentalne emocje — zaproponował po chwili ciszy generał. — Sądzi pan, że skoro trwamy, zapomnieliśmy, jak to jest, kiedy nie ma się wpływu na własny los?

— Wcale tak nie sędzę, myślę natomiast, iż to niebezpieczeństwo, przed którym należy się mieć na baczności.

— Jeśli aż tak bardzo przejmuję się pan obliczem Izraela — powiedział ostentacyjnie jowialnym tonem przemysłowiec — to dlaczego pan tu nie mieszka?

— Akurat rozważam taką możliwość — odparł nonszalancko Harry.

Pochwalny szmer wokół stołu zabrzmiał w jego uszach jak aplauz.

— Proszę powiedzieć, Hopeman, czy ma pan dzieci? — zapytał generał.

— Syna.

— Poświęciłby go pan, żeby nadal mieć możliwość bycia wrażliwą istotą ludzką?

— Nie wierzę w ofiary. Jeśli opowieść o Abrahamie i Izaaku jest prawdziwa, to Abraham nie był człowiekiem pobożnym, lecz wariatem.

Generał pokiwał głową.

— Nie musimy składać w ofierze naszych dzieci, aby zachować człowieczeństwo. Będziemy zawsze gotowi. Stracimy jak najmniej synów. Ale Żydzi na całym świecie będą wiedzieć, że jest jakiś Izrael, do którego w razie potrzeby mogą przybyć.

— Ile lat ma pański syn? — zapytała żona agenta.

— Prawie trzynaście.

— My też mamy nastolatków. Gdyby osiadł pan w okolicach Hajfy, proszę się z nami skontaktować, zarekomendujemy panu najlepsze szkoły.

— To miłe z państwa strony — odparł, czuł jednak, że nie może na tym poprzestać. — Ale on zostanie w Ameryce. Jeśli tu ściągnę, podejmę decyzję wyłącznie we własnym imieniu. On, również we własnym imieniu, zdecyduje później.

— Czyż Izrael nie oferuje dostatecznie wiele, by z czystym sumieniem mógł pan decyzję podjąć za niego? — zapytał łagodnie producent telewizorów.

— Jestem kimś, kogo w swoim czasie określało się mianem liberała — odparł Harry. — Protestowałem, maszerowałem z transparentami. Wypowiedziałem pod adresem Stanów wiele krytycznych opinii. Ale nawet w najmroczniejszych momentach swej historii Ameryka była najlepszym, najbardziej emocjonującym i obiecującym krajem świata dla każdego, w tym również dla trzynastoletnich chłopców.

Tamar pobladła, chwilę później przeprosiła całe towarzystwo i wypadła z restauracji. Pospieszył za nią; kiedy wszedł do pokoju, leżała na łóżku w pozycji embryonalnej.

— Mam wezwać lekarza?

— Przestań się wygłupiać, właśnie zaczął mi się okres. Zawsze tak to przechodzę.

— Chcesz, żebym został z tobą tej nocy? — zapytał, mając nieprzyjemną świadomość, że nazajutrz musi być w Elacie.

— Nie. Zabierz mnie do Jerozolimy, proszę.

Przez całą drogę jechała z głową odchyłoną na oparcie fotela. W pewnym momencie zerknął na nią i przekonał się, że patrzy nań badawczo.

— Przykro mi, że nie zdobyłeś Diamentu Inkwizycji, Harry — powiedziała.

Ścisnął jej dłoń.

— Sądzisz, że jeszcze istnieje?

— Nie wiem.

Poprosiła, by zawiózł ją do jej mieszkania.

— Mam do omówienia wiele spraw.

— W porządku, byle nie tej nocy.

— Zadzwoń zaraz po powrocie — obiecał. Przed drzwiami pocałował ją delikatnie. — Szalom, szalom. Wracaj do zdrowia, Tamar.

— Szalom, najdroższy — odpowiedziała.

Rozdział 25

SJ DUESENBERG

Zamówił w recepcji budzenie o szóstej, ale przekonany, iż telefon zadzwonił znacznie wcześniej, długo jeszcze leżał w łóżku oszołomiony i półprzytomny; potem wziął solidny prysznic, dzięki czemu pozbył się wreszcie piasku z oczu i odzyskał trzeźwość umysłu. Czekala go pięciogodzinna jazda, lecz postanowił nie siadać za kierownicą — wyszedł przed hotel i złapał taksówkę.

Szofer szeroko otworzył oczy.

— Mogę zadzwonić do żony? — zapytał.

— Ma pan dwie minuty.

Rozpromieniony, wrócił wcześniej. Harry rozwalił się na tylnym siedzeniu i oświadczył:

— Daję premię, jeśli nie będzie pan gadał i słuchał radia. Chcę się przespać.

Taksówkarz przekręcił kluczyk w stacyjce.

— Aj, lulu lulu, dzidzi — powiedział.

Za osiem minut druga, stojąc na dworcu autobusowym w Elacie, dostrzegł człowieka Mehdiego.

— Tresca, tu jestem — zawołał.

Albańczyk uradował się, jakby zobaczył starego przyjaciela.

— Dzień dobry, sir.

Harry liczył na duesenberga, Tresca zaprowadził go jednak do chryslera, takiego samego jak jego drugi samochód, tylko innego koloru i chyba z młodszego rocznika.

— Coś się stało z tamtym autem? — zapytał.

— Nie, ale nie korzystamy z niego, kiedy musimy parkować w mieście. Bardzo się o nie troszczymy.

— Mhm.

Ruszyli w stronę, z której Harry przyjechał taksówką, a przeszło godzinę później skręcili z szosy. Tym razem jednak zmiana tablic rejestracyjnych nie była konieczna, bo podskakując na wybojach wjeżdżali coraz głębiej w izraelski Synaj. W końcu zatrzymali się przed podniszczoną małą willą, wtopioną niemal doskonale w zerodowany górski pejzaż. Duesenberg parkował pod domem, od północnej strony.

— Witaj, przyjacielu! — powiedział Mehdi, stając w drzwiach.

— Jak pan znalazł to miejsce? — zapytał Harry, kiedy ściskali sobie dłonie.

— To nie moja zasługa — odrzekł Mehdi. — Bardil je znalazł. Bardil wynajduje wszystkie moje domy.

— W okolicy nie ma absolutnie nic.

— Nic a nic — zgodził się Mehdi. — Tylko mała wytwórnia wyrobów miedzianych, mniej więcej dziewięć kilometrów na południe.

Pojawił się Bardil z miętową lemoniadą i nieśmiało pozdrowił Harry'ego. Harry wypił jedną po drugiej trzy filiżanki, podczas gdy Mehdi przeplatał rytualną papłanię arabskiego gospodarza pytaniami o niewygodę podróży.

— Zamierza pan sprzedać żółty kamień komuś innemu, prawda? — zapytał bez ogródek Harry.

Mehdi popatrzył nań badawczo.

— A czy jest pan gotów zapłacić moją cenę, przyjacielu?

— Nie, jest zbyt wysoka.

— Bez wątplenia nie nazbyt wysoka jak na kamień o takiej przeszłości.

— Nie znam jego przeszłości, jestem natomiast pewien, że ten klejnot nie jest Diamentem Inkwizycji.

Wyraz szoku na twarzy Mehdiego był autentyczny, Harry miał co do tego całkowitą pewność.

— Takie chwytaki nie pasują do człowieka pańskiego formatu, panie Hopeman.

— Prawda pasuje do każdego — odparł Harry.

— Ależ to jest Diament Kaaby!

— Nie.

— Jakimi dysponuje pan dowodami?

— Kamień z Kaaby ma skazę, bardzo poważną skazę. Pański diament jej nie ma.

— Skąd pan wie o skazie?

— Tego nie mogę wyjawić.

Mehdi parsknął.

— Rzecz ma związek z będącymi właśnie w toku poważnymi badaniami archeologicznymi. Nie mogę panu powiedzieć więcej, nie nadużywając zaufania, jakim mnie obdarzono.

Mehdi pokręcił głową.

— Przykro mi, przyjacielu. Gdyby przedstawił pan jakieś dowody... Osoby jednak, którym sprzedam kamień, są pewne, że to Diament Kaaby. Ja również.

— Będzie pan zatem sprzedawał klejnot z fałszywym rodowodem.

— To wyłącznie pańska opinia — stwierdził Mehdi sucho. — Pańskie wątpliwości niepokoją mnie, rzecz jasna, ale nie wpłyną na los transakcji. Na szczęście nie pan będzie nabywcą kamienia.

— Nigdy pan nie zamierzał mi go sprzedać — odrzekł Harry. — Powód pańskiego zaproszenia musi być inny.

— Tak.

— Reszta klejnotów przekazanych panu przez Faruka?

— Pragnę, aby pouczył mnie pan, w jaki sposób je zbywać, i sporządził agendę przyszłych transakcji. Jestem skłonny dobrze zapłacić za porady.

— Ale mojej rady co do żółtego diamentu nie chce pan przyjąć nawet za darmo.
— Mehdi milczał, toteż Harry po chwili dodał: — Nie jestem płatnym doradcą. Czy zamierza pan sprzedać resztę kamieni mnie?

— Taką żywią nadzieję.

— A ja w taki właśnie sposób zarabiam pieniądze. Czy mógłbym obejrzeć kolekcję?

— Nie, nie teraz, mam jednak prawomocne ekspertyzy wszystkich kamieni — powiedział Mehdi i pokazał leżący na stole plik dokumentów.

Kolekcja prezentowała się lepiej, niż przypuszczał Harry, Mehdi zaś był człowiekiem mądrym i przezornym: ekspertyzy, opatrzone potwierdzonymi notarialnie podpisami, zostały sporządzone przez najlepszych rzeczoznawców z różnych stron świata, ludzi poważanych i częstokroć znanych Harry'emu. Powoli i uważnie czytał każdy opis, odnotowywał wartość poszczególnych klejnotów w momencie dokonywania oceny, obok zaś obecną, wynikłą z zaistniałych w międzyczasie fluktuacji rynkowych.

Mehdi dołączył do akt kopie ekspertyz czterech klejnotów, które zdążył sprzedać, z adnotacjami o uzyskanych cenach. Harry poinformował go, że na dwóch transakcjach wyszedł jak Zabłocki na mydle.

Mehdi skinął głową.

— Wiem i dlatego tak wysoko cenię sobie pańską współpracę.

— Nie jest łatwo ułożyć plan sprzedaży kamieni sztuka po sztuce — powiedział Harry. — Wszystko zależy od pańskich potrzeb finansowych. Wielu ludzi sprzedaż tylko jednego z tych kamieni ustawiłaby na całe życie.

— Zawsze żyłem jak król, czemu więc miałbym rezygnować z dotychczasowego poziomu tylko dlatego, że mojego władcę dopadła śmierć, a mnie jeszcze nie? Co jednak ważniejsze, niepewne okoliczności sprawiają czasem, że moje dalsze istnienie jest funkcją wysokich, bardzo wysokich wydatków.

Tak więc, niczym agent ubezpieczeniowy ustalający system dorocznych płatności, Harry sporządził plan transakcji, z których pierwsza miała się odbyć za trzy lata.

— Oczywiście jednorazowa sprzedaż całej kolekcji miałaby z pańskiego punktu widzenia ten ogromny plus — zauważył — że wyeliminowałaby ryzyko, iż umrze pan, zanim wyzbędzie się wszystkich klejnotów.

— Jeśli umrę, nie będę się martwić o utracone pieniądze.

— Och, ale ja będę.

Mehdi zachichotał jak dziecko.

— Polubiłem pana, Hopeman.

— Ja też pana polubiłem. — Tak było w istocie, chociaż Egipcjanin nie uwierzył w jego rewelacje o żółtym diamencie.

— Nie wiem wprawdzie, czy obdarzyłbym pana równą sympatią w czasach Faruka, teraz jednak naprawdę przypadł mi pan do gustu.

— Nie, wtedy nie obdarzyłby mnie pan sympatią — rzekł Mehdi cicho. — Pod koniec nie byliśmy już sobą, przemieniliśmy się, mając tego świadomość, w parę opasłych zdeprawowanych libertynów. Ale na początku... na początku byliśmy po prostu fantastyczni. Gdyśmy jako chłopcy studiowali w Anglii, w Królewskiej Akademii Wojskowej, najlepsi, najświatlejsi ludzie Europy odwiedzali nas w Woolwich i podczas odbywanych w naszym pokoju całonocnych dyskusji pomagali nam planować lepszą przyszłość dla monarchii egipskiej. Sugerowali nieustannie, byśmy brali za przykład Szwecję.

— I cóż się stało z tymi planami?

— Nie chciałbym być słuchaczem tej historii, a tym bardziej narratorem. — Mehdi obdarzył Harry'ego dziwnym gorzkim uśmiechem. — Ale kiedyś przypominaliśmy młode lwy — dodał.

Bardil zaserwował im wyśmienitą kolację, a do niej trzy gatunki win. W swobodnej po raz pierwszy atmosferze — skoro interesy zostały załatwione — Mehdi okazał się doskonałym kompanem, Harry więc niemal z żalem przyjął do wiadomości informację, iż nie zostaną w willi na noc.

— Podrzucimy pana do wygodnego hotelu, dość się pan dzisiaj napodróżował — oświadczył ze współczuciem gospodarz.

— Nie, chcę wrócić do Jerozolimy. Proszę mnie tylko podwieźć gdzieś, gdzie złapię taksówkę.

— Ach, jest znacznie lepsze wyjście. Jedziemy aż za Jerozolimę, możemy zatem dowieźć pana na miejsce.

Pożegnali się z Bardilem, który miał posprzątać dom, a później wyruszyć w ślad za nimi chryslerem, po czym wyszli na dwór, gdzie czekał już gotowy do drogi duosenberg. Harry nie wsiadł od razu, lecz kilkakrotnie okrążył auto, podziwiając styl, który w Detroit usiłowano imitować od dziesięcioleci.

Wreszcie nie wytrzymał.

— Czy nie rozważał pan sprzedania tego wozu? — zapytał.

Mehdi nie posiadał się z radości.

— Nie mogłem się doczekać na to pytanie. Tak jestem rad, że je pan w końcu zadał! — Nawet nie fatygował się, aby odmówić wprost. — Z powodu tego auta zdecydowałem się sprzedać tak tanio pierwszy klejnot.

— Rubin Katarzyny Drugiej?

— Tak. Wóz był w Egipcie, przez wiele lat prażył się na polu, stanowiąc siedlisko srok. Nie stał nawet na bloczkach, lecz po prostu na felgach i kapciach opon. Bardil musiał pojechać i posmarować wiele rąk; potem samochód został rozebrany, żeby każdą część można osobno wyeksportować za granicę. Piekielne przedsięwzięcie! Samo podwozie waży dwie i pół tony.

— Mógłbym poprowadzić?

— Ależ jak najbardziej — odparł Mehdi. — Usiądę obok pana. — Uchylił tylne drzwi, gestem zapraszając kierowcę do środka. — Dzisiaj my powozimy Trescę.

Wóz z pulsującym pomrukiem obudził się do życia, ale kierownicą — ku bezbrzeżnemu zaskoczeniu Harry'ego — ledwie zdołał poruszyć; tu była potrzebna siła znacznie większa niż przy prowadzeniu najcięższych ciężarówek.

— Samochód musi osiągnąć prędkość maszerującego człowieka — odezwał się z tyłu zaniepokojony Tresca — a wtedy wszystko zacznie pracować na łożyskach.

Istotnie, sunące auto posłusznie ulegało każdemu drgnieniu dłoni, a na wyboistej drodze — którą Harry pokonywał powoli i ostrożnie — samo zdawało się wybierać

szlak pomiędzy rozrzuconymi kamieniami. Kiedy zaś dotarli do wyłożonej betonowymi płytami szosy, wystarczyło lekkie przyciśnięcie pedału gazu, by z piskiem opon rozpędziło się do dziewięćdziesiątki, przy czym silnik nadal pomrukiwał niemal bezgłośnie.

— Wyciąga dwa razy tyle — oświadczył Mehdi.

— Jeśli zahamuje pan zbyt ostro, sir, porozbijamy sobie głowy — ostrzegł z naciskiem Tresca.

Harry więc, kiedy zachodziła potrzeba, hamował delikatnie. A kiedy jak nóż rozcinali ciemność, wyobrażał sobie Ben Hura powożącego rydwanem przyprzeżonym do czterystu dwudziestu wspaniałych koni, z których każdy daje z siebie wszystko.

Po mniej więcej godzinie jazdy dostrzegł przed sobą światła miasta i lekko nacisnął pedał hamulca. Wtedy na drogę wyroiło się coś, co przypominało stado szarych duchów.

— Co to znowu? — zapytał Mehdi.

— Sądzę, że owce — odparł Harry, wyłączając silnik, żeby nie trwonić paliwa.

Za zwierzętami jednotonowa ciężarówka z wysiłkiem naprężała hol, do którego był przyczepiony stojący na przeciwległym poboczu szosy land rover; większy samochód najwyraźniej nie mógł sobie poradzić z pociągnięciem mniejszego.

Tresca wychylił się do przodu.

— Pamięta pan to miejsce? — zapytał Harry'ego. — Też musieliśmy tu stanąć, kiedy wiozłem pana do Jordanii.

Harry pamiętał, że ciężarówka przejechała wtedy kozę.

— Nie podoba mi się, że zostaliśmy dwa razy zatrzymani w tym samym miejscu — zwrócił się Tresca do Mehdiego. — Może chodzi o pana. Dwa razy to już nie przypadek.

Mehdi otworzył skrytkę zawierającą broń.

Harry wyteżał wzrok. Na obrzeżach skrawka przestrzeni wyławianej z mroku przez światło reflektorów owce rozstepowały się na boki — przez stado przebiegała się grupka mężczyzn, sześciu albo siedmiu. Jeden nosił biały turban w ciemne pasy, drugi, idący tuż za nim, przylegającą do głowy czapkę. Mężczyzna w turbanie mógł

być zdenerwowany lub wystraszony, bo nieustannie oglądał się za siebie, jakby chciał zyskać pewność, że pozostali podążają za nim.

Harry dostrzegł wreszcie ich dłonie.

— Dobry Boże!... — powiedział.

Tresca rzucił coś po arabsku, Mehdi sięgnął po broń, ale Arab w czapce zdążył już cisnąć w przednią szybę jakiś przedmiot. Szkło nie rozpadło się na kawałki, chociaż pokryła je pajęczyna pęknięć, granat odbił się i zniknął. Potem wydarzenia potoczyły się jak lawina.

Harry wyciągnął ramię, otworzył drzwiczki po stronie pasażerskiej, wbił stopę w zebra Mehdiego, wypchnął go na zewnątrz, wygramolił się pospiesznie za nim i padł na ziemię obok Egipcjanina. Zrobił to powodowany wyłącznie instynktem, nie miał bowiem pojęcia, na którą stronę auta odleciał granat... może leżał pod tłustym ciałem Mehdiego.

Granat wybuchł z drugiej strony i w tym samym momencie Arabowie otworzyli ogień na duesenberga.

Harry złapał Mehdiego za rękę i obaj na oślep, jak zagubione dzieci, rzucili się w mrok. Mehdi poruszał się kiepsko, gorzej niż większość ludzi jego tuszy, prawie nie był zdolny biec, i Harry miał wrażenie, że przebijają się przez jakąś kleistą substancję. Bał się, że Egipcjanin dostanie zawału, bo mimo strzelaniny doskonale słyszał jego chrapliwy oddech.

Rozciął sobie ramię, gdy wpadli na drut kolczasty, chyba stary i przerdzewiały, zapewne odzysk z którejś wojny; kalecząc się coraz dotkliwiej, przełaził jak niezgrabna jaszczurka na drugą stronę i myślał o tężcu. Mehdi utknął, Harry musiał włożyć wiele wysiłku w uwolnienie go.

— Na Allaha! — wysapał Mehdi.

W odległości piętnastu metrów od nich ogień nie ustawał ani na chwilę; akurat wtedy, kiedy Mehdi odzyskiwał swobodę, eksplodował zbiornik paliwa. Rozpłaszczyli się na ziemi, usiłując ukryć się przed ognistą kulą.

Harry dostrzegł, że Mehdi trzyma grubolufy rewolwer Treski. Bojąc się, iż zacznie strzelać i w ten sposób zdradzi ich kryjówkę, usiłował odebrać mu broń, lecz palce Egipcjanina zaciskały się na kolbie z nieczłowiecką siłą.

— Nie strzelaj — powiedział, ale jego głos utonął w kolejnej salwie. Mocno uszczypnął Mehdiego w tłustą dłoń. — Nie strzelaj — powtórzył szeptem.

Mehdi tylko popatrzył nań tępo.

Harry trzymał głowę przy samej ziemi, usiłując skryć się za kamieniami leżącymi wzdłuż drutu. Spodziewał się, że zostaną odkryci wcześniej czy później. W dzieciństwie usłyszał o człowieku, który nazywał się tak samo jak jego ojciec, i od tego czasu miał koszmarne sny: Harry krył się skulony w piwnicy domu, Bruno Hauptmann zaś przybywał, aby go stamtąd zabrać. W tej chwili właśnie czuł się tak, jak w owym śnie — tyle że nastąpiły w nim niewielkie zmiany.

Zamiast Hauptmanna przybyły jakieś pojazdy i zaraz potem ogień spotężniał. Harry uniósł głowę na chwilę zaledwie dość długą, by zorientować się, iż Arabowie nie ostrzeliwiają już płonącego samochodu. Mierzyli gdzieś dalej, ale co ważniejsze, odpowiadano im ogniem. Harry miał w polu widzenia tylko dwóch — obaj błyskawicznie zostali trafieni i padli na ziemię, ktokolwiek jednak oddał celne strzały, posyłał dalej kulę za kulą sprawiając, że martwe ciała podskakiwały i wiły się jak węże.

Z nie oświetlonego obszaru wypadł trzeci Arab, pognał na oślep w stronę Harry'ego i Mehdiego, tak samo jak oni chwilę wcześniej. Usłyszeli jego świszczący, oddech, a potem jęknięcie, kiedy wpadł na druty. Przecisnął pomiędzy nimi głowę i tors.

Patrzyli na niego z dołu, a on na nich z góry.

Mehdi uniósł broń obiema pulchnymi dłońmi, przyłożył lufę do szyi Araba i nacisnął spust.

Harry obejmował ramieniem Egipcjanina.

— Nigdy nie zamierzałem go sprzedać obcym — wyszeptał Mehdi. — Chciałem, by wrócił do mojego ludu jako część jego dziedzictwa. — Wydawało się, że doznał ataku łagodnej hysterii. — A jednak nie pozwolą mi wrócić. Nigdy mi nie wybaczyli — dodał.

Zgubił gdzieś swój fez.

— *Haim ata margisz beseder?* — zapytał żołnierz. — Wszystko w porządku?

Harry przytaknął patrząc, jak inni tłumią ogień gaśnicą proszkową.

Dopiero później pomyślał z niepokojem — a także wstydem i lękiem — że w owej chwili kiedy obejmował ramieniem roztrzęsionego Mehdiego, kiedy na ziemi leżały trupy, a coś, co jeszcze niedawno było Trescą, wciąż dymiło na tylnym siedzeniu, że zatem w owej chwili potrafił tylko odczuwać przytłaczający żal, iż na całym świecie pozostało zaledwie dwadzieścia dziewięć duesenbergów SJ.

Rozdział 26

SZCZĘŚCIE

I BŁOGOSŁAWIENSTWO

W obozie wojskowym zostali przesłuchani przez młodego smagłego majora, który z bezgraniczną cierpliwością powtarzał te same pytania aż do chwili, gdy uzyskał uszczegółowioną co do sekundy ich wersję wydarzeń związanych z napadem. Nie zadawał żadnych pytań osobistych, toteż Harry był pewien, że ich życiorysy zna na pamięć.

Żyło tylko dwóch napastników: jednego przetransportowano samolotem do Jerozolimy na operację, drugiego okazano im w celi.

— Znacie go?

Arab miał może dziewiętnaście lat. Był ubrany w robocze buty, brązowe bawełniane spodnie i siatkową niebieską koszulę. Miał rozczochrane włosy, worki pod oczyma i ślad siniaka na nieogolonej szczęce.

Pokręcili głowami.

— Było ich jedenastu, sami studenci egipscy. — Major spojrział na Mehdiego. — Sądźili, że zabijają pana. — Mehdi przytaknął. — Twierdzą, że sprzedaje pan niewiernym święty przedmiot islamu.

Cała postawa chłopaka manifestowała nonszalancję; zdradzały go tylko oczy.

— Sprzedałbym go tylko muzułmanom, nikomu innemu — powiedział Mehdi po arabsku.

— Zrobiłbyś to — warknął chłopak. — Targujesz się z nimi jak zasyfiona dzwinka gotowa sprzedać duszę. Próbujesz przehandlować częśćkę meczetu w Akce chrześcijańskiej świni albo żydowskim skurwysynom, które wiecznie zabierają to, co należy do nas. Nie jesteśmy ślepi, mieliśmy cię na oku.

— Nie sprzedałem go ani jednemu, ani drugiemu. Miałem inne plany.

Major kiwnął głową.

— Obaj więźniowie dysponowali informacją, że negocjuje pan swój ewentualny powrót do rządu egipskiego.

Chłopak wzgardliwie popatrzył na Mehdiego.

— Nigdy byś nie wrócił, to było dla nas jasne. Bo nie przeżyłbyś kilku godzin.

— Milcz, bydlaku! Dziewięciu młodych ludzi zginęło, i to z jakiego powodu? Kiedy opuszczałem Egipt, żadnego z was nie było jeszcze na świecie.

— Nasi ojcowie pamiętają cię aż za dobrze — powiedział młokos na koniec.

— Gdzie się podziewała służba bezpieczeństwa? — zapytał majora Harry, kiedy wychodzili z więzienia.

— Dotarliśmy na miejsce bardzo szybko.

— Gadanie. Gdybyśmy siedzieli z tyłu...

Major wzruszył ramionami.

— Dopisało panom szczęście. Każdy, kto utrzymuje, że służba bezpieczeństwa może zatrzymać pociski, jest łgarzem.

Po zakończeniu formalności major zapytał, czy chcą być przetransportowani śmigłowcem do szpitala Hadasa.

Mehdi pokręcił głową.

— Nie — odrzekł Harry.

Lekarz wojskowy wręczył im po dwie pięciomiligramowe tabletki uspokajające.

— Dziękuję, nie są mi potrzebne — obruszył się Harry.

Lekarz wcisnął mu tabletki w garść.

— Bierz pan, to za darmo — powiedział.

Wóz sztabowy zawiózł ich do motelu w Dimonie; dotarli na miejsce o drugiej nad ranem, kiedy ulice były zupełnie puste. Harry westchnął z ulgą na widok zmotoryzowanego patrolu żandarmerii wojskowej.

Znalazłszy się w pokoju, zaczął dygotać i w żaden sposób nie mógł nad tym zapanować. Połknął jedną tabletkę i zaczął się rozbierać. Potem drugą. Wreszcie padł na łóżko i czekał, aż proszki zaczną działać.

Nazajutrz zamówili z Mehdim obfite śniadanie i zaczęli je konsumować z obowiązku raczej niż z potrzeby ciała.

— Zwłoki... — powiedział w pewnym momencie Mehdi. — Muszę zwrócić się do władz, aby mi je wydano. — Dziabął widelcem w jajecznicę. — Biedny Tresca!... Dzwoniłem już do Bardila.

— Byli krewnymi?

— Więcej: przyjaciółmi.

— Wszystko w pańskim życiu stanęło na głowie, prawda?

— Nigdy nie pozwolą mi wrócić. Cóż! Ta rządowa posada, którą mi proponowali, była niewiele lepsza od zwykłego stanowiska urzędniczego. Bez wątpienia znudziłyby mnie z miejsca. — Westchnął i odsunął od siebie talerz.

— Ironia losu polega na tym — powiedział Harry — że dokonali zamachu z obawy, iż sprzeda mi pan Diament Kaaby, podczas gdy pan go nie ma. — Widząc niedowierzanie w oczach Mehdiego, zapewnił: — Naprawdę.

— Nie chciałbym pana obrazić, przyjacielu, ale...

— Powtarzam, Diament Kaaby ma skazę, i to dużą. Musi być jakiś sposób, żeby uzyskać pan potwierdzenie tego.

Egipcjanin wpatrywał się weń spod przymrużonych powiek.

— Meczet w Akce ma olbrzymie archiwa, może jest w nich opis klejnotu, który niegdyś zdobił maksurę. Ale proszę zrozumieć... jeśli w takim opisie nie znajdzie się wzmianka o skazie, żadnej skazy nie ma.

— Czy zdoła pan znaleźć kogoś, kto mógłby pogrzebać w archiwach?

Mehdi wzruszył ramionami.

— Dla chcącego nie ma nic trudnego — odparł.

Mehdi działał błyskawicznie. Zadzwoił do Harry'ego jeszcze przed dwudziestą drugą i ponownie spotkali się w kafeterii.

— Sprawdził pan w aktach?

Egipcjanin skinął głową.

— Jest tak, jak pan mówił — powiedział przeciągając słowa.

Harry'emu lekko zakręciło się w głowie.

— Diament Kaaby ma wielką skazę, stąd wnioskuję, że mój kamień nie jest klejnotem zabranym przez krzyżowców z meczetu w Akce.

— A więc... może nim pan dysponować swobodnie?

— Nie krępują mnie dłużej względy religijne. Klejnot nie jest relikwią, mogę więc sprzedać go panu, jeśli tylko dojdziemy do porozumienia w kwestii warunków finansowych.

Harry miał się na baczności, żeby nie zrobić czegoś, na co miał ogromną ochotę: odetchnąć z ulgą.

— Jak sam pan powiada, nie jest relikwią, mogę więc zapłacić tylko tyle, ile jest wart jako kamień szlachetny — rzekł powściągliwie.

— Ma wielką wartość, obaj zdajemy sobie z tego sprawę.

— Nienadzwyczajna jakość przemawia przeciwko niemu, imponujący rozmiar jest poważnym atutem.

Mehdi czekał.

— Milion sto tysięcy.

Mehdi skinął głową.

— Serdecznie życzę, aby ten diament przyniósł panu szczęście, panie Hopeman — powiedział wyciągając rękę.

Harry mocno ją uściśnął.

— *Mazelun brocha*, Bardissi Pasza — odparł.

Ilekcroć kupował jakiś wartościowy klejnot, myślał o ryzyku, jakie podczas swych wypraw handlowych ponosił Majmonides, nieustannie narażony na napaści zbójców, zawsze mający przy sobie sakwę ze złotem. Nowoczesna technika eliminowała ten problem. Nazajutrz rano w Chase Manhattan Bank na życzenie Saula Netschera

urzędnik wcisnął właściwe klawisze komputera i oto odpowiednia suma została prze-
lana z Nowego Jorku na konto Mehdiego w zuryskim Credit Suisse. W Dimonie Har-
ry sporządził tylko umowę kupna- sprzedaży, którą podpisali obaj z Mehdim.

Ten etap był prosty i łatwy, wciąż jednak miał wspólny z Majmonidesem pro-
blem: jak dowieźć do domu zakupiony diament.

Dochodziło południe, kiedy w Jerozolimie wszedł do swojego pokoju hotelowe-
go.

List zobaczył prawie natychmiast — będąc osobą praktyczną, Tamar przykleiła
go taśmą do drzwi łazienki.

„Najdroższy,

wybacz, że czekałam, aż odwrócisz się do mnie plecami i będziesz bezbronny.
Wiedziałam już od pewnego czasu, że nic z tego nie wyjdzie, lecz jestem okropnym
tchórzem, jeśli chodzi o sceny. Bardzo mnie kusiło, by spróbować, bo jesteś takim
cudownym mężczyzną, ale przecież nie minąłby rok, a byłoby po wszystkim. Wolę
wspomnienia.

Jeśli czuleś to samo co ja, nie próbuj się ze mną zobaczyć.

Życzę ci długich lat pełnych innego szczęścia. T."

Wykręcił jej numer, jednakże nikt nie podniósł słuchawki. W muzeum poinformo-
wano go, że pani Strauss przedłużyła sobie urlop. Nie, nie wiadomo, gdzie jest w
tej chwili.

Miał solidne podstawy, żeby domyślać się, gdzie ją znajdzie, ale po zakończeniu
rozmowy siedział nieruchomo przez dwadzieścia minut, mobilizując w sobie wszelkie
rezerwy opanowania.

Potem bardzo metodycznie przystąpił do załatwiania niezbędnych spraw. Odsta-
wił samochód do agencji wynajmu aut i uiścił rachunek. Spakował swoje brudy i wy-
słał je do Stanów. We foyer hotelowym wstąpił do przedstawicielstwa linii lotniczych
i kupił dwa bilety na samolot wylatujący z lotniska Ben Guriona późnym popołu-
dnem. Po tym wszystkim zostało mu niewiele czasu, błyskawicznie jednak wrzucił
swoje rzeczy do walizki i wymeldował się z hotelu.

W końcu wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do Rosz Hajin.

Dziewczynka, tak samo jak podczas jego pierwszej wizyty, siedziała w ulicznym kurzu. Polecił taksówkarzowi stanąć.

Podszedł do dziecka, przyklęknął i powiedział:

— Szalom, Habiba, pamiętasz mnie?

Spoglądała na niego z głupawym wyrazem twarzy.

— Jest tu ciocia Tamar?

Dziewczynka wyciągnęła rękę w stronę domu swojej babki.

Zapukał do ażurowych drzwi, poczuł na sobie spojrzenia dwóch par oczu.

— Proszę wejść, jeśli pan sobie tego życzy — powiedziała matka. Stała oparta o ścianę. Ojciec siedział przy stole i pił arak.

— Chciałbym porozmawiać z Tamar — rzekł Harry, lecz nie doczekał się żadnej reakcji. Za drzwiami ktoś zachichotał, usłyszał krótką, wypowiedzianą z mocą replikę Tamar i śmiech umilkł.

Ojciec pokręcił głową.

— Nie życzy sobie — powiedział po angielsku.

— Do diabła! — odparł Harry. — Chcę to usłyszeć z jej ust.

— Trzy rzeczy są ponad moje pojęcie — podjął stary tym razem po hebrajsku. — A właściwie cztery. Co robi orzeł w przestworzach, wąż na skale, statek na morzu i mężczyzna z niewiastą.

Opróżnił do końca szklankę i napełnił ją ponownie: arakiem z butelki i wodą z karafki. Dwa bezbarwne płyny wymieszały się, tworząc mlecznobiałą ciecz.

Harry podszedł do drzwi, zapukał.

— Tamar! — zawołał cicho. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: — Moglibyśmy przynajmniej porozmawiać.

Nadal nie odpowiadała.

— Muszę wyjechać natychmiast, już dziś po południu. Mam dla ciebie bilet na samolot.

Czekał.

— Jezu, czy zawsze ci tak odbija, kiedy masz okres?

Usłyszał szurnięcie krzesła i poczuł uderzenie. Kiedy się odwrócił, ojciec Tamar gotował się, by zadać mu następny cios.

— Hejże! — Stary był silny, Harry miał nadzieję, że nie złamał mu kości policzkowej. Ale był również pijany, toteż bez trudu mógł go utrzymać na dystans. — Zabierzcie go!

— Matka Tamar zaczęła zawodzić jak arabska płaczka.

— Zabierzcie go ode mnie!

W tym samym momencie gdy matka sadzała ojca Tamar na krzesło, czekający przed domem taksówkarz nacisnął klakson.

— Do cholery, czy nie rozumiesz, że cię kocham? — wrzasnął Harry do zamkniętych drzwi.

Otworzyły się nagle.

Na tyle szybko, na ile pozwalał jej wydatny brzuch, wyślizgnęła się z nich pod-ekscytowana siostra Tamar, Jaffa, i podsunęła Harry'emu pod nos karteczkę.

Rozłożył ją, przeczytał i westchnął.

„Harry nigdy nie zrobi niczego, co by mnie skrzywdziło.”

Współczująco-ciekawskie spojrzenie Jaffy wytrącało go z równowagi bardziej niż obolały policzek.

— Szalom — wyszeptała matka Tamar, kiedy przekraczał próg.

Odprawdzały go wzrokiem trzy kobiety. Habiba wciąż siedziała w pyle, a po jej policzku znów łaziła mucha. Odpędził ją, zanim wszedł do taksówki i kazał się wieźć na lotnisko.

Rozdział 27

SKAZA

Po powrocie czuł się tak, jakby opadły mu z oczu i uszu łuski, których istnienia nie był świadom, i oto po raz pierwszy w życiu wyraźnie zobaczył i usłyszał Amerykę: w Westchester — pola i lasy wokół domu, ćwierkanie i gruchanie ptaków, daleki warkot pilarki spalinowej; na Manhattanie — kształt i wysokość budynków, zgiełk uliczny, donośniejszy i brutalniejszy niż w Jerozolimie, a przecież przynoszący ulgę, bo będący istotnym ogniwem układanki jego życia.

Siniak na policzku, w miejscu gdzie rąbnął go ojciec Tamar, przybrał barwę karmazynową mimo delikatnego wcierania kremu przeciwko opuchliznie. Della, kiedy się spotkali na lunchu, nie mogła go przegapić, a jednak nie zadawała pytań.

Oświadczyła za to:

— Spotkałam kogoś, Harry.

— Czy to... poważna sprawa, Delio? — zapytał, czując się jak obleśny podglądacz.

Pobladła na twarzy.

— Chcemy się pobrać — odparła.

— Cieszę się i gratuluję.

Mówił szczerze, ale coś tu było nie tak: powinien doznać większego wstrząsu.

Spotkali się we trójkę w następnym tygodniu na kolacji, kulturalnej i bardzo dla wszystkich kłopotliwej. Mężczyzna nazywał się Walter Liebermann, był analitykiem inwestycyjnym z Wall Street, miał wysokie dochody i rzadkie włosy.

Delikatny, zrównoważony rozwodnik, zawsze z wyrazem lekkiego niepokoju na twarzy... W innych okolicznościach Harry mógłby go nawet polubić.

Sprawa przedstawiała się prosto: Della wystąpi o rozwód, Harry nie wyrazi sprzeciwu.

— Chciałbym zatrzymać dom — powiedział.

Ona też lubiła to miejsce, ale tylko potulnie skinęła głową, po czym zaczęła wynosić pod niebiosa rozsądek i takt Waltera, który postanowił nie brać udziału w bar micwie.

Bar miewa zdominowała ich życie. Della zrobiła właściwie wszystko: zarezerwowała w synagodze salę przeznaczoną na uroczystości, zamówiła firmę cateringową, ustaliła z nią menu. Wszystko było gotowe z wyjątkiem Jeffrey'a Martina Hope-ma- na, który jękał się podczas odśpiewywania haftary, jak gdyby nigdy nie miał się nauczyć melodii towarzyszącej tekstowi. Harry stwierdził z poczuciem winy, że gdzieś daleko uganiał się po świecie za obcymi bogami akurat wtedy, kiedy jego syn potrzebował go najbardziej. Zaczęli wspólnie pracować nad haftarą. Był to fragment odśpiewywany w szabat przypadający podczas Sukot, święta plonów. Opis wojny Goga i Magoga był dla Jeffa niezrozumiały nawet w angielskim przekładzie.

— Kim był Gog? — zapytał.

— Dowódcą wrogiej armii, która najechała Izrael od północy — wyjaśnił Harry.

— A Magog?

— Czym, nie kim. Magog to kraj, z którego pochodził Gog. Być może zresztą nie chodzi tu o konkretny kraj, lecz o symbol wszystkich nieprzyjaciół Izraela.

— A więc nie wiadomo właściwie, czego dotyczy ten fragment?

— Wiele znaczeń zatarło się w ciągu stuleci, ustępując miejsca wielu zagadkom — odparł Harry. — To bardzo stary tekst. Ale fajnie jest powtarzać opowieść przekazywaną z pokolenia na pokolenie od tak dawna, nie sądzisz?

Jeff jęknął.

Spodobały mu się jednak jarmułki kupione przez Harry'ego w Mea Szearim — wybrał dla siebie granatową haftowaną w pastelowe kwiaty.

— A kupiłeś mu tallit? — zapytała Della.

— O tym nie pomyślałem — przyznał.

Westchnęła.

— No to kup teraz.

Poszedł więc do żydowskiej księgarni w Dolnej East Side i kupił dla syna szal modlitewny *made in Israel*.

Jaki natomiast prezent pragnął otrzymać Jeff z okazji bar micwy, było od początku oczywiste, Harry bowiem co krok natykał się na rzucone niby ot tak, przypadkowo, stronice wydarte z katalogów reklamowych, które opiewały przymioty broni myśliwskiej większego kalibru.

— Nie kupię ci strzelby na sarny — oświadczył Harry stanowczo.

— Niby dlaczego? Jeśli nie przetrzebimy pogłowia, będą w zimie głodować.

— Wracają drapieżniki. To najlepsi selekcjonerzy.

— Poluje wielu przyzwoitych ludzi.

— Niektórzy potrzebują mięsa i to jestem skłonny zaaprobować. Ale jeśli chcesz polować dla sportu, poczekaj, aż przestanę ponosić za ciebie odpowiedzialność.

Kupił mu walizkową maszynę do pisania, a po namyśle dorzucił jeszcze muchówkę z klejonki bambusowej, siedmio-stopowe cudeńko, które ważyło niespełna cztery uncje. Nie był jednak pewien, czy ten podarek usatysfakcjonuje chłopca, który pragnął zostać Pogromcą Zwierząt.

Zaczął zwracać uwagę na artykuły w „Timesie”, które zbagatelizowałyby jeszcze kilka miesięcy wcześniej. W Argentynie gangi neofaszystów wysadzały w powietrze i ostrzeliwały żydowskie sklepy i synagogi, porwały dla okupu członków żydowskich rodzin. W Bawarii młodzi antysemita uczyli się wojskowego drylu w organizacjach paramilitarnych. Rząd sowiecki wysyłał do szpitali psychiatrycznych coraz więcej dysydentów pochodzenia żydowskiego. Profesor z Wisconsin napisał książkę, w której określał Holocaust mianem gigantycznej żydowskiej hochsztaplerki.

Prezydent basował Rosjanom w potępianiu żydowskiego osadnictwa na terytoriach okupowanych i optował za utworzeniem państwa palestyńskiego. Nazajutrz po wydaniu wspólnego oświadczenia Harry wyjął z sejfu słoik zawierający diamenty i umieścił w tym samym miejscu co ojciec. Biurko było wprawdzie inne, ale — tak samo jak Alfred Hopeman — Harry upychał w drugiej szufladzie po prawej rozmaite

znaczkę, spinacze, gumki aptekarskie, a także żółte błyskotki, które mogły ocalić życie człowiekowi zmuszonemu do ucieczki w środku nocy.

Wysłaną z Jerozolimy paczkę z brudami dostał po pięciu tygodniach. Rozwinął ją starannie, wydobyl żółty diament z gniazdka uwitego wśród śmierdzących skarpet i bokserów z wstydlivymi plamami w okolicach krocza, nazajutrz zaś udał się do swojego agenta celnego, gdzie wypełnił deklarację, którą wraz z podpisanym czekiem zaniósł do World Trade Center i wręczył urzędnikowi celnemu o nazwisku McCue.

McCue na jego widok pokręcił głową.

— Wciąż pan szmugluje, panie Hopeman?

Popelniał to wykroczenie wielokrotnie. Chociaż z technicznego punktu widzenia łamał prawo, Urząd Celny przyjmował do wiadomości, iż czyni to ze względów bezpieczeństwa, i puszczał sprawę w niepamięć, zwłaszcza że Harry niezwłocznie uiszczal cło przywozowe wynoszące cztery procent ceny zakupu kamieni poniżej pół karata i pięć procent ceny klejnotów większych.

Zaraz potem spotkał się z Saulem Netscherem, który melancholijnie obejrzał kamień.

— Ha! — stwierdził. — Jest ogromny. Masz pewność, że to nie Diament Inkwizycji?

Harry twierdząco pokiwał głową.

— Do cholery, no to co to jest?

— Nie mam pojęcia.

— W takim razie wymyśl, co mam powiedzieć ludziom, którzy wyłożyli pieniądze.

— Prawdę. Albo zwrócę im gotówkę natychmiast, albo poczekają, aż sprzedam kamień. W tym drugim przypadku potrączę swoje wydatki, a zysk podzielę równo między wszystkich — odparł z rezygnacją Harry.

Przez cztery dni pod rząd padał miarowy jesienny deszcz. Potem wyż przypędził znad Kanady falę chłodnego powietrza i to już był koniec lata, zieleń rozkwitła nagle setką innych kolorów. Znienacka ogarnęła Harry'ego ochota, żeby popatrzeć na sarny; sad był zasłany spadłymi gnijącymi jabłkami, ich ulubionym przysmakiem, wszędzie

krzyżowały się tropy, liczne odchody świadczyły dowodnie, iż zwierzęta pokrzepiają się obficie, a jednak kiedy biegł tego ranka nadrzeczną ścieżką, widział tylko ptaki i wiewiórki. Sarny, jak policjanci, nigdy nie zjawiały się tam, gdzie akurat były potrzebne.

Jeff wyszedł z domu i odnalazł Harry'ego, który siedział nad rzeką wsparty plecami o pień drzewa. Układało się pomiędzy nimi dobrze. Harry i Della podzielili między siebie trud wyjaśnień i Jeff, na miarę swych możliwości, zrozumiał, co nowego wydarzyło się w ich rodzinie, co zaś nie ulegnie zmianom.

Usiadł obok ojca. Buki były brązowe, brzozy i topole żółte, dęby i klony pocętkowane czerwienią i kolorem pomarańczowym, jesiony niemal purpurowe. Tu i ówdzie sumaki gorzały jak pochodnie. A wszystko odbijało się w płynącej wodzie.

— Zastanawiam się, jak bym postąpił, gdyby spróbowano odebrać nam to miejsce tylko dlatego, że jesteśmy Żydami — powiedział Harry.

— To możliwe?

— Nie sądzę. — Cisnął kamyk do wody. — Ale takie rzeczy zdarzały się w innych krajach, i to wielokrotnie. Czegoś w Izraelu się nauczyłem. Jeśli spotka nas coś podobnego, kupię ci strzelbę. I drugą dla siebie.

— Nie chciałbym używać jej przeciwko ludziom.

— Do tego służą strzelby — rzekł Harry cicho. — Do zabijania zwierząt, ale i ludzi.

Choć nie było mu łatwo, patrzył na twarz Jeffa, by sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa.

— Chcesz powiedzieć, że nie pozwolisz, aby zrobiono nam to, co zrobiono w Europie?

Przytaknął.

Jeff się przygarbił.

— Już lepiej byłoby walczyć. Brzydzę się tym... ale stanąłbym wtedy przy tobie. — Dotknął ramienia Harry'ego.

— Naprawdę, tato.

— Wiem.

Zanim dotarli do domu, Harry postanowił wyjąć ze skrytki i sprzedać sześć małych diamentów. Ludzie skłonni walczyć o swoje miejsce na ziemi nie potrzebują zabezpieczenia na wypadek ucieczki.

Wieczorem rozłożył na stole w pracowni szmatkę i wyjął słoik z szuflady biurka.

Umazał palce wazeliną, szukając małych i praktycznie niewidocznych kamyków; rzecz jasna ten największy, z konglomeratu, tkwiący tuż pod powierzchnią jak wartownik, wyjął na samym początku.

Diamenciki były bardzo ładne, pójdą jak woda oprawione w pierścionki zaręczynowe.

Kiedy wytarł je z tłuszczu, przekonał się, iż wazelina pozostawiła na powierzchni cieniutką powłoczkę przyćmiewającą ich ogień. Naftę miał tylko w zbiorniczku zapalarki do grilla: utoczył nieco na spodeczek, zamoczył w niej szmatkę. Tłuszcz schodził idealnie. Suszył właśnie diamenty, gdy jego spojrzenie przyciągnął wielki kamień z konglomeratu.

Dolna część była pokryta złotą farbą i wazeliną, ale natychmiast dostrzegł coś, co przegapił jako dwunastolatek.

Klejnot wcale nie był sztuczny.

Stał nad nim, podśpiewywał pod nosem, bał się podnieść.

Z trudem zachowując opanowanie oczyścił kamień z wazeliny.

Został oszlifowany jako prześliczna briolette, fasety układały się we wzór podobny do tego, jaki widział na kamieniu Mehdiego. Ale ten klejnot obrobiono jeszcze wcześniej, kiedy nowoczesne techniki szlifierskie były w powijakach.

Dolną część kamienia, do dwóch trzecich jego wysokości, pokrywała złota farba. Wydrapał w podstawie okienko, obmył diament w spodku, rozlewając przy tym naftę.

Potem zapalił lampkę mikroskopu, uniósł nad nią klejnot i spojrzał przez lupę. Soczewkę wypełniła wewnętrzna struktura kryształu.

Kolor był wyborny, złoty, ale cieplejszy niż barwa prawdziwego złota.

Jak zastygły w kamieniu mocny blask słońca.

Cudowny ogień.

Idealna czystość.

Kończąca się w zmętnieniu i brutalnym mroku w poprzek koletu.

Jeszcze zanim dostrzegł skazę, pojął, co trzyma w dłoni.

— A więc t o chciałeś mi powiedzieć! — wykrzyknął do ojca.

Siedział oszołomiony.

Muskał palcami diament, nawiązując za pośrednictwem opuszków kontakt ze wspomnieniem i obietnicą świątyni jerozolimskiej.

Z wielusetletnim milczeniem genizy w dolinie Akor.

Ze świętą maksurą w meczecie w Akce.

Z krwawym szaleństwem hiszpańskiej inkwizycji.

Z uświęconym majestatem papieżstwa.

I to wszystko tkwiło przez Bóg wie ile lat w słoiczku z wazeliną!

Po jakimś czasie uświadomił sobie, że wydaje dźwięki.

Wariackie wrzaski.

Piętro wyżej otworzyły się drzwi pokoju Lawrensonów.

— Mówię ci, że to on. Pewnie zachorował — usłyszał głos gospodyni. Potem na schodach zatupotały stopy jej męża.

Mimo późnej pory Harry sięgnął po telefon.

— Klejnot Mehdiego to kamień, który skradziono z Muzeów Watykańskich — oznajmił Saulowi Netscherowi.

— Do jasnej cholery, zdecyduj się wreszcie! Sam mówiłeś, że to nie jest Diament Inkwizycji!

— Bo nie jest. To są dwa różne klejnoty. Chcę diament Mehdiego zawieźć do Rzymu. Czy twoi donatariusze byliby skłonni obdarować nim Watykan? Moim wkładem byłyby poniesione wydatki.

— Zwariowałaś? — wściekł się Netscher. — Oni chcieli kupić coś, co jest ważne dla żydowskiej historii. Powiedzą mi, żebym sobie poszukał gromady nadzianych katolików.

— Posłuchaj, Saul, dostaną towar wart więcej, niż zapłacili... — Harry mówił długo i z pasją.

— Donatariuszy jest czternastu — rzekł w końcu oszołomiony Netscher. — Z dwunastoma trzeba się będzie naużerać, ale może coś zwojuję. Dwóch pod żadnym warunkiem nie da Kościołowi złamanego grosza.

— W takim razie sam pokryję te dwa udziały — odparł Harry.

— To fura pieniędzy. Dlaczego tak się przejmujesz, czy wetkną ten kamień do papieskiej tiary czy nie?

— W końcu chodzi o skradziony przedmiot. I... o coś w rodzaju rodzinnego zobowiązania. — Nienawidził Petera Harringtona za to, że tak celnie zdołał zdiagnozować stan jego sumienia. — Powiedz im, że otrzymają uroczyste podziękowania z ust samego papieża. Zdołasz ich jakoś przekonać, Saul — powiedział tonem perswazji.

Netscher głęboko westchnął.

Monsignore Peter Harrington odebrał go z rzymskiego lotniska i zawiózł wprost do Stolicy Apostolskiej.

Harry zatelegrafował do kardynała Pesentiego informując go, że grupa filantropów odkupiła skradziony żółty diament i jemu, Harry'emu Hopemanowi, powierzyła misję zwrócenia go Muzeom Watykańskim.

Kardynał spłynął ku nim jak rozradowany motyl.

— *Molte grazie* — zaszemrał. — Cóż za hojność i dobroć!

Zaprowadził ich do swego gabinetu, a kiedy usiedli przy

długim stole, Harry wyjął klejnot z neseseru.

Kardynał ujął kamień w palce i patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Dziękuję Bogu, że pana zesłał, aby Oko Aleksandra wróciło na tiarę Grzegorza, panie Hopeman — powiedział.

— To nie jest Oko Aleksandra, eminencjo.

Kardynał się stropił.

— Informował pan przecież w depeszy, że zwraca skradziony klejnot.

— To kamień, który kupiłem w Izraelu... kamień wyrwany przez złodziei z tiary w waszym muzeum. Nie jest to jednak diament oszlifowany przez mego przodka Juliusa Vidala, a następnie złożony w darze Kościołowi.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Diament, który eminenca trzyma w dłoni, zastąpił oryginał na długo przed ostatnią kradzieżą.

Peter Harrington pokręcił głową.

— Prowadzimy archiwa tak szczegółowe, że trudno mi uwierzyć, by mogło dojść do takiej zamiany.

— Kamień opuszczał mury Watykanu tylko dwukrotnie — powiedział Harry. — Ostatnio wożono go do Berlina, gdzie mój ojciec oczyścił klejnot i na powrót osadził w naprawionej tiarze. Wasze dokumenty potwierdzą, iż diament, który otrzymał i oddał za pośrednictwem neapolitańskiej firmy Sidney Luzatti i Synowie, jest tym samym klejnotem. Ojciec zdawał sobie sprawę, że nie był to Diament Inkwizycji, ten bowiem spoczywał bezpiecznie w jego sejfie, niemniej opisał go w swoich dziennikach jako Diament Inkwizycji, trzymając się wersji liczącej trzysta pięćdziesiąt lat. Zamiana mogła zatem nastąpić tylko przy pierwszej okazji, a więc około roku 1590, kiedy inny z moich przodków, wenecki jubiler Izaak Vitallo, osadzał diament w dopiero co wykonanej tiarze.

Opowiedział im, co odkrył dwa dni wcześniej w swojej pracowni, po czym dodał:

— Może Vitallo był pospolitym złodziejem, a może znalazł jakieś usprawiedliwienie dla swojego uczynku. Wiem jedynie, że od tej pory zarówno kamień, jak i tajemnica pozostawały w mojej rodzinie.

— A więc dosyć długo — stwierdził Harrington.

Harry skinął głową.

— W czasach strasznych dla Żydów. Może znajdowali pociechę w tej małej prywatnej zemście.

— Dlaczego ojciec o niczym ci nie powiedział?

— Zwlekał zbyt długo, a zresztą, jak sędzę, był zakłopotany tą sytuacją, którą postrzegał jako anachroniczną. — Wzruszył ramionami. — Zemsta jest anachronizmem. Najwyższy czas wydobyć klejnot z ukrycia.

Kardynał Pesenti był zafascynowany.

— Ten klejnot ma ogromną wartość — zauważył, unosząc diament. — A zatem oryginał, którym zastąpił go Vitallo, Oko Aleksandra, musi być wart o wiele więcej?

— Jest dosłownie bezcenny.

— Oczywiście zamierza pan zwrócić go Kościołowi — wypalił kardynał Pesenti.

— Nie, eminencjo.

Zmierzyli się wzrokiem.

Atmosfera uległa lekkiej zmianie.

— Został skradziony Kościołowi. Pan postanowił zwrócić nam klejnot mniej wartościowy, chociaż jesteśmy prawowitymi właścicielami Oka Aleksandra, czyż nie?

— My nazywamy go Diamentem Inkwizycji. Zanim stał się własnością Kościoła, należał do człowieka, który spłonął na stosie dlatego, że był Żydem.

Peter Harrington chrząknięciem przerwał długą chwilę ciszy i rzekł ochryple:

— Nie masz prawa, Harry!

— Ależ mam, mam. Diament nie jest Jerozolimą, prawo własności do niego można zatem podzielić. Poczyniłem już kroki, aby stanowił współwłasność Muzeum Izraela, waszego muzeum w Watykanie i jordańskiego w Ammanie. W każdym będzie eksponowany kolejno przez pięć lat.

Kardynał zacisnął usta, wysunął do przodu żuchwę. Obserwując, jak usiłuje nad sobą zapanować, Harry stwierdził ze zdumieniem, że z oczu księcia Kościoła wcale nie wyziera gniew.

Bernardino Pesenti skinął głową.

— Najwyższy czas. — Wyciągnął rękę i dotknął dłoni Harry'ego. — Najwyższy czas na kurację, panie Hopeman — powiedział.

Rozdział 28

STRAŻNIK

Zadzwoił do Davida Leslaua i długo, a także za duże pieniądze udzielał odpowiedzi na radosne pytania.

W końcu David parsknął śmiechem.

— Opowiedz jeszcze raz. Gdzie to znalazłeś? W słoiku z c^{ym}?... Dobry Boże, wiesz, gdzie popełniłem największy błąd? Nigdy nie kopałem w Cincinnati, na swoim podwórku.

Harry nie podzielał jakoś rozbawienia Leslaua.

— Jak tam wykopaliska? — przebił się wreszcie z własnym pytaniem.

— Obiecujące, wskazują na to wszystkie znaki na niebie i ziemi, ale na razie bez efektów.

— Jakie znaki?

— Opiszę ci wszystko. Wyślę szczegółowy raport.

Usiłował wkroczyć na powrót w koleiny pracy zawodowej.

Wiadomości prasowe o kradzieżach w muzeach rodzą następne kradzieże w muzeach, trzy muzea zatem pragnęły nagłaśniać sprawę Diamentu Inkwizycji z wielką ostrożnością, i to we własnym zakresie. Aprobował to stanowisko. Reklama dobrze służyła interesom, lecz żaden jubiler nie życzy sobie, by zamieszczano w gazetach jego zdjęcie i tym sposobem pokazywano palcem wszelkim możliwym rabusiom.

Zafascynowany własnymi początkami, spędzał więcej czasu niż trzeba na Czterdziestej Siódmej Ulicy. Wieczorami, kiedy sklepy i pracownie były pozamykane, zasiadał przy stoliku w delikatesach z garstką fanatycznych weteranów, oceniał ich kamienie, kiedy o to prosili, wysłuchiwał diamenciarskich opowieści i snuł diamenciarskie opowieści. Spotykał ludzi, których nigdy dotąd nie widział na oczy. Wydawało

się, że wszyscy są Izraelczykami; hebrajski rozbrzmiewał na ulicy coraz częściej i głośniej.

Wiedział, do czego powinien się zmusić. W Stowarzyszeniu Jubilerów poznał piękną kobietę pachnącą mydłem i czymś jeszcze, dwukrotnie zaprosił ją na lunch. Kiedy zapytał, czy nie wyjechałaby z nim na kilka dni, wyraziła zgodę. Wybrali się do Pensylwanii, do gospody położonej opodal kilku farm amiszów, które wyglądały tak, jakby pozowały do zdjęcia na pocztówkę. Kobieta kończyła studia prawnicze w Fordham i w Stowarzyszeniu chciała się przenieść z biura analiz do działu obsługi prawnej. Oświadczyła bez ogródek, że jego pomoc byłaby mile widziana. Rozprawiała nieustannie, jak ważne są dla branży sprawy o odszkodowania. Miała szczupłe seksowne ciało, ale bladą skórę i osobowość.

W drodze powrotnej, kiedy zatrzymali się w Newark na lunch, Harry spostrzegł, że w lewym górnym rogu pierwszej strony „New York Timesa” zamieszczono wiadomość z ostatniej chwili, iż zaledwie kilka godzin wcześniej profesor David Leslau odnalazł jednego z cherubinów ze świątyni Salomona.

Posążek nie miał laleczkowatej urody; niewielki — wysokości ledwie siedemnastu cali — wyobrażał postać o ludzkiej męskiej twarzy, ciele lwa i rozłożonych skrzydłach orła, które ongiś, nie do wiary! okrywały arkę Przymierza.

Wyrzeźbiono go z niezidentyfikowanego na razie drewna, które rozsypywało się pod dotknięciem, zewnętrzną natomiast warstwę stanowiła kuta złota blacha, zawierająca — zdaniem cytowanego w artykule metalurga — 4% srebra będącego naturalnym zanieczyszczeniem i 10% miedzi, dodanej dla mocy i sztywności. Złoty stop był dostatecznie czysty, aby nie doszło do utlenienia, warstewkę zaś brązowego nalotu, powstałego w wyniku oddziaływania soli, usunięto bez większego trudu.

Harry'ego kusilo, aby pognać na lotnisko i złapać najbliższy samolot, w końcu jednak wysłał Leslauowi depezę zawierającą tylko dwa słowa: „*Jaszer koach*”, dobra robota. Potem wrócił do lektury artykułu.

Powłoka cherubina została lekko wgięta przez szpadel kopacza, a stare nierówne cięcie w okolicach podstawy posążka zdawało się świadczyć, iż w dawnych czasach był do czegoś przymocowany. Oczywiście do pokrywy arki. Tekst prasowy nie zawierał żadnej wzmianki o Miedzianym Zwoju ani o innych niż Leslau osobach związanych z projektem, po południu wszakże do Harry'ego zaczęli wydzwaniać najroz-

maitsi dziennikarze. Wszystkich odsyłał na Uniwersytet Hebrajski, macierzystą uczelnię Leslaua. Kilka dni później były już znane szczegóły, zamieszczono także opis zwoju i kilkakrotnie nazwisko Harry'ego. „Time” mówił o nim jako o „jubilerze i naukowcu-amatorze Harrym Hopemanie”, „Newsweek” natomiast określił go mianem kryptologa-amatora.

Leslau nie tylko jemu przyznał zasługę.

Wedle „U.S. News & World Report” dziękował pani Tamar Strauss-Kagan, żonie dyrektora generalnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, za pomoc w zlokalizowaniu genizy.

Wyszła więc za mąż.

Usiłował o niej nie myśleć, lecz podświadomość brała górę nad wolą. Jeszcze kilka miesięcy temu nie dałby wiary, że może cierpieć tak bardzo.

Otrzymał depezę:

AI 138 BZ LB NY ARTYKUŁY PRASOWE WREDNE STOP NIE JESTEŚ
ŻADEN DYLETANT STOP ROBOTY PO USZY WYKRZYKNIK PRZYJEDŹ
POMÓC LESLAU

Odpowiedział listem:

„Drogi Davidzie,

jestem dumny, że znalazłeś swojego złotego strażnika. Czy był istotnie zakopany w glinie na głębokości dwudziestu trzech łokci? Tego akurat szczegółu gazety nie podały.

Jak zapewne nie muszę Ci mówić, to nie koniec Twoich problemów. Wątpię, czy istnieje uniwersalny klucz do Miedzianego Zwoju, każdą genizę należy zatem traktować jak odrębną łamigłówkę. Czytałem, że cherubin, kiedy go znalazłeś, był zwrócony twarzą na północ, niewątpliwie zatem drugi spogląda na południe, arka zaś jest ukryta gdzieś pomiędzy nimi. Ale drugi cherubin może być daleko od Engedi — pod górą Hermon na przykład. To zawęża obszar Twoich poszukiwań do terytorium zaledwie całego kraju.

Akademickie hieny spróbują zapewne wygrzyć dziury w autentyczności cherubina, pewien «ekspert» zdążył już wygłosić teorię, że figurka jest babilońska. Musisz zacząć adresować swe publikacje do kręgu ludzi wykształconych.

Rzecz w tym, iż będziesz potrzebował zespołu złożonego z najwybitniejszych specjalistów, prawdziwych asów, prawda zaś wygląda tak, że jako naukowiec jestem dyletantem, który największego odkrycia dokonał w szufladzie własnego biurka. Jako dealer jestem profesjonalistą, kimś, kogo z taką wzdargą Dylan Thomas określił mianem «wędrownego handlarza»). Nigdy źle o zmarłych, ale był niezwykle utalentowanym idiotą. Świat potrzebuje kupców tak samo jak poetów.

Przez jedną tęskną i bajeczną chwilę po otrzymaniu Twojej sympatycznej depeszy sądziłem, że może mógłbym popracować dla Ciebie latem przyszłego roku, ktoś jednak musi pilnować firmy, poza tym podczas najbliższych wakacji zacznę uczyć syna szlifowania diamentów.

Mam nadzieję, że spotkamy się podczas Waszego przyjazdu do Nowego Jorku, na razie zaś ucałowania dla Racheli. Twój przyjaciel Harry."

Zapominanie przychodziło mu z trudem. W sklepie z owocami na Madison Avenue zobaczył długie, wąskie, jakby zaprojektowane przez Modiglianiego jabłka o żółtoporcelanowej zarumienionej skórce — takie same jak to, które wymalowano na blaszanym krążku przybitym do ogrodowej szopy druzyjskiego sadownika z Majdał Szams.

Sprzedawczyni umiała mu tylko powiedzieć, że są tureckie; zatelefonował do Cornell, gdzie pomolog poinformował go, iż są odporne na klimat panujący w stanie Nowy Jork i że sadzonki można kupić w pewnej szkółce w Michigan. Zamówił trzy na przyszłoroczne wiosenne sadzenie.

Pewnego ranka idąc po Park Avenue zobaczył Tamar.

Rządy nieustannie wysyłają oficjeli za granicę, oficjele zabierają ze sobą żony.

Przeciskając się przez tłumy, popędził za nią. Znow ję zobaczył i to była Tamar. Do śmierci zapamięta jej krok. „Jak piękne są twe stopy w sandałach, księżniczko!... Postać twoja wysmukła jak palma..."

Kiedy zatrzymała się przed wystawą sklepu z sukienkami, stanął za nią, dotknął jej ramienia, wymówił imię... i sekundę później ujrzał przed sobą zupełnie nieznaną brązową twarz. Zaraz potem kobieta odeszła.

W synagodze siedzieli w pierwszym rzędzie. Della zostawiła na deser kilka niespodzianek: pozwoliła Jeffowi wybrać osoby, które będą uhonorowane. Saul Netscher wygłaszał patriarsze błogosławieństwo w imieniu zmarłych dziadków chłopca. Harry nie posiadał się z radości, gdy i jego wezwano. Nerwy zaczęły się przy haftarze. Jeff jednak wyśpiewał historię Goga i Magoga z takim wdziękiem i zaangażowaniem, jakby w ten właśnie sposób zarabiał na życie. W pewnej chwili dłoń Harry'ego odnalazła dłoń Delii. Do diabła, Waltera Liebermana nie było w pobliżu. Mocno trzymali się za ręce nawet wtedy, kiedy rabin polecił im wstać i powtarzać słowa modlitwy: „Bądź błogosławiony, Panie, Boże nasz, Królu wszechświata, któryś utrzymywał nas przy życiu i wspierał, abyśmy mogli doczekać tego szczęśliwego dnia.”

Nazajutrz rano Jeff obudził go bardzo wcześnie i wzięwszy nowy kij, razem poszli nad rzekę. Kiedy zsunęli się ze skałek na brzeg, Jeff uwiązał do linki czerwono-białego streamera i zaczął rzucać — dość daleko, bo pomagał mu wiatr. Nad wodą kłębiła się mgła. Po przeciwległym brzegu przemknęło jakieś niewielkie zwierzę, może lis. Harry nie miał pewności, czy Jeff je spostrzegł.

— Bang! — powiedział chłopak ze śmiechem.

— Fantastycznie było wczoraj — stwierdził Harry.

— Mhm... — Jeff kręcił korbką kołowrotka. — Wiesz, czego nie rozumiem? Dlaczego zostałeś wezwany do *Tory* jako drugi.

— Bo należę do plemienia Lewitów.

— Plemienia? Takiego jak indiańskie?

— Właśnie, jak indiańskie. — Wyjaśnił, że z dwunastu pierwotnych plemion pozostały trzy. — Kohenowie, potomkowie kapłanów, są wzywani pierwsi. Potem Lewici, których przodkami byli urzędnicy świątynni, poeci i muzycy. Wreszcie Izraelici, przedstawiciele wszystkich innych plemion, które zlały się w jedno.

Jeff wykonał kolejny rzut.

— Skąd wiesz, że jesteś Lewitą?

— Od ojca, któremu powiedział jego ojciec.

— Hej! — Jeff zaciął rybę, natychmiast ją stracił, lecz już kilka sekund później miał następne podbicie. Tym razem prawidłowo uniósł szczytówkę wędziska i wyholował na brzeg niewielkiego żółtego bassa.

— Jak myślisz, wymiarowy? — zapytał ojca.

— Patelniak.

— Ja też powiem swojemu synowi. — Podał Harry'emu rybę, a kiedy przez moment obaj trzymali twarde, zimne żywe ciało, mogło się zdawać, że uczestniczą w jakimś rytuale.

— Mam nadzieję — rzekł Harry.

W listopadzie otrzymał list z prośbą, aby awansem wpłacił do Diamentowej Korporacji De Beers składkę za najbliższą dostawę, i z agendą przesyłek na najbliższy rok. Oznaczało to, że został przyjęty do grona Dwustu Pięćdziesięciu na miejsce ojca. Nie miał pojęcia, dlaczego decyzji nie podjęto wcześniej ani na jakiej podstawie wybrano jego, wiedział jednak, iż od tej chwili rytm jego życia będą regulowały paczuski z Londynu przychodzące dziesięć razy do roku.

Przebieg jego życia, sukcesy nie budziły w nim wyrzutów sumienia, z troską wszakże czytał o kolejnym ataku raketowym na Kiriat Szemonę, mając tylko nadzieję, że nic złego nie spotkało ani rabina, który pomógł mu odnaleźć zaginionego męża Racheli Silitsky, ani jego żony i dziecka.

Rankami, zamiast iść prosto do swojego sklepu przy Piątej Alei, parkował czasem w pobliżu Czterdziestej Siódmej Ulicy i ruszał na przechadzkę, mijając niskich brodatych mężczyzn, którzy w niechlujnych bramach, pełniących rolę ich kantorów, wyciągali z kieszeni wytłuszczone koperty z cudownymi skarbami. W Klubie Handlarzy Diamentów przechodził przez salę ekspozycyjną, gdzie dealerzy badali kamienie w miękkim świetle z północy, i wkraczał do kaplicy. Większość chasydów odbywała modły w autobusach dowożących ich na Czterdziątą Siódmą, zawsze jednak udawało się jakoś zebrać *minjan*, dziesięć osób niezbędnych, aby odmówić Kadisz. Harry zdawał sobie sprawę, że nieregularne odmawianie modlitwy za zmarłych nie ma sensu. Nie logika wszakże wyznaczała ostatnio tok jego poczynań.

Zima była sroga, kraj bez opamiętania wypalał arabską ropę. W mroźne poranki Harry i Sid Lawrenson rąbali drewno do kominka albo przycinali jabłonki. Przy okazji Harry wybrał miejsca na zasadzenie nowych drzewek zwanych senapkami. Sam czuł się jak drzewo, które w końcu zapuściło korzenie.

Znakami orientacyjnymi i miarą jego życia były kamienie. Na cmentarzu dostrzegł, iż jacyś goście zostawili na grobie jego ojca siedem kamiaków.

Granat postanowił podarować Jeffowi; może — co stałoby się zdrowszą tradycją — kamień ich plemienia będzie przekazywany z ojca na syna otwarcie. Prawie nie myślał o tkwiącym teraz bezpiecznie w Tiarze Grzegorza żółtym diamencie, który kupił w Izraelu, częściej za to o Diamencie Inkwizycji, zastanawiając się, czy przyciąga niekiedy uwagę krzątającej się po salach muzeum ciemnoskórej kobiety. Podczas bezsennych nocy, kiedy nienazwane lęki wypełzały z przeszłości i jego genów, kiedy dygotał wstrząsany niczym nie uzasadnionym dreszczem, kiedy prześladowały go krzyki, których nigdy nie słyszał — wtedy rozmyślał o sześciu żółtych diamentach Alfreda Hopemana. Ale nigdy nie żałował, że nie ma ich już w szufladzie biurka.